

ŚWIATOWY BESTSELLER

SIMON BECKETT , ZAPACH ŚMIERCI

DAVID
HUNTER
POWRACA

DAWNIEJ MIEJSCE UZDRAWIANIA,
TERAZ CMENTARZYSKO

SIMON
BECKETT
, ZAPACH
ŚMIERCI

Przełożyła Agata Ostrowska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *The Scent of Death*

Redakcja: Beata Wójcik

Projekt okładki: © Stephen Mulcahey / www.mulcaheydesign.com

Zdjęcia na okładce: © Leland Kent

Zdjęcie autora: © Katrin Binner

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Korekta: Jolanta Świetlikowska, Adam Osiński

Copyright © Hunter Publications Limited, 2019

Copyright for the Polish translation by Agata Ostrowska, 2019

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-286-3

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Mojemu ojcu, Frankowi Beckettowi,
który nauczył mnie patrzeć na każdą sprawę
z szerszej perspektywy
lipiec 1929 – kwiecień 2018

ROZDZIAŁ 1

Ludziom zwykle wydaje się, że natychmiast rozpoznaliby zapach śmierci. Że rozkładowi towarzyszy szczególna, charakterystyczna woń, paskudny trumienny odór.

Mylą się.

Proces rozkładu jest bardzo złożony. Żeby żywy niegdyś organizm zamienił się w szkielet, obrócił w kości i minerały, najpierw musi przejść długą biochemiczną drogę. Owszem, niektóre gazy wydzielane w tym procesie są nieprzyjemne dla ludzkiego węchu, ale to jedynie część szerokiego asortymentu zapachów. Gnijące ciało produkuje setki lotnych związków organicznych, z których każdy ma specyficzne cechy. Wiele z nich – zwłaszcza te powstające na środkowych etapach rozpadu ciała, związane z gniciem i wzdęciem – niezaprzeczalnie śmierdzą. Na przykład trisiarczek dimetylu przypomina zapachem zepsutą kapustę. Kwas masłowy i trimetyloamina przywodzą na myśl odpowiednio wymiociny i nieświeżą rybę. Z kolei indol cuchnie fekaliami.

A jednak w niższych stężeniach indol ma delikatny, kwiatowy aromat, ceniony przez producentów perfum. Heksanal – gaz wydzielany zarówno na początku, jak i pod koniec procesu rozkładu – przypomina zapachem świeżo skoszoną trawę, butanol rozpacza zaś woń opadłych liści.

Woń rozkładu może obejmować wszystkie te nuty zapachowe, tworząc bukiet tak złożony jak w dobrym winie. A ponieważ nieprzewidywalność jest dominującą cechą śmierci, to ta nieraz anonsuje swoją obecność zupełnie inaczej.

Czasami w najmniej oczekiwany sposób.

– Proszę patrzeć pod nogi, panie doktorze – ostrzegł mnie idący przede mną Whelan. – Wystarczy jeden nieuważny krok i spadnie pan piętro niżej.

Nie musiał mi przypominać. Schyliłem się pod belką stropową, ostrożnie stawiając stopy. Na przepastnym strychu było jak w piecu. Powietrze w niskiej przestrzeni pod dachem z łupków nagrzewało się przez cały dzień, a maska na twarzy utrudniała oddychanie. Elastyczny kaptur kombinezonu ochronnego wrzynał mi się w twarz. Spróbowałem raz jeszcze otrzeć z czoła pot, ale udało mi się go tylko trochę rozmazać.

Poddasze starego szpitala było ogromne. Ciągnęło się we wszystkie strony, ginąc w mroku poza zasięgiem tymczasowo ustawionych źródeł światła. Na podłodze ułożono chodnik z aluminiowych płytek, który z każdym krokiem rytmicznie ugiął się i prostował pod naszym ciężarem.

Miałem nadzieję, że legary pod spodem nie są spróchniałe.

– Zna pan tę część miasta? – zapytał Whelan przez ramię. Akcent wskazywał, że komisarz wychował się daleko na północ od Londynu, raczej nad Tyne niż nad Tamizą. Był przysadzistym mężczyzną po czterdziestce. Kilkanaście minut wcześniej, kiedy po mnie wyszedł, miałem okazję zobaczyć jego sztywne siwe włosy i brodę, wilgotne i oklapłe od potu. Teraz głowę i twarz miał niemal całkowicie zasłonięte maską i białym kombinezonem.

– Niezbyt.

– Tak, to nie jest okolica, w którą chciałoby się zapuszczać bez ważnego powodu. A nawet i wtedy niekoniecznie. – Schylił się, żeby przejść pod skośną belką. – Uwaga na głowę.

Poszedłem w jego ślady. Mimo specjalnych płytek poruszanie się po strychu nie było najłatwiejsze. Grube drewniane belki krzyżowały się nisko nad głowami, gotowe roztrzaskać czaszkę każdemu, kto nie schylił się wystarczająco nisko, na wysokości kostek zaś wiły się stare rury czyhające na nieuważnie postawioną stopę. Raz po raz, wydawałoby się, że w zupełnie przypadkowych miejscach, na drodze wyrastały osmalone ceglane kominy, blokując przejście i wymuszając okrężny przebieg aluminiowych chodników.

Odgarnąłem pajęczynę, która musnęła mnie po twarzy. Mnóstwo ich zwisało z surowych desek dachu, oblepione brudem przypominały wystrzępione lambrekiny teatralne. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, zmieniająca żółty niegdyś materiał izolacyjny pomiędzy legarami we wstrętny brązowy futrzak. Pyłki kurzu wirowały w powietrzu, lśniły w jasnym świetle. Pomimo maski czułem pył w oczach i ustach.

Uchyliłem się gwałtownie, bo nie tyle zauważyłem, ile wyczułem jakiś nagły ruch gdzieś w ciemności pod dachem. Kiedy jednak zadarłem głowę, nic nie zobaczyłem. Złożyłem to na karb zbyt bujnej wyobraźni i znów skupiłem się na patrzeniu pod nogi.

Przed nami, w kręgu jasnych lamp, znajdował się nasz cel. Grupka odzianych na biało postaci stała w jaskrawym świetle na nieco większej wysepce metalowych paneli rozłożonych wokół jednego z kominów. Dobiegał nas szmer rozmowy stłumionej przez maski na twarzach. Technik kryminalistyczny robił zdjęcia czegoś, co leżało u ich stóp.

Whelan zatrzymał się kilka kroków od grupy.

– Pani nadkomisarz? Jest już antropolog.

Jedna z osób zwróciła się w moją stronę. Niewielki fragment twarzy widoczny nad maską był zaczerwieniony i lśnił od potu. W bezkształtnym kombinezonie trudno byłoby określić płeć tej postaci, ale już nie pierwszy raz mieliśmy razem pracować. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że grupka stoi wokół czegoś zawiniętego w plastikową płachtę, przypominało to zrolowany dywan. Na jednym końcu opakowanie zostało częściowo rozwinięte.

Z dziury wystawała zmumifikowana twarz z pustymi oczodołami i karmelową skórą naciągniętą ciasno na kościach policzkowych.

Pochłonięty tym widokiem nie zwróciłem uwagi na niską belkę stropową i wyrznąłem głową tak mocno, że aż mi zadzwoniły zęby.

– Ostrożnie – powiedział Whelan.

Potarłem się po głowie, czując raczej zażenowanie niż ból. „Świetne wejście”. Kilka par oczu zmierzyło mnie niechętnym spojrzeniem znad masek.

Tylko kobieta, do której zwrócił się wcześniej Whelan, wyglądała na rozbawioną, a wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki świadczące o wesołym uśmiechu.

– Witamy u Świętego Judy – powiedziała nadkomisarz Sharon Ward.

Dwanaście godzin wcześniej przebudziłem się z koszmaru. Zerwałem się gwałtownie, siadając wyprostowany na łóżku, niepewny, gdzie jestem, a ręka odruchowo powędrowała do brzucha, macając w poszukiwaniu lepkiej krwi. Skórę miałem jednak suchą i nienaruszoną, jeśli nie liczyć śladu po dawno zabliznionej ranie.

– Wszystko w porządku?

Rachel podparła się na łokciu i położyła dłoń na mojej piersi, wyraźnie zaniepokojona. Światło dnia przesączało się przez ciężkie zasłony, wydobywając z mroku pomieszczenie, które dopiero teraz powoli nabierało znajomych kształtów.

Pokiwałem głową, czując, że uspokaja mi się oddech.

– Przepraszam.

– Znowu zły sen?

Mignęło mi wspomnienie plam ciemnej krwi i ostrza noża lśniącego w słońcu.

– Nie taki zły. Obudziłem cię?

– Mnie i cały dom. – Uśmiechnęła się na widok mojej miny. – Spokojnie, żartuję. Tylko się rzucałeś, nikt nie mógł tego usłyszeć. Śniło ci się to, co zawsze?

– Nie pamiętam. Która godzina?

– Trochę po siódmej. Właśnie miałam wstać i zrobić kawę.

Pozostałości koszmaru wciąż oblepiały mnie niczym zimny pot, ale spuściłem nogi na podłogę i wstałem.

– Poleż sobie, ja zaparzę.

Wciągnąłem jakieś ubrania, wyszedłem z sypialni i delikatnie zamknąłem za sobą drzwi. Kiedy znalazłem się sam na korytarzu, uśmiech zniknął z mojej twarzy. Wziąłem głęboki oddech, starając się otrząsnąć z resztek strasznego snu. To się nie stało naprawdę, powtarzałem sobie.

Nie tym razem.

W domu panował spokój charakterystyczny dla wczesnych godzin porannych nowego dnia. Ciszę podkreślało głośnie, rytmiczne tykanie zegara. Poczłapałem do kuchni. Grubą wykładzinę podłogową zastąpiły kafelki, przyjemnie chłodne pod gołymi stopami. Chociaż powietrze było jeszcze trochę nagrzane po wczorajszym ciepłym dniu, kamienne ściany starego domu odpierały nawet największe fale gorąca, którymi raczyło nas w ostatnich dniach piękne babie lato.

Napełniłem kawiarkę i postawiłem na kuchence, a potem nalałem sobie szklankę wody z kranu. Wypiłem, stojąc przy oknie i patrząc na zielone łąki rozciągające się za sadem. Słońce już wisiało na nieprawdopodobnie błękitnym niebie. W oddali pasły się owce, a z boku rósł nieduży laszek – liście na drzewach już się czerwieniły. Jeszcze nie zaczęły spadać, ale niedługo miało się to zmienić. Widok przypominał fotografię w kalendarzu ze sklepu z pamiątkami, jakby nigdy nie mogło się tu wydarzyć nic złego.

O innych miejscach też tak kiedyś myślałem.

Jason opisywał ten drugi dom dzielony z Anją jako domek na wsi. W porównaniu z ich londyńską posiadłością, ogromną willą w Belsize Park, może i był to domek, ale to określenie nie oddawało mu sprawiedliwości. Budynek z kamienia o cieplej barwie, typowego dla regionu Cotswolds, był starym, rozłożystym domiszczem z dachem krytym strzechą i mógłby z powodzeniem trafić na okładkę magazynu poświęconego architekturze i ogrodnictwu. Stał na obrzeżach malowniczego miasteczka, z pubem nagrodzonym gwiazdką Michelina i wąską główną ulicą, w każdy weekend zastawianą przez range rovery, mercedesy i bmw.

Kiedy Jason i Anja zaprosili nas na długi weekend, obawiałem się krępującej atmosfery. Byli moimi najlepszymi przyjaciółmi, jeszcze zanim moja żona i córka zginęły w wypadku samochodowym. Poznałem Karę u nich na imprezie, byli rodzicami chrzestnymi Alice, a ja ojcem chrzestnym ich córeczki Mii. Ku mojej uldze całkiem nieźle dogadywali się z Rachel, ale kolacja czy drinki raz na jakiś czas to zupełnie co innego niż spędzenie kilku dni w swoim towarzystwie. Poznaliśmy się z Rachel zaledwie kilka miesięcy wcześniej, podczas traumatycznego śledztwa w sprawie zbrodni na bagnach u wybrzeża Essex. Martwiłem się, że zabranie jej z dłuższą wizytą do przyjaciół z mojego dawnego życia może jej się wydać dziwne, że z powodu łączącej mnie z Jasonem i Anją wspólnej historii poczuje się wykluczona.

Wszystko jednak szło gładko. Nawet jeśli od czasu do czasu ogarniało mnie dziwne poczucie odklejenia, jakby stare życie nakładało się na nowe, nie trwało ono długo. Przez cały weekend włóczyliśmy się po lasach i polach Cotswolds, przesiadywaliśmy w pubach, nieśpiesznie jedząc obiad, i spędzaliśmy leniwie długie letnie wieczory. Były to pod każdym względem sielankowe dni.

Jeśli nie liczyć tego koszmaru.

Za moimi plecami woda zaczęła bulgotać, wypełniając kuchnię aromatem kawy. Zdjąłem kawiarkę z kuchenki i właśnie rozlewałem napój do dwóch kubków, kiedy usłyszałem ciężkie kroki na skrzypiących schodach. Nie musiałem się nawet odwracać, domyśliłem się, że to Jason.

– Cześć – powiedział, wtaczając się do kuchni jeszcze wyraźnie zaspany, wymięty i rozczochrany. – Wczesnie wstałeś.

– Chciałem się napić kawy. Mam nadzieję, że to nie problem.

– Nie ma sprawy, o ile dla mnie też wystarczy.

Klapnął na taboret przy wyspie kuchennej i bez większego zapału spróbował ciaśniej owinąć szlafrok frotté na swojej pękatej sylwetce, ale szybko dał sobie spokój. Z wycięcia szlafroka kipiały ciemne włosy, które pięły się z torsu po szyi aż do linii zarostu. Twarz porośnięta rzadką szczecinią i łysiejąca głowa zdawały się należeć do innego ciała.

Z pomrukiem wdzięczności przyjął ode mnie kubek z kawą. Poznaliśmy się jako studenci medycyny, w dawnych czasach, zanim życie skierowało mnie na zupełnie inną drogę. Wybrałem krętą ścieżkę kariery antropologa sądowego, Jason zaś został wziętym chirurgiem ortopedą, który mógł sobie pozwolić na dom na wsi w Cotswolds. Już w młodości nie należał do rannych ptaszków, a przez lata nic się w tym względzie nie zmieniło. Na pewno nie pomogło mu też wino wypite poprzedniego wieczoru.

Napił się kawy i aż go wykrzywiło.

– Pewnie nie masz żadnego sposobu na kaca?

– Mniej pić.

– Bardzo śmieszne. – Ostrożnie pociągnął mniejszy łyk z kubka. – Kiedy musicie się zbierać?

– Dopiero po południu.

Przyjechaliśmy moim „nowym” samochodem – używaną, ale porządną terenówką – a do Londynu mogliśmy wrócić nawet wieczorem. Jednak przypomnienie, że weekend zbliża się ku końcowi, a także myśl o następnym dniu sprawiły, że zakłuło mnie w sercu.

– O której Rachel ma jutro lot? – zapytał Jason, jakby czytał mi w myślach.

– Przed południem.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Wszystko w porządku?

– Jasne.

– To tylko parę miesięcy. Nic takiego.

– Wiem.

Jeszcze przez chwilę przyglądał mi się z namysłem, ale nie podjął wątku. Z grymasem bólu na twarzy podszedł do szafki i wyciągnął pudełko paracetamolu. Mięśnistymi paluchami zgrabnie wycisnął z blistra dwie tabletki.

– Jezu, ale mnie łeb napierdala – powiedział, odkręcając butelkę wody mineralnej z lodówki. Popił tabletki i łypnął na mnie spode łba. – Nie zaczynaj.

– Nic nie mówię.

– Nie musisz. – Kiwnął ponagłajaco ręką. – No dalej, wyrzuć to z siebie.

– Po co? Przecież to wszystko wiesz, nie powiem ci nic nowego.

Już w czasach studenckich Jason miał ogromny apetyt, nie tylko na jedzenie. Teraz jednak osiągnął wiek, w którym nieumiarkowanie zaczęło dawać o sobie znać. Zawsze mocno zbudowany, w ostatnim czasie jeszcze bardziej przytył, a rysy twarzy zaczęły się rozmywać w opuchliznie pasującej do niezdrowego kolorytu cery. Jednak dopiero niedawno odnowiliśmy przyjaźń po wieloletniej przerwie, więc czułem, że nie wypada mi wprost poruszyć tego tematu, jak zrobiłbym dawniej. Ulżyło mi, że sam o tym wspomniał.

– Mam ostatnio dużo stresu w pracy. – Wzruszył ramionami, gapiąc się w okno. – Cięcia budżetowe, rosnące kolejki. Straszny bajzel. Czasem sobie myślę, że dobrze zrobiłeś, wykręciłeś się w samą porę.

Znacząco rozejrzałem się po pięknie urządzonej kuchni.

– Tobie też nie najgorzej się powodzi.

– Wiesz, o co mi chodzi. No ale nieważne, grunt, że może i trochę sobie ostatnio dogadzam, ale przecież nie wciągam koki ani nic takiego.

– To na pewno dobra wiadomość dla twoich pacjentów.

– Moi przynajmniej jeszcze żyją.

Cięta riposta wyraźnie poprawiła mu humor. Gładząc się po brzuchu, ruszył do lodówki.

– Może kanapkę z bekonem?

Wyjechaliśmy z Rachel po obiedzie. Jason zrobił niedzielną pieczeń, skwierczące żeberka wołowe, w których przyrządzenie włożył dużo serca, a na deser była beza autorstwa Anji. Nalegała, żebyśmy zabrali trochę do domu, razem z grubymi plastrami pieczonego mięsa.

– Nie będziesz musiał robić zakupów – przekonywała, kiedy próbowałem odmówić. – Już ja cię znam. Jak tylko Rachel wyjedzie, albo zapomnisz o jedzeniu, albo będziesz się zadowalał tym, co akurat znajdziesz w lodówce. Nie można żyć o samych omletach.

– Wcale nie żyję o omletach – powiedziałem, ale nawet dla mnie zabrzmiało to niezbyt przekonująco.

– W takim razie nie powinieneś mieć nic przeciwko zabranii małego co nieco, prawda? – zapytała Anja z uśmiechem.

Podróż powrotna do Londynu upłynęła nam w milczeniu. Był piękny wieczór, pola Cotswolds mieniły się zielenią i złotem, drzewa zaczynały przybierać rdzawy odcień zwiastujący nadchodzącą jesień. Jednak widmo jutrzejszego wyjazdu Rachel unosiło się między nami, psując atmosferę w samochodzie.

– To tylko trzy miesiące – powiedziała nagle Rachel, jakby kontynuowała niewypowiedziany dialog. – A Grecja jest całkiem blisko.

– Wiem.

Wcale nie tak blisko, ale wiedziałem, do czego pije. Wcześniej tego lata odrzuciła propozycję wyjazdu do Australii, gdzie mogłaby rozwijać swoją karierę oceanografki, więc nie miałem prawa narzekać na krótki wyjazd badawczy na Morze Egejskie.

– Lot trwa tylko cztery godziny. Mógłbyś mnie odwiedzić, może nawet zostać na dłużej.

– Wszystko w porządku, Rachel. Naprawdę. – Już uzgodniliśmy, że lepiej jej będzie skupić się całkowicie na nowej pracy. – Taki masz zawód, musisz jechać. Zobaczymy się niedługo.

– Wiem. Ale jest mi teraz strasznie ciężko.

Mnie też było ciężko. Domyślałem się, że to właśnie dlatego Jason i Anja (prawdopodobnie głównie Anja) zaprosili nas na weekend – żebyśmy czymś się zajęli i nie myśleli o wyjeździe Rachel.

Teraz jednak nie dało się już od tego uciec. Rachel przejrzała ubogą kolekcję płyt, które wozilem w samochodzie.

– Może to? *The Cat* Jimmy’ego Smitha?

– Może coś innego.

Rachel się poddała i włączyła radio. Już do końca podróży zamiast ciszy towarzyszyła nam nastawiona cicho audycja o hodowli alpaka. Pola ustąpiły

zabudowaniom rozlanych przedmieść, a wkrótce miejskim budowlom z betonu i cegły. Odruchowo chciałem się skierować do mojego starego mieszkania we wschodnim Londynie, ale się zreflektowałem. Nie mieszkałem tam już niemal od początku lata, ale ciągle dziwnie mi było jechać gdzie indziej.

Skreśliłem w cichą ulicę wysadzaną drzewami. Minąłem białe georgiańskie domy w zadrzewionych ogródkach i pojechałem dalej, do górującego nad nimi apartamentowca – na tym tle rażąco nowoczesnego, choć zbudowano go w latach siedemdziesiątych. Ballard Court był kanciastym, betonowym molochem, dziesięciopiętrowym kompleksem, w którego szybach z przydymionego szkła odbijała się przytłumiona wersja wieczornego nieba. Mówiono mi, że to ważny przykład brutalizmu w architekturze, a ja bez oporów w to wierzyłem. Budynek niewątpliwie miał w sobie coś brutalnego.

Zatrzymałem się pod bramą i wpisałem kod na domofonie. Czekaając, aż brama się otworzy, zagapiłem się bez entuzjazmu na piętrzące się w górze balkony, gdy nagle zorientowałem się, że Rachel mi się przygląda.

– Co tam?

– Nic – odparła, ale na jej ustach błąkał się uśmiezek.

Po wjeździe musieliśmy znowu poczekać, tym razem na otwarcie elektrycznej bramy do garażu podziemnego, ale w końcu zaparkowałem na przydzielonym miejscu. Raz niechcący zająłem cudze miejsce i dostałem od zarządu wspólnoty zdawkowy list z ostrzeżeniem, że podobne naruszenia regulaminu nie będą tolerowane.

W Ballard Court obowiązywało wiele surowych reguł.

Wjechaliśmy windą na piąte piętro. W holu głównym była recepcja i dyżurował portier, ale ponieważ tylko mieszkańcy mieli dostęp do garażu, windy omijały foyer i prowadziły prosto do mieszkań. Po otwarciu drzwi windy oczom pasażerów ukazywał się obszerny hol, wokół którego umieszczono w dość dużej odległości od siebie ponumerowane drzwi z drewna tekowego. Za każdym razem przypominało mi to hotel, a wrażenie to potęgowała jeszcze delikatna woń mięty, która zdawała się zawsze unosić w powietrzu.

Stukając butami na marmurowej posadzce, przeszliśmy korytarzem do mieszkania. Popchnąłem ciężkie drzwi, puszczając Rachel przodem, i pozwoliłem im zamknąć się za nami powoli z cichym kliknięciem. Wyłożony dywanem przedpokój prowadził do ogromnej kuchni ze zwieńczonym łukiem przejściem wprost do jadalni i salonu. Tam podłoga była wyłożona tym samym wygłuszającym dywanem, idealnie uzupełniającym terakotowe płytki w kuchni. Na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy, a sofa obita skórą koloru kawy z mlekiem była tak głęboka, że można było się w niej zatopić. Był to bez dwóch zdań przepiękny apartament, bez porównania ze skromnym mieszkankiem na parterze szeregowca, które do niedawna zajmowałem.

Nie znosiłem tego miejsca.

Jason mi je załatwił. Jego znajomy ze szpitala przeniósł się na pół roku do Kanady i nie chciał zostawiać pustego mieszkania. Wolał nie wynajmować go przez agencję, a że ja – niechętnie – rozważałem przeprowadzkę, Jason zasugerował, żebyśmy wzajemnie sobie pomogli. Czynyś miał być absurdalnie niski, a chociaż Jason się wypierał, podejrzewałem, że mógł maczać w tym palce. Nadal nie byłem przekonany, aż w końcu Rachel się wtrąciła. W moim mieszkaniu nie będę bezpieczny, twierdziła ze złością w zielonych oczach. Już raz zostałem tam zaatakowany, niemal zginąłem: czy naprawdę zamierzałem ignorować zalecenia policji i ryzykować życie przez głupi upór i dumę?

Miała trochę racji.

Kilka lat wcześniej niejaka Grace Strachan dźgnęła mnie nożem i zostawiła, żebym się wykrwawił na własnym progu. Ta agresywna psychotyczka, która obwiniała mnie o śmierć swojego brata, zniknęła zaraz po ataku i ślad po niej zaginął. Rany długo się goiły – zwłaszcza te psychiczne – ale stopniowo zacząłem wierzyć, że niebezpieczeństwo minęło. Trudno było mi sobie wyobrazić, żeby tak niestabilna jednostka mogła długo unikać schwytania, na pewno nie bez czyjejs pomocy. Zacząłem myśleć, że albo nie żyje, albo przynajmniej wyjechała z kraju. Tak czy inaczej – że nie stanowi już zagrożenia.

Kiedy jednak na początku roku pracowałem w Essex przy sprawie zabójstwa, ktoś włamał się do mojego mieszkania, a policja znalazła na miejscu odcisk jej palca. Nie dało się ustalić, jak długo ten odcisk się tam znajdował, niewykluczone, że po prostu przegapiono go po tamtej wizycie z nożem. Możliwe jednak, że Grace wróciła dokończyć dzieła.

Mimo to wcale nie uśmiechała mi się wyprawdzka. Nie byłem szczególnie przywiązany do samego mieszkania – dwa główne wspomnienia z tamtego miejsca to zamach Grace na moje życie oraz nieudany związek – ale jeśli miałem się przenieść, chciałem to zrobić na swoich warunkach. A w tej sytuacji czułem się tak, jakbym uciekał.

W końcu przekonała mnie nie policja ani też spóźniony instynkt samozachowawczy. Chodziło o Rachel, która coraz częściej zostawała u mnie na noc.

Ryzykowałem już nie tylko swoje życie.

Przeprowadziłem się więc do Ballard Court, pod adres, który nie widniał w żadnych moich oficjalnych dokumentach, a system ochrony, elektryczne bramy i podziemny garaż uzyskały aprobatę zarówno Rachel, jak i policji. Jeśli Grace Strachan rzeczywiście wróciła, jeśli jakimś sposobem odkryła, że przeżyłem, niełatwo będzie jej się dowiedzieć, gdzie mieszkam, nie mówiąc nawet o zbliżeniu się na odległość ręki uzbrojonej w nóż.

Jednak od czasu znalezienia tego jednego odcisku palca nie było żadnego śladu Grace. Z początku policja obserwowała moje puste mieszkanie: puste, bo nie zamierzałem go sprzedawać ani wynajmować, jeśli istniał choć cień ryzyka, że prześladowczyni wzięła je sobie na cel. Jednak wraz z upływem tygodni patrole coraz bardziej ograniczano. Na tym etapie byłem już przekonany, że cała ta sprawa to był fałszywy alarm, i postanowiłem wrócić do domu, gdy tylko dobiegnie końca okres najmu bezpiecznego, ale i bezdusznego apartamentu w Ballard Court. Jeszcze nie powiedziałem o tym Rachel, bo uznałem, że będzie na to czas. Nie chciałem psuć naszego ostatniego wspólnego wieczoru.

Okazało się jednak, że zrobił to ktoś inny.

Telefon zadzwonił, kiedy szykowaliśmy kolację, oboje uparcie udając, że Rachel wcale nie wyjeżdża następnego ranka. Zachodzące słońce złociło okna, rzucając długie cienie i przypominając nam, że lato dobiegło końca. Zerknąłem na Rachel. Nie spodziewałem się żadnych telefonów i nie przychodził mi do głowy nikt, kto mógłby dzwonić w niedzielny wieczór. Uniosła brew, ale nic nie powiedziała, kiedy wziąłem komórkę do ręki. Na ekranie wyświetlało się nazwisko Sharon Ward.

Odwróciłem się do Rachel.

– Praca. Nie muszę odbierać.

Zmrużyła oczy w uśmiechu, ale zanim się odwróciła, dojrzałem w nich coś, czego nie potrafiłem zidentyfikować.

– Musisz – odparła.

ROZDZIAŁ 2

Większość ludzi uznałaby mój zawód za dziwaczny. Może nawet makabryczny. Spędzam więcej czasu z martwymi niż z żywymi, badam proces rozkładu oraz towarzyszące mu zmiany, żeby zidentyfikować ludzkie szczątki i zrozumieć, co mogło je doprowadzić do takiego stanu.

To powołanie, profesja często mroczna, ale potrzebna. Kiedy zobaczyłem na wyświetlaczu nazwisko Ward, od razu wiedziałem, co to może oznaczać. Poznaliśmy się po tym, jak ktoś zostawił rozczłonkowane zwłoki dosłownie na moim progu. Wtedy służyła w stopniu komisarza, ale niedawno awansowała i teraz jako nadkomisarz stała na czele jednego z zespołów śledczych londyńskiej policji. Skoro dzwoniła do mnie w niedzielę wieczorem, to raczej nie w celach towarzyskich.

O tym, jak bardzo zobojętniałem, może świadczyć fakt, że ledwie poczułem leciutkie ukłucie niepokoju. To Ward zawiadomiła mnie kilka miesięcy wcześniej, że odcisk palca znaleziony w moim mieszkaniu należał do Grace Strachan. Od tamtej pory utrzymywaliśmy sporadyczny kontakt – na bieżąco informowała mnie o postępach w poszukiwaniu kobiety, która próbowała mnie zabić. A raczej o ich braku. W tej sytuacji nawet nie brałem pod uwagę możliwości, że jej telefon może mieć związek z czymkolwiek poza pracą.

I rzeczywiście. Na poddaszu opuszczonego szpitala w Blakenheath, w północnym Londynie, znaleziono ciało. Stara lecznica już od wielu lat stała pusta, nawiedzana jedynie przez pijaków, narkomanów i osoby bezdomne. Niezidentyfikowane szczątki sprawiały wrażenie dość starych, a z uwagi na ich

kiepski stan potrzebna była konsultacja antropologa kryminalistycznego. Skoro mieszkam w okolicy, to może mógłbym zajrzeć na chwilę?

Mógłbym.

Nie tak wyobrażałem sobie ostatni wieczór z Rachel przed trzymiesięczną rozłąką. Powiedziała mi jednak, że lepiej będzie, jeśli pojedę do pracy, niż żebyśmy snuli się po mieszkaniu przybici zbliżającym się nieuchronnie pożegnaniem. No jedź, powiedziała, czekają na ciebie.

W zapadającym mroku jechałem do Świętego Judy. Nie znałem Blakenheath, ale po ulicach było widać, że dzielnica stanowi typowy tygiel różnych kultur. Karaibskie, azjatyckie i europejskie sklepy i bary z jedzeniem na wynos sąsiadowały z obskurnymi lokalami użytkowymi zamkniętymi na głucho. Liczba tych ostatnich wzrastała, im dalej się zapuszczałem, aż zaczęły mnie otaczać całkowicie wyludnione ulice. W końcu wyrósł przede mną wysoki mur biegnący równolegle do drogi. Kamienna ściana była zwieńczona starymi żelaznymi prętami, przez które wystawały nieprzycinane gałęzie, jakby drzewa próbowały stamtąd uciec. Myślałem, że to park, dopóki nie dotarłem do wejścia. Nad kamiennymi filarami bramy wznosił się zardzewiały łuk z kutego żelaza, na którym widniał wykonany dużymi, zdobnymi literami napis „Szpital Królewski im. Świętego Judy”.

Obok, na murze, wisiał żaloszny, oberwany plakat z przejmującym hasłem: „Ratujmy Świętego Jude”.

Przy jednym z filarów stała na straży młoda policjantka. Przedstawiłem się i musiałem zaczekać, aż sprawdzi moje uprawnienia.

– Prosto podjazdem aż do końca – powiedziała.

Kiedy przejechałem przez łukową bramę, reflektory samochodu oświetliły tablicę z mapą szpitala, tak wyblakłą, że praktycznie nieczytelną. Moje początkowe skojarzenie z parkiem nie było zupełnie chybione. Dojrzałe drzewa zasłaniały mur, domyślałem się, że cały teren musiał kiedyś być pełen pawilonów rozrzuconych wśród zieleni. Teraz nie było tu niczego. Po zburzonych budynkach zostały tylko niechlujne sterty cegieł i betonu.

Czułem się, jakbym jechał przez zbombardowane miasto, ciemne i wyludnione. Mrok rozjaśniały jedynie jasne snopy reflektorów auta. Gęste drzewa i wysoki mur skutecznie blokowały dopływ światła z okolicznych ulic, przez co teren zdawał się znacznie silniej odizolowany niż w rzeczywistości. Minąwszy kolejną kupę gruzu, zobaczyłem wreszcie radiowozy i furgonetki policyjne zaparkowane na dziedzińcu przed ocalałym szpitalem. Wiktoriański budynek miał trzy piętra i szerokie schody prowadzące do centralnego portyku w stylu greckim. Zabite deskami okna ziały ślepo w poczerniałych kamiennych ścianach, ale gmach, choć zrujnowany, zachował dawny majestat i wielkość. Gzymsy były bogato rzeźbione, a portyk wspierał się na żłobionych kamiennych kolumnach. Nad wszystkim górowała kanciasta sylwetka wieży zegarowej wznosząca się ze spadzistego dachu – na tle nocnego nieba przypominała surowy, karzący palec.

Znowu podałem swoje dane i wysłano mnie do przyczepy, żebym przebrał się w kombinezon i założył sprzęt ochronny. Na schodach prowadzących do głównego wejścia czekał już na mnie Whelan, który przedstawił się jako zastępca Ward. Wielkie podwójne wrota, pokryte graffiti, zostały otwarte na oścież. Wewnątrz było chłodno i wilgotno. W powietrzu unosiła się ostra woń stęchlizny, pleśni i moczu. W dawnym holu głównym ustawiono lampy, które oświetlały pokryte zaciekami ściany z wybrzuszonym tynkiem i zasypaną gruzem podłogę. Z boku znajdował się przeszklony boks z szyldem „Ambulatorium”.

Walające się wszędzie puszki po piwie i puste butelki, a także zwęglone pozostałości po ogniskach świadczyły jednak, że szpital miewał jeszcze odwiedzających. Moje kroki niosły się głuchym echem, kiedy wdrapywałem się po krętych schodach wokół szybu dawno nieczynnej windy. Reflektory ustawione na podestach oświetlały zakurzone tabliczki wskazujące drogę do pracowni rentgenowskiej, badań endoskopowych, EKG i innych dawno zapomnianych gabinetów.

– Typowy szpital – wydyszał Whelan, kiedy dotarliśmy do szczytu schodów. Choć pokonaliśmy zaledwie trzy piętra, wysokie sufity znacznie wydłużyły drogę. – Jeśli nawet pacjent zgłosiłby się zdrowy, to włożenie po tych schodach by go wykończyło.

Ruszył przed siebie długim korytarzem, wzdłuż którego ustawiono jeszcze więcej lamp. Mijaliśmy opustoszałe sale z zamontowanymi w ciężkich drzwiach małymi szybkami umożliwiającymi zajrzenie w ciemność. Okruchy tynku chrzęściły nam pod butami, a przegniły sufit miejscami całkiem odpadł, odsłaniając gołe drewniane listwy. Tutaj butelek i puszek było znacznie mniej, ale nic dziwnego – po co się wspinać taki kawał drogi, żeby urządzić libację?

Światła doprowadziły nas do rozkładanej aluminiowej drabinki, nowej i błyszczącej, dziwnie kontrastującej z nędzą otoczenia. Drabina wiodła do prostokątnego włazu w suficie, skąd ułożono chodnik z metalowych płytek do miejsca, w którym czekała już Ward z resztą zespołu.

A także ciało.

Teraz znów mu się przyjrzałem, pocierając głowę w miejscu, którym uderzyłem w belkę.

– Właśnie mieliśmy zaczynać – powiedziała Ward. – Zna pan profesora Conrada?

Znałem, choć tylko ze słyszenia. Kiedy zaczynałem karierę antropologa sądowego, on był już uznanym patologiem, budzącym powszechny postrach z powodu swojego wybuchowego temperamentu. Teraz musiał być już sporo po sześćdziesiątce, ale najwyraźniej wcale z wiekiem nie złagodniał. Spoglądał na mnie srogo spod siwych, krzaczastych i surowo zmarszczonych brwi.

– Miło, że zechciał pan do nas dołączyć – rzucił zza maski.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy w tym suchym, piskliwym głosie pobrzmiwała przygana. Nagle wydało mi się, że znów kącikiem oka uchwyciłem ruch w cieniu pod dachem, ale i tym razem postanowiłem to zignorować. Wystarczająco już się dziś skompromitowałem.

– Dobrze, skoro już wszyscy jesteśmy – powiedziała Ward, patrząc na mnie z uniesioną brwią – to bierzmy się do roboty. No dalej, ruchy.

Bezceremonialnie szturchnęła stojącego obok technika kryminalistycznego. Zrobiło się małe zamieszanie, wszyscy się przesuwali, żeby zrobić mi miejsce. Aluminiowe płytki ułożono wokół zawiniętych w plastik zwłok, przygotowując platformę roboczą. Między niskim stropem z jednej strony a kominem z drugiej było jednak bardzo ciasno, a lampy grzały niemiłosiernie.

– Szpital jest zamknięty od wielu lat, więc bywają tu głównie włóczędzy i ćpuny – mówiła Ward, a ja tymczasem podszedłem bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. – Jeszcze parę miesięcy temu odchodziła tu też grubsza dilerka, ale potem zaczęły się roboty rozbiórkowe. Możemy mieć do czynienia albo z przedawkowaniem, albo z próbą ukrycia tragicznych skutków ostrej wymiany zdań.

Typowe przyczyny zgonu w każdej melinie. Przyjrzałem się wysuszonemu ciału częściowo zasłoniętemu plastikową płachtą.

– Kto to znalazł, ktoś z ekipy rozbiórkowej?

Ward pokręciła głową.

– Powinni sprawdzić strych, ale wątpię, czy zapuścili się tak daleko. Nie, to był ktoś z towarzystwa ochrony nietoperzy. Przyszedł tu na inspekcję i czekała go przykra niespodzianka.

– Nietoperzy?

– Podobno jest tu kolonia niejakich gacków wielkouchów. – W jej głosie zabrzmiała nutka sarkazmu. – To gatunek pod ochroną, więc musimy uważać, żeby im nie przeszkadzać.

Zerknąłem w ciemność nad głową. A więc te ruchy nie były wytworem mojej wyobraźni.

– Deweloper planuje zrównać wszystkie budynki z ziemią i wybudować w tym miejscu nowy kompleks biurowy – ciągnęła Ward. – Mieszkańcy się zbuntowali, więc sprawa z nietoperzami to kolejna z wielu przyczyn opóźnienia rozbiórki. Protestujący są zachwyceni, bo to oznacza odroczenie egzekucji

Świętego Judy, praktycznie w ostatniej chwili. Dopóki nietoperze nie zostaną przesiedlone, czy co tam się z nimi robi, roboty będą stały.

– To niezwykle fascynujące, ale musiałem odwołać umówioną kolację, żeby tu przyjechać – powiedział szorstko Conrad. – Wolałbym nie siedzieć tu do rana.

Ignorując wściekłe spojrzenie, jakim spiorunowała go Ward, patolog przykucnął sztywno obok ciała. Przeszedłem na drugą stronę i też przyklęknąłem. Otoczona aureolą cienkich włosów twarz w plastikowej płachcie była pomarszczona jak pergamin. Ziały w niej puste oczodoły, z nosa i uszu zostały resztki. Pod wszechobecnym na strychu zapachem kurzu i starego drewna dawało się wyczuć inną woń emanującą z wnętrza kokonu, słodką i pylistą.

– Wyraźnie nie żyje już od dłuższego czasu – stwierdził Conrad, jakby rzucał luźną uwagę na temat pogody. – Zwłoki wyglądają na całkowicie zmumifikowane.

Nie do końca, pomyślałem, ale na razie zachowałem to dla siebie.

– Czy to naturalny proces? – zapytała Ward z powątpiewaniem. Patolog albo nie dosłyszał, albo wolał nie odpowiadać.

– Niewykluczone – odparłem zamiast niego. Mumifikacja mogła zachodzić naturalnie z wielu różnych powodów, na kwaśnych torfowiskach czy w ekstremalnie niskich temperaturach. Tutaj jednak mieliśmy do czynienia z czymś innym. Rozejrzałem się po ciemnym strychu i zauważyłem, że wiszące wokół pajęczyny falują lekko, poruszane słabym prądem powietrznym. – Mamy tu praktycznie idealne warunki do mumifikacji. Jest gorąco i na pewno sucho przez cały rok, nawet zimą. Na takim dużym strychu jest świetna wentylacja, więc przepływ powietrza wyciągnie wilgoć.

Tymczasem Conrad powoli rozchyłał plastik, odsłaniając ramiona i klatkę piersiową ofiary. Zwłoki leżały na plecach, nieco wykręcone i skulone w objęciach plastikowej płachty jak martwy ptak w gnieździe. Brzuch i dolna część ciała nadal tkwiły w kokonie, ale już teraz było widać, że to nieduża osoba. Na oko wyglądała na nastolatka albo drobnego dorosłego. Miała na sobie

złachmanioną żółtą koszulkę poplamioną płynami wydzielanymi w procesie rozkładu. Krótkie rękawki odsłaniały ramiona i dłonie, z których zostały tylko ścięgna i kości obciążone suchą, pergaminową skórą, taką jak na twarzy.

– Wygląda na to, że ktoś upozował ręce – powiedziała Ward, przyglądając się szponiastym dłoniom ułożonym na kościstej piersi tak, jakby ciało leżało w trumnie, a nie w plastikowej płachcie. – Poświęcił na to chwilę. To sugeruje skruchę, a przynajmniej szacunek. Może sprawca ją znał.

„Ją”? Spojrzałem na Ward z zaskoczeniem. Nic nie sugerowało, że zwłoki są płci żeńskiej, a biorąc pod uwagę ich stan, ustalenie tego może zająć wiele dni. O ile nie znajdziemy jakiegoś dowodu tożsamości.

– Trochę za wcześnie na żeńskie zaimki, skoro jeszcze nie ustaliliśmy płci, nie sądzi pani? – zauważył Conrad, gromiąc ją wzrokiem.

Nawet na tym małym kawałku twarzy Ward nieschowany pod maską i kapturem dało się zauważyć rumieniec. Może to zwykłe przejęzyczenie, ale nie powinno się było przytrafić prowadzącej śledztwo.

– Może pan określić, ile czasu w przybliżeniu minęło od zgonu? – zapytała szybko, próbując zatrzeć złe wrażenie po wpadce.

– Nie, nie mogę – odparł patolog, nie podnosząc głowy. – Może pani nie słyszała, ale mówiłem, że zwłoki są zmumifikowane.

Tym razem twarz Ward pociemniała nie ze wstydu, a z wściekłości. Conrad miał jednak rację. Na tym poziomie wysuszenia ciała wszelkie zmiany fizyczne postępowały tak wolno, że praktycznie niezauważalnie. Zdarzało się, że ludzkie szczątki, które uległy naturalnej mumifikacji, zachowywały się na setki lat, a nawet dłużej.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś ukrył tu ciało, kiedy szpital jeszcze normalnie działał – zauważył Whelan, przerywając niezręczną ciszę. – To musiało być już po zamknięciu.

– A kiedy go zamknięto? – zapytałem.

– Jakieś dziesięć, jedenaście lat temu. Wzbudziło to powszechne niezadowolenie.

– No dobra, to górna granica, ale niewiele nam to daje – powiedziała Ward. – Jaki jest najkrótszy czas, w którym ciało mogłoby ulec mumifikacji w takim stopniu? Wystarczyłoby mniej niż dziesięć lat?

– W odpowiednich warunkach owszem – odparłem. – Latem było tu na pewno bardzo gorąco, co przyśpieszyłoby proces. Ale po pobieżnych oględzinach sądzę, że zwłoki przeleżały tu co najmniej dwa sezony letnie. Prawie w ogóle nie śmierdzą, nawet w tym gorącu, co sugeruje, że proces mumifikacji dobiegł końca już jakiś czas temu.

– Świetnie. Czyli czas zgonu ustalamy na między piętnaście–szesnaście miesięcy a dziesięć lat temu. Wąskie okienko, nie ma co.

Niewiele mogłem na to odpowiedzieć, więc nawet nie próbowałem. Conrad dalej odwijał płachtę. Sztywny plastik był brudny, pokryty pyłem cementowym czy gipsowym i smugami niebieskiej farby. Moją uwagę przykuło raczej to, czego brakowało, ale wtedy patolog rozwinął kokon otulający dolną połowę ciała i na chwilę zapomniałem o wszystkim innym.

Nogi były częściowo podkulone, zgięte razem i przechylone na jedną stronę. Zostały z nich głównie skóra i kości pod krótką dżinsową spódniczką pokrytą takimi samymi plamami jak krótka koszulka. Ta zresztą podjechała jeszcze wyżej, zwijając się tuż pod klatką piersiową i odsłaniając brzuch. A raczej to, co z niego zostało. Większość jamy brzuszno-miednicznej, od dolnych żeber do kości łonowej, ziała otworem. Spoczywające w niej resztki narządów wewnętrznych uległy tak daleko posuniętej atrofii i degradacji, że nie dało się ich rozpoznać.

Ale to nie dlatego wszyscy nagle zamilkli. W brzuchu leżało coś, co przypominało blade gałązki. Na ten widok coś się we mnie skrzywiło, a Ward tak gwałtownie nabrała powietrza, że nie miałem wątpliwości: ona też je rozpoznała.

– Szczury się do niej dorwały – stwierdził jeden z techników, wyciągając szyję, żeby się lepiej przyjrzeć. – Jeden chyba zdechł w środku.

– Nie wygaduj bzdur. I trochę szacunku – zwrócił mu uwagę Whelan miażdżącym tonem.

– No co? Ja tylko...

– To płód – powiedziała cicho Ward. – Była w ciąży.

Wyglądała na głęboko poruszoną, jakby to odkrycie nadwątlilo jej zawodową znieczulicę i obiektywizm. Whelan posłał winowajcy spojrzenie zapowiadające, że jeszcze się policzą, po czym zwrócił się do Ward:

– Czyli miała pani rację, że to kobieta.

Rzeczywiście, choć przecież Ward nie mogła o tym wiedzieć.

– Jaki jest wiek płodu?

– Sądząc po rozmiarze i stopniu rozwoju, jakieś sześć, siedem miesięcy – odparłem.

Conrad nie uczestniczył w rozmowie. Zignorował jamę brzuszną, jakby jej zawartość była zupełnie nieistotna, i skupił się na czymś innym.

– Cięża pomaga – mruknął, bardziej chyba do siebie niż do kogoś z nas. – Skoro była w wieku rozrodczym, to trochę zawęży krąg poszukiwań. Odzież kompletna, z bielizną włącznie, a więc brak ewidentnych śladów napaści seksualnej. Choć to oczywiście nierozstrzygające.

– Nie jest jednak grubo ubrana. Żadnej kurtki, tylko koszulka i spódnica – dodała Ward. – Bez rajstop, co sugeruje, że mogła umrzeć latem.

Whelan pokiwał głową na boki jak wahadłem.

– Chyba że zabito ją w jakimś ogrzewanym pomieszczeniu, a potem przeniesiono tutaj. Moja żona nawet zimą nie wkłada w domu swetra. Podkręca centralne, a ja mam się martwić o rachunki.

Ward chyba go nie słuchała.

– A co z... z brzuchem? To może być robota szczurów czy raczej jakaś rana?

– Proszę mnie zapytać po sekcji – powiedział Conrad. Potem jednak się zamyślił. – Szczury chętniej dobrałyby się do otwartej rany, więc niewykluczone, że dźgnięto ją nożem. Nie wyciągajmy jednak pochopnych wniosków. Zwróćmy uwagę chociażby na brak widocznych plam krwi na ubraniach, co sugeruje, że jeśli doszło do jakiegoś urazu, nie spowodował on obfitego krwotoku.

Miał rację. Łatwo byłoby założyć, że widzimy jakąś straszliwą ranę, ale dobrze wiedziałem, jakie natura zna sztuczki. Na razie mogłem być pewien tylko jednej rzeczy.

– Przemieszczono ją.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Nie zamierzałem walić tak prosto z mostu, ale widok malutkiego szkieletu tkwiącego nadal w łonie matki musiał poruszyć mnie bardziej, niż przypuszczałem.

– Jej ciało było przedtem gdzie indziej – ciągnąłem. – Przyniesiono je tutaj już po mumifikacji.

Conrad sapnął z rozdrażnieniem.

– Tak, ma pan rację.

– Jest pan pewny? – zapytała Ward.

Skinąłem głową.

– Kości płodu nie znajdują się w pozycji anatomicznej. Są pomieszane w znacznie większym stopniu, niż można by się spodziewać, nawet biorąc pod uwagę ewentualne ataki padlinożerców. To wskazuje, że poddano je gwałtownemu ruchowi, kiedy w macicy nie było już wód płodowych, które zamortyzowałyby wstrząsy.

– Ciało było zawinięte w plastik – zauważył Whelan. – Może wtedy do tego doszło?

– Możliwe. Zwłoki nie uległyby mumifikacji, gdyby cały czas były owinięte plandeką. W środku zebrałyby się wilgoć i normalnie by zgniły. Gdyby tak się stało, plastik byłby wysmarowany płynami, tak jak ubrania.

– Czyli najpierw uległy mumifikacji, a potem zostały zawinięte? – upewniła się Ward.

– Najpewniej. No i jeszcze to. – Wskazałem kilka ciemnych, podobnych do ryżu łusek, które tkwiły w fałdach odzieży. – Powinno być tu znacznie więcej powłok poczwarek much plujek. Gdyby denatka leżała tu cały czas, wałyby się dookoła.

– A skąd w ogóle wzięłyby się tu muchy? – Ward zmarszczyła czoło. – Ciemno, choć oko wykol. Nic by nie widziały.

– Nie musiałyby widzieć, prowadziłby je zapach. – Powszechnie zakładało się, że muchy plujki nie latają w ciemności, ale brak światła nie wystarczało, żeby odstraszyć te wytrwałe owady. – To prawdopodobnie powłoczki po plulkach burczało. Jeśli jest za ciemno na latanie, to po prostu podpełzają do ciała.

– Uroczą wizja – powiedział Whelan, krzywiąc twarz w grymasie.

Ward zerknęła na niego z irytacją.

– Ale skąd muchy, skoro ciało uległo mumifikacji? To by ich nie zniechęciło?

– Nie, jeśli wcześniej doszło do rozkładu – wyjaśniłem. – Po plamach na odzieży widać, że najpierw ciało zaczęło gnić, dopiero potem wyschło. Muchom więcej nie trzeba.

Plujkowate potrafią wywęszyć gnijące szczątki z odległości ponad kilometra, namierzyć cel i złożyć jaja w oczach, nosie i wszelkich innych dostępnych otworach. Choć brak śladów krwi na ubraniach kobiety sugerował, że raczej nie odniosła poważnych obrażeń, wystarczyłaby nawet mała ranka, żeby przyciągnąć muchy. Nawigacja po strychu zajęła im pewnie trochę czasu, ale i tak zaczęły składać jaja na długo przed przybyciem pierwszego szczura. Po wykluciu żarłoczne larwy zaczęły się żywić martwą tkanką, powiększając pierwotną ranę, a następnie powtarzały cykl reprodukcyjny aż do momentu mumifikacji ciała, które następnie porzuciły.

Ward nadal marszczyła brwi.

– Czyli twierdzicie, że zabito ją gdzie indziej, a potem przyniesiono tutaj?

– Niekoniecznie. – Zerknąłem na Conrada, na wypadek gdyby chciał odpowiedzieć. Patolog jednak znów zajął się dokładnymi oględzinami zwłok. –

Gdziekolwiek zwłoki leżały wcześniej, musiało to być w warunkach niemal identycznych z tymi tutaj. Sucho, dobry przewiew i wysoka temperatura, żeby szybko rozpoczął się proces mumifikacji. To dość wyśrubowane wymogi.

– Myśli pan, że leżała tu od początku, tylko przeniesiono ją z innej części strychu? – spytała Ward.

– Na podstawie tego, co tu widzę, mogę stwierdzić, że to możliwe.

– To absurd – zirytował się Whelan. – Jaki w tym sens? Jeśli ktoś się martwił, że ciało zostanie znalezione, to czemu nie przeniósł go gdzie indziej? I po co czekać z przenosinami do mumifikacji?

– Nie wiem – przyznałem. – Ale tak czy inaczej uważam, że powinniście przeszukać cały strych pod kątem powłok poczwarek.

– Dobra, sprawdzimy. – Ward nie odrywała wzroku od patologa. Nie zwracała najmniejszej uwagi na naszą rozmowę, pochylał się do przodu nad splecionymi dłońmi denatki. – Znalazł pan coś jeszcze, profesorze?

– Opuszki palców są znacznie uszkodzone. Częściowo może to być robota gryzoni, ale wydaje mi się, że nie tylko.

– Mogę zerknąć? – poprosiłem.

Odsunął się, żebym mógł się zbliżyć. Ze względu na stan, w jakim znajdowały się zwłoki, trudno było ocenić, które urazy nastąpiły przed śmiercią, a które po niej. Kawałki wyschniętych palców zostały obgryzione przez ostre ząbki, a paznokcie zaczęły odpadać na etapie początkowego rozkładu. Jednak same opuszki palców wyglądały na poszarpane, paznokcie zaś były połamane i rozwarstwione, a jednego w ogóle brakowało.

– Wydaje mi się, że nie można tego zrzucić na szczury. Sądzę, że przynajmniej części dokonano jeszcze za jej życia – powiedziałem.

– Macie na myśli tortury?

– Uparcie zadaje pani pytania, na które nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć – odparł kąśliwie Conrad. Podniósł się z klęczek, strzeliło mu w kolanach. – Mnie już wystarczy. Po zabezpieczeniu dłoni proszę przetransportować ciało do kostnicy. Można chyba spokojnie stwierdzić...

Urwał, bo w tym momencie jakiś cień śmignął nam nad głowami z trzepotliwym odgłosem, przypominającym szybkie kartkowanie książki. Lot nietoperza trwał może sekundę, ale zdążył wystraszyć patologa. Conrad zatoczył się do tyłu i zestąpił z prowizorycznego chodnika, gwałtownie wymachując rękami. Jego stopa z suchym trzaskiem przebiła się przez cienki sufit, a kilka

warstw brudnego materiału izolacyjnego wzbilo w powietrze tumany kurzu. Whelan zdołał złapać go za nadgarstek, zanim poleciał do tyłu, i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że go utrzyma i wszystko skończy się dobrze.

A potem, przy akompaniamencie huku walących się belek i fragmentów tynku, Conrad zniknął – a wraz z nim cały kawał podłogi strychu znajdujący się pod jego stopą.

ROZDZIAŁ 3

Cofnąć się! Wszyscy do tyłu! – wrzasnęła, krztusząc się, Ward.
W powietrzu unosiły się tumany kurzu i błyszczących drobinek wełny szklanej. Wszyscy zanosili się kaszlem, papierowe maseczki nie zapewniały adekwatnej ochrony przed gęstymi oparami. Z uczuciem piasku w oczach spojrzałem w dziurę ziejącą w podłodze. Jeden z reflektorów spadł razem z metalową płytką i teraz leżał obok niej, posyłając snop światła w ciemność na dole.

– Do pana też mówię – dodała Ward, stając obok mnie. Po rozłożonych płytkach zbliżyła się ostrożnie do dziury. Z krawędzi zwisały podarte pasma materiału izolacyjnego, zaczepione na ostrych końcach połamanych legarów sterczących jak oszczepy.

– Panie profesorze! Nic się panu nie stało? – zawołała.

Bez odzewu. Wiktoriański budynek miał tak wysokie sufity, że upadek groził połamaniem kości, zwłaszcza jeśli spadało się z belkami stropowymi i metalowymi płytami.

– Nie stójcie tu jak kołki, lećcie na dół zobaczyć, co z nim! – warknęła Ward do policjantów stojących najbliżej wyjścia ze strychu.

– Legary pewnie przegniły – stwierdził Whelan, kiedy funkcjonariusze pośpieszyli spełnić polecenie. – Powinna pani...

Pokiwała głową, niechętnie odsuwając się od dziury.

– Dobra, wszyscy won! Powoli, spokojnie, gęsiego, w dużych odstępach. No już, ruchy!

Pokaszując, przemieściliśmy się nierównym rzędkiem po metalowych płytkach. Uginały się i prostowały gwałtownie pod naszymi stopami, więc

poczułem ulgę, kiedy dotarłem do drabiny. Schodząc z gorącego, dusznego strychu, czułem się tak, jakbym zanurzał się w chłodnej wodzie. Ward i Whelan byli ostatni. Nadkomisarz zsunęła się szybko po drabinie, a za nią zeskoczył jej podwładny.

– Wezwijcie tutaj sanitariuszy, ale już! – zarządziła, przepychając się przez tłum kombinezonów skupionych wokół drabiny. Rozejrzała się za policjantami, których wysłała na pomoc patologowi. – Gdzie Greggs i Patel, do jasnej cholery?

Kawałek dalej na długim szpitalnym korytarzu coś się działo. Z drzwi do jednego z oddziałów wynurzyła się młoda policjantka z latarką i znękanym wyrazem twarzy.

– Jestem, proszę pani.

Ward zignorowała podsuniętą przez kogoś butelkę wody i podeszła do funkcjonariuszki.

– Co z nim?

Młoda kobieta pokręciła głową, nerwowo mrugając.

– Yyy, nie wiem...

– Jak to nie wiesz? Na litość... Z drogi, ale już!

Bezceremonialnie odepchnęła dziewczynę i ruszyła w stronę oddziału za jej plecami.

– Tam go nie ma, proszę pani.

– No to gdzie niby jest?

– Nie... eee, nie możemy go znaleźć.

– Jak to nie możecie go znaleźć? Psiakrew, przecież się nie rozpląnął w powietrzu!

W głębi ciemnego korytarza pojawił się snop światła z latarki. Ward odwróciła się w tamtą stronę. Drugi z policjantów, których wysłała na dół, śpieszył w naszym kierunku.

– Od tego korytarza odchodzą jeszcze inne – wydyszał. – Sprawdziliśmy na sali bezpośrednio pod miejscem, z którego spadł, a ja przed chwilą przeszukałem

jeszcze sąsiedni oddział, ale nigdzie go nie ma.

– Przecież po upadku z takiej wysokości nie mógł sobie po prostu wstać i pójść!

– No tak. To znaczy może by i mógł, ale... – Policjant się zawahał, jakby nie był pewny, czy mówić dalej. – Nigdzie nie widzę dziury w suficie.

– No to chyba szukacie w złym miejscu, co nie? Psiakrew, daj mi to. – Ward wyrwała mu latarkę z ręki i zwróciła się do Whelana. – Jack, macie mi przeszukać całe piętro. Każdą salę. I co z tymi sanitariuszami, do jasnej cholery?

– Zaraz będą, proszę pani.

Whelan zaczął rzucać rozkazy, więc ja też wystąpiłem do przodu, ale komisarz pokręcił głową.

– Pan nie, panie doktorze. Z całym szacunkiem, jednego eksperta od kryminalistyki już straciliśmy. Proszę się nigdzie nie ruszać, dopóki się nie upewnimy, że inne piętra się nie zawalą.

Zrozumiałem, że dyskusje nie mają sensu. Mimo frustracji zostałem posłusznie u stóp drabiny, podczas gdy reszta rozbiegła się po piętrze, kreśląc w ciemności zygzaki światłem latarek. Znikali kolejno w przyległych korytarzach i salach. Kiedy ucichły krzyki i tupanie, podniosłem głowę i spojrzałem na wejście na strych. Whelan kazał mi się nie ruszać, ale przecież nie mogłem tak beczynnie tu tkwić.

Wdrapałem się po drabinie i wetknąłem głowę na poddasze. W powietrzu wciąż wisiała chmura pyłu, w świetle reflektorów wyglądała jak dym. Z dołu dobiegało wołanie policjantów niosące się echem po korytarzu. Z tego, co słyszałem, nie udało im się jeszcze znaleźć patologa, ale teraz na własne oczy przekonałem się, że namierzenie go rzeczywiście mogło nie być takie proste. Drabinę, na której stałem, dzieliło jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów od miejsca, gdzie Conrad przeleciał przez sufit, a rozkład piętra poniżej diametralnie różnił się od otwartej przestrzeni pod dachem. Najwyraźniej łatwo można się było zgubić w labiryncie oddziałów, korytarzy, gabinetów i poczekalni, nie mówiąc o ustaleniu, gdzie dokładnie spadł profesor.

Tak czy inaczej, powinni jednak byli już go znaleźć. Przeszłowałem z nogi na nogę na drabinie, słuchając, jak funkcjonariusze nawołują się wzajemnie. „Kurczę, dlaczego to tyle trwa?” Od chwili zawalenia się strychu minęło już dobre kilkanaście, o ile nie kilkadziesiąt minut. Jeśli Conrad doznał poważnych obrażeń, to być może się teraz wykrwawia, a wszyscy biegają w tę i w tę i nie mogą go znaleźć.

– Panie profesorze! – zawołałem.

Odpowiedziała mi głucha cisza. Zacząłem schodzić po drabinie, zdecydowany dołączyć do poszukiwań wbrew ostrzeżeniom Whelana, ale nagle wydało mi się, że coś usłyszałem. Zamarłem i przechyliłem głowę, nasłuchując uważnie. Odgłos się nie powtórzył, ale nie brzmiało mi to jak element akcji poszukiwawczej.

Raczej jak jęk.

– Panie profesorze! Słyszysz mnie pan?

Nic. Zagapiłem się na rozległą plamę światła z reflektorów. Kilka miesięcy wcześniej musiałem bezradnie patrzeć na śmierć człowieka. Do dziś myślałem o tym codziennie po przebudzeniu i nie mogłem znieść myśli, że historia może się powtórzyć.

A, do diabła z Whelanem!

Wspiąłem się z powrotem na poddasze. Na wszelki wypadek sprawdzałem każdą płytkę, zanim przeniosłem na nią ciężar całego ciała, ale choć legary pod podłogą ugięły się i trzeszczały, sprawiały wrażenie wystarczająco solidnych. Sufit zawalił się dopiero w chwili, gdy Conrad upadł bezpośrednio na deski. O ile się nie przewrócę, wszystko powinno być w porządku.

Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Na strychu panowała dość upiorna atmosfera, nawet kiedy był pełny ludzi. Teraz, sam, czułem się jeszcze bardziej nieswojo. Blask świateł ustawionych wzdłuż prowizorycznych chodników sprawiał, że cienie zdawały się głębsze, mroczniejsze. Idąc po uginających się płytkach, rozglądałem się czujnie za nietoperzami, żeby nie zaskoczyły mnie tak jak patologa, jednak nigdzie nie było

ani śladu tych nieśmiałych stworzeń. Podejrzewałem, że wystraszyły się hałasu i zamieszania.

Zawinięte w plastik zwłoki leżały dokładnie tam, gdzie je zostawiliśmy. Bez szwanku przetrwały zawalenie się podłogi, co było dużym plusem. Obszedłem bokiem ciało kobiety, czując ukłucie wyrzutów, że zostawiam ją tutaj samą. Teraz musiałem się jednak skupić na pomocy żywemu człowiekowi.

Stąpając uważnie po aluminiowych płytkach, zbliżyłem się do dziury. Nie ufałem stabilności płytek najbliższej krawędzi, więc dla pewności zahaczyłem ręką o belkę dachową i dopiero wtedy wyciągnąłem szyję, żeby zajrzeć do pomieszczenia pod spodem. Drobinki kurzu wirowały powoli w smudze światła z przewróconego reflektora, ale było zbyt ciemno, żeby zobaczyć, co leży na podłodze.

– Panie profesorze!

Cisza. Wygrzebałem telefon spod kombinezonu ochronnego i włączyłem latarkę. Cienie niechętnie się wycofały, ukazując moim oczom bezładną stertę połamanych desek, tynku i izolacji. Nachyliłem się jeszcze dalej, starając się wypatrzeć coś więcej. Światło latarki przemknęło po czymś niebieskim. Cofnąłem rękę, próbując jeszcze raz znaleźć to miejsce. Z początku nie rozumiałem, co widzę, ale potem nagle mnie olśniło.

But w foliowym ochraniaczu wystający spod płachty wełny izolacyjnej.

– Co pan wyprawia, do jasnej cholery?

Mało brakowało, a upuściłbym telefon. Trzymając się mocno belki stropowej, obejrzałem się i zobaczyłem Whelana, który ciężkim krokiem zmierzał do mnie po metalowych płytkach.

– Mówiłem, żeby się pan nie ruszał. Jazda stąd. Już!

– Widać Conrada.

Zawahał się.

– Proszę mi pokazać.

Odsunąłem się.

– Ustaliliście, do której sali spadł?

– Jeszcze nie. Rozkład pomieszczeń na dole jest strasznie chaotyczny. Idzie się korytarzem, potem trzeba zawracać, wszystko podzielone jakimiś ściankami i przepierzeniami. Trudno się połapać.

Nie powinno być to chyba aż tak trudne, pomyślałem, ale najeżona postawa komisarza nie zachęcała do wygłaszania tego typu uwag. Chwycił się mojej belki, nachylił nad dziurą i poświecił latarką w dół.

– Słyszysz mnie pan, profesorze? – zawołał.

Nikt nie odpowiedział.

– Widzi go pan? – zapytałem.

– Coś widzę – stęknął, mrużąc oczy, żeby lepiej się przyjrzeć. – Wygląda mi na stopę. Może moglibyśmy...

Odgłos kroków na aluminiowym chodniku uprzedził nas, że zbliża się Ward.

– Jezu, Jack, co wy tu odpieprzacie?

Odwróciliśmy się – wyraźnie wściekła zmierzała w naszą stronę. Dopiero teraz zauważyłem, że w workowatym kombinezonie ochronnym porusza się bardzo niezgrabnie.

– Przepraszam, ja tylko...

– To moja wina – wtrąciłem się. – Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś jęczy.

– Z takiej odległości, naprawdę? – Zmierzyła mnie sceptycznym spojrzeniem. Sam zaczynałem się zastanawiać, czy sobie tego nie wymyśliłem. Ale coś przecież usłyszałem.

– Widać go stąd – dodał Whelan, żebym nie musiał się już tłumaczyć.

– Jasny gwint. – Ward zerknęła na zmumifikowane szczątki, próbując złapać oddech. – Jest przytomny? Błagam, powiedzcie, że oddycha.

– Trudno powiedzieć. Leży zakopany pod połową sufitu i się nie rusza.

– Pokażcie.

– To niebezpieczne, proszę pani – ostrzegł Whelan. – Nie powinna pani być w ogóle tu wchodzić.

Nie wiem, co mnie bardziej zaskoczyło: fakt, że odezwał się tak do zwierzchniczki, czy że Ward w odpowiedzi nie urwała mu głowy.

– Co ty powiesz? – odparła, podchodząc bliżej i łapiąc się po drodze belek stropowych dla utrzymania równowagi. Zatrzymała się przy zwłokach skulonych na środku aluminiowych płytek, nadal dysząc ciężko pod maską. – Straż pożarna już tu jedzie ze sprzętem ratowniczym, karetka, sanitariusze, a my ciągle nie możemy go znaleźć. Chryste Panie, to jakiś absurd!

– Mogę spróbować zejść... – zacząłem.

– Nie! – wrzasnęli Ward i Whelan jednym głosem. Nadkomisarz pokręciła głową. – Strażacy niedługo tu będą z całym sprzętem.

– Przez ten czas on może umrzeć.

– Myśli pan, że nie zdaję sobie z tego sprawy?

Whelan odchrząknął.

– Nie chcę się wtrącać, ale doktor Hunter ma rację, proszę pani. Nie wiemy, w jakim stanie jest Conrad, a straż pożarna musi tu dojechać, a potem jeszcze wtaszczyć cały ten ciężki sprzęt na górę. Mógłbym skoczyć na dół i zrobić mały rekonesans, sprawdzić, na czym stoimy.

Ward przez chwilę wpatrywała się w podłogę, trzymając się pod boki.

– Tak zrobimy.

Policjanci z piętra niżej, zgodnie z poleceniami wykrzyczanymi ze strychu, szybko podali na górę teleskopową drabinę. Ward wpuściła na poddasze zaledwie kilka osób, żeby nie ryzykować kolejnego wypadku. Z początku nie chciała się zgodzić, żebym został, ale przekonałem ją, że moja wiedza medyczna może się przydać do czasu przyjazdu pogotowia. W całym tym zamieszaniu prawie zapomnieliśmy, skąd w ogóle się tam wszyscy wzięliśmy. Ciało martwej kobiety i jej nienarodzonego dziecka leżały z boku, daleko od dziury, żeby nie ucierpiały w chaotycznej akcji ratowniczej. Na moją prośbę przyniesiono plastikową płachtę i podczas gdy Whelan z pomocą innego funkcjonariusza zajął się opuszczaniem lekkiej drabinki do dziury, ja przykryłem zmumifikowane zwłoki. Ostrożnie rozpostarłem szeleszczący plastik na wysuszonej twarzy o szorstkiej skórze ciasno opinającej kości czaszki. Powinno to zapobiec dalszemu zanieczyszczeniu kurzem i szklanymi włókienkami, chociaż w głębi

serca musiałem przyznać, że to niejedyny powód, dla którego chciałem ją przykryć. Leżała tam sama, przez nikogo nieodnaleziona, Bóg wie jak długo.

Nieprzyjemnie by było ją nadal ignorować.

Ku mojej frustracji Ward kazała mi się trzymać z dala od dziury, kiedy Whelan opuszczał drabinę, starając się omijać gruzy, które zakopały patologa. Przystawiono reflektory, tak żeby świeciły w otwór w suficie, ale widoczność utrudniał bardzo niekorzystny kąt. Lampy oświetlały stos drewna i izolacji zakrywający Conrada, ale reszta pomieszczenia tonęła w nieprzeniknionym mroku.

Whelan wolał nie ryzykować, stawiając drabinę przy sypiącej się krawędzi dziury – zamiast tego oparł ją o jedną z belek pod dachem i mocno przywiązał nylonową żyłką. Potrząsnął nią na próbę, sprawdzając stabilność, po czym stanął na szczeblu.

– Uważaj na siebie, Jack – powiedziała Ward.

– To jak mycie okien – zażartował i zaczął schodzić w głąb.

Aluminiowa drabinka zaczęła rytmicznie podskakiwać i trzeszczeć z każdym krokiem Whelana. Trwało to jednak tylko kilka chwil i wkrótce dotarł na dół. Ze swojego miejsca go nie widziałem, ale głos niósł się całkiem dobrze.

– Dobra, jestem na miejscu. Spróbuję pozdejmować z niego ten syf...

Rozległo się stęknienie, a potem jakieś skrobanie i odgłosy przesuwania. Z dziury uniosła się nowa chmura kurzu – to komisarz zrzucił gruz z nieszczęsnego patologa.

– No, teraz lepiej – wydyszał ciężko. – Jest nieźle poturbowany. Wyczuwam tętno, ale nie wygląda to najlepiej. Jedna noga chyba złamana, poza tym... O rany, strasznie dużo krwi.

– Skąd? – zawołałem. – Tętnicza?

– Nie wiem, nie widzę, skąd leci. Wygląda na to, że z nogi, ale ma ją przywaloną, a nie chcę go ruszać, to za duże ryzyko. Jeśli szybko czegoś nie zrobimy, to możemy go stracić, pani nadkomisarz.

Zwróciłem się do Ward:

– Proszę mi pozwolić, może...

Zniecierpliwna uciszyła mnie gestem uniesionej dłoni.

– Musimy się tam dostać, Jack. Widzisz jakieś drzwi albo inne wyjście?

– Czekajcie. – Chwila ciszy. – To niezbyt duża sala szpitalna. Są tu jeszcze łóżka i jakieś śmieci, ale żadnych drzwi nie widzę.

– Gdzieś jakieś muszą być.

– Nie, wygląda na to, że ktoś zamurował wyjście i... kurwa!

Nagle rozległ się jakiś łoskot.

– Jack? Jack! Nic ci nie jest?

Whelan odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Nie, tylko... upuściłem latarkę.

Ward rozluźniła się, wyraźnie jej ulżyło.

– Jasna cholera, Jack, co ty odwalasz?

– Przepraszam. Chodzi o te łóżka... – Mówił jak przez ściśnięte gardło. –
Leżą w nich ludzie.

ROZDZIAŁ 4

Ward nie chciała mnie puścić do Whelana.

– Nie będę ryzykować już niczyjego życia i zdrowia, dopóki nie zyskamy pewności, co nas tam czeka.

– Wiemy, co na pewno czeka Conrada. Wykrwawi się na śmierć, jeśli mu nie pomożemy.

– Pogotowie i straż pożarna będą tu za pięć minut...

– Możliwe, że nie zostało mu nawet tyle czasu. Błagam, mogę przynajmniej spróbować zatamować krwotok do czasu przyjazdu ratowników!

– Jack jest przeszkolony z pierwszej pomocy...

– A ja jestem lekarzem! Jeśli martwi się pani, że naruszę potencjalne miejsce zbrodni...

– Wcale nie o to chodzi i świetnie pan o tym wie!

– W takim razie proszę mnie tam puścić!

Ward odrzuciła głowę w tył.

– Chryste! Dobrze, niech panu będzie, tylko proszę uważać, na litość boską!

Nie czekałem – wolałem nie ryzykować, że zmieni zdanie. Wskoczyłem na drabinę i zacząłem schodzić. Ugięła się i trzeszczała pod moim ciężarem, ale nie zwracałem na to uwagi. Whelan przytrzymał ją, kiedy zbliżyłem się do podłogi.

– Niech pan uważa.

Czułem się tam jak na dnie studni. Przez dziurę w suficie wpadały smugi światła z reflektorów, ale rozjaśniały zaledwie niewielki obszar wokół nas. Reszta pomieszczenia tonęła w głębokim mroku. Whelan siedział w kucki przy kupce pokruszonego tynku i kawałków desek, świecąc latarką na Conrada.

Komisarz usunął większość rumowiska – przynajmniej nie było ciężkie – odsłaniając patologa, który leżał na boku jakby w gnieździe z kawałków izolacji. Pod warstwą gipsu i brudu jego twarz była blada i mizerna, lśniąca krew odcinała się ciemnymi plamami. Był nieprzytomny i nie podobał mi się jego oddech.

Najpilniejszej interwencji wymagała rana nogi. Krew utworzyła wokół dolnej połowy ciała sporą kałużę pełną kawałków gipsu i wełny szklanej. Płynęła jednak z nogi, którą Conrad przygniatał całym ciężarem, więc żeby się do niej dostać, trzeba by go było ruszyć. Zrozumiałem, dlaczego Whelan się wahał. Przy takim upadku patolog mógł doznać urazu kręgosłupa, a sądząc po chrapliwym oddechu, podejrzewałem, że żebro przebiło mu jedno z płuc. Potrzebował znacznie więcej pomocy, niż ja mogłem mu zapewnić, ale postanowiłem przynajmniej dopilnować, żeby dotrwał do przyjazdu wykwalifikowanych ratowników medycznych.

– Proszę go trzymać, gdyby zaczął się ruszać – poinstruowałem Whelana, po czym wsunąłem dłonie pod uwięzioną nogę patologa. Starając się nie zmieniać jego pozycji, zacząłem ostrożnie macać w poszukiwaniu źródła krwotoku. Miałem nadzieję nie poczuć ostrego odłamka kości sterczącego z mięśnia. Jeśli to okazałoby się przyczyną krwawienia, nie mógłbym wiele zrobić, zwłaszcza gdyby kość przecięła którąś z tętnic. W takim wypadku Conrad najprawdopodobniej wykrwawiłby się na śmierć, zanim obejrzeliby go sanitariusze.

Na szczęście jednak wbrew moim obawom nie trafiłem na złamanie otwarte. W końcu przez cienką warstwę rękawiczek wymacałem rozdarcie w kombinezonie i spodniach na udzie, a pod nim ciepłą lepkość krwi. Spadając z sufitu, Conrad musiał zaczepić nogą o gwóźdź albo złamany legar. Kiepsko, ale była szansa, że tętnice są nienaruszone.

– Uwaga – powiedziałem do Whelana. – Zaczynam uciskać.

Moje rękawiczki zdecydowanie nie były sterylne, ale szczęśliwie nie dotykałem nimi bezpośrednio ciała znalezionej na strychu. W tej sytuacji

infekcja była dla patologa zdecydowanie mniej groźna niż wykrwawienie. Polegając wyłącznie na zmyśle dotyku, zebrałem materiał spodni nad raną i mocno przycisnąłem.

Profesor jęknął i próbował się poruszyć.

– Niech pan go trzyma – powiedziałem.

Whelan posłusznie unieruchomił mężczyznę, przygważdżając go całym ciężarem swojego ciała.

– Co tam się dzieje? – Z otworu w suficie dobiegł nas głos Ward. – Nic mu nie jest?

– Ile do przyjazdu ratowników? – odkrzyknąłem.

– Karetka właśnie wjechała przez bramę. Jakies dwie, trzy minuty.

Każdy czas byłby zbyt długi. Nie odrywając rąk od rany, zmieniłem pozycję na wygodniejszą i upewniłem się, że nadal utrzymuję silny ucisk. Dopiero wtedy rozejrzałem się dookoła.

Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek dokładnie zobaczyć. Whelan mówił wcześniej, że to nieduża sala szpitalna, ale poza naszą wyspą światła reszta pomieszczenia tonęła w mroku. Z czasem oczy przyzwyczyły się do ciemności i dostrzegłem zarysy cegieł nieotynkowanej ściany. Trochę dalej ode mnie, w chmurze pyłu, majaczyła kanciasta rama szpitalnego łóżka. Na łóżku leżała nieruchoma postać, niewielka plama szarości w atramentowym mroku. Zdawało mi się, że za łóżkiem stoi kolejne, chociaż mogło to być złudzenie optyczne, gra cieni.

Przeгляд zawartości tajemniczego pomieszczenia musiał jednak poczekać. Starając się z całych sił zignorować coraz bardziej dokuczliwy skurcz w obu przedramionach, uciskałem ranę Conrada i w myślach błagałem sanitariuszy, żeby się pośpieszyli.

Niebo zaczynało już powoli jaśnieć, kiedy podjechałem pod Ballard Court. Czekałem, aż otworzą się automatyczne bramy – pomruk ich napędów stanowił niski, basowy akompaniament do porannego śpiewu ptaków. Wjechałem do

garażu podziemnego, zaparkowałem i zgasilem silnik. Drzwi windy otworzyły się z elektronicznym brzęknięciem, ukazując mojego sąsiada z naprzeciwka. Pełnym dezaprobaty spojrzeniem obrzucił moją sponiewieraną osobę, skinął zdawkowo głową i minął mnie jak powietrze.

– Dzień dobry, dziękuję, również miłego dnia – powiedziałem do pustej kabiny.

Podeszwy moich butów wystukiwały rytmiczną melodię, kiedy szedłem korytarzem do mieszkania. Staralem się jak najciszej otworzyć drzwi, ale zapach smażonego bekonu uświadomił mi, że szkoda mojego zachodu. Rachel stała w kuchni, krojąc pieczarki obok patelni skwierczącej na kuchence. Była już ubrana, wyglądała prześlicznie i znacznie świeżej, niż ja się czułem.

– Cześć – powiedziała, zdejmując patelnię z palnika. Podeszła, objęła mnie i uniosła głowę, nadstawiając twarz do pocałunku. – Świetne wycucie czasu.

Wciągnąłem zapach jej włosów, ciągle nieco wilgotnych po prysznicu.

– Nie musiałaś tak wcześnie wstawać.

– Musiałam. Chciałam zrobić porządne śniadanie. Wiedziałam, że tobie nie będzie się chciało. Jadłeś w ogóle cokolwiek od wczorajszego obiadu?

Wróciłem myślami do piekielnie mocnej herbaty, którą przyniósł mi jeden z funkcjonariuszy.

– Coś tam się trafiło.

Rachel uniosła sceptycznie brwi, po czym obróciła się z powrotem do kuchenki.

– Zdążysz wziąć prysznic.

Uśmiechnąłem się na tę niezbyt subtelną aluzję: po wielu godzinach pocenia się w kombinezonie rzeczywiście powinienem się umyć.

Mój uśmiech jednak zbladł, kiedy w sypialni zobaczyłem spakowaną walizkę stojącą przy drzwiach. Rachel leciała dopiero przed południem, ale będzie musiała wziąć pod uwagę ruch, korki i ewentualne opóźnienia w drodze na lotnisko. Na samą myśl poczułem dojmującą pustkę w klatce piersiowej.

Nie tak mieliśmy spędzić ostatnią noc razem.

Ratownicy medyczni dotarli na miejsce całkiem szybko, chociaż mnie te kilka minut ciągnęło się w nieskończoność. Z wdzięcznością i ulgą przekazałem Conrada młodej sanitariuszce, która szybko przejęła ode mnie uciskanie rany, podczas gdy jej kolega przygotowywał opatrunki. Odsunąłem się do tyłu, żeby zrobić im miejsce, trzymając zakrwawione ręce daleko od siebie. Teraz, gdy już nie musiałem kucać, miałem okazję lepiej przyjrzeć się otoczeniu. Światło latarek sanitariuszy wydobyło z mroku trzy łóżka. Najdalsze było puste, ale w pozostałych dwóch leżały nieruchome postaci. Nie podchodziłem bliżej, żeby jeszcze bardziej nie zadeptać miejsca zbrodni. Jeśli jednak miałem wcześniej nikłą nadzieję, że okaże się to głupim żartem, że przed zamknięciem szpitala ktoś zostawił w łóżkach sklepowe manekiny, to szybko straciłem złudzenia. W powietrzu unosiła się charakterystyczna woń, której wcześniej nie wyczułem w ogólnym zamieszaniu. Spod zapachu kurzu i tynku z zawalonego sufitu delikatnie przebijał odrażająco słodki aromat rozkładu. Z tego, co udało mi się wypatrzeć, oba ciała były ubrane, a przez klatki piersiowe i nogi przechodziły im ciemne paski. Z początku nie wiedziałem, co to może być, ale w końcu się domyśliłem.

Przywiązano ich do łóżek.

Ktoś szturchnął mnie w ramię.

– Zróbmy im więcej miejsca – powiedział Whelan. – Proszę.

Podał mi parę czystych rękawiczek nitrylowych. Zastąpiłem nimi poprzednie, już brudne i zużyte, i podszedłem z powrotem do drabiny, a sanitariusze wciąż zajmowali się Conradem. Zatrzymałem się jeszcze na chwilę, ostatni raz rozglądając się po ciemnej sali. Żadnych drzwi, ani wejścia, ani wyjścia, tak jak mówił Whelan. Tylko ślepa, nieotynkowana ściana mająca niewyraźnie w ciemności.

Wyprowadzono mnie ze strychu i dalej na parter. Na schodach mijałem ekipy strażaków, odsuwałem się na bok, żeby przepuścić ich ze sprzętem. Z ulgą wyszedłem na chłodne nocne powietrze. Byłem spocony, wszystko mnie swędziało od paprochów z materiału izolacyjnego, chętnie zrzuciłem utyłany,

zakrwawiony strój ochronny. Nisko na niebie wisiał sierp księżycy otoczony mlecznym półcieniem. Podziękowałem sympatycznemu policjantowi za herbatę, stanąłem z kubkiem na schodach przed wejściem do szpitala i zanim zdążyłem dopić napój, z budynku wynurzyli się sanitariusze. Nieśli Conrada na sztywnych noszach. Patolog wyglądał bardzo nieciekawie. Miał zakrwawioną twarz, nie odzyskał przytomności, leżał przypięty pasami, a głowę i szyję unieruchamiał kołnierz ortopedyczny.

Gdy tylko załadowano go do karetki, pojazd ruszył z wyciem syreny i miganiem niebieskich świateł.

Wkrótce potem pojawiła się Ward. Porozmawiała po kolei z kilkoma różnymi osobami, gestykulując gniewnie podczas jednej z tych rozmów, po czym podeszła do mnie. Zdjęła kaptur i maskę, westchnęła ciężko i oparła się o kamienną kolumnę przy drzwiach.

– Jezu, co za noc. – Zaczęła ściągać rękawiczki. – Dziękuję, że tak pan pomógł Conradowi.

– Co z nim?

Dmuchięciem odgarnęła z oczu mokry od potu kosmyk włosów.

– Na razie nie wiadomo. Zanim strażacy rozłożyli podnośnik, sanitariuszom udało się go ustabilizować. Źrenice reagują, to dobry znak, ale pełny obraz sytuacji uzyskamy dopiero po prześwietleniu i rezonansie.

– Wyciągnęli go przez strych?

– To było szybsze niż rozwalanie ściany. – Schyliła się i zaczęła zdejmować ochraniacze z butów. – Trochę nam zajęło, żeby znaleźć to cholerstwo, mimo że wiedzieliśmy, czego szukamy. Zabudowali ścianą coś w rodzaju poczekalni na końcu jednego z oddziałów i pomalowali tak, żeby pasowało do reszty. Komuś musiało bardzo zależeć, żeby nikt tego nie znalazł.

Następne pytanie było tak oczywiste, że samo się nasuwało.

– Myśli pani, że to ma jakiś związek z tą kobietą ze strychu?

– Szczerze? Nie mam pojęcia. – Rzuciła zwiniętym w kulkę ochraniaczem do plastikowego kosza. – Jeśli nie, to byłby kosmiczny zbieg okoliczności, ale

dopóki się porządnie nie rozejrzemy po tym zamurowanym pokoju, nie zamierzam wyciągać żadnych pochopnych wniosków.

Kiwnąłem głową w stronę klockowatej kamery zamontowanej wysoko na ścianie szpitala, z obiektywem wycelowanym w obramowane kolumnami wejście.

– Co z monitoringiem?

Ten, kto zamurował wejście na tajemniczy oddział, musiał jakoś wejść i wyjść, ale Ward pokręciła głową.

– To atrapa. Deweloper najwyraźniej uznał, że nie opłaca się inwestować w prawdziwy sprzęt. Zresztą i tak niewiele by nam to dało. Nagrania kasuje się zwykle po paru tygodniach, a nas interesuje znacznie dawniejszy okres.

– Czyli nie było tu w ogóle żadnego zabezpieczenia?

– Na początku było paru ochroniarzy, ale oni mieli głównie odstraszać protestujących. Budowa biurowca wzburzyła lokalnych mieszkańców. Działacze społeczni uważają, że grunty powinno się przeznaczyć pod budowę mieszkań, a towarzystwa miłośników przyrody i architektury chcą wpisania Świętego Judy na listę zabytków i objęcia całej działki ochroną. Na tyłach jest las, w którym stoją podobno ruiny jakiegoś normńskiego kościoła czy coś takiego. Jest też kampania, żeby uznać cały obszar za szczególnie ważny dla nauki, tak jak Lesnes Abbey Woods w Bexley. Tyle że tam są opactwo i skamieliny, więc tutaj raczej nie ma szans.

Ward rozsunęła zamek i zaczęła się wyplątywać z kombinezonu. Zauważyłem, że chyba trochę jej się przytyło, ale nie zastanawiałem się nad tym głębiej.

– Kiedy firma deweloperska się zorientowała, że trochę to potrwa, ograniczyli ochronę – ciągnęła, uwalniając jedną rękę. – Tak to zwykle bywa. Dali ogrodzenie, znaki „zakaz wstępu” i zostawili budynek odłogiem, czekając na pozwolenie na rozbiórkę.

– Ale pojawiły się nietoperze.

Uśmiechnęła się cierpko.

– Pojawiły się nietoperze.

Spojrzałem na zabity deskami budynek.

– Myśli pani, że to może mieć jakiś związek z protestami?

– Można od tego zacząć. Ale zanim kogoś tam wpuścimy, musimy się upewnić, że budynek jest bezpieczny. Nie chcę ryzykować kolejnych wypadków, a zresztą zanieczyściliśmy dziś już dość potencjalnych miejsc zbrodni. Cokolwiek jest w tej ukrytej sali, wolałabym, żeby nie spadał już na nią żaden sufit. – Szarpnęła drugi rękaw, który się zakleszczył. – Boże, zapomniałam już, jak bardzo nienawidzę tych cholernych kombinezonów.

Stęknęła i wreszcie się wyswobodziła. W pierwszej chwili pomyślałem, że przytyła jednak znacznie więcej, niż wcześniej mi się zdawało, ale nagle się domyśliłem. Przekornie uniosła brew.

– No co? Aż taka ze mnie gruba beka?

Uśmiechnąłem się.

– Który miesiąc?

– Dopiero szósty z kawałkiem, ale mam wrażenie, że trwa to już wieki. I zanim cokolwiek pan powie: tak, wiem, co robię. Nie jestem w patrolu pieszym, więc mogę pracować tak długo, jak będę chciała. Nie zamierzam odpuścić możliwości prowadzenia śledztwa, żeby siedzieć w domu i dziergać buciki na drutach.

Wreszcie zrozumiałem, dlaczego Whelan tak się o nią martwił, kiedy wróciła na strych. I dlaczego Ward była aż tak poruszona widokiem zwłok kobiety i nienarodzonego dziecka. Ofiara była mniej więcej w tym samym miesiącu ciąży co ona.

– Chłopiec czy dziewczynka? – zapytałem, czując znajome ukłucie straty na wspomnienie ciąży mojej żony.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Mąż ma nadzieję na chłopca, ale powiedziałam mu, że jeśli chce poznać płęć, to niech sam sobie zajdzie w ciążę.

Wiedziałem, że ma męża, ale nigdy go nie poznałem. Chociaż nieraz mieliśmy okazję współpracować, nie utrzymywaliśmy kontaktów towarzyskich,

a przy poprzednich spotkaniach tematy życia osobistego jakoś nie wpływały.

Wiść o ciąży stanowiła jedyny jasny akcent tej ponurej nocy. Zaczekałem przy samochodzie, podczas gdy Ward poszła na naradę z podwładnymi i oficerami straży pożarnej w mobilnym stanowisku dowodzenia. Wkrótce dołączyły do nich jeszcze trzy osoby: obcięty na jeża mężczyzna po czterdziestce roztaczający wokół siebie aurę autorytetu – być może przełożony Ward, a także drugi, młodszy mężczyzna i kobieta, którzy szli za nim niczym obstawa. Żadne z tej trójki nie wyglądało na zadowolone. Nie dość, że patolog uległ poważnemu wypadkowi, to jeszcze mieliśmy do czynienia z kilkoma zabójstwami, które mogły okazać się powiązane.

Początkowo z pozoru rutynowe śledztwo zmieniło się w zupełnie inną bajkę.

Dwadzieścia minut później podeszła do mnie jedna z policjantek i powiedziała, że właściwie mogę jechać do domu. Śledztwo zostało zawieszona do czasu zabezpieczenia strychu i uzyskania pozwolenia na dalsze prace od specjalistów w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy. Skontaktują się ze mną, kiedy będą mnie znów potrzebować.

I tak wróciłem do Ballard Court. Nie było mowy, żebym położył się spać przed wyjazdem Rachel, więc po prysznicu i śniadaniu siedzieliśmy przy stole kuchennym, pijąc kawę i próbując udawać, że to poranek jak każdy inny. Przychodziło nam to jednak coraz trudniej, w miarę jak zbliżał się czas, kiedy musiała wyjść. Nie chciała, żebym odwiózł ją na lotnisko, bo to tylko przedłużyłoby pożegnanie, więc kiedy jej telefon brzęknięciem oznajmił przybycie taksówki, poczułem, że pęka mi serce. Przytuliłem ją mocno, wdychając czysty zapach jej włosów, żeby jak najlepiej go zapamiętać.

– Do zobaczenia za trzy miesiące – powiedziała i pocałowała mnie po raz ostatni.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, odwróciłem się i spojrzałem na pusty apartament. Lśniąca nowością kuchnia wyglądała jeszcze bardziej sterylnie niż zwykle, abstrakcyjne obrazy na ścianach salonu i holu – jeszcze bardziej

odstręczająco i bezosobowo. Chociaż przywykłem do samotnego mieszkania, teraz nieobecność Rachel wyczierała głośno z każdego kąta.

Byłem zmęczony, ale wiedziałem, że i tak nie zasnę, więc załadowałem naczynia po śniadaniu do zmywarki i zaparzyłem sobie kolejną kawę. Kuchnię wyposażono w zaawansowany ekspres godny baristy, z młynkiem, spieniaczem do mleka i tysiącem innych ezoterycznych funkcji. Rachel uwielbiała tę maszynę, ale ja uważałem, że to za dużo zachodu o głupią kawę. Sięgnąłem do szafki po słoik rozpuszczalnej i w dwa razy krótszym czasie miałem już pełen kubek, z którym mogłem usiąść przy granitowym blacie wyspy kuchennej.

Bez Rachel nie potrafiłem sobie znaleźć miejsca. Za jakiś czas mogłem iść na wydział, ale do tej pory musiałem zabić kilka godzin. Żeby czymś się zająć, postanowiłem sprawdzić w internecie, czy wiadomość o makabrycznym odkryciu u Świętego Judy trafiła już na portale informacyjne. Dopiero w wiadomościach lokalnych znalazłem drobne wzmianki, bardzo ogólnikowe: w opuszczonym szpitalu znaleziono ludzkie szczątki. Nie wspomniano ani o zamurowanej sali, ani o wypadku Conrada. Miejsce zdarzenia było zbyt dobrze znane, żeby dało się długo utrzymywać sprawę w tajemnicy, ale Ward miała nadzieję jak najbardziej opóźnić medialną gorączkę.

Powodzenia, pomyślałem.

Po przeczytaniu nielicznych relacji ze śledztwa postanowiłem poszukać danych na temat samego szpitala. W sieci nie brakowało informacji na temat Świętego Judy, od petycji i blogów zachęcających do protestu przeciwko wyburzeniu szpitala po amatorskie strony szczegółowo opisujące historię budynku. Okazało się, że powstał w dziewiętnastym wieku jako lecznica dla ubogich prowadzona przez siostry zakonne. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku szpital zaczął się rozwijać, a w cieniu surowego wiktoriańskiego gmachu wyrastały nowe przychodnie i pawilony. Liczne fotografie dokumentowały poszczególne etapy życia placówki: od sepiowych odbitek ukazujących surową, świeżą kamieniarzkę i teren porośnięty gdzieniegdzie młodymi drzewkami po nowsze zdjęcia przedstawiające zabita

dechami ruinę. Wyglądało na to, że najlepszy okres Świętego Judy przypadał na lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku. Na zdjęciu z tamtych czasów w miejscu obecnych zardzewiałych słupków przy głównym wejściu stała duża tablica ze spisem oddziałów. Obok przechodziły dwie pielęgniarzki, uchwycone w pół kroku, roześmiane i z papierosami. Za nimi mężczyzna z dzieckiem – nie dało się stwierdzić: chłopcem czy dziewczynką – zatrzymani w czasie przekraczania progu wielkich drzwi.

W tych obrazach dawnego życia było coś melancholijnego. Nie miałem nastroju na zagłębianie się w takie sprawy, a lektura nie dostarczyła mi szczególnie odkrywczych ani zaskakujących faktów z dziejów szpitala Świętego Judy. Zerknąwszy na zegarek, przekonałem się jednak, że zleciała mi na tym prawie godzina. Wystarczy, mogę się już zbierać do pracy, pomyślałem.

Zamknąłem laptop, schowałem go do torby i wziąłem kurtkę z wieszaka w przedpokoju. Potem z uczuciem ulgi wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi luksusowego apartamentu.

Od kilku lat pracowałem w instytucie antropologii sądowej jednego z największych uniwersytetów w Londynie. Zasady mojej współpracy z uczelnią były korzystne dla obu stron. Miałem minimalną liczbę zajęć ze studentami, a jednocześnie gwarancję stałego dochodu i dostęp do sprzętu, a także możliwość regularnego udzielania konsultacji policji. Na początku roku moja przyszłość zawodowa stanęła pod znakiem zapytania, bo po pewnym niefortunnym śledztwie policja wpisała mnie na czarną listę. Jednak dzięki sprawie w Essex odbiłem się od dna i poprawiłem notowania, a ostatnio zaoferowano mi przedłużenie umowy na kolejne dwa lata, i to na lepszych warunkach.

Mimo to nadal odkładałem podpisanie kontraktu. Chociaż moje stanowisko na uczelni wydawało się na razie bezpieczne, nie miałem złudzeń: świetnie wiedziałem, co się stanie, jeśli znowu wypadnę z łask. Mając w pamięci te niedawne niespokojne miesiące, nie byłem pewny, czy chcę czekać na powtórkę

tamtej sytuacji. Pojawienie się Rachel odmieniło moje życie i kazało spojrzeć na sprawy z nowej perspektywy.

Może już czas na kolejne zmiany.

Zaparkowałem kilka przecznic od uniwersytetu i pieszo udałem się do budynku instytutu antropologii sądowej. Od kiedy przy wejściu do mojego starego mieszkania znaleziono odcisk palca Grace Strachan, zgodnie z zaleceniem Ward starałem się zmieniać trasę do pracy. Na wszelki wypadek, jak powiedziała. Od początku wydawało mi się to raczej bezsensowne, a z czasem coraz bardziej utwierdzałem się w tym przekonaniu, ale obiecałem Rachel, więc codziennie parkowałem w innym miejscu i wchodziłem jednymi z bocznych drzwi zamiast głównym wejściem.

Zaczął się nowy rok akademicki, żywa atmosfera panująca na uczelni stanowiła przyjemną odmianę po ciszy pustego mieszkania. Kiedy wszedłem do instytutu, Brenda, sekretarka, podniosła wzrok znad biurka.

– Cześć, David. Jak ci minął weekend?

– Dobrze, dzięki.

– Nie spodziewałam się, że tak szybko wrócisz. Pamiętaj, że po południu jest rada wydziału.

Szlag.

– Już się nie mogę doczekać.

– Właśnie widzę. Aha, znowu pisał ten dziennikarz. Francis Scott-Hayes.

Westchnąłem. Scott-Hayes od tygodni nagabywał mnie o wywiad, zasypywał mejlami zarówno mnie, jak i instytut, licząc na odpowiedź. A raczej na odpowiedź, jaką chciał uzyskać. Za pierwszym razem uprzejmie odmówiłem, za drugim już nieco mniej uprzejmie, a wszystkie kolejne mejle ignorowałem. Nie miałem pojęcia, skąd on się w ogóle o mnie dowiedział. Mój udział w policyjnych śledztwach był zwykle zakulisowy, na czym szczególnie mi zależało. Niestety, moje nazwisko pojawiło się w prasie w związku z dwiema sprawami, które trafiły na pierwsze strony ogólnokrajowych gazet – w zeszłym roku przy okazji śledztwa w Dartmoor, a ostatnio po wypadkach w Essex, gdzie

poznałem Rachel. Mogłem się założyć, że dziennikarz znalazł mnie w którymś artykule i uznał, że można o mnie napisać sensacyjny tekst.

Brak mojej zgody najwyraźniej mu nie przeszkadzał.

– Ignoruj go – poradziłem Brendzie. – Prędzej czy później do niego dotrze.

– Jesteś pewny? Facet pisze dla największych gazet w kraju. Nie chciałbyś zobaczyć swojego zdjęcia w magazynie?

– Czy ktoś tu mówił o jakimś magazynie? – zapytał głos za moimi plecami.

Obróciłem się ze ściśniętym żołądkiem i zobaczyłem profesora Harrisa, dyrektora instytutu. W dłoni mocno dzierzył rączkę skórzanej teczki i przyglądał mi się z fałszywie przyjacielskim uśmiechem. Traktował mnie znacznie mniej sympatycznie w okresie przestoju w zleceniach dla policji, ale teraz zmienił śpiewkę.

– Chodzi o jakiegoś dziennikarza, który nie chce się odzepić – odparłem, a Brenda bezgłośnie powiedziała „przepraszam” i zaczęła udawać bardzo pochłoniętą pracą na komputerze.

Pokiwał głową, nie przestając się sztucznie uśmiechać.

– Może więc powinieneś to rozważyć. Trochę rozgłosu nigdy nie zaszkodzi, a taki wywiad to byłaby dla ciebie świetna reklama.

Dla mnie i dla instytutu.

– Może za jakiś czas – odparłem.

– Ach, tak – podchwycił z błyskiem w oku – słyszałem, że znaleziono ciało w jakimś opuszczonym szpitalu. Gdzieś w północnej części miasta, prawda? Czyżbyś pracował nad tą sprawą? Świetnie ci się udało, miejsce zbrodni tak pod nosem.

Ofiarom za to niezbyt się udało, pomyślałem.

– Nie mogę nic powiedzieć...

– Tak, tak, oczywiście. No cóż... powodzenia ze sprawą. I z wywiadem.

Kiedy sobie poszedł, Brenda uśmiechnęła się z przekąsem.

– Moja odpowiedź nadal brzmi „nie” – powiedziałem.

Poszedłem do klitki służącej mi za gabinet i zacząłem przeglądać mejle. Typowa mieszanka uczelnianych budżetów, biuletynów i pytań od magistrantów pracujących nad projektami badawczymi. W skrzynce czekał również najnowszy mejl z prośbą o wywiad. Odruchowo chciałem go usunąć bez czytania, ale po rozmowie z Brendą poczułem, że powinienem chociaż sprawdzić, co też dziennikarz ma mi do powiedzenia. Treść oferty pozostawała mniej więcej taka sama. Musiałem przyznać, że facet pisywał do naprawdę prestiżowych gazet i czasopism, poczułem nawet, że powinno mi pochwalić jego zainteresowanie. Może Harris miał rację: zdecydowanie poprawiłoby to moją reputację, która ostatnimi czasy została poważnie nadszarpnięta.

Nigdy jednak nie motywowała mnie do pracy chęć ujżenia swojego zdjęcia w kolorowym magazynie. Kliknąłem „usuń” i wiadomość zniknęła.

ROZDZIAŁ 5

Ward dopiero nazajutrz zadzwoniła z wiadomością, że pozwolono im wrócić na strych po zmumifikowane zwłoki. Natychmiast ogarnęło mnie poczucie ulgi. Poprzedniego wieczoru dzwoniła Rachel, zmęczona po podróży, ale ożywiona wizją rozpoczęcia nowej pracy. Teraz była już pewnie na statku badawczym, może nawet w drodze ku najbardziej niedostępnym wyspom Morza Egejskiego. Większość czasu będą spędzali na wodzie, a choć statek wyposażono w telefon satelitarny, przeznaczony był on do użytku tylko w sytuacjach awaryjnych. Będzie mogła się odzywać jedynie wtedy, kiedy znajdą się w zasięgu sieci komórkowej albo internetu bezprzewodowego, więc mogło minąć wiele dni, zanim będziemy mieli okazję znów porozmawiać.

Choć zdawaliśmy sobie z tego sprawę jeszcze przed jej wyjazdem, po tej rozmowie zacząłem jeszcze silniej odczuwać brak. Kiedy więc Ward powiedziała, że są już gotowi wznowić śledztwo, odwołałem wszystkie plany i pojechałem na naradę. Media zdążyły się już zorientować, że w opuszczonym szpitalu wydarzyło się coś bardziej sensacyjnego niż przypadkowa śmierć włóczęgi czy narkomana. Wzdłuż ulicy stały wozy transmisyjne najeżone antenami, a przed główną bramą zebrał się tłum reporterów i kamerzystów. Mój przyjazd wzbudził powszechne zainteresowanie, które jednak opadło w chwili, gdy funkcjonariusze stojący na straży przepuścili mnie przez kordon.

W świetle dnia Święty Juda nie robił już tak onieśmiałającego wrażenia jak w nocy. Tajemnicze kształty i mroczne cienie stojące po obu stronach podjazdu okazały się kupami gruzu i skorupami częściowo zburzonych budynków, porośniętymi chwastami. Odarty z maski ciemności szpital ukazał się w całej

zrujnowanej okazałości. Swego czasu musiał przepychem dorównywać wytwornym rezydencjom. Dwa długie skrzydła rozciągały się po obu stronach pseudogreckiego portyku z głównym wejściem – wsparty na kolumnach przypominał mauzoleum. Szerokie schody prowadziły do wysokich dwuskrzydłowych drzwi, których symetrię zaburzyło dodanie betonowego podjazdu dla wózków. Gmach nadal robił wrażenie, ale lata zaniedbania odcisnęły na nim piętno. Chwasty wyrastały ze szczelin w kamiennych ścianach, poczerniałych i upstrzonych ptasimi odchodami oraz graffiti. Rzędy wysokich okien, które niegdyś wychodziły na rozległe tereny zielone, teraz były zabite deskami i ślepe, a żalną atmosferę ruiny pogłębiały dodatkowo stare znaki prowadzące na dawno nieistniejące oddziały.

Naradę zorganizowano w przyczepie policyjnej zaparkowanej przed starym szpitalem. Ward po raz pierwszy prowadziła śledztwo i wyraźnie się denerwowała. W pewnym momencie upuściła notatki i schylając się po nie, zaklęła cicho pod nosem. Od razu po naradzie wyszła, więc nie miałem okazji z nią porozmawiać. Jednak kiedy już przebrany w kombinezon ochronny przedarłem się przez rzędy radiowozów i innych pojazdów, zobaczyłem Whelana u stóp schodów do szpitala. Obok niego stała policjantka w mundurze i z nieprzeniknioną miną patrzyła na trzeciego członka grupy: wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę w żółtej kurtce odblaskowej. Zwolniłem kroku, bo nagle się zorientowałem, że się kłóć.

A raczej ten duży się awanturował. Miał mniej więcej pięćdziesiąt lat, był tęgi i postawny, a okrągły, baryłkowaty brzuch wypinał bojowo do przodu. Kurtkę miał znoszoną, pokrytą głęboko wżartym brudem, a przez startą skórę jasnobrązowych butów roboczych przebijały metalowe noski. Twarz z popękanyimi naczynekami i rozszerzonymi porami, co świadczyło o silnym pociągu do alkoholu, w tej chwili załała się purpurą, a moich uszu dobiegł jego wściekły głos.

– ...jeszcze mało było nietoperzy! Pierdolonych nietoperzy, na miłość boską! A teraz znowu coś! Ja tu próbuję prowadzić firmę, macie pojęcie, ile mnie to

wszystko kosztuje?

Był o głowę wyższy od Whelana i bez skrupułów wykorzystywał fizyczną przewagę, górując nad zastępcą prowadzącej śledztwo i agresywnie wysuwając do przodu porośnięty szczecina podbródek. Whelan nie dawał się zastraszyć. Pozostawał niewzruszony i z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu nie ustępował ani na krok.

– Jak już mówiłem, bardzo nam przykro z powodu wszelkich niedogodności, ale...

– Niedogodności? Chyba sobie jaja robicie!

– ...to miejsce zbrodni. Aż do zakończenia śledztwa nie możemy pozwolić na żadne prace rozbiórkowe.

– A ile to niby potrwa?

– Tego niestety nie możemy w tej chwili powiedzieć. Im szybciej skończymy, tym szybciej będzie pan mógł wpuścić tu z powrotem ekipę, więc we własnym interesie powinien pan z nami współpracować.

– No zajebicie! A co ja mam robić do tego czasu? Płacić moim ludziom za siedzenie na tyłkach od rana do wieczora?

– Rozumiemy pańskie rozgoryczenie, panie Jessop, ale to nie zależy od nas. Jeśli pan pozwoli, proszę pójść z panią i poczekać w przyczepie, dopóki...

– Znowu, kurwa, czekać! Już się naczekałem za wszystkie czasy!

Obrócił się na pięcie i odmaszerował, tupiąc wściekle, a za nim poszła policjantka, wciąż z kamienną twarzą. Odsunąłem się na bok, kiedy zbliżył się w moją stronę, uświniona jaskrawożółta kurtka powiewała na wietrze. Coś wyleciało mu z kieszeni i z grzechotem upadło na ziemię. Spojrzałem pod nogi i zobaczyłem okulary – jedno szkło wypadło i wałało się po szorstkim asfalcie.

– Coś panu wypadło – zawołałem, podnosząc zgubę.

Obejrzał się na mnie i przez chwilę patrzył tak, jakby nie potrafił sobie przyswoić moich słów. Potem jednak się wrócił, zostawiając policjantkę, która cierpliwie czekała.

– Dzięki – mruknął, wyrywając mi okulary z ręki.

– Jeszcze to – dodałem, podając wypadnięte szkło.

Wydzielając ostry zapach potu, papierosów i nieprzetrawionego alkoholu, stał tak, mrugając i gapiąc się na zepsute okulary w dłoniach. Przez chwilę miałem dziwaczne wrażenie, że zaraz się rozplącze. Potem jednak zrobił w tył zwrot i odszedł, a policjantka musiała go gonić.

Podszedłem do Whelana.

– Sprawiał wrażenie raczej niezadowolonego.

– Niemożliwe, zauważył pan? To Keith Jessop, spec od rozbiórek, który ma zburzyć szpital. Przez te wszystkie protesty i aferę z nietoperzami sprawa ciągnie się już od wielu miesięcy, więc raczej nie ma powodów do radości. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Ale mam dobrą wiadomość: jeszcze nieraz go zobaczymy. Nikt tak dobrze nie zna konstrukcji Świętego Judy jak on, więc poprosiliśmy go o pomoc w namierzeniu ukrytych pomieszczeń, jeśli jeszcze jakieś są. Jak sam pan widział, aż się pali do pomocy.

– Myśli pan, że może być ich więcej? – Głupie pytanie. Tak bardzo się zafiksowałem na zwłokach ciężarnej i pozostałych dwóch ciałach, że nawet nie przyszłoby mi do głowy szukać innych kryjówek.

Whelan zapatrzył się na ciemną fasadę Świętego Judy, piętrzące się nad nami poczerńiałe ściany z rzędami ślepych okien.

– Znaleźliśmy już trzy ciała, a nawet nie szukaliśmy. Bóg jeden wie, na co jeszcze możemy się natknąć w tak ogromnym budynku.

Kiwnął głową na znak, żebym z nim poszedł.

– Chodźmy. Zanim zaczniemy wyciągać zwłoki, musi pan jeszcze coś zobaczyć.

Ukryta sala znajdowała się w skrzydle pediatrycznym na ostatnim piętrze, spory kawałek od wjazdu, przez który wcześniej wchodziliśmy na strych. Zapomniałem już, jak zimno było w szpitalu, w nieruchomym powietrzu wisiał zapach wilgoci i pleśni. Tutaj też wzdłuż korytarza ustawiono lampy, rozmieszczone tak, żeby oświetlały drogę, ale w kątach tworzyły się kałuże cienia. Podłoga była

zaścielona gruzem i fragmentami tynku, które chrzęściły pod butami, a niektóre odłamki były tak duże, że można sobie było skręcić kostkę. Na ścianach wisały plakaty przestrzegające przed skutkami palenia tytoniu, picia alkoholu i zażywania narkotyków, a inne zakazywały korzystania z telefonów komórkowych. Minęliśmy sporą przestrzeń poprzedzianą zasłonkami, gdzie wisiała tabliczka z napisem „RTG: Nie wchodzić, kiedy pali się czerwone światło” obok czerwonej żarówki zarośniętej pajęczynami.

Oddział, na który zmierzaliśmy, był jeszcze trochę dalej. Dwuskrzydłowe drzwi stały otworem, a w środku rozstawiono dodatkowe reflektory, które rzucały ostre, nienaturalne światło na obskurne ściany z wyblakłymi malunkami bajkowych postaci mizdrzących się do pustej sali. Tutaj woń pleśni była jeszcze intensywniejsza. Ze ścian dyndały powyrywane gniazda tlenowe, wszędzie wałały się stare, zniszczone graty: zardzewiała rama łóżka bez materaca, szafka nocna pozbawiona zarówno drzwiczek, jak i szuflady, a nawet kilka akumulatorów samochodowych. Wyliniały pluszowy miś pólleżał oparty o listwę przypodłogową obok zepsutego liczydła, z którego pręcików pospadały kolorowe koraliki.

– Wiem, mnie też to rusza – powiedział Whelan, widząc, że rozglądam się po oddziale.

– Nie można pozdejmować przynajmniej części tych desek z okien? – zapytałem, otrzeźwiony atmosferą panującą w zatęchłym pomieszczeniu. Na niektórych karniszach wisały jeszcze wystrzępione zasłony, a wszystkie okna były szczelnie zabite, tak że ciemności nie rozjaśniała nawet najmniejsza smużka światła dziennego.

– Można, ale wtedy pierwszy lepszy ciekawski z dronem albo teleobiektywem mógłby sobie zajrzeć do środka. A tak przynajmniej mamy pewność, że jutro nie wylądujemy na pierwszych stronach gazet.

Poszedł dalej, aż do końca oddziału, gdzie większe reflektory oświetlały grupkę anonimowych postaci w niebieskich kombinezonach. Zajmowali się ścianą, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie najzwyklejszej na świecie.

Cztery metry długości i trzy szerokości, zbudowana z pustaków pomalowanych na jasną zieleń, w odcieniu bardzo zbliżonym do pozostałych ścian. Łatwo było zrozumieć, jak to możliwe, że policjanci szukający Conrada ją przegapili. Była pozbawiona jakichkolwiek cech charakterystycznych, nic nie skłaniało do poświęcenia jej uwagi.

O ile nie wiedziało się, co się za nią znajduje.

Dopiero bliższa inspekcja pozwalała wychwycić fałszywe nuty. Tutaj wyraźnie było widać prostokątne zarysy poszczególnych bloków, podczas gdy pozostałe ściany wykończono tynkiem. Pustaki nie zostały też wpuszczone w sąsiadujące ściany, ale wciśnięte byle jak, jakby wypełniały jakiś otwór.

– Jak wam idzie? – zapytał Whelan, zatrzymując się przy zgromadzonym na miejscu arsenale ciężkich elektronarzędzi, młotów i dłut. Jego głos poniósł się echem po pustym pomieszczeniu.

Jedna z postaci przerwała na chwilę pracę.

– Już niedużo zostało. Wcześniej weszliśmy od tamtej strony i rozwiesiliśmy plandekę, żeby ograniczyć pylenie i zapobiec wpadaniu odłamków. Zabezpieczyliśmy miejsce zbrodni praktycznie idealnie.

– Mam nadzieję. Niepotrzebna nam kolejna wpadka.

Whelan nie powiedział tego groźnym tonem, ale też nie zabrzmiało to jak żart. Kiedy na nowo rozległo się walenie młotkiem, rozejrzałem się i zauważyłem w kącie pustą puszkę po farbie i plastikową kuwetę malarską. Obie były umazane emulsją w tym samym kolorze co ściana z pustaków. Obok leżał duży wałek malarski z gąbką przesiąkniętą zieloną farbą, zaschniętą na kamień.

– Czy to to, co myślę? – zapytałem.

– Zgadza się – odparł Whelan. – Ktoś zadał sobie tyle trudu z zakamuflowaniem ściany, a potem zostawił po sobie narzędzia. Zdjęliśmy z nich zresztą odciski palców. Zostawił nawet ślad kciuka w zaprawie, miło z jego strony. Kawał chłopca, jeśli można oceniać po rozmiarze dłoni.

– Trochę dziwne przeoczenie, nie sądzi pan?

– Zdarza się. – Wzruszył ramionami. – Ludzie próbują być sprytni, a popełniają najprostsze błędy. No nic, nie przeszkadzajmy tutaj. My pracujemy gdzie indziej.

Wyszliśmy z powrotem na korytarz. Reflektory poprowadziły nas za zakręt, aż do wejścia na drewniane schody wiodące gdzieś wysoko w górę. Odsunęliśmy się na bok, żeby wypuścić techniczkę kryminalistyczną w czarnym od brudu kombinezonie, a potem zaczęliśmy się wspinać wąskimi schodami.

– Wchodzi się tędy na wieżę zegarową – wyjaśnił Whelan w drodze na górę. W powietrzu unosił się suchy zapach kurzu, drewno trzeszczało pod naszym ciężarem. – Niewiele tam zostało, cały mechanizm zegara rozkradziono na złom. Ale my nie idziemy aż tak wysoko. Tutaj.

Dotarliśmy na niewielki podest. Reflektor oświetlał niski otwór drzwiowy w ścianie, góra półtora metra wysokości. Na ścianie, w której go wybito, spod pokruszonego gipsu wyzierały drewniane deski. Drzwiczki były otwarte, framugę pokrywały smugi przypominającego talk proszku daktyloskopijnego. Od zewnętrznej strony zamontowano solidny zamek – prostą metalową sztabę, która po opuszczeniu wsuwała się w okucie przymocowane do futryny.

– Jest tu kilkanaście włączów i drzwiczek porzrzucanych w najróżniejszych miejscach – powiedział Whelan. – Nie licząc tamtego, którym wchodziliśmy ostatnio, stąd jest najbliżej do miejsca znalezienia ciała. Uwaga na głowę.

Schylił się i precyzyjnie przeszedł przez niskie przejście, a ja poszedłem w jego ślady. W środku wyprostowałem się i rozejrzałem. Znajdowaliśmy się w innej części strychu, nie tam, gdzie odkryto zwłoki ciężarnej kobiety. Za plecami mieliśmy ceglane ściany wieży zegarowej, a przed nami drewniane belki podtrzymujące strop nikięły w ciemności niczym żebra martwego wieloryba. Było tu inne powietrze niż w reszcie budynku, jakby cięższe i osaczające. Łatwo byłoby tu dostać ataku klaustrofobii, pomyślałem i podszedłem do Whelana, który na mnie czekał.

Tuż za wejściem ułożono platformę z aluminiowych płytek, tworząc tymczasową posadzkę na legarach. Na środku została dziura, przez którą widać

było kawał uświnionej wełny izolacyjnej. W białym blasku reflektorów dwoje techników na czworakach grzebało w materiale.

– Znaleźliśmy to parę godzin temu – powiedział Whelan. – Co pan o tym sądzi?

Przykucnąłem obok odsłoniętego fragmentu ocieplenia. Znajdował się bardzo blisko drzwiczek, a nierówną, matową od brudu powierzchnię pokrywały setki malutkich, ciemnych plamek przypominających ziarenka czarnego ryżu. Układały się mniej więcej w owalny pierścień. Środek był niemal zupełnie pusty, potem kropki się zagęszczały, a następnie zanikały na zewnętrznych krawędziach.

Podniosłem jedną z nich i przyjrzałem się uważnie, obracając ją ostrożnie w obciążonych rękawiczką palcach. Sucha, jakby papierowa łupinka była pęknięta na pół, zamieszkujące ją niegdyś stworzonko dawno się wyprowadziło. Większość pozostałych wyglądała tak samo, chociaż zauważyłem też trochę powłoczek zachowanych w całości – niektóre poczwarki nie zdołały się wykluć. *Calliphoridae* to moje stare znajome. Wściekle bzyczenie dorosłych much stanowiło podkład muzyczny na wielu miejscach zbrodni, przy których pracowałem. Chociaż nie żywiłem do nich najcieplejszych uczuć, szanowałem rolę, jaką odgrywały – nie tylko w procesie rozkładu materii organicznej, lecz także w ustalaniu, ile czasu minęło od zgonu. Plujki działały jak naturalny stoper, a cykl ich życia – od jaja przez larwę po dojrzałego osobnika – stanowił nieocenioną pomoc w szacowaniu czasu śmierci.

Tutaj jednak zegar stanął już dawno temu – zbyt dawno, żeby mógł się do czegoś przydać. To oczywiście nie znaczyło, że puste powłoczki nie miały nam zupełnie nic do powiedzenia.

– Poprosiłbym o konsultację entomologa sądowego, żeby się upewnić, ale mamy tu do czynienia głównie z plujkami burczało i pospolitymi – stwierdziłem, badając pustą łuskę. – Nie widzę żadnych larw, ale po takim czasie to normalne.

Larwy albo się przepoczwarzyły i wykluły, albo zdechły i rozłożyły, pozbawione źródła pokarmu. Choć jednak nie było już ciała, które kiedyś tu

leżało, pozostały wyraźne ślady jego obecności. Wełna szklana była poplamiona i zmatowiała w miejscach, gdzie płyny z rozkładających się zwłok wsiąkły w izolację, a równy wzór porzuconych powłoczek został zakłócony. Miejscami łupinki były zmiążdżone i pokruszone.

– Wygląda na to, że mieliście rację – powiedział Whelan. – Ciało leżało tutaj, aż uległo mumifikacji, a potem przeniesiono je dalej na strych.

– Znaleźliście coś na tej płachcie, w którą była zawinięta? – spytałem.

– Może – odparł wymijająco. – Są na niej włosy, wyglądają na psią sierść, a w jednym z oczek plandeki zaczepił się ludzki włos. Innego koloru niż u ofiary, więc nie należy do niej. Sprawdzimy w bazie DNA, może kogoś znajdziemy, ale trochę to potrwa. Taką plandekę można znaleźć w każdym sklepie remontowym czy na budowie. Ten pył, który ją pokrywał, to mieszanka cementu i gipsu, tak jak podejrzewaliśmy, a niebieska farba jest dość pospolita, więc nie możemy dopasować jej do żadnej konkretnej marki. Moim zdaniem ten, kto przynosił ciało, złapał to, co miał pod ręką, nie kupował nowej plandeki. Chociaż to nie tłumaczy, dlaczego w ogóle tak długo czekali.

– Czekali?

Powiódł dłonią dookoła.

– To ze dwadzieścia, trzydzieści metrów od miejsca, w którym ją znaleźliśmy. O ile ktoś nie bawił się w kładzenie desek na dziurach w podłodze, musiał nieść zwłoki. Po zawinięciu w plandekę było na pewno łatwiej, ale nie wyobrażam sobie, żeby jedna osoba sobie poradziła. Nie chodzi nawet o sam ciężar, ale o utrzymanie równowagi na legarach, żeby nie spaść przez dziurę w suficie.

Słuszna obserwacja. Zresztą jeśli ciało byłoby ciągnięte, zostałyby ślady naruszonego materiału izolacyjnego, a także znaczne uszkodzenie delikatnych szczątków. Nie zauważyłem zaś żadnych tego typu urazów pośmiertnych.

Jeszcze raz spojrzałem na miejsce, gdzie wcześniej leżały zwłoki. Oprócz odbarwień powstałych w wyniku rozkładu na wełnie izolacyjnej widniał jeszcze inny, jaśniejszy zaciek, jakby wysechł tam jakiś inny płyn.

– Co to?

Jedna z techniczek pokręciła głową.

– Nie jesteśmy pewni. Na krew za jasne. Znaleźliśmy rozbryzgi prawdopodobnie tego samego płynu na tych drewnianych schodach, więc może to w ogóle nie pochodzić z ciała. Może komuś się po prostu coś wylało. Wysłaliśmy próbki do analizy, ale plama jest zbyt stara i sucha, żeby można się było czegokolwiek dowiedzieć.

– Ale znaleźliśmy coś jeszcze – powiedział Whelan. Wskazał na wewnętrzną część framugi. – Widzi pan?

Najeżone drzazgami bruzdy w niepomalowanym drewnie, jaśniejsze od reszty futryny.

Zadrapania.

– To by tłumaczyło urazy dłoni tamtej kobiety – wyjaśnił Whelan. – Wydłubaliśmy ze stolarki jeden paznokieć. Drzwi były zamknięte od zewnątrz, są dość solidne. Za ciężkie, żeby podważyć albo wyłamać, ale ewidentnie próbowała.

Boże, pomyślałem, widząc tę scenę oczami wyobraźni. Myśleliśmy, że kobietę gdzieś zamordowano, a potem zaniecono ciało na strych. Myliliśmy się.

Ktoś ją tu zamknął i zczekał, aż umrze.

– Nie mogę zrozumieć tylko jednego: dlaczego nie wy dostała się stąd przez inne wyjście – powiedział drugi z techników, starszy mężczyzna. W jego widocznych nad maską oczach malowała się troska. – Przecież to niejedyne drzwi.

– A jak ty byś się czuł, gdybyś musiał się tu czołgać w zaawansowanej ciąży? Nawet z tym mięśniami piwnymi nie było ci łatwo – zaproponowała jego koleżanka. – No i skąd miałyby wiedzieć, gdzie ich szukać? Było tu ciemno jak w grobie, a nie znaleźliśmy ani telefonu, ani zapalniczki, niczego, czym mogłaby sobie poświecić. Jeden nieostrożny krok i spadłaby piętro niżej.

– Tak tylko mówiłem – wymamrotał z nutką urazy w głosie.

Ciągle nie mogłem do końca zrozumieć, co tu właściwie zaszło.

– Po co ktoś miałby ją tu zamykać, a potem zostawić?

Whelan wzruszył ramionami.

– Niewykluczone, że to nie było celowe, głupi dowcip tragiczny w skutkach. Ludzie wyrabiają najdziwniejsze rzeczy po pijaku albo na haju, a już wiemy, że bywali tu narkomani. Ale nie bardzo sobie wyobrażam, żeby ciężarna chciała się dla żartu schować na strychu, niezależnie od stopnia odurzenia. Moim zdaniem albo ktoś ją tu wepchnął siłą, albo przed kimś uciekała i chciała się ukryć. Tak czy inaczej, ktoś ją zamknął od zewnątrz i zostawił. Co najmniej na wiele miesięcy, a może i lat. Może jak się dowiedział o planowanej rozbiórce szpitala, postanowił przenieść ciało gdzieś, gdzie trudniej by je było znaleźć.

Całkiem rozsądna i przekonująca teoria. Jednak wzmianka o ciężarnej uciekającej przed pogonią skojarzyła mi się z czymś, o czym wcześniej wspomniała techniczka.

– Co do tych jasnych plam na izolacji – zagailem, przyglądając się zmatowiałej wełnie szklanej. – Mówiła pani, że znaleźliście podobne ślady na schodach. Czy to mogłyby być wody płodowe?

Techniczka usiadła na piętach i zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Tak, sądzę, że to możliwe. Ale obawiam się, że plamy są zbyt stare, żeby móc to jednoznacznie stwierdzić.

– Myśli pan, że odeszły jej wody? – zapytał Whelan.

– Niewykluczone. Ale jeśli rzeczywiście tak się stało, to sądząc po rozmiarach płodu, poród rozpoczął się przedwcześnie.

– Mogła więc od tego umrzeć.

Pokiwałem głową i aż się wzdrygnąłem na samą myśl. Przedwczesne pęknięcie błon płodowych mogło zagrażać życiu matki nawet w znacznie lepszych warunkach, jeśli nie uzyskała pomocy lekarskiej. Uwięziona na strychu bez jedzenia, a nawet wody, nie miałyby szans przeżyć, ani ona, ani jej dziecko. Czekala ich powolna agonia w ciemności.

Przez chwilę wszyscy milczeli, aż w końcu Whelan odwrócił się w stronę wyjścia.

– Chodźmy – powiedział ponuro.

Idąc w dół po drewnianych schodach, zatrzymałem się przy wyschniętych bryzgach, o których mówiła techniczka. Bardzo nieznaczne, przypominały raczej zacieki niż plamy krwi. Było ich dużo, niektóre niewiele większe od pojedynczych kropli, tworzyły nierówny szlak w górę schodów prowadzących na strych.

Przecież to może być coś zupełnie niewinnego i niezwiązanego ze sprawą, upomniałem się w myślach, woda rozlana przez robotnika czy przypadkowego przechodnia. Łatwo pokusić się o nadinterpretację, zwłaszcza w przypadku spraw tak silnie oddziałujących na emocje.

Gdy jednak podążałem za Whelanem pustymi korytarzami szpitala, nie mogłem się pozbyć z głowy wizji młodej kobiety uciekającej przed pozbawionym twarzy prześladowcą albo prześladowcami. Próbowała się schronić na strychu, po czym odkryła, że wpadła w pułapkę. Wróciłem myślami do śladów wydrapanych w drewnianej framudze – każda bruzda świadczyła o strachu i desperacji. Wyczerpana, po przedwczesnym odejściu wód, próbowała walczyć o życie swoje i swojego dziecka w jedyny sposób, jaki jej jeszcze pozostał.

A kiedy i to okazało się nieskuteczne, położyła się na brudnym strychu i umarła.

ROZDZIAŁ 6

Wydobycie szczątków kobiety ze strychu przebiegło bez żadnych problemów. Kiedy wdrapałem się przez właz i po metalowych płytkach przeszedłem do miejsca, w którym leżały wysuszone zwłoki, przekonałem się, że kurz już opadł – dosłownie. Poddasze wyglądało dokładnie tak samo, jak je zostawiliśmy, tyle że teraz dziura, przez którą spadł Conrad, była przykryta plastikową płachtą i otoczona biało-niebieską taśmą policyjną.

Dowiedziałem się, że życiu patologa nic nie groziło, ale ze względu na poważny wstrząs mózgu oraz połamane żebra, biodro i bark raczej nie będzie mógł w najbliższym czasie prowadzić sekcji zwłok. Ktoś proponował, żeby poczekać na zastępstwo przed przystąpieniem do akcji wydobywczej, ale Ward nie chciała już dłużej tego odkładać. Choć eksperci budowlani stwierdzili, że reszta strychu nie grozi zawaleniem, nikt nie chciał ryzykować. Priorytetem stało się jak najszybsze przetransportowanie ciała do kostnicy. Reszta mogła poczekać.

W normalnych okolicznościach wydobycie ciała ze strychu byłoby względnie prostym zadaniem. Nawet delikatne zmumifikowane szczątki nie powinny przysparzać zbyt wielu problemów, choć oczywiście trzeba by zachować szczególną ostrożność przy przechodzeniu przez wąski właz. W tym wypadku jednak ofiara była nie tylko zmumifikowana, ale przede wszystkim ciężarna. Ponieważ płodu nie otaczały już amortyzujące wody płodowe, każde poruszenie ciała kobiety spowodowałoby przemieszczanie się malutkich kosteczek, które objęłyby się jak ziarenka w suchej tykwie. Nie mogliśmy pozwolić, żeby uległy dalszym uszkodzeniom, więc nie miałem innego wyjścia.

Przed wyniesieniem ciała matki ze strychu musiałem najpierw wyjąć z niej szczątki nienarodzonego dziecka.

Niezbyt uśmiechało mi się wykonanie tego zadania. Czułem, że rozdzielanie tej dwójki w taki sposób jest głęboko niewłaściwe, wręcz świętokradcze. Czekałem na swoją kolej, patrząc, jak techniczka kryminalistyczna ostrożnie zakłada foliowe torebki na szponiaste dłonie kobiety z pościeranymi opuszkami palców i połamanymi paznokciami. Potem, starając się ignorować innego technika, który filmował całą operację, i nie skupiać się na makabrycznym aspekcie czekającej mnie misji, wziąłem się do roboty.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłem. W praktyce miałem do czynienia z dwoma niezależnymi kompletami szczątków, ponieważ przebywały w zupełnie innych warunkach. O ile ciało matki było właściwie od samego początku wystawione na działanie powietrza, much i padlinożerców, o tyle płód znajdujący się w macicy byłby lepiej chroniony. To samo tyczyło się także procesu mumifikacji. Ciało matki powinno schnąć od zewnątrz, a narządy wewnętrzne stopniowo się kurczyć, bo wysychałyby wolniej. W zwykłych okolicznościach dziecko byłoby tak samo chronione. Zanurzone w wodach płodowych szczątki mogłyby w ogóle nie ulec mumifikacji.

Niewątpliwie jednak te okoliczności nie były zwykłe. Cała jama brzuszno-miedniczna była otwarta i wydrążona, wystawiając na widok malutki szkielet skulony w środku. Gdyby przyczyną była rana, to na dżinsowej spódnicy i koszulce powinny zostać rozległe plamy krwi. Ich brak świadczył, że powód musiał być inny. Jedną z możliwości stanowiły szczury. Wiadomo, że lubią się gnieździć na strychach, a wstępne oględziny ciała nie pozostawiały wątpliwości, że odwiedziły zwłoki, zanim te uległy mumifikacji.

Jednak wbrew obiegowej opinii gryzoni wcale nie tak chętnie żywią się ludzkimi szczątkami. Lisy, psy, a nawet domowe koty są znacznie żarłoczniejsze, choć w tym wypadku nie można było mówić o stworzeniu tak dużych rozmiarów. Nawet gdyby jakieś zwierzę zdołało się dostać na strych, więksi padlinożercy zwykle pożerali ciało w charakterystyczny sposób, zaczynając od

miękkich tkanek głowy i szyi, a kończąc na rozczłonkowaniu czaszki i kości długich. Czasem pozwala to na oszacowanie przybliżonego czasu śmierci na podstawie wiedzy o długości trwania poszczególnych etapów.

Nic jednak nie wskazywało na to, żeby miała tu miejsce taka sytuacja. Ślady zębów ograniczały się głównie do kończyn i twarzy, części ciała najbardziej narażonych na atak małych gryzoni. Pomijając urazy powstałe podczas nieudanych prób wydostania się ze strychu, opuszki zostały dokumentnie obgryzione, co zresztą uniemożliwiało identyfikację na podstawie odcisków palców. Oczy, uszy i nos również padły ofiarą padlinożerców, które pozostawiły po sobie makabryczną maskę pośmiertną. To wszystko wskazywało na robotę zwierzęcia nie większego niż szczur. Choć brzegi otwartej jamy brzusznej również zostały obgryzione – a znacznie mniejsze kostki płodu spotkały się z jeszcze większym zainteresowaniem – wydarzyło się to raczej później. Na podstawie pustych powłoczek po poczwarkach mogłem stwierdzić, że larwy *Calliphoridae* pracowały tu na pełnych obrotach, więc obwiniąlbym raczej muchy niż szczury.

Jednak muchy złożyłyby jaja na brzuchu tylko w przypadku, gdyby ziała w nim otwarta rana. Nie musiałyby być szczególnie duża: nawet małe zacięcie czy otarcie wystarczyłoby tym żarłocznym owadom za zaproszenie. Nic jednak nie wskazywało na żaden wcześniejszy uraz, nie znaleziono bandaża czy choćby plastra ani na ciele, ani w fałdach otulającej je płachty. Niczego takiego nie było też w miejscu, gdzie zwłoki leżały wcześniej.

Rozwiązanie tej zagadki mogło jednak poczekać do czasu przeniesienia ciała do kostnicy. Przysunąłem bliżej jeden z reflektorów i zająłem się żalną kupką drobniutkich kości.

Pracując, słyszałem dobiegające z piętra niżej odgłosy głośnego walenia młotem w dobudowaną ścianę. Nie dałem się jednak rozproszyć. Z kruchym szkielecikiem musiałem się obchodzić jak z najdelikatniejszym jajkiem. Niektórych fragmentów brakowało, zostały porwane przez padlinożerców. Pozostałe kostki odłączyły się od siebie nawzajem i leżały rozrzucone

nieporządnie, poruszone zapewne podczas przenoszenia zmumifikowanego ciała matki, a także przez gryzonie. Zacząłem wyjmować je ostrożnie, jedną po drugiej, i pakować do małych torebek, starając się w miarę możliwości rozdzielać lewe kości od prawych. Miniaturowe rozmiary szkieletu czyniły całą operację morderczo powolną, smażyłem się w ostrym świetle lamp.

Właśnie z najwyższym skupieniem próbowałem unieść pęsetą jeden z maluteńkich kręgów, więc nawet nie podniosłem głowy na tupot kroków zbliżających się po prowizorycznym chodniku.

– Ile to panu zajmie? – zapytał po chwili Whelan.

– Tyle, ile będzie trzeba.

Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzałem. Próbowałem się zdystansować od wykonywanego zajęcia, ale ewidentnie mi się to nie udało. Spokojnie wsunąłem do torebki kolejny kręg i dopiero wtedy się wyprostowałem.

– Jestem mniej więcej w połowie – odparłem. – Nie da się szybciej, jeśli nie chcę uszkodzić kości. Nie chcę też żadnej przegapić.

– Jasne, rozumiem. Tylko pytałem.

Kiwnąłem głową w kierunku dobiegającego z dołu łomotu.

– A jak idzie z tamtą ścianą?

– Jakoś idzie. Zrezygnowaliśmy z elektronarzędzi, więc wszystko trzeba robić staroświeckimi młotkami i dłutami. Wolniej, ale będzie też mniej pyłu. Do popołudnia powinniśmy skończyć, a jak już podeprzemy sufit, będzie można wpuścić kryminalistycznych.

– Gdzie Ward? – zapytałem. Nie widziałem jej od rana, ulotniła się zaraz po naradzie.

– Utknęła na jakimś spotkaniu, ale potem przyjedzie. Chciała zresztą zamienić z panem słowo.

Przytaknąłem, choć słuchałem go tylko jednym uchem. Zanim Whelan odszedł, ja już pochylałem się znowu nad szczątkami, próbując wydłubać żeberko rozmiarów ości.

Nawet nie przyszło mi do głowy zastanawiać się, czego Ward mogła ode mnie chcieć.

Gawrony przycupnięte na dachu ruiny wyglądały na tle nieba jak mnisi. Równie dobrze same mogłyby być wyrzeźbione z kamienia. Od czasu do czasu któryś przechylał łebek albo stroszył piórka, ale zaraz się uspokajał i ptaki wracały do milczącego czuwania.

Zarośnięty bluszczem kościół bez dachu stał na polanie otoczonej jesiennymi drzewami. Tylko ściana szczytowa zachowała się w całości, a w łukowatym oknie w jej centrum odbijało się błękitne niebo. Pozostałe ściany już wiele wieków temu zmieniły się w kopy kamiennych bloków porośnięte mchem i paprociami łagodzącymi ostre krawędzie. Na samym środku leżał dąb powalony przez burzę – choć nie aż tak wiekowy jak sam kościół, musiał być dość stary. Jakiś metr nad ziemią, w miejscu uderzenia pioruna, sękaty pień był poczerniały i pęknięty. Na śmiertelnie rannym drzewie wykwitł jednak gąszcz młodej roślinności, skupiony wokół osmalonego kikuta, a na gałęziach wciąż uparcie trzymały się rzadkie listki, jakby dąb nie chciał przyjąć własnej śmierci do wiadomości.

Z trudem przychodziło mi uwierzyć, że znajduję się zaledwie rzut beretem od szpitala, wciąż na terenie gęsto zabudowanego Londynu. Przebiegająca wiewiórka zatrzymała się na chwilę, skarciła mnie wzrokiem i wystrzeliła w górę po pniu drzewa, po czym zanurkowała w szeleszczącą koronę. Przez chwilę przyglądałem się jej ze swojego miejsca, a potem zamknąłem oczy i wystawiłem twarz do słońca.

Skończyłem już na strychu i teraz musiałem trochę przewietrzyć głowę. Po usunięciu i zabezpieczeniu szkieletu płodu przeniesienie szczątków kobiety poszło już całkiem sprawnie. Ucieszyłem się, kiedy było po wszystkim. Strych tonął w powodzi jasnych światłał, było tam ciasno i duszno, a ja w kombinezonie zalewałem się potem już na długo przed końcem prac. To nie była tylko kwestia fizycznego dyskomfortu, zdążyłem już przywyknąć do niewygód. Nie chodziło

też o smutny charakter powierzonego mi zadania. Coś było nie tak z samym szpitalem. Święty Juda zdawał się wywierać jakiś złowieszczy ucisk, tym silniejszy, im dłużej przebywało się wewnątrz. Sądziłem, że odpuści, kiedy zejść z pozbawionego powietrza strychu, jednak długie, opustoszałe korytarze okazały się niewiele lepsze. Każdy odgłos niósł się w nich głośnym echem, cuchnęły grzybem i moczem, zdawały się nigdy nie kończyć w świetle lamp, które tylko pogłębiały cienie poza linią światła. Przez otwarte drzwi migają wnętrza ciemnych sal, pustych, jeśli nie liczyć tu i ówdzie przewróconego krzesła czy zepsutego wózka. Chociaż niegdyś w tym budynku uzdrawiano, ściany pokryte łuszczącą się farbą zdawały się wcale o tym nie pamiętać. Dziś przysliby tu tylko najbardziej zdesperowani.

Ogarnęła mnie ulga, kiedy wyszedłem na zewnątrz, na światło dnia. Nawet przesiąknięte wonią oleju napędowego powietrze miało słodki smak w porównaniu z wnętrzem budynku. Chwila wytchnienia nie miała jednak potrwać długo. Sekcję zwłok kobiety i jej nienarodzonego dziecka zaplanowano na następny poranek, a w międzyczasie trzeba się było jeszcze zająć ofiarami z zamurowanej sali. Kiedy tylko ściana zostanie zburzona, czeka mnie powrót w mury Świętego Judy.

Zdjąłem kombinezon, wziąłem sobie kanapkę i butelkę wody, po czym obszedłem szpital, żeby zobaczyć, co znajduje się na tyłach. Moim oczom ukazał się obraz systematycznego niszczenia. Spękany asfalt pokrywały zatarte białe linie wyznaczające miejsca parkingowe, a kupy gruzu wysokości człowieka wskazywały, gdzie znajdowały się dawniej przybudówki. Na jednym z takich porośniętych zielskiem pagórków wśród potrzaskanych cegieł i betonu sterczała poobtłukiwana tablica z napisem: „Dostawy do kostnicy tylnym wejściem”. Pięćdziesiąt metrów dalej biegła ciemnozielona linia drzew. Przypomniałem sobie słowa Ward o lasku na tyłach szpitala i ruszyłem w tamtą stronę. Opiekun psa policyjnego patrolujący zewnętrzny kordon prawie zawrócił mnie z drogi, ale po krótkim wyjaśnieniu z mojej strony pozwolił mi przejść.

Lasek rzeczywiście nie był zbyt duży – w tej części miasta nie miałby prawa ostać się większy. Rząd zardzewiałych prętów, ostrych jak włócznie i rozrastających się na wszystkie strony pod dziwnymi kątami, tworzył granicę między drzewami a terenem szpitala. Był częściowo zarośnięty podszyciem, więc z początku nie byłem pewny, czy znajdę przejście. Okazało się jednak, że kawałek spiczastego ogrodzenia się zapadł, zostawiając metrową lukę. Wąska wydeptana ścieżka wskazywała, że nie ja pierwszy odkryłem tę dziurę, więc przedarłem się przez drapiące gałęzie i wkroczyłem do lasu.

Znalazłem się w innym świecie. To nie były świeże nasadzenia, szybko rosnące rośliny wykorzystywane w zieleni miejskiej. Tutejsze drzewa były leciwe – buki i dęby o szerokich, powykręcanych pniach. Otaczały mnie coraz ściślej, w miarę jak zagłębiałem się w las, i już po paru krokach poczułem się tak, jakby szpital imienia Świętego Judy i cała reszta Londynu nigdy nie istniały.

Nie zamierzałem zapuszczać się daleko, ale kiedy zobaczyłem jaśniejszą plamę światła między drzewami gdzieś z przodu, ruszyłem w jej stronę. Ward wspominała o ruinach normńskiego kościoła, ale przypomniałem sobie o tym dopiero, kiedy dotarłem na polanę i zobaczyłem sypiące się kamienne ściany. Kościół musiał robić wielkie wrażenie w czasach, gdy otaczające go ziemie porastała łąka albo las z prawdziwego zdarzenia. Teraz została tylko jedna samotna ściana, pokryta bluszczem, który piął się po kamieniach, jakby próbował powoli wciągnąć je w ziemię.

Przestąpiłem przez omszały kamienny blok i ruszyłem w stronę tego, co dawniej musiało być główną nawą kościoła, teraz otwartą na niebo i niemal całkowicie wypełnioną powalonym dębem. Obszedłem ogromny pień, przysiadłem na porośniętej trawą kupce zwalonych kamieni i zjadłem pozbawioną smaku kanapkę. Kiedy wyteżyłem słuch, mogłem ledwie wyłapać dalekie dźwięki ruchu ulicznego, stłumiony szmer, który przypominał poszum morskich fal. Potem lekki wiaterek zaszeleścił gałęziami i zniknął nawet ten ostatni odgłos świata zewnętrznego. Siedząc tak z zamkniętymi oczami i grzejąc

twarz w słońcu, wreszcie poczułem, że zaczynam się wyzwalać spod wpływu szpitala Świętego Judy.

Chyba odpląnąłem. Przebudziłem się gwałtownie i poczułem mrowienie – świadomość, że nie jestem już sam.

Na skraju polany stała jakaś kobieta.

Nie słyszałem, kiedy przysła. Mocno zbudowana, na oko po siedemdziesiątce, chociaż trudno było dokładnie stwierdzić. Brązowy płaszcz, który miała na sobie, wyglądał na zbyt ciężki jak na taką pogodę, a schodzone adidasy nie pasowały do grubych rajstop. Z ręki zwisał jej pusty worek na śmieci, szeleszcząc cicho na wietrze. Siwe włosy, z lekko rudawym odcieniem, przypominały zardzewiały drapak do patelni, a znajdująca się pod nimi twarz miała obfity podbródek i niezdrowo bladą cerę. Kobieta oddychała ciężko, nawet z tej odległości dobrze słyszałem astmatyczny świst.

Nawet jeśli zaskoczył ją mój widok, to nie dała tego po sobie poznać.

– Kim pan jest?

Dźwignąłem się na nogi.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

– Nic takiego nie powiedziałam. – Małe oczka taksowały mnie podejrzliwie znad ziemistych policzków. Kiwnęła podbródkiem w stronę drzew za moimi plecami. – Pewnie jesteś pan od tych tam, co?

– Od jakich tam?

– Od policjantów. W sprawie tych trupów, co było o nich w wiadomościach. – Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. – Nie wyglądasz mi pan na policjanta.

– Bo nim nie jestem.

– To co pan tu robisz?

– Już sobie idę – powiedziałem zrezygnowany.

I tak zresztą powinienem już wracać. Zabrałem butelkę z wodą i resztki kanapki, ale kobieta wcale nie skończyła.

– Jak nie z policji, to skąd? Na ćpuna też pan nie wyglądasz. A zresztą nawet jeśli, to szkoda czasu. Nikt nie sprzedaje.

– W porządku, ja nie zamierzam nic kupować. – Wzbudziła jednak moje zainteresowanie. – A skąd pani wie, że nikt nie sprzedaje?

Ward wspominała, że w opuszczonym szpitalu handlowano narkotykami, a całkiem prawdopodobne, że przynajmniej jedna z ofiar mogła być albo narkomanem, albo dilerem. Jeśli ta kobieta coś widziała, mogłaby zostać świadkiem.

Parsknęła pogardliwie.

– A jak mieliby sprzedawać, skoro wszędzie się tu kręci policja? Jest ich tu jak mrówek.

– Ale zanim przyjechała policja. Dużo się tu sprzedawało?

– Panie, otwórz pan oczy. Porządny ludzom strach wychodzić na ulicę. – Nagle na jej twarzy odmalował się wyraz oburzenia. – A czemu pan pytasz?

– Tak tylko...

– Myślisz, że ja też jestem z tej hołoty?

– Nie, ja...

– Parszywe bydlaki! Wszystkich się ich powinno powiesić! Rozwalają życie przyzwoitym ludzom, ale nikogo to nie obchodzi!

Uznałem, że lepiej zmienić taktykę.

– Nie miałem pojęcia, że takie miejsce w ogóle jest w Londynie. Mieszka pani w pobliżu?

– Niedaleko. – Rozejrzała się dookoła i zacmokała z irytacją na widok pustych butelek w trawie. Otworzyła worek na śmieci, schyliła się, podniosła szkło i z obrzydzeniem wrzuciła do worka. – Sam pan zobacz. Brudasy pieprzone, zostawiają po sobie straszny syf.

– Dlatego tu pani przychodzi? – zapytałem. Wreszcie zrozumiałem, po co jej był ten worek.

– A co, to nielegalne? Ktoś to musi sprzątać. – W zamyśleniu poruszała szczęką, jakby coś przeżuwała, a w jej oczach malowała się już nieukrywana

wrogość. – Jak na kogoś, kto nie jest policjantem, cholernie dużo pytań pan zadajesz.

Uniosłem ręce w geście kapitulacji.

– Nie chciałem się wtrącać.

Łypnęła spode łba i ostatni raz omiotła mnie spojrzeniem, poprawiając chwyt na prawie pustym worku na śmieci.

– Odwal się pan.

Z tymi słowy odwróciła się na pięcie i odeszła w las. No to mi powiedziała, pomyślałem, patrząc za przysadzistą postacią człapiącą między drzewami. Potem, upewniwszy się, że nie zostawiłem po sobie żadnych śmieci, wróciłem do szpitala.

ROZDZIAŁ 7

Po powrocie okazało się, że Ward nadal się nie pojawiła. Włożyłem czysty kombinezon, rękawice i ochraniacze na buty, naciągnąłem kaptur i maskę. Tak ubrany ponownie wkroczyłem w ciemne wnętrze szpitala.

Poczułem się tak, jakbym spadł w przepaść. Nawet wspinając się po schodach, miałem wrażenie, że znajduję się pod ziemią, daleko od świeżego powietrza i światła słonecznego. U szczytu zatrzymałem się na chwilę, patrząc w rozciągający się przede mną pozbawiony okien korytarz. Zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Na całej długości ustawiono pod ścianami reflektory, których sznur nikał w oddali, przypominając pas startowy dla nocnego samolotu. Wzdrygnąłem się bezwiednie i ruszyłem przed siebie.

Po odgłosach stukania domyśliłem się, że nie udało się jeszcze zburzyć ściany. Kiedy zbliżyłem się do celu, w świetle reflektora zobaczyłem zawieszony w powietrzu opar cementowego pyłu. W sali chmura była jeszcze gęstsza. Dwaj potężnie zbudowani funkcjonariusze walili w ścianę ciężkimi młotami i dłutami. Ich cienie szamotały się w jasnym świetle reflektorów, kiedy wyłupywali zaprawę otaczającą każdy pustak z osobna i wydłubywali je jeden po drugim, tworząc nierówną dziurę. Chroniąca przed pyłem foliowa płachta powieszona po drugiej stronie powiewała z każdym uderzeniem narzędzi jak brudna zasłona prysznicowa.

W sali zebrało się wielu ubranych na biało policjantów i techników kryminalistycznych, niemal nie do odróżnienia w tych kombinezonach z kapturami i w maskach. Udało mi się wypatrzeć wśród nich Whelana, ale na mój widok się odwrócił. Najwidoczniej nie miał nastroju na rozmowy. Nie tylko

on. W powietrzu wisiało niemal namacalne, pełne wyczekiwania napięcie, gęste jak pył z burzonej ściany.

Na korytarzu zrobiło się jakieś zamieszanie.

– Z drogi śledzie, przepraszam, uwaga, idę, dziękuję...

Rozpoznałem ten głos, jeszcze zanim zobaczyłem jego właścicielkę. Był cichy, ale mocny, z chrypą pasującą do nałogowego palacza. Zupełnie nieadekwatnie, należał bowiem do zagorzałej przeciwniczki tytoniu. Policjanci i technicy stojący w drzwiach pośpiesznie usunęli się na bok, żeby przepuścić kobietę, która wpadła z impetem do środka. Choć w porównaniu z rozstępującymi się funkcjonariuszami wydawała się maciupenka, to nie zwolniła ani nawet nie zaszczyciła ich spojrzeniem, uznając za oczywiste, że zrobią jej miejsce. Zatrzymała się przy mnie i odstawiła staroświecki skórzany kuferek lekarski, który prawie dorównywał jej rozmiarem. Nad maską zakrywającą usta pojawiły się zmarszczki od uśmiechu.

– Cześć, David. Kopę lat.

Rzeczywiście. Riya Parekh była jednym z pierwszych patologów, z którymi miałem okazję pracować. Już wtedy była jedną z najbardziej doświadczonych w tej dziedzinie, a jako znacznie starsza ode mnie znajdowała się na szczycie drabiny kariery, kiedy ja dopiero zaczynałem. Od tamtej pory minęło wiele lat, wolałem nawet nie liczyć.

Wiele się przez ten czas zmieniło.

Łącznie z samą Parekh. Nawet spod kaptura i maski było widać, że się mocno zestarzała. Nigdy nie należała do najwyższych, ale teraz wyglądała tak, jakby się fizycznie skurczyła, a na plecach zaczął jej rosnać garb. Niegdyś kruczoczarne brwi posiwiały, a mocno podkrążone oczy otaczała siateczka zmarszczek.

Odwzajemniłem uśmiech, autentycznie uradowany spotkaniem.

– Cześć, Riyo. Nie wiedziałem, że zajmujesz się tą sprawą.

– Bo się nie zajmowałam, ale potem Conrad wszystko schrzanił. – Prychnęła.

– Typowe.

Przynajmniej nie wszystko się zmieniło.

– Co sływać? – zapytałem.

– Wiesz, jak jest. Starość, łupanie w kościach, poza tym nic nowego. –
Przyjrzała mi się bacznie. – Dobrze wyglądasz.

– Ty też.

– Kłamczuch. – Wyraźnie jednak sprawiłem jej przyjemność. Odwróciła się i zmierzyła wzrokiem częściowo rozebraną ścianę z pustaków. – Przypomina mi to Edgara Allana Poeego. *Zagłada domu Usherów*. Znasz tę nowelkę?

– Nie, ale domyślałem się, że kogoś tam zamurowano.

– Właściwie to pochowano, ale byłeś blisko. Chociaż akcja nie toczy się w szpitalu, więc miejmy nadzieję, że podobieństwa na tym się kończą.

– Podobieństwa?

– U Poeego ofiarę pochowano żywcem.

Przypomniałem sobie, że kiedy pomagałem Whelanowi z Conradem, widziałem pasy przywiązujące ciała do łóżek. Spekulacje nie miały jednak sensu: wkrótce mieliśmy się wszystkiego dowiedzieć. Patrzyliśmy, jak kolejny pustak został wyciągnięty ze ściany i przeniesiony na rosnącą stertę. Wybito już na tyle duży otwór, żeby dało się przez niego przejść. Czerwony i zdyszany technik kryminalistyczny upuścił ciężki blok i zwrócił się do Whelana:

– Chyba wystarczy.

Podczas gdy technicy wciągali najgorszy pył i gruz odkurzaczem przemysłowym, Whelan podszedł porozmawiać z Parekh. Nadal zdawał się mnie nie zauważać, ale byłem zbyt mocno zaabsorbowany czarną dziurą, żeby się nad tym zastanawiać.

– Zastępca? – zdziwiła się Parekh. – A gdzie nadkomisarz Ward?

Sam się nad tym zastanawiałem. Musiała mieć bardzo ważne spotkanie, żeby przegapić tak przełomowy moment śledztwa.

– Już tu jedzie – odparł Whelan. – Przypominam, że będzie chciała zamienić z panem słowo, doktorze. Radziłbym panu poczekać na nią na zewnątrz.

Nie podobało mi się to. Dopiero teraz zacząłem się zastanawiać, o czym to Ward mogła chcieć ze mną porozmawiać, ale wtrąciła się Parekh,

uniemożliwiając mi zadanie pytań komisarzowi.

– Bzdura, zaraz wchodzimy. Skoro nadkomisarz Ward nie potrafi dotrzeć na czas, to powinna zainwestować w lepszy zegarek.

Whelan chciał chyba coś na to odpowiedzieć, ale potem się zreflektował. Odwrócił się w stronę dziury w ścianie, unikając mojego wzroku. Jedna z techniczek odsunęła folię. Za przezroczystą płachtą panowała czerń. W miejscu, z którego usunięto pustaki, ściana wyglądała jak wejście do mrocznej jaskini.

– Ma ktoś latarkę? – zapytała Parekh, wyciągając rękę.

– Powinniśmy chyba poczekać na podparcie sufitu i jakieś światło – stwierdził Whelan. Technicy w granatowych uniformach już wyciągali stalowe podpórki i zanosili reflektory na miejsce. – Rozbijemy też namiot nad łózkami, żeby na ciała nie sypał się już tynk.

– Mogę popatrzeć, jak będziecie to robić.

Nie zostawiała pola do dyskusji. Podczas rozdawania latarek Whelan nadal mnie ignorował.

– Proszę nie wchodzić za daleko. I trzymać się z dala od miejsca, w którym zawalił się sufit – uprzedził Parekh i włączył jej latarkę.

– Może pan tu zostać, jeśli się pan boi – odparła.

Usłyszałem, że wchodząc za patolożką przez otwór w ścianie, zaklął pod nosem. Zapaliłem latarkę i ruszyłem za nimi.

Kiedy wkroczyłem do pomieszczenia, własny oddech pod maską zaczął mi się wydawać zbyt głośny. Zapach rozkładu był nadal wyczuwalny, choć słabszy niż wcześniej. To była woń dawnej śmierci, nic świeżego. Wcześniej uchwyciłem jedynie migawki, byłem zbyt zajęty Conradem, żeby dokładnie przyglądać się otoczeniu, zresztą i tak było wtedy zbyt ciemno. W świetle zobaczyliśmy salę o wymiarach mniej więcej dziewięć metrów na sześć. Z gołych ścian łuszczyła się farba, pomieszczenie było nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do powierzchni. Na podłodze, pod dziurą w suficie, leżała kupa gruzu, kawałków drewna i strzępów izolacji.

Snop światła z latarki Parekh przesunął się po łózkach. Stały w szeregu – trzy ciężkie graty o metalowych ramach, modele instytucjonalne z dawno nieaktualnego katalogu mebli dla służby zdrowia.

Dwa z nich były zajęte.

Strumienie światła z naszych latarek spotkały się na najbliższym łóżku. Nieruchoma postać w poplamionych džinsach i bluzie leżała na wznak na gołym, zanieczyszczonym materacu. Słuszna postura ciała sugerowała płęć męską, chociaż wiedziałem, że niekoniecznie tak musiało być. Było przymocowane do łóżka dwoma szerokimi gumowymi pasami, w rodzaju tych, jakimi się unieruchamia pacjentów podczas operacji. Jeden biegł przez tors i przedramiona, drugi poniżej kolan. Włosy prawie całkiem zsunęły się z czaszki, razem ze skórą głowy, która nabrała koloru i faktury starego siodła. Sama głowa była odchylona do tyłu, a zęby jakby wyszczerzone czy obnażone w krzyku.

Do ust ktoś wcisnął zwiniętą szmatę. Poluzowała się, w miarę jak kurczyły się wargi i policzki, i teraz tkwiła między zębami jak brudna uzda.

Drugie ciało było znacznie mniejsze, ale tak samo skrupowane i zakneblowane. Tak jak w przypadku pierwszego skóra wisiała na kościach niczym za duże ubranie. Ta osoba miała jednak znacznie więcej włosów, które układały się gęstą, czarną kałużą na materacu wokół głowy.

Parekh zrobiła krok w przód, ale Whelan z szacunkiem, acz stanowczo zatrzymał ją wyciągniętą ręką.

– Przykro mi, ale musimy przede wszystkim zabezpieczyć sufit przed zawaleniem.

– Nie zamierzam się bujać na żyrandolu, chcę się tylko dokładniej rozejrzeć – zripostowała patolożka.

– I będzie pani mogła to zrobić. Jak tylko wszystko tu rozstawimy.

Parekh cmoknęła z irytacją, ale już nie oponowała. Założyła okulary w szylkretowych oprawkach, odbijało się w nich światło latarek, którymi oświetlaliśmy znalezione ciała.

W przeciwieństwie do szczątków ciężarnej kobiety te nie uległy mumifikacji. W ukrytej sali było znacznie chłodniej niż na strychu, brakowało tu zarówno palącego żaru, jak i przepływu powietrza. Chociaż obwisła skóra zaczęła wysychać, rozkład tych dwóch ciał postępował nieprzerwanie, przez wzdęcie i gnicie, aż do obecnego stanu. Jediną cechą wspólną ze zwłokami z poddasza był fakt, że podobnie jak mumifikacja, i ten proces zakończył się już jakiś czas temu.

Była też inna znacząca różnica. Przyświecając sobie latarką, sprawdziłem ciała i podłogę pod łózkami na okoliczność pustych powłoczek po poczwarkach. Żadnych nie znalazłem. Na ciałach też nie było widać śladów konsumpcji przez plujki. Wystarczyłaby jedna mucha: z jajek wyklułyby się larwy, które żywiłyby się i przepoczwarzyły, a potem ten cykl by się powtarzał, aż plujki pożarłyby wszystkie dostępne tkanki miękkie.

Skoro do tego nie doszło, to musiało znaczyć, że pokój był szczelnie zamknięty.

Przeniosłem snop światła na najbliższe ciało. Dłonie skurczyły się do czegoś w rodzaju szponów, poźółkłe paznokcie wykrzywiły w pazury drapieżnego zwierzęcia. Mankiety bluzy podjechały w górę, odsłaniając to, co zostało z przedramion: skórę wiszącą na kościach i ścięgnach. Skóra miała nasyconą barwę karmelu, ale ciemnienie było jednym z typowych elementów procesu rozkładu, bez związku z naturalnym odcieniem karnacji.

– Raczej nie ma szans na identyfikację po odciskach – stwierdził Whelan, oświetlając dłonie ofiar. Luźna skóra wisiała jak zbyt duże rękawiczki, zeszywniała w miejscach wysuszonych na powietrzu.

Mylił się, ale jeszcze będzie czas go poprawić. Teraz zainteresowało mnie to, jak gumowe paski powrzymały się w ręce ofiar. Skóra skurczyła się i odsunęła od ran jak podciągnięte rękawy. Obie ofiary miały na sobie dzinsy, a w miejscach, gdzie paski krępowały nogi, materiał był wystrzępiony i pokryty plamami zaschniętej krwi.

– To co my tu mamy? – zapytał Whelan ściszym głosem. Atmosfera miejsca skłaniała do mówienia szeptem. – Jakież tortury?

Parekh mruknęła z namysłem, oświetlając unieruchomione ręce najpierw jednego ciała, a potem drugiego.

– Być może. Ale nie widzę żadnych ran poza urazami od tych pasków.

– Pewnie sami się tak urządzili, biedni, próbowali się uwolnić – stwierdził Whelan.

– Możliwe, ale to nie są tylko otarcia naskórka – zauważyłem. – Trudno jednoznacznie stwierdzić z uwagi na stan skóry, ale wygląda na to, że krawędzie pasków werżnęły się w mięśnie pod skórą. To musiał być ból nie do zniesienia. Żeby wyrządzić sobie taką krzywdę, musieli być naprawdę zdesperowani. Jak usidłone zwierzę, które próbuje sobie odgryźć własną łapę.

Pokręcił głową.

– Dziwi się im pan?

– Nie o to chodzi, ale nie ma żadnych śladów tortur. Przynajmniej fizycznych – powiedziała Parekh, przyglądając się leżącemu bliżej ciała. – Żadnego wrywania zębów czy paznokci, na pierwszy rzut oka nie widać przyczyny zgonu. Na tym etapie nie mogę oczywiście wykluczyć na przykład uduszenia. Ale skoro jedyne widoczne urazy wyglądają na samookaleczenie, to każe mi podejrzewać, że w chwili zamurowania sali ofiary mogły być żywe i przytomne.

– Chryste. – Whelan był wyraźnie wstrząśnięty. – Jak długo?

Parekh wzruszyła ramionami.

– To zależy. Jeśli umarli z głodu czy pragnienia, mogło to potrwać wiele dni. Na razie nie sposób tego stwierdzić, ale na pewno nie poszło to szybko.

– Mogli się udusić?

– Jeśli pokój był hermetycznie zamknięty, to owszem, tak sędzę.

– Raczej nie był – wtrąciłem się. Też się nad tym zastanawiałem z powodu braku plujek. Muchy potrafią się przecisnąć przez najmniejszą szczelinę. Jednak w przypadku hermetycznego zamknięcia potwornie by tu cuchnęło,

ponieważ gazy wydzielane w procesie rozkładu zostałyby uwięzione w czterech ścianach.

Przesunąłem strumieniem światła po ścianach i suficie.

– Spójrzcie tutaj.

W jednym z kątów, nisko przy podłodze, tkwiła w ścianie kratka szybu wentylacyjnego albo ogrzewania. Podeszedłem bliżej i poświeciłem latarką do środka. Od wewnętrznej strony przymocowano siateczkę o drobnych oczkach, widać było spiętrzony za nią ciemny kłęb. W świetle latarki połyskiwały opalizujące punkciki.

– Pełno zdechłych much – powiedziałem, podnosząc się z podłogi. – Owady się nie zmieściły, ale powietrza powinno być dość dla dwóch osób.

– Czyli się nie udusili – powiedział Whelan. – Sam nie wiem, czy to dobrze czy źle.

Też nie wiedziałem. Uduślenie przebiegłoby względnie szybko, niedotlenienie postępowałoby stopniowo w miarę zastępowania tlenu przez dwutlenek węgla. Z głodu i pragnienia umiera się dłużej. W chwili włożenia na miejsce ostatniego pustaka unieruchomione i bezradne ofiary pozostałyby w całkowitej ciemności, bez odrobiny nadziei na ratunek czy ucieczkę.

Nic dziwnego, że zdarli sobie skórę prawie do kości, żeby się uwolnić.

Wyszliśmy z Parekh, zostawiając laborantów i techników kryminalistycznych czekających na rozstawienie reflektorów i podparcie sufitu. Patolożka stanęła w wejściu na oddział i ze zmarszczonym czołem patrzyła w stronę tajemniczej sali.

– Strasznie dużo zachodu, żeby ukryć dwa ciała. Zwłaszcza że budynek i tak miał wkrótce zostać zburzony.

– Może osoba, która postawiła tę ścianę, nie wybiegała myślami tak daleko w przyszłość. Albo założyła, że szczątki nie przetrwają rozbiórki – stwierdziłem. Pewnie by nie przetrwały. Nawet kości zostałyby starte na pył, a szanse, że ktoś zauważyłby je wśród ton gruzu, były raczej nikłe.

– Prawda – przyznała Parekh. – Ale po co w ogóle zawracać sobie głowę murowaniem? W tak wielkim gmaszysku na pewno nie brakuje kryjówek. Znacznie łatwiej byłoby zakopać ciała gdzieś na terenie wokół szpitala. Albo schować na strychu jak tamte trzecie zwłoki.

Myślałem dokładnie to samo. Las za budynkiem świetnie nadawał się na cmentarz.

– Może zabójcy się bali, że złapie ich monitoring – zasugerowałem. Kamery były atrapami, ale oni mogli tego nie wiedzieć. – Niewykluczone zresztą, że te dwie ofiary nie mają żadnego związku z kobietą z poddasza.

– Teraz to już się bawisz w adwokata diabła – skarciła mnie z uśmiechem Parekh. – Wszyscy zostali pochowani. Dwie osoby zamurowane, możliwe, że żywcem, a z tego, co rozumiem, kobietę zamknięto na strychu. No i jeszcze to trzecie łóżko, puste. Jak dla mnie to ono też było dla kogoś przeznaczone.

Wróciłem myślami do plam na drewnianych schodach prowadzących na poddasze, do wizji ciężarnej uciekającej na górę przed kimś, kto ją ścigał. Na razie to były jednak czyste spekulacje.

– Panie doktorze.

Obejrzałem się. Whelan od kilku minut rozmawiał z jakimś policjantem. Teraz zerknął w moją stronę, a po chwili podszedł.

– Nadkomisarz Ward czeka na pana na dole.

– Teraz chce ze mną rozmawiać? – Z powrotem zajrzałem przez dziurę w ścianie z pustaków. Ze środka sączyło się światło, technicy krzatali się, robiąc zdjęcia i nagrywając filmy, podpory były już prawie rozstawione. Wkrótce będziemy mogli wrócić do środka.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Mina Whelana była nieprzenikniona, ale zaczęły mnie dręczyć złe przeczucia.

– Streszczaj się – powiedziała mi Parekh. – Nie lubię czekać.

Szedłem oświetlonymi punktowo korytarzami, które nagle wydały mi się dłuższe niż zwykle. Kiedy wyszedłem ze szpitala, w którym panowała wieczna noc, zaskoczył mnie jasny blask słońca na zewnątrz. Mrugając, rozejrzałem się

za Ward. Stała przy jednej z przyczep pogrążona w rozmowie z kierownikiem zespołu zabezpieczenia miejsca zbrodni. Idąc w ich stronę, zauważyłem kilka szarych furgonetek zaparkowanych u podnóża schodów. Na boku każdego z tych lśniących nowością pojazdów widniało dyskretne logo przedstawiające stylizowaną podwójną helisę cząsteczki DNA i nazwę BioGen. Pod spodem, mniejszymi literami, dopisano „Usługi biologiczno-kryminalistyczne”.

– Doktor Hunter?

Zbliżał się do mnie mężczyzna w eleganckim granatowym garniturze i pod krawatem. Wyglądał jakoś znajomo, po chwili przypomniałem sobie, że widziałem go w Świętym Judzie razem z jego żoną tamtego wieczoru, kiedy Conrad spadł ze strychu. Tym razem nie miał już takiej ponurej miny, wyglądał bardzo dobrze i zdrowo jak na mężczyznę pod pięćdziesiątkę, swobodny krok i pewność siebie świadczyły o zamiłowaniu do sportu. Jasne włosy miał nienagannie przystrzyżone, a idealnie ogolona twarz sprawiała wrażenie wyrzeźbionej dłutem. Unosiła się wokół niego woń wody kolońskiej – nie zbyt intensywna, ale dość ostra.

– Jeszcze nie mieliśmy przyjemności, ale wiele o panu słyszałem. Podkomendant Ainsley – przedstawił się, wyciągając dłoń na powitanie.

Miał bardzo mocny uścisk dłoni, któremu niewiele brakowało do demonstracji siły. Zacząłem się zastanawiać, co sprowadzało taką śmietankę organów ścigania do Świętego Judy. W strukturach policji londyńskiej, unikatowych dla tej formacji, ranga podkomendanta wypada między nadinspektorem a zastępcą asystenta komendanta. To oznaczało, że przewyższa nadkomisarz Ward o dobre kilka stopni. Śledztwo przyciągnęło uwagę najgrubszych ryb stołecznej policji.

– Chciałem osobiście podziękować panu za udzielenie pomocy profesorowi Conradowi – powiedział z rażącym, profesjonalnym uśmiechem. Zęby miał białe i proste, a oczy niepokojąco błękitne. – Niewesoła sytuacja, a mogło się skończyć tragicznie. Świetna robota.

Z lekką konsternacją pokiwałem głową. Nieczęsto zdarzało mi się przyjmować podziękowania od najwyższych rangą oficerów.

– Jak on się miewa?

– Nie najgorzej – odparł wymijająco, co kazało mi się zastanowić, czy rzeczywiście zna odpowiedź. Kątem oka zauważyłem, jak Ward patrzy na nas i pośpiesznie ucina rozmowę z kierownikiem zespołu zabezpieczenia. – Spodziewałem się zastać pana raczej w prosektorium niż tutaj. Na kiedy wyznaczono termin sekcji zwłok znalezionych na strychu?

– Dopiero na jutro rano. – Już miałem dodać, że zostały jeszcze dwa ciała, przy których muszę pomóc, ale jakiś instynkt mnie powstrzymał.

– Cieszę się, że mieliśmy okazję się poznać. Mam też nadzieję, że rozumie pan, dlaczego zdecydowaliśmy się na współpracę z prywatną firmą świadczącą usługi kryminalistyczne – dodał, zerkając na furgonetki. – BioGen cieszy się nieskazitelną reputacją, pracują dla nich tylko najwybitniejsi specjaliści.

Zanim zdążyłem wymyślić jakąś odpowiedź, dobiła do nas zdyszana Ward. Zauważyłem, że poczerwieniała, kiedy usłyszała słowa przełożonego.

– O, Sharon. Właśnie mówiłem doktorowi Hunterowi, że jesteśmy bardzo wdzięczni za jego wkład. – Ainsley zwrócił się znowu do mnie. Uświadomiłem sobie, że to nie tylko kolor jego oczu wytrącał mnie z równowagi. Kiedy nie mrugał, powieki odsłaniały całutkie tęczęwki, które do złudzenia przypominały jaskrawoniebieskie kulki do gry. Dawało to efekt lekko maniakalnego spojrzenia lalki. – Może pan też powinien rozważyć przejście do sektora prywatnego. Jestem przekonany, że na kogoś z pańskim doświadczeniem czeka wiele wakatów.

– Przemyszę to – powiedziałem, zerkając na Ward.

– Doskonale. Sharon zapewne może załatwić panu spotkanie z prezesem BioGen?

Uniesionymi brwiami podkreślił pytającą intonację. Ward zachowała wyćwiczony neutralny wyraz twarzy.

– Tak jest.

– Wspaniale. Miło było pana poznać, panie doktorze. Czekam niecierpliwie na pański raport. Będę się osobiście zajmował tą sprawą. Oczywiście jako drugie skrzypce – dorzucił, kłaniając się lekko Ward.

Na pożegnanie znowu uścisnął mi rękę. Patrzyłem, jak energicznym krokiem przecina parking, zmierzając ku szarym furgonetkom.

– Właśnie miałam panu powiedzieć – wtrąciła szybko Ward, gdy tylko Ainsley znalazł się poza zasięgiem słuchu.

– Ściągnęliście prywatne laboratorium kryminalistyczne? – Dopiero zaczynało to do mnie docierać. Nic dziwnego, że Whelan próbował się mnie pozbyć.

– Tylko do tych ciał w zamurowanej sali. Nie zwalniamy pana, nadal będzie pan pracował przy pierwotnym śledztwie. Dopóki jednak nie ustalimy, czy jest jakiś związek między kobietą ze strychu a tymi nowymi ofiarami, równie dobrze możemy traktować to jako osobne sprawy.

– A co, jeśli okażą się powiązane? – zapytałem, patrząc na furgonetki z logo BioGen.

– Wtedy będziemy się o to martwić. – Westchnęła. – Powiem szczerze: to nie był mój pomysł. Decyzja zapadła gdzieś na górze, ale wcale nie odmawiam racji moim przełożonym. Sprawa dosłownie powiększyła się trzykrotnie, a potencjalnym miejscem zbrodni może być cały szpital. Poza tym po wypadku Conrada zapanowała nerwowa atmosfera. Zatrudnienie firmy, która zajmie się wszystkimi badaniami laboratoryjnymi, a do tego zapewni nam wsparcie techniczne i kryminalistyczne, to dla nas jeden problem mniej.

Zaczynałem rozumieć, dlaczego w szpitalu zjawił się podkomendant Ainsley. Pierwsza sprawa Ward jako prowadzącej śledztwo wyglądała z początku na rutynową, ale teraz okazała się czymś znacznie poważniejszym. Z jednej strony nic dziwnego, że zwierzchnicy się zaniepokoiли, ale z drugiej – wysoki rangą oficer sterczący policjantce nad głową raczej nie zwiększy jej pewności siebie. Ani nie pomoże złagodzić presji.

– Nigdy nie słyszałem o tym BioGen – rzuciłem. Nie byłem zadowolony, ale wiedziałem, że kłótnie nie mają sensu.

– Ale oni słyszeli o panu. Strasznie pana wychwalali, chociaż wcale się nie cieszyli, że pan zostaje. – Uśmiechnęła się cierpko. – Uznałam jednak, że nie mogą tak całkiem nam dyktować warunków.

– Dziękuję – powiedziałem szczerze. Łatwiej byłoby jej się zgodzić na współpracę wyłącznie z prywatną firmą, zwłaszcza jeśli z góry szły naciski. Nagle entuzjastyczne namowy Ainsleya na przejście do sektora prywatnego wydały mi się nieprzypadkowe.

Ward wzruszyła ramionami.

– Oni są dla mnie niewiadomą, a z panem już pracowałam. Tylko proszę tego nie schrzanić.

Nie brzmiało to jak żart, przynajmniej nie do końca.

– Kto jest u nich antropologiem?

– Daniel Mears. Ma bardzo dobre opinie. Wszyscy twierdzą, że to perfekcjonista. Zna go pan?

Pokręciłem głową: pierwsze słyszałem.

– A skąd on jest?

– Tego nie wiem, ale może go pan sam zapytać. – Kiwnęła głową w stronę furgonetek BioGen. – Tam jest.

Ku schodom szpitala zbliżali się młody technik i jakiś starszy mężczyzna, ubrani w kombinezony w tym samym odcieniu szarości co furgonetki, z logo BioGen na piersi. Ściągnęli kaptury z głów, więc mogłem się przyjrzeć temu starszemu: wysokiemu mężczyźnie koło pięćdziesiątki, z orlim nosem i gładko ogoloną głową. Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem nigdy wcześniej o nim nie słyszałem. Owszem, w ciągu ostatnich kilku lat nastąpił boom w branży kryminalistycznej, rynek zalała masa świeżo upieczonych absolwentów kierunków z tej działki. Tu miałem jednak do czynienia ze starszym mężczyzną, a jeśli działałby w branży od jakiegoś czasu, to powinienem był gdzieś na niego wpaść.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedziała Ward. – To David Hunter, zajmuje się drugą częścią naszego śledztwa.

Już, już miałem wyciągnąć rękę na powitanie, ale ten nawet nie zwolnił.

– Zobaczymy się na górze – powiedział do młodego technika i poszedł dalej.

Natomiast przed nami zatrzymał się ten młodszy. Uświadomiłem sobie swój błąd i próbowałem szybko zatuszować gafę. A także ukryć zaskoczenie. „Chryste, ile on ma lat?” Mears musiał być po dwudziestce, pewnie nawet bliżej trzydziestki, ale zupełnie nie wyglądał na swój wiek. Miał gładką twarz i płomiennie rude włosy w pakiecie z typowo mleczną karnacją upstrzoną piegami, które dodatkowo go odmładzały. Pod pachą niósł aluminiowy neseser, podobny do mojego. Nie należał on do standardowego wyposażenia, ale znałem parę osób z branży, które też takie miały. Lekki metal był solidny i odporny na wodę, więc świetnie chronił aparat, laptopa i inny sprzęt, który musiałem przy sobie nosić. O ile jednak moja walizka przez wiele lat poobijała się i porysowała, ta Mearsa wyglądała nieskazitelnie, jak zresztą wszystko, co dotyczyło jego osoby. W świeżym szarym kombinezonie przypominał uczniaka wyszykowanego na rozpoczęcie roku szkolnego.

Ward twierdziła jednak, że wszyscy go chwalili. Bez licznych rekomendacji niewątpliwie by się tu nie znalazł.

– Dzień dobry, doktorze – przywitał się sztywno. Głos miał zaskakująco głęboki, jakby nadrabiał młodzieńczy wygląd. Jasne policzki oblały się rumieńcem, więc zapewne zauważył moją wpadkę. – Parę lat temu czytałem jeden z pańskich artykułów o rozkładzie. Ciekawe.

Nie bardzo wiedziałem, jak mam rozumieć jego uwagę, ale postanowiłem ją zignorować.

– Zawsze miło poznać innego antropologa kryminalnego.

– Zasadniczo jestem tafonomem.

– Aha. Rozumiem.

Ward niewłaściwie mi go przedstawiła, ale to całkowicie zrozumiały błąd. W podstawowym znaczeniu tego terminu tafonomia jest nauką zajmującą się

badaniem procesów, jakie zachodzą w organizmach po śmierci, aż do ewentualnego skamienienia. W kontekście kryminalistycznym oznacza analizę wszelkich zmian w ludzkich szczątkach, od rozkładu po urazy. Obejmuje wiele dyscyplin kryminalistycznych, ale sama w sobie nie wnosi nic nowego. Pod wieloma względami nie różni się niczym od tego, czym sam się zajmuję.

Ja sam nigdy nie nazwałbym się tafonomem, a choć słyszałem o kilku osobach używających tego określenia, popularniejsze było raczej w Stanach Zjednoczonych niż w Wielkiej Brytanii. Jednak jako że na początku swojej drogi zawodowej doświadczyłem nieprzychylności ze strony ekspertów o ustalonej reputacji, którzy niechętnie podchodzili do wszelkich zmian i nowinek, nie zamierzałem teraz stać się jednym z nich.

– Opiera się pan na antropologii czy na archeologii? – zapytałem.

– Na obu. Stosuję podejście wielodyscyplinarne, z elementami paleontologii i entomologii – wyjaśnił, dla podkreślenia swoich słów naciągając z głośnym trzaskiem ciasną rękawiczkę. Miała ten sam stalowoszary odcień co kombinezon: BioGen najwyraźniej bardzo poważnie traktowało kwestię wizerunku marki. – Kiedyś sprawdzało się stare podejście, skupiające się na jednej dziedzinie, ale teraz to już przestarzałe. Kryminalistyka poszła do przodu. Trzeba dysponować szerokim zestawem umiejętności.

– Myślałem, że też takim dysponuję – rzuciłem lekko.

– Ach tak. – Uśmiechnął się pod nosem, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości co do niewypowiedzianego przytyku.

Ward ze zmarszczonym czołem przysłuchiwała się naszej wymianie zdań.

– No to ja już panów zostawię.

Odeszła w stronę policyjnej przyczepy. Zmierzyliśmy się z Mearsem wzrokiem. Ciągle nie mogłem się nadziwić, jak młodo on wygląda. Daj mu szansę, pomyślałem. Może po prostu jest stremowany i próbuje nadrabiać miną.

– Był pan już w środku? – zapytałem, wskazując głową na poczerńiałe mury Świętego Judy.

Rumieniec na jego twarzy już zbladł, ale pozostała atmosfera lekkiej wyniosłości.

– Jeszcze nie.

– Dość ponura sprawa. Właśnie skończyli wybijać dziurę w ścianie zamurowanej sali na oddziale pediatrycznym. Chętnie poznam pańską opinię.

– Pan już tam był?

– Tylko tuż za ślepią ścianą.

Nie powiedziałem całej prawdy. Wcześniej zszedłem do tamtej sali, żeby pomóc Conradowi, ale uznałem, że nie ma sensu o tym wspominać. Coś mi mówiło, że Mears będzie zaborczo strzegł swojego terytorium, a nasza znajomość już i tak się kiepsko zaczęła.

– Tak? – Policzki znów mu poczerwieniały. – Wiem, że oczekuje się od nas uprzejmości względem kolegów po fachu, więc tym razem nie wniosę formalnej skargi. Na przyszłość byłbym jednak wdzięczny, gdyby trzymał się pan z dala od mojego miejsca zbrodni.

Zdumienie odebrało mi mowę. Znalazłem się tam przecież tylko dlatego, że nikt mi nie powiedział o przejęciu moich obowiązków.

– Właściwie to miejsce zbrodni nadkomisarz Ward – zripostowałem w końcu, usiłując nie tracić panowania nad sobą. – Ale bez obaw, już się tam więcej nie wybieram. Wszystko zostawiam panu.

– Świetnie. W takim razie nie będziemy mieć problemów.

Przemknął obok mnie. Patrzyłem na płomiennie czerwony kark tafonoma, który wspinał się szybko po schodach ze swoim błyszczącym neseserem.

A potem gotyckie wrota szpitala połknęły go niczym czarna paszcza żarłocznego stwora.

ROZDZIAŁ 8

Wróciłem do samochodu, wciąż kipiąc z wściekłości. Mears może i wyglądał na niedorostka, ale mniemanie o sobie miał wysokie. Nie brakowało mu też tupetu. Zdarzało mi się spotykać w pracy różne primadonny, ale tafonom miał spore szanse trafić na podium. Ainsley też nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia: protekcyjnie udzielał mi doradztwa zawodowego, po tym jak doprowadził do wyłączenia mnie ze śledztwa. A przynajmniej z jego części. O ile nie mogłem winić Ward za to, jak się wszystko potoczyło, o tyle uważałem, że powinna była wcześniej mnie uprzedzić. Ona zaś pozwoliła mi łączyć po miejscu zbrodni w przekonaniu, że będę nad nim pracował.

Z poczuciem głębokiej niesprawiedliwości szarpnąłem uchwyt suwaka kombinezonu, przeciskając się między zaparkowanymi radiowozami. Dopiero gdy byłem już prawie przy swoim aucie, zorientowałem się, że dawno minąłem kosze na zużytą odzież ochronną.

No świetnie. Ale ta mała pomyłka wystarczyła, żeby wyrwać mnie z naburmuszenia. Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem w stronę szpitala, czując, że oburzenie powoli opada. Są ważniejsze rzeczy niż urażona duma, upomniałem się, podnosząc wzrok na surowe mury Świętego Judy. O tej porze dnia słońce znajdowało się za starym budynkiem, który rzucał cień na parking. Kiedy tam dotarłem, poczułem wyraźny spadek temperatury, jakby piwniczna atmosfera szpitala rozciągała się nawet na zewnątrz. Wolałem sobie nie wyobrażać, jak musiały się czuć ofiary, które widziałem przywiązane do łóżek w szczelnie zamurowanym pokoju. Wspomnienie tego widoku przegoniło resztki chęci do uzalania się nad sobą. Trudno dokładnie określić, na jak długo

zostawiono tam tych ludzi, żeby umarli i rozłożyli się w zimnej ciemności. Jednak w tych warunkach – suche powietrze i stała niska temperatura, izolacja od letniego skwaru – musiało to trwać miesiącami. Może nawet latami, ponieważ na końcowym etapie rozkładu dochodziło do zastoju: tempo fizycznych zmian coraz bardziej zwalniało, aż w końcu następowały niemal niezauważalnie.

Zatrzymałem się przy koszach na odpady, po raz pierwszy tak naprawdę ogarniając wzrokiem rozmiar szpitala. Budynek był ogromny. Z poczerniałymi ścianami i zabitymi oknami wyglądał jak gigantyczne opuszczone mauzoleum. Grobowiec. Przyglądając mu się z zewnątrz, wzdrygnąłem się bezwiednie.

Co jeszcze tam znajdziemy?

Obróciłem się i tą samą drogą wróciłem do samochodu. Chętnie zbadałbym ciała pozostałych dwóch ofiar, żeby sprawdzić, co mogłyby powiedzieć mi ich szczątki. Mimo to, patrząc, jak szpital Świętego Judy maleje w lusterku wstecznym, wcale nie żałowałem, że go opuszczam.

Zupełnie zapomniałem o reporterach pod bramą. Zbliżając się do wyjazdu, zauważyłem, że od rana ich przybyło. Teraz zbierał się tam pokaźny tłum, złożony nie tylko z przedstawicieli mediów. Demonstranci z plakatami na kijach wylewali się z chodników na jezdnię przed wjazdem – starzy i młodzi, z najróżniejszych grup etnicznych. Wezwano dodatkowych funkcjonariuszy, których zadaniem było uniemożliwienie protestującym wstępu na teren szpitala. Między kamiennymi słupami bramy ustawiono metalowe bariery, musiałem więc zwolnić. Otworzyłem okno.

– Co tu się dzieje? – zapytałem młodą policjantkę, która podeszła do samochodu.

– Mały proteścik – stwierdziła nieco zblazowanym tonem. – Nie sprawiają nam większych problemów, chcą się tylko popisać przed kamerami. Chwilkę, zaraz pana wypuścimy.

Czekałem na odsunięcie barierki. Plakaty pikietujących głosiły najróżniejsze hasła, od prostych apeli „Ratujmy Świętego Jude” po slogany polityczne. Część protestujących trzymała przymocowany do patyków transparent domowej roboty

głoszący, że „ludzie potrzebują mieszkań, a nie biurowców”, a pod nim na ławce stał jakiś mężczyzna i przemawiał do tłumu. Odsunąłem szybę do samego dołu, żeby usłyszeć, co mówi.

– ...powinni się wstydzić! To wstyd, że niewinni ludzie boją się chodzić ulicami własnej dzielnicy. Wstyd, w jakich warunkach żyją tutejsze rodziny. Wstyd, że istoty ludzkie można zostawić na śmierć jak zwierzęta, i to w budynku, który był kiedyś szpitalem. Tak, tak, szpitalem!

Ten wyjątkowo przystojny trzydziestoparolatek miał na sobie czarną marynarkę i białą koszulkę, która podkreślała jego ciemną karnację. Teatralnie zawiesił głos i rozejrzał się po twarzach zgromadzonych.

– Czy politycy i inwestorzy korporacyjni, którzy pociągają za sznurki, naprawdę są ślepi na tragiczną ironię tego wydarzenia? A może mają to gdzieś? Co się stało z poczuciem wspólnoty? Sklepy muszą się zamykać, kolejne domy pustoszeją. A teraz to! – Wyciągnął rękę, wskazując palcem na szpital. – Próbowaliśmy uchronić Świętego Judę przed zamknięciem, ale nas ignorowali. Próbowaliśmy doprowadzić do budowy nowych mieszkań zamiast biurowców, które latami będą stały puste. Ignorowali nas. Pytam więc was: jak długo jeszcze pozwolimy im nas ignorować? Ilu z nas musi jeszcze umrzeć?

Rozległy się gniewne okrzyki, tłum zafalował plakatami i pięściami wyrzuconymi w powietrze. Policja otworzyła wyjazd, więc zacząłem powoli toczyć samochód do przodu. Tłum się rozstał, żeby mnie przepuścić, ale musiałem nagle zahamować, bo jakaś młoda kobieta wepchnęła mi się przed maskę. Wcisnęła mi za wycieraczki ulotkę, a kiedy policjantka zaczęła ją odciągać, wrzuciła jeszcze jedną przez okno.

– Mamy zebranie jutro wieczorem! Proszę przyjść! – zawołała, oddalając się od auta.

Ulotka wylądowała mi na kolanach. Wydrukowano ją tanim kosztem, z czarno-białym zdjęciem Świętego Judy w całej zdewastowanej okazałości. Pod spodem umieszczono podpis: „Nasze życie nie może tak wyglądać!” oraz szczegóły dotyczące czasu i miejsca spotkania.

Wyjeżdżając, zauważyłem samotną postać na przystanku autobusowym po przeciwnej stronie ulicy, z dala od demonstracji i reporterów. Zauważyłem go tylko dlatego, że gapił się na szpital jak sroka w gnat. Ward powinna zacząć sprzedawać bilety, pomyślałem złośliwie i odjechałem.

Było za wcześnie, żeby wracać do domu, więc skoro popołudnie niespodziewanie mi się zwolniło, pojechałem na uczelnię. Kupiłem w bufecie kawę i kanapkę, po czym zaniósłem je do mojego ciasnego gabinetu i włączyłem komputer. W Świętym Judzie nie sprawdzałem mejli, więc teraz przejrzałem skrzynkę. Nic ciekawego, tylko kolejna prośba o wywiad od Francisa Scotta-Hayesa. Facet nie potrafi przyjąć odpowiedzi odmownej, pomyślałem z irytacją i usunąłem wiadomość od dziennikarza.

Potem otworzyłem folder z fotografiami z miejsca zbrodni. Z zasady wolę sam robić zdjęcia, ale tym razem nie miałem okazji, więc Ward udostępniła mi dokumentację pracowników laboratorium kryminalistycznego. Choć zdjęcia wykonano jak najbardziej poprawnie i w wysokiej rozdzielczości, zupełnie nie oddawały atmosfery panującej na strychu starego szpitala. Obrazy były jednak surowe i szokujące. Jaskrawo oświetlone fleszem wysuszone szczątki zdawały się zupełnie nie na miejscu. Ciało ciężarnej i jej nienarodzonego dziecka wyglądały wśród skrawków brudnej izolacji jak szkielet matrioszki. Kiedy teraz na nie patrzyłem, uświadomiłem sobie z przygnębieniem, jak trudno będzie ustalić dokładny czas śmierci.

Przez dłuższą chwilę przyglądałem się żalosnej kupce malutkich kosteczek w ziejącej jamie brzusznej, a potem przeanalizowałem zdjęcia pozostałych fragmentów ciała kobiety. Chociaż już nazajutrz miałem przebadać zwłoki w prosektorium, nie zaszkodzi sobie przypomnieć, jak wyglądały zaraz po znalezieniu na poddaszu. Przy prawym ramieniu nagle się zatrzymałem. Coś tu nie gra, pomyślałem i powiększyłem obraz. Zdawało się spoczywać pod nienaturalnym kątem, a choć mogła być to po prostu pozycja ciała, mogło również oznaczać coś innego.

Poświęciłem trochę czasu na dokładne obejrzenie nadgarstków i dolnej części nóg, przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe na zdjęciach. Podobnie jak Parekh, ja również zwróciłem uwagę na fakt, że tylko dwa z trzech łóżek w zamurowanej sali były zajęte. Niewykluczone więc, że trzecie z nich było przeznaczone dla ciężarnej.

Jeśli jednak zdołała jakoś uciec, udało jej się uniknąć urazów spowodowanych pasami. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych ofiar u niej nie zauważyłem żadnych otarć ani ran na nagich przedramionach i łydkach. Skóra skurczyła się w procesie mumifikacji, ale na fotografiach było widać, że jest nienaruszona. Pożałowałem, że nie obfotografowałem dwóch ciał uwięzionych na oddziale pediatrycznym, ale przypomniałem sobie, że to już nie moje śledztwo. Musiałem się skupić wyłącznie na kobiecie i jej dziecku, a o reszcie zapomnieć.

Zanim wyłączyłem komputer, zrobiło się już późno. Opadłem na oparcie fotela, pocierając zmęczone oczy, i poczułem ból w dolnej części kręgosłupa wywołany długim tkwieniem przy biurku. Wcale nie musiałem tu tak długo siedzieć, ale zupełnie nie uśmiechał mi się powrót do pustego mieszkania. W międzyczasie wszyscy pracownicy kolejno opuścili instytut, a Brenda wymownie przypomniała mi, że o siódmej rano przychodzi ekipa sprzątająca. Uśmiechnąłem się i zapewnilem, że niedługo będę się zbierał.

Od tamtej chwili minęło jednak sporo czasu i teraz naprawdę zostałem zupełnie sam. Kiedy zobaczyłem swoje odbicie w szybie, uświadomiłem sobie, że za oknem zapadł już zmierzch. Pogasiłem światła, zamknąłem gabinet i zjechałem windą na parter.

Dopiero wychodząc z budynku, przypomniałem sobie, że miałem nie używać głównych drzwi. W myślach przeprosiłem Rachel i nadkomisarz Ward, ale byłem zmęczony i nie chciało mi się latać do bocznych wyjść. Jeśli Grace Strachan czai się na zewnątrz, to trudno, pomyślałem i pchnąłem ciężkie skrzydła.

Wieczór był chłodny. Babie lato już nieodwołalnie dobiegło końca, w powietrzu wyraźnie było czuć jesienny ziąb. Latarnie rzucały wielokrotne cienie na plac przed budynkiem wydziału, który musiałem przeciąć w drodze do zaparkowanego kilkaset metrów dalej samochodu. Było zupełnie pusto, ani śladu wykładowców i studentów, którzy kręcili się po kampusie w ciągu dnia. Moje buty stuknęły głośno na betonie, a ja myślałem o Rachel, zastanawiałem się, gdzie teraz jest. W połowie drogi poczułem się nagle dziwnie nieswojo. Zatrzymałem się i rozejrzałem dookoła. Nikogo.

Włoski na karku stanęły mi dęba.

W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy tylko zwierzętami. Te same mechanizmy przetrwania, które chroniły naszych pierwotnych przodków, tkwią w nas do dziś, zwykle w zaniku i poza naszą świadomością, ale nadal obecne. Czułem, że przyśpiesza mi tętno, a mięśnie zaczynają drżeć od adrenaliny zalewającej cały organizm. Co, u diabła...?

I wtedy to poczułem.

Ledwie wyczuwalna, leciutka nutka ostrych, piżmowych perfum sprawiła, że przeszedł przeze mnie elektryczny wstrząs. Za plecami usłyszałem szuranie i gwałtownie obróciłem się na pięcie.

– Dobranoc, panie doktorze.

Dwie magistrantki minęły mnie z uśmiechem, ale popatrzyły na mnie trochę dziwnie. Zorientowałem się, że jednak wcale nie zostałem sam na wydziale, i uniosłem dłoń w słabym geście pozdrowienia. Odgłos ich kroków ucichł w oddali, w miarę jak oddalały się betonowym placem.

Serce nadal łomotało mi w piersi, choć teraz już nieco wolniej. Jeszcze raz rozejrzałem się wkoło, ale byłem sam. W powietrzu unosiły się tylko zapach spalin i jesienna woń palonych liści, ale ani śladu perfum.

Może w ogóle ich tam nie było.

Świetny dowód na siłę sugestii, pomyślałem, ruszając w dalszą drogę. Wychodząc z budynku, pomyślałem o Grace Strachan, a wyobraźnia zrobiła swoje. Grace była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek

widziałem. Kruczoczarne włosy i olśniewający uśmiech, który zaślepił niemal każdego, a za którym kryła się jej prawdziwa natura – psychotyczna osobowość za maską zniewalającej aparycji. Charakterystyczny zapach perfum to ostatnie, co zapisało się w mojej świadomości, kiedy dźgnęła mnie nożem i zostawiła, żebym się wykrwawił. Wrył mi się w pamięć i jeszcze przez długi czas zmagalem się z atakami paniki wywołanymi przekonaniem, że znowu go czuję, a Grace jest gdzieś w pobliżu – takie zaburzenia nazywa się halucynacjami węchowymi. Byłem pewny, że mam to już za sobą.

Aż do tej chwili.

Zły na siebie podszedłem do samochodu i wrzuciłem torbę do bagażnika znacznie mocniej, niż było trzeba. Ruszając, włączyłem radio i trafiłem akurat na końcówkę wiadomości o szpitalu Świętego Judy. Demonstracja pod bramą wniosła powiew świeżości do całej sprawy, znów wywlekając starą aferę z planowaną zabudową terenu. Kiedy jednak fragment o szpitalu dobiegł końca, nie potrafiłem się skupić na pozostałych doniesieniach. Choć starałem się zapomnieć o zdarzeniu na kampusie, ciągle byłem roztrzęsiony. Jechałem odruchowo, nie zwracając uwagi na trasę, i dopiero kiedy kawałkiem świadomości zarejestrowałem napis na znaku drogowym, dotarło do mnie, że kieruję się do starego mieszkania.

No super. Przejechałem już ponad połowę trasy, a na obwodnicy nie miałem jak zawrócić. Następny zjazd i tak prowadzi w okolice mojego dawnego domu, więc uznałem, że równie dobrze mogę tam pojechać. Nie miałem po co się śpieszyć do Ballard Court.

Zrządzeniem losu jedyne wolne miejsce na uliczce po obu stronach obstawionej samochodami znajdowało się akurat przed tamtą wiktoriańską willą. Zaparkowałem. Mimo ostrzeżeń Ward już nieraz odwiedzałem okolice dawnego mieszkania. Dwa czy trzy razy minąłem je samochodem, ale dopiero dziś postanowiłem się zatrzymać. Obiektywnie wiedziałem, że Ward – Rachel też, swoją drogą – ma rację. Jeśli Grace Strachan żyła i zamierzała znów spróbować

mnie zabić, to przyszlaby właśnie tutaj. Pozostanie w tym miejscu byłoby głupotą.

Wyprowadzka zdawała mi się jednak ucieczką.

Świeżo odmalowane drzwi frontowe, na których po próbie włamania znaleziono odcisk palca Grace, straciły nieco blasku od czasu mojej ostatniej wizyty, ale poza tym dom wyglądał tak jak zawsze. Lokal na parterze nadal był pusty, przy ścieżce do drzwi stała tablica z napisem „Do wynajęcia”. Rachel sugerowała, żebym je sprzedał, ale wzbraniałem się przed tym pomysłem z tych samych powodów, dla których nie chciałem go wynająć. Po pierwsze, nie byłem gotów się go pozbyć. Jeszcze nie.

Po drugie, jeśli istniało choćby najmniejsze prawdopodobieństwo powrotu Grace Strachan, nie mogłem pozwolić, żeby ktoś inny tu zamieszkał.

Jednak już wcale w to nie wierzyłem. Atak paniki na uniwersytecie zdawał mi się teraz żenujący, chwilowy spadek formy. Złożyłem to na karb niewyspania i nadmiernie pobudzonej wyobraźni – przytłaczająca atmosfera Świętego Judy musiała dać mi się we znaki bardziej, niż zdawałem sobie z tego sprawę. Cóż, przyjazd tutaj pomógł mi przynajmniej podjąć ważną decyzję. Skoro Rachel wyjechała do Grecji, nie miałem już powodu zostawać w Ballard Court. Po zakończeniu śledztwa zajmę się przeprowadzką do starego mieszkania.

Nie chciałem się już dłużej ukrywać.

ROZDZIAŁ 9

Wnocy nastąpiło załamanie pogody. Kiedy rano jechałem do kostnicy, deszcz lał się z ołowianego nieba, strugi wody zdzierały jesienne liście z drzew i rozbryzgiwały się na chodnikach. Udało mi się zaparkować niedaleko i pobiegłem przez ulewę do wejścia, gdzie zatrzymałem się na chwilę pod daszkiem, żeby otrzepać mokry płaszcz.

Kostnica mieściła się we względnie nowym budynku, specjalnie zaprojektowanym do tego celu, i obsługiwała większość tego rejonu północnego Londynu. Zdarzało mi się tam pracować, chociaż od ostatniego razu minęło sporo czasu. Parekh już była na miejscu i przywitała się ze mną jak zwykle z sympatią.

– Trochę ci wczoraj zeszło – rzuciła żartobliwie z szelmowskim błyskiem w oku.

Nie widzieliśmy się od poprzedniego popołudnia, kiedy wyszedłem z ukrytej sali w szpitalu Świętego Judy przekonany, że za chwilę wrócę.

– Mała zmiana planów.

– Słyszałam.

Nie chciałem sam poruszać tego tematu, ale nie mogłem udawać, że mnie to nie interesuje.

– Jak wam poszło z wydobyciem zwłok?

– Powoli. Mieliśmy obsuwę, bo trzeba było ustawić dodatkowe podpory sufitu, więc wynieśliśmy tylko jedno ciało. Z drugim powinno się udać dzisiaj.

– A jak BioGen?

– Nasi nowi prywaciarze? – Wzruszyła ramionami. – Mają ładniutkie szare wdzianka. Poza tym z większością z nich miałam niewiele do czynienia. Chociaż

byłam nieco zaskoczona twoim zastępcą.

Nie ty jedna.

– Czemuż to?

– Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś, kto określałby się mianem tafonoma kryminalistycznego. Szczerze mówiąc, gdyby sam mi tego nie powiedział, wzięłabym go za zwykłego antropologa. Oczywiście pomijając szary kombinezonik.

Staralem się nie roześmiać.

– Podobno jest bardzo chwalony.

– Nie wątpię. Sprawia wrażenie całkiem kompetentnego. Młody, ale bardzo metodyczny. No i zdecydowanie nie brakuje mu pewności siebie.

Delikatnie powiedziane. Choć z drugiej strony podejrzewałem, że raczej nie postrzeżał Parekh, doświadczonej patolożki, jako rywalki, więc pewnie aż tak się jej nie stawiał. O ile miał trochę oleju w głowie.

Uśmiechnęła się do mnie, a skórę pokryła jej siateczka cienkich zmarszczek.

– Parzy, prawda?

– Co parzy?

– Oddech młodego pokolenia na karku.

Chciałem zaprotestować, ale dałem sobie spokój. Zbyt dobrze mnie znała.

– Też byłem taki arogancki, kiedy mnie poznałaś?

– Arogancki nie. Pewny siebie, owszem. I ambitny. Ale od tamtej pory dużo przeżyłeś. Przypuszczam, że Daniel Mears zrobi się znośniejszy, kiedy i jemu życie stępi trochę pazury. A nie mam najmniejszych wątpliwości, że jego też to spotka.

W myślach przyznałem jej rację, ale właściwie niezbyt mnie to zajmowało. Już wcześniej uznałem, że im mniej będę miał do czynienia z Mearsem, tym lepiej dla nas obu.

Ward zaplanowała odprawę w kostnicy na dziesiątą. Whelan i pozostali członkowie zespołu zaczęli się zbierać piętnaście minut przed czasem, ale sama

prowadząca śledztwo się spóźniała. Dotarła na miejsce jako ostatnia, wpadła do sali, wyplątując się z mokrego płaszcza.

– Przepraszam, przepraszam bardzo – wydyszała, rzucając torbę na stół i zajmując miejsce.

Wyglądała na potwornie zmęczoną, a grafitowa marynarka i szara spódnica podkreślały duży, okrągły brzuch znacznie bardziej niż kombinezon, w którym widywałem ją wcześniej. Sama odprawa przebiegła rutynowo, chodziło praktycznie tylko o to, żeby przed sekcją upewnić się, czy patolożka i śledczy dysponują tymi samymi informacjami. Policja nadal nie poczyniła żadnych postępów w kwestii ustalenia tożsamości zmarłej kobiety. Nie miała przy sobie prawa jazdy ani żadnych innych dokumentów, a jej ubranie i buty pochodziły z tanich sieciówek, więc nic nam to nie dawało. Na pozdieranych i obgryzionych przez szczury opuszkach nie zachowały się porządne odciski palców, a choć ciąża ofiary mogła nam pomóc odfiltrować wyniki z bazy danych osób zaginionych, przydałoby się choćby w przybliżeniu ustalić, ile miała lat, żeby uściślić kryteria wyszukiwania. Cięża nieco zawężyła przedział wiekowy, ale niewystarczająco. Wiek rozrodczy obejmował kobiety od nastolatek do pań po czterdziestce.

To oznaczało, że największą nadzieję na identyfikację pokładano w dokumentacji dentystycznej oraz w ustaleniach moich i Parekh. Ward, Whelan i reszta członków zespołu śledczego przeszli gęsiego do kabiny obserwacyjnej, a my przebraliśmy się w stroje chirurgiczne i wkroczyliśmy na salę prosektoryjną.

Kostnice są takie same na całym świecie. Jedne bywają nowocześniejsze i lepiej wyposażone od innych, ale podstawowe elementy wnętrza się od siebie nie różnią. Niezmienne pozostają również niska temperatura i woń środków dezynfekcyjnych, nakładająca się na inne, bardziej organiczne zapachy.

Drzwi zamknęły się za nami i ogarnęła nas chłodna cisza. Ciało kobiety leżało na stole prosektoryjnym. Kolana miała podkulone i odgięte na bok, natomiast ręce – pokryte skórą o barwie i fakturze suszonego mięsa – leżały

splecione na piersi w tradycyjnym ułożeniu pogrzebowym. Rozkład rzucił się w oczy jeszcze bardziej przez kontrast ze stalową powierzchnią stołu. Odzież zdjęto i przekazano do laboratorium razem z próbkami tkanek do analizy, a szczątki opłukano wodą. Większość włosów spłynęła z głowy i została zebrana oddzielnie, na czaszce zostało tylko kilka żałosnych, rzadkich pasemek. Obok leżały ocalałe kostki płodu.

– Ta nasza praca jest czasem strasznie smutna – mruknęła Parekh, patrząc na dwa martwe ciała. Matki i dziecka. Potem pokręciła głową i wzięła się do roboty.

Sama sekcja zwłok była jej działką, więc trzymałem się z tyłu, asystując w razie potrzeby. Nie trwało to długo. W przypadku szczątków w tak kiepskim stanie żaden patolog nie mógłby wiele zrobić. Nie było widocznych urazów, na przykład pęknięcia czaszki czy złamania kości gnykowej, które mogłyby sugerować potencjalną przyczynę śmierci. Tak jak ja, Parekh uważała za możliwe, że kobiecie odeszły wody, co w takich warunkach mogło z czasem doprowadzić do śmierci, zwłaszcza jeśli doznała też jakiegoś innego urazu. Przy takim stopniu rozkładu były to jednak tylko czyste spekulacje.

Mumifikacja przekreśliła również szanse ustalenia, jak dawno kobieta zmarła. Nie zauważyłem niczego, co pozwoliłoby mi zrewidować wcześniejszą tezę, czyli że jej ciało leżało na strychu przynajmniej przez jedno lato, a prawdopodobnie dłużej. Jak w przypadku wielu innych aspektów tej sprawy, mogliśmy tylko zgadywać i snuć przypuszczenia.

Niemniej dokonaliśmy kilku odkryć.

– Myślę, że nie miała tak ułożonych rąk – stwierdziła Parekh, bacznie przyglądając się zwłokom.

– Też tak sędzę – przytaknąłem. – A przynajmniej nie wtedy, kiedy przenoszono ciało.

Możliwe, że ktoś ułożył je wkrótce po jej śmierci, tuż przed wystąpieniem stężenia pośmiertnego lub tuż po jego ustąpieniu, kiedy ciało było jeszcze miękkie i podatne. Tyle że to nie pasowało do teorii, zgodnie z którą ktoś zamknął kobietę na strychu i zostawił, żeby umarła.

Jedyne, co mogłem stwierdzić z całą pewnością, to, że jej ręk nie upozowano po zawinięciu zwłok w plandekę i przeniesieniu. Wtedy ciało byłoby już z mumifikowane, wysuszona skóra i tkanki miękkie – zastałe w pozycji, w której były w chwili śmierci. Każda próba przesunięcia kruchych członków zostawiłaby widoczny ślad.

Nie zauważyłem żadnych tego typu urazów, co oznaczało, że musiało istnieć inne wytłumaczenie takiego ułożenia rąk.

– Obejmowała się ramionami – powiedziała Parekh. – Te podciągnięte kolana trzymane z jednej strony to przecież praktycznie pozycja embrionalna.

Doszedłem do takiego samego wniosku. Wycieńczona po Bóg wie jak długim czasie spędzonym samotnie na ciemnym strychu, młoda kobieta zwinęła się w kłębek, osłoniła brzuch i czekała na śmierć. W miarę jak ciało wysychało, ścięgną się kurczyły, podciągając ręce wyżej na klatkę piersiową.

Nie upozowano jej przez szacunek dla zmarłych. To był zwykły przypadek.

Jedyny wyraźny uraz było widać na prawym ramieniu. Na zdjęciach z miejsca zbrodni zauważyłem, że leży nienaturalnie, a patrząc na prześwietlenia z sekcji, przekonałem się dlaczego. Było zwichnięte.

– Jak sądzisz, przedśmiertne? – zastanawiała się na głos Parekh, oglądając widmowe czarno-białe zdjęcie. – To może być wynik upadku albo walki. Może stało się to podczas próby ucieczki, zakładając, że taką próbę podjęła.

Pokiwałem głową. Chociaż znów tylko spekulowaliśmy, wiedziałem z własnego przykrego doświadczenia, jaki potworny ból sprawia zwichnięte ramię. Nikt nie zwlekałby z udaniem się do lekarza, nie skazywałby się na takie cierpienie, przynajmniej nie z własnej woli. Nic jednak nie wskazywało na to, że kobietę związano, choćby takie otarcia, jakie widzieliśmy u dwóch pozostałych ofiar. Uraz pośmiertny zaś w trakcie przenoszenia ciała spowodowałby uszkodzenie tkanek wokół stawu, może nawet całkowite oderwanie kończyny.

W związku z powyższym uraz przedśmiertny – lub w chwili śmierci – zdawał się znacznie bardziej prawdopodobny. Stanowiło to też argument na potwierdzenie teorii, że kobieta pobiegła na strych, żeby się ukryć. Ciężarna

z wybitym ramieniem nie mogłaby uciekać ani zbyt szybko, ani zbyt daleko. Jeśli ktoś ją ścigał, strych był dla niej jedyną możliwą kryjówką.

A przy okazji ostatnią.

Parekh odsunęła się na bok, żebym mógł się przyjrzeć zębom denatki. O bardziej wyczerpującą analizę trzeba będzie poprosić stomatologa sądowego, ale mogłem dokonać wstępnej oceny. Zapaliłem latarkę długopisową i ostrożnie zajrzałem do rozwartych ust. Języka i warg już nie było, zostały tylko wyschnięte resztki dziąseł.

– Wyrznęły jej się dwa zęby mądrości, ale dwa górne jeszcze do końca nie wyszły – powiedziałem. – Czyli była przynajmniej nastolatką, ale raczej nie miała więcej niż dwadzieścia parę lat.

Zęby mądrości pojawiają się zwykle między siedemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, więc o ile kobieta – „młoda kobieta”, mogłem teraz mówić – była wystarczająco dorosła, by proces już się zaczął, o tyle fakt, że nie dobiegł końca, wskazywał górną granicę wieku. Potwierdzało to również dość małe zużycie zębów, co sugerowało młodą osobę. Stan uzębienia ujawnił także coś jeszcze.

– Niewiele plomb, ale sporo przebarwień i kilka widocznych ubytków – powiedziałem Ward, kiedy już po sekcji zebraliśmy się znowu wszyscy w sali odpraw. – Dawno nie odwiedzała dentysty.

– Może to mieć związek z zażywaniem narkotyków? – zapytała.

– Myślę, że tak.

Whelan słuchał nas jednym uchem, rozmawiając przez telefon. Skończył rozmowę i dołączył do reszty.

– Jeśli kupowała albo sprzedawała narkotyki, wyjaśniałoby to, skąd się wzięła w szpitalu. Wiemy, że kręcili się tam dilerzy, a higiena jamy ustnej nie należy do priorytetów narkomanów.

– Racja, ale dawniej dbała o zęby – powiedziałem. – Wydaje mi się, że próchnica i przebarwienia są dość świeże. Plomby wyglądają na raczej stare, więc skoro w chwili śmierci miała nieco ponad dwudziestkę, to musiała je zrobić

w dzieciństwie albo jako nastolatka. Poza tym w dwóch trzonowcach ma białe wypełnienia, a nie srebrny amalgamat. NHS¹ refunduje takie plomby tylko w przednich zębach.

– Czyli w dzieciństwie miała prywatną opiekę dentystyczną. To mi nie wygląda na kogoś wychowanego w trudnych warunkach. – Ward pokiwała głową. – No dobra, czyli wiemy już o niej trochę więcej. Nieco po dwudziestce, w szóstym albo siódmym miesiącu ciąży, prawdopodobnie zażywała narkotyki. Skoro poszła do Świętego Judy, to pewnie nadal brała, ale niewykluczone, że pochodziła z rodziny, którą było stać na białe wypełnienia.

– Dziewczyna z porządnej rodziny zeszła na złą drogę – stwierdził Whelan. – I to na bardzo złą, skoro w ciąży szukała dilerów.

Zauważyłem, że Ward łypnęła na niego z irytacją, nieświadomie zaplatając ręce na brzuchu w ochronnym geście. Nietrudno było odgadnąć jej myśli: denatka była mniej więcej w tym samym miesiącu ciąży co ona. Potwierdziłem swoje wcześniejsze szacunki na podstawie pomiarów szkieletu. Płód miał dwadzieścia pięć, trzydzieści tygodni, czyli matka albo właśnie kończyła drugi trymestr, albo zaczynała trzeci.

Choć jednak robiłem wszystko, co w mojej mocy, nie potrafiłem stwierdzić nic więcej. Na prześwietleniach pokazały się pęknięcia włoskowate malutkiej kości promieniowej w prawym przedramieniu i kości łokciowej w lewym, ale do urazów doszło najprawdopodobniej po śmierci, czy to podczas przenoszenia ciała matki, czy w wyniku działań padlinożerców. Po oczyszczeniu szkieleciku miałem się jeszcze bliżej przyjrzeć, ale nie spodziewałem się przełomowych odkryć. Cechy płciowe szkieletu rozwijały się dopiero po okresie dojrzewania, więc nie dałoby się nawet stwierdzić, czy nienarodzone dziecko było chłopcem czy dziewczynką.

Jak powiedziała Parekh, czasem ta praca jest strasznie smutna.

Po odjeździe Ward i Whelana Parekh wróciła do szpitala nadzorować wydobywanie ostatniego ciała, a ja miałem już sam przeprowadzić kolejny, najbardziej

makabryczny etap. Prześwietlenia nie pokazują wszystkiego. Musiałem bardziej szczegółowo zbadać kości młodej kobiety, a procedura ta ma więcej wspólnego z rzeźnictwem niż z medycyną. Najpierw należy usunąć jak najwięcej pozostałych tkanek miękkich przy użyciu skalpela i nożyc chirurgicznych. Potem trzeba rozczłonkować sam szkielet, przecinając chrząstki i ścięgna w stawach. Czaszka od kręgosłupa, ręce od torsu, nogi od miednicy: wszystko musi zostać ostrożnie rozdzielone. Potem, już po rozłożeniu ciała na części pierwsze, resztki tkanek usuwa się poprzez macerację kości w ciepłej wodzie z detergentem.

Był to więc trudny i męczący proces, ale przynajmniej tym razem zapowiadał się trochę łatwiej. Szczątki były w takim stanie, że raczej nie zostało na nich wiele tkanki.

Zwłaszcza na drugim, maleńkim szkielecie.

Odmówiłem pracownikowi kostnicy, który zaoferował mi pomoc. Przywykłem do samotnej pracy, a poza tym zaczynała mnie ogarniać melancholia, ciążył mi ponury charakter czekającego mnie zadania. Lepiej mi będzie samemu ze swoimi myślami, we własnym towarzystwie.

Skończyłem pracę kilka godzin później. Dorosłe kości zostawiłem na noc do wygotowania – rano powinny być już czyste, wystarczy je wtedy opłukać i z powrotem poskładać w całość. Delikatniejszy szkielecik płodu zanurzyłem w czystej wodzie w temperaturze pokojowej. Potrwa to dłużej, ale została już tylko odrobinka tkanki, a nie chciałem ryzykować uszkodzenia kosteczek.

Posprzątałem i nie miałem już nic więcej do roboty. Zerknąłem na zegarek i kiedy zobaczyłem tak wczesną godzinę, poczułem ucisk w żołądku. Nie miałem żadnych planów, a wizja samotnego wieczoru w pustym apartamencie nie przedstawiała się zachęcająco.

Kiedy wychodziłem z kostnicy, już nie padało, ale zaczęło znowu, zanim zdążyłem dojść do samochodu. Ciężkie, duże krople upstrzyły chodnik i już po chwili lało jak z cebra. Przebiegłem resztę drogi i wskoczyłem do samochodu, uciekając przed oberwaniem chmury. Wytarłem mokrą twarz. Deszcz łomotał o dach, ściany wody zasłaniały wszystko za pokrytymi kroplami szybami auta.

Wycieraczki nie poradziłyby sobie z taką ulewą, więc oparłem się w fotelu i postanowiłem przeczekać.

Nigdzie mi się nie śpieszyło.

Włączyłem radio, żeby umilić sobie czekanie. Trafiłem na końcówkę serwisu informacyjnego o osiemnastej, wiadomości zbyt mało istotne, żeby załapać się na początek. Z początku deszcz zagłuszał spikera, ale kiedy dosłyszałem wzmiankę o szpitalu Świętego Judy, podkręciłem głośność. Wypowiadał się lokalny historyk, który z całych sił starał się ukryć ekscytację.

– Oczywiście, choć, hm, najświeższe doniesienia są bardzo dramatyczne, to zdecydowanie nie pierwszy raz mamy do czynienia z tragedią w szpitalu Świętego Judy – mówił. – Podczas epidemii tyfusu w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym zmarło kilka siostr pracujących w skrzydle izolacyjnym, a w tym samym roku nieznaną liczbą pacjentów zginęła w pożarze. Z kolei w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym niemal jedna czwarta personelu, cóż, przegrała walkę z hiszpanką. Z kolei w czasie drugiej wojny światowej na wschodnie skrzydło spadła bomba. Na szczęście nie wybuchła, ale zavalony kawałek dachu zabił pielęgniarkę. Mówi się, że to ona jest Szarą Damą.

– Szarą Damą? – podchwycił prowadzący wywiad.

– Szpitalnym duchem. – W głosie historyka słychać było uśmiech. – Pacjenci i personel widywali ją na przestrzeni lat, choć trudno znaleźć świadectwa naocznych świadków. Jeśli wierzyć legendom, Szara Dama zwiastuje śmierć.

Na litość boską. Pokręciłem głową z irytacją.

– Można więc pokusić się o stwierdzenie, że na szpitalu ciąży klątwa? – zapytał dziennikarz.

– Cóż, ja osobiście nie szedłbym tak daleko. Niewątpliwie jednak budynek przetrwał wiele pechowych zdarzeń. Ironia losu, jeśli wziąć pod uwagę, że Święty Juda jest patronem spraw beznadziejnych, jednym z dwunastu apostołów, który...

Wyłączyłem radio. Zwykły zapychacz, audycja mająca wynagrodzić słuchaczom fakt, że policja ujawniła bardzo mało szczegółów dotyczących

znalezienia ciał w starym szpitalu. Taka pogoń za sensacją nie pomoże śledztwu.

Coś mi to jednak przypomniało. Sięgnąłem do schowka i wyjąłem ulotkę informującą o zebraniu, podrzuconą mi dzień wcześniej przez jedną z protestujących. Pod starym zdjęciem Świętego Judy podano miejsce i godzinę spotkania. Zerknąłem na zegarek. Powiniennem zdążyć.

Nie miałem przecież nic lepszego do roboty.

Zanim dotarłem na miejsce, deszcz już trochę zelżał, ale ulewa przegoniła wszystkich z ulicy. Ani śladu tłumku dziennikarzy, który jeszcze poprzedniego dnia kłębił się pod bramą. Wjazdu pilnował teraz tylko jeden policjant w żółtym stroju przeciwdeszczowym, świecącym jaskrawo w półmroku, a na stanowisku zostało jedynie kilku najwytrwalszych reporterów. Większość ubrała się adekwatnie do pogody albo kulila pod dużymi parasolami golfowymi, chociaż jedna kobieta przemokła do suchej nitki i tkwiła pod drzewem jak kupka nieszczęścia.

Minąłem opuszczony szpital. Spotkanie miało się odbyć w sali parafialnej pobliskiego kościoła. Od wyznaczonej godziny rozpoczęcia dzieliło mnie jeszcze dwadzieścia minut, a sądziłem, że bez problemu znajdę adres. Kiedy jednak znalazłem się na kolejnej ulicy pełnej zrujnowanych domów i sklepów zabitych deskami, pożałowałem, że nie włączyłem nawigacji. Skręciłem jeszcze raz, z nadzieją, że wreszcie trafię do celu, ale wylądowałem z powrotem na głównej drodze biegnącej za terenem szpitala. Wzdłuż wyludnionej ulicy sunęła samotna postać. Kobieta obciążona torbami na zakupy brnęła przez ulewę. Miała na sobie gruby płaszcz, ale bez kaptura, szła nieco niezgrabnie, jakby oszczędzała prawą nogę. Wydała mi się znajoma, ale dopiero kiedy ją minąłem, uświadomiłem sobie, że to kobieta, którą spotkałem dzień wcześniej w ruinach kościółka za szpitalem.

Wciąż mając w pamięci jej pożegnalne „odwal się”, zamierzałem jechać dalej, ale potem los podjął decyzję za mnie. Zerknąłem w lusterko i zobaczyłem, jak jadący za mną autobus wjeżdża z pluskiem w kałużę na brzegu ulicy. Ściana

brudnej wody niemal całkowicie przesłoniła staruszkę, która aż zatoczyła się w bok, kompletnie przemoczona.

Antypatyczna czy nie, nie mogłem jej tak zostawić. Zjechałem na bok, co kierowca autobusu skwitował gniewnym mrugnięciem reflektorami. Może nie zauważył, co zrobił, ale ja nie mogłem już teraz po prostu odjechać. Kobieta stała ciągle w tym samym miejscu, bezgłośnie wołając coś za znikającym w oddali autobusem. Potem dźwignęła ociekającą wodą torbę i ruszyła przed siebie zgarbiona i zrezygnowana.

Kiedy dotarła na wysokość mojego samochodu, opuściłem szybę.

– Może panią podwieźć?

Rozejrzała się. Siwe włosy miała przyklejone do głowy, woda kapała jej z brwi i czubka nosa. Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Ktoś pan jest?

– Spotkaliśmy się wczoraj w lasu. – Nie odpowiedziała, tylko nadal wbijała we mnie wrogie spojrzenie. – Przy ruinach kościoła na tyłach Świętego...

– Pamiętam, nie jestem głupia.

Nadal stała bez ruchu. Przez otwarte okno wiatr wiewał deszcz do samochodu, więc ja też zacząłem moknąć.

– Gdzie pani mieszka?

– A co?

– Jeśli niedaleko, to mogę panią podrzucić. – W głębi duszy miałem nadzieję, że mieszka w pobliżu, niedługo miało się zacząć zebranie.

– Nie potrzebuję litości – zachnęła się.

Podmuch wiatru przyniósł kolejną falę deszczu. Otarłem twarz.

– Paskudny wieczór. Mogę panią odwieźć do domu, jeśli pani chce, ale jeśli woli pani iść pieszo, to dla mnie bez różnicy.

Sceptycznie zlustrowała mój samochód, po czym niechętnie odparła:

– Niech będzie.

Sięgnąłem do tylnych drzwiczek i otworzyłem. Wrzuciła mokre reklamówki na siedzenie, po czym sama wtaszczyła się do środka.

– To dokąd jedziemy? – zapytałem.

– Cromwell Street. Następna w lewo.

Zerknąłem na zegarek na tablicy rozdzielczej: miałem coraz mniej czasu do rozpoczęcia spotkania. W samochodzie unosił się zapach mokrej wełny i starych ubrań, a także kwaśna woń świadcząca o tym, że moja pasażerka nie przepadała za częstymi kąpielami.

– Jestem David – powiedziałem, skręcając w lewo.

– Gratuluję. Teraz w prawo. Nie, teraz, w tamtą, ślepy jesteś? Przejechałeś!

Boczna uliczka zniknęła za nami.

– Nie szkodzi, zaraz zawrócę.

Sapnęła.

– Nie ma sensu, możesz pan skrócić w następną. I tak wszystkie się kończą w tym samym miejscu.

Teraz mi to mówi?

– Paskudna pogoda na wychodzenie z domu. – Jeszcze raz spróbowałem nawiązać rozmowę.

– Człowiek nie ma wyboru, jak trzeba zrobić zakupy, co nie?

– Nie ma tu w okolicy żadnych sklepów?

– A łąziłabym w taką pogodę, jakby były?

Poddałem się. Przez chwilę jechaliśmy w całkowitym milczeniu.

– Lola – rzuciła nagle.

– Słucham?

– Tak mam na imię. Lola.

Wrogość w jej głosie zastąpiło znużenie. Kiedy spojrzałem w lusterko, zobaczyłem, że gapi się apatycznie w okno, a na jej nalanej twarzy maluje się ponura mina.

Nie wyglądała na Lolę.

Mieszkała kilkaset metrów od lasku, w którym spotkałem ją po raz pierwszy. Po obu stronach ulicy stały szeregowce wykończone tynkiem kamyczkowym.

W kilku paliło się światło, ale większość wyglądała na opustoszałe, a niektóre zburzono.

– Tutaj.

Zatrzymałem się pod wskazanym domem. Niepomalowany tynk zaczął odpryskiwać, a framugi okien aż się prosiły o świeżą warstwę farby. Tylko drzwi wejściowe wyglądały na nowe: płyta z solidnych drewnianych desek pociągniętych lśniącym lakierem.

Wsiadłem z samochodu. Kapryśny deszcz prawie zupełnie zelżał. Kobieta zdążyła już otworzyć drzwiczki i próbowała samodzielnie wygramolić się z auta.

– Proszę poczekać, pomogę – powiedziałem, sięgając po torby z zakupami.

– Poradzę sobie – odburknęła.

Cofnąłem się o krok, czekając, aż się wygrzebie. Złapała niezdarnie reklamówki i ruszyła do drzwi, grzebiąc w torebce. Zamiast jednak otworzyć, zatrzymała się z kluczami w dłoni i zgromiła mnie wzrokiem.

– Jak pan myślisz, że zapłacę, to się pan grubo mylisz.

– Spokojnie, chciałem tylko zobaczyć, czy sobie pani poradzi – odparłem.

– Poradzę.

Ewidentnie nie byłem już mile widziany.

– W takim razie do widzenia.

Nie odpowiedziała. Odwróciłem się, rzuciłem okiem na zegarek i zakląłem w duchu na widok godziny. Przez chwilę rozważałem, czyby nie poprosić Loli – ciągle nie mogłem się przyzwyczaić do tego imienia – o wskazanie drogi do kościoła, ale niemal natychmiast uznałem, że nie warto się denerwować. Sam jakoś trafię.

Za plecami usłyszałem odgłos otwierania zamka. Nagle rozległ się krzyk, a potem głośny trzask pękającego szkła. Obejrzałem się i zobaczyłem, że jedna z reklamówek się urwała, a słoiki, puszki i pudełka poleciały na ziemię. Butelka z mlekiem się odkręciła, bekon, kiełbaski i potłuczone jajka leżały w białej kałuży powiększającej się szybko na chodniku.

Wysunąłem nogę, żeby zatrzymać puszkę fasolki toczącą się do rynsztoka, po czym zacząłem zbierać inne artykuły spożywcze, które wylądowały w pobliżu. Lola tkwiła przed drzwiami i rozglądała się po zniszczonym jedzeniu rozrzuconym u swoich stóp, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Wnieść to pani do domu? – zapytałem, podchodząc z pozbieranymi puszkami i paczkami.

– Mówiłam już, nie trzeba mi pomocy – odparła nachmurzona.

Obróciła się, cisnęła pozostałe torby do środka, po czym zaczęła jedną po drugiej zabierać mi rzeczy, które udało mi się złapać. Zostawiła uchylone drzwi i gdzieś z wnętrza domu dobiegł nagle cichy jęk. Lola zacisnęła mocno usta, ale zareagowała dopiero wtedy, kiedy jęk się powtórzył, tym razem głośniejsze.

– Dajże mi chwilę, słyszę przecież! – warknęła przez ramię.

Ten dźwięk musiał wydać jakiś człowiek, a nie zwierzę, byłem tego pewny. Zajrzałem przez szparę w drzwiach, starając się wypatrzeć coś w środku. W domu panowała ciemność, ale zauważyłem, że z jednej z toreb wypadł duży pakunek. Paczka pieluch dla dorosłych.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

Rzuciła mi takie spojrzenie, jakby moje pytanie było absurdalne i nie zasługiwało na odpowiedź.

– A co to pana obchodzi?

Westchnąłem ciężko, tracąc resztki nadziei, że zdążę na zebranie.

– Może ja tu posprzątam, a pani w tym czasie zajmie się zakupami?

Nie wiem, czy kusił ją, żeby się zgodzić, czy po prostu ją zaskoczyłem. Przez chwilę gapiała się na mnie, jakby nie rozumiała, co widzi. Potem jednak wyrwała mi z ręki ostatnią puszkę.

– Zostaw nas pan w spokoju.

Drzwi zatrzasnęły mi się przed nosem.

ROZDZIAŁ 10

Przegapiłem pierwsze dziesięć minut spotkania. Chociaż kościół stał całkiem niedaleko mieszkania starszej kobiety, nie było żadnych drogowskazów, a ja już byłem spóźniony. W końcu musiałem skorzystać z nawigacji, a ta poprowadziła mnie znowu przez ulice, którymi już przynajmniej raz wcześniej przejeżdżałem, aż do miejsca docelowego – ku mojej frustracji okazało się, że przez cały czas miałem je praktycznie pod nosem. Kiedy zamykałem samochód i pośpiesznie przekraczałem ulicę, deszcz nadal się wstrzymywał. Spadło zaledwie kilka kropli, ale ciemnoszare chmury kłębiące się na niebie świadczyły o tym, że to tylko tymczasowa przerwa.

Kościół był surowym budynkiem w stylu edwardiańskim, z doklejoną do jednego boku niepasującą dobudówką z lat siedemdziesiątych. Zaraz za progiem powitał mnie zaduch: zapach mokrych ubrań i ogólna wilgoć. Na ścianach wisiały plakaty zachęcające do wstępowania do klubów i uczestnictwa w wydarzeniach, pod ścianą stała złożona podarta trampolina. Spodziewałem się, że pogoda odstraszy większość zainteresowanych, ale sala była pełna. Wszystkie miejsca siedzące pozajmowano, więc pozostali ludzie stali w przejściach i z tyłu. Ktoś już przemawiał ze sceny ustawionej z przodu, wzmocniony mikrofonem głos ciągle balansował na granicy pisku spowodowanego sprzężeniem.

Przy długim stole z mikrofonami siedziało kilka osób. Teraz mówiła siedząca na środku, wyglądająca na zmęczoną kobietę z krótko ostrzyżonymi włosami, w jaskrawokolorowej bluzce, obwieszona sznurami naszyjników i pobrzękująca metalowymi bransoletkami. Na jednym końcu stołu, ale w pewnym oddaleniu od reszty, stało puste krzesło. Wyglądało dziwnie na tej scenie, jakby ktoś specjalnie je tak ustawił. Obok niego siedział mężczyzna, który przemawiał podczas

demonstracji pod Świętym Judą. Znowu miał na sobie prostą czarną marynarkę, dzinsy i śnieżnobiałą koszulkę, a choć nie wyglądał ani trochę krzykliwie czy wyzywająco, emanował charyzmą najbardziej ze wszystkich zgromadzonych na scenie. Nawet gdy nic nie mówił, skupiał na sobie uwagę. Mówczynie raz po raz zerknęła w jego stronę, jakby szukała aprobaty. Kiedy skinął potakująco głową – światła lamp zatańczyły na jego ogolonej czasce – kobieta wyraźnie się zaczerwieniła.

Ruszyłem w stronę wolnego miejsca pod ścianą. Chociaż starałem się nie hałasować, moje wejście nie uszło uwadze zgromadzonych. Wciskając się w lukę w tłumie, zorientowałem się, że ktoś mnie obserwuje. Zwróciłem się ku scenie i zauważyłem, że wpatruje się we mnie mężczyzna, którego widziałem pod szpitalem. Poprzedniego dnia wydawało mi się, że patrzy na mnie, jakby mnie znał, ale teraz już nie miałem wątpliwości. Ukłonił mi się krótko, ledwie zauważalnie, po czym znowu skupił uwagę na przemawiającej.

Czy ja go skądś znam? – zacząłem się zastanawiać zaskoczony. Jeśli już się kiedyś spotkaliśmy, to ja tego nie pamiętałem, ale facet wyraźnie mnie kojarzył. Ciągle łamałem sobie nad tym głowę, kiedy nagle tuż obok usłyszałem cichy głos:

– Nie spodziewałem się tu pana spotkać, panie doktorze.

Po akcencie z Newcastle od razu poznałem Whelana, nie musiałem się nawet oglądać. Policjant wcisnął się obok mnie, uśmiechem dziękując kobiecie, która odsunęła się na bok, żeby zrobić mu miejsce.

– Dziwne ma pan rozrywki – szepnął. Nawet jeśli zauważył, że tamten ukłonił mi się ze sceny, to nic nie powiedział. – Co pana tu sprowadza?

– Ciekawość – odparłem, również starając się mówić jak najciszej. Nie mogłem przecież przyznać, że nie miałem nic lepszego do roboty.

– Nadkomisarz Ward o tym wie?

– Jeszcze godzinę temu sam o tym nie wiedziałem. – Gdybym miał okazję, pewnie zapytałbym Ward o zgodę, ale też nie uważałem, żeby było to konieczne w przypadku otwartego zebrania. – A pan co tu robi?

– Dyskretnie trzymam rękę na pulsie.

– Ward spodziewa się jakichś problemów? – Mówiła mi przecież, że atmosfera wokół szpitala była gorąca jeszcze nawet przed znalezieniem ciała. W kościele nie widziałem jednak ani mundurowych, ani innych oficerów Ward.

Whelan pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Ale czujności nigdy za wiele. Nie wiadomo, kto się może zjawić.

Albo nie zjawić, pomyślałem, znów patrząc na wolne krzesło na końcu stołu. Wskazałem głową na ludzi na scenie.

– Kim oni wszyscy są?

– Lokalni działacze społeczni, głównie płotki. Teraz przemawia miejscowa radna. Ta obok niej prowadzi bank żywności. – Wzruszył ramionami. – Porządni ludzie, przynajmniej większość.

– A ten facet, który siedzi obok pustego krzesła?

Przez twarz komisarza przemknął cień uśmiechu.

– Co do niego nie mamy jeszcze pewności. To Adam Oduya. Aktywista, ale z zupełnie innej ligi niż pozostali. Był adwokatem specjalizującym się w prawach człowieka, ale teraz kreuje się na obrońcę „sprawiedliwości społecznej”. To on zorganizował większość protestów i wieców na rzecz Świętego Judy, on też wyciągnął całą tę ligę ochrony nietoperzy czy jak im tam. Gdyby nie on, szpital byłby już zrównany z ziemią.

Nie miałem pojęcia, skąd ten cały Oduya mógłby mnie kojarzyć.

– No to pewnie deweloperzy za nim nie przepadają.

– Raczej nie spędza im to snu z powiek. To jakiś wielki konglomerat międzynarodowy, więc dla nich to tylko cyferki w arkuszu kalkulacyjnym. Przesrane będą mieli ci biedni ludzie, którzy tu mieszkają.

– Czyżby był pan po stronie protestujących?

– Nie ukrywam, że się z nimi solidaryzuję. Pewnie by się pan nie domyślił po moim akcencie, ale wychowałem się parę ulic stąd. – Pokiwał głową, widząc moje zaskoczenie. – Mieszkałem w Blakenheath do ósmego roku życia, potem

przeprowadziliśmy się z rodzicami do Newcastle. Wróciłem, bo ożeniłem się z dziewczyną z Londynu, ale w tej dzielnicy jestem pierwszy raz od dzieciństwa. Niewiarygodne, co się tu stało. Zawsze była to raczej biedna okolica, ale nie do tego stopnia. Wszędzie narkotyki, budynki poburzone albo pozabijane dechami, a od czasu zamknięcia Świętego Judy trzeba jechać dwadzieścia kilometrów do najbliższego szpitala. Płakać się chce.

Zaczął mówić nieco głośniej, aż zgromiła go wzrokiem kobieta, która wcześniej ustąpiła mu miejsca. Skinął przepaszająco głową i nachylił się do mnie, znów zniżając głos.

– Cała dzielnica aż się prosi o przebudowę, ale zamiast mieszkań w rozsądnych cenach deweloperzy chcą wcisnąć kolejny szklany biurowiec. Próbują też się dorwać do lasku za szpitalem. Te drzewa mają po kilkaset lat, ale oni twierdzą, że jeśli pozwoli się im tam budować, to będą mogli postawić też budynki mieszkalne. Oduya mówi, że próbują nam wciskać kit, no i pewnie ma rację.

– To co się panu w nim nie podoba?

Whelan wzruszył ramionami.

– Generalnie zgadzam się z tym, co głosi, tylko nie kupuję tej jego pozy mesjasza społecznego, na którego usilnie się kreuje. Jak dla mnie ma zbyt duże parcie na szkło. Prowadzi popularnego bloga, na Twitterze ma tłumy obserwujących, potrafi świetnie wykorzystywać media. Drań jest fotogeniczny, trzeba mu to przyznać, ale trudno mi uwierzyć, że nie ma w tym wszystkim własnego celu. Ta sprawa ze Świętym Judą bynajmniej nie zaszkodziła jego popularności.

Spojrzałem na przystojnego mężczyznę na scenie. W skupieniu przysłuchiwał się kobiecie, która nie przestawała gadać.

– Jaki może mieć cel?

– Kto wie? Coś mu kazało rzucić karierę prawnika. Może ambicje polityczne? Facet jest urodzonym politykiem, a tutaj mógłby dyktować warunki i zdobyć każde stanowisko, jakiego by zapragnął. Oho, zaczyna się. Gwóźdź programu.

Mówczyni przeszła do podsumowania, po czym przedstawiła Oduę. Przekazawszy mu głos, oparła się na krześle, a on zaczął entuzjastycznie bić brawo, na co publiczność z nieco mniejszym zapalem poszła w jego ślady. W przeciwieństwie do przedmówcy nie został na miejscu, ale zdjął mikrofon ze statywu na stole i wstał.

– Dziękuję, Tanju. I dziękuję wam wszystkim za przybycie. Gdyby nie ten deszcz, to mielibyśmy komplet.

Uśmiechnął się swobodnie i dla podkreślenia żartu rozejrzał znacząco po zatłoczonej sali. Jego głos oratora wzmocniony mikrofonem robił jeszcze większe wrażenie, przez publiczność przetoczyła się fala śmiechu. Ucichła jednak, bo mężczyzna znów spoważniał.

– Niektórzy twierdzą, że nie ma już czegoś takiego jak społeczność, że więzi międzyludzkie popękały. Że wszyscy zobojętnieli. – Skinął głową i zawiesił głos dla zwiększenia efektu. – Kiedy jednak stoję dziś tutaj przed wami, widzę zupełnie co innego. Widzę ludzi, którzy nie są obojętni. Ludzi, którzy troszczą się o swoich bliskich i o swoich sąsiadów, którzy chcą lepszego życia dla swoich dzieci. Ludzi, którzy mają już serdecznie dość tego, że nikt ich nie słucha!

Jego głos wspinał się coraz wyżej, aż zaczął się odbijać echem od solidnych ścian kościoła, wywołując spontaniczne oklaski. Zauważyłem też jednak, że delikatnie odsunął mikrofon od ust, żeby uniknąć sprzężenia powodującego nieprzyjemny pisk. Whelan miał rację – Oduya świetnie znał się na rzeczy.

Przez następne dziesięć minut przemawiał elokwentnie i z pasją (ściśle kontrolowaną). Wiedziałem już co nieco o historii szpitala Świętego Judy, podobnie jak wszyscy zgromadzeni. To jednak nie miało znaczenia. Oduya skupiał na sobie uwagę tłumu, w całej sali nie dałoby się pewnie znaleźć ani jednej pary oczu, która nie byłaby w niego wlepiona.

Wyszedł zza stołu, ostentacyjnie omijając puste krzesło, stanął z przodu sceny i zapatrzył się w przestrzeń. Szmer na widowni ucichły. Pozwolił ciszy narastać.

– Wiem, że nie mówię niczego, czego już wcześniej ode mnie nie słyszeliście.
– Teraz mówił ciszej, ale wszyscy nadal słuchali jak urzeczeni. – Zamknięcie naszego szpitala, kradzież... bo to jest kradzież!... naszych praw i naszej ziemi dla zaspokojenia chciwości wielkich korporacji, to wszystko już było. Stara historia. Teraz jednak nie chodzi już tylko o ziemię, o budynki, o chciwość. Teraz chodzi o życie. Życie, które kilku ludzi straciło. A co na to policja? Milczy.

– O-o... – mruknął Whelan, prostując się.

Oduya zamaszystym gestem wskazał puste krzesło na scenie.

– Policja miała szansę porozmawiać bezpośrednio z naszą społecznością, ale wybrali milczenie. Gdzie oni są? Czemu ich tutaj nie ma?

– Wrabiają nas – wycedził gniewnie komisarz. – Nikt nas, kurwa, nie zaprosił.

Reszcie zgromadzonych słowa Oduyi przypadły jednak do gustu. Przez widownię przeszedł gniewny pomruk. Oduya stał obok pustego krzesła – teraz zrozumiałem, że miało służyć za rekwizyt.

– Wiemy tylko tyle, że trzy osoby zmarły, a ich ciała zostawiono, żeby zgniły, i to w budynku, który kiedyś był szpitalem. Nie znamy ich tożsamości, nic nam o nich nie powiedziano. Ale jedno jest pewne. Nie zasługiwali na to, żeby umrzeć śmiercią szczurów, porzuceni i zapomniani tak samo jak szpital Świętego Judy. Nikt nie zasługuje na taki los!

Rozległy się wiwaty, szaleńczy aplauz i gniewne okrzyki poparcia. Oduya krążył teraz po scenie, znowu coraz bardziej podnosząc głos.

– Jak można było do tego dopuścić? Czy nasze życie, życie wasze i waszych dzieci, naprawdę jest tak mało warte? Bo nie ukrywajmy, stawką w tej grze jest życie naszych dzieci! Wiem z pewnego źródła, że jedna z tych biednych ofiar była w ciąży...

Poczułem, jak Whelan sztywnieje.

– Niech to szlag.

– Policjanci nie chcą, żebyście się o tym dowiedzieli, bo się wstydzą. I powinni się wstydzić! – Oduya przemawiał coraz żarliwiej. – To, co się wydarzyło w szpitalu, to nie tylko tragedia, to symptom. Objaw choroby, która

toczy nasze społeczeństwo. Czy naprawdę zamierzamy siedzieć cicho i nic nie robić, pozwolić, żeby się jeszcze bardziej rozprzestrzeniała?

Publiczność pozrywała się z krzeseł, gorąco bijąc brawo i wznosząc okrzyki oburzenia. Whelan był już w odwrocie, przepychał się przez tłum do wyjścia. A w spokojnym oku rozpełtanego przez siebie cyklonu Oduya stał w milczeniu na scenie.

Z zadartą głową chłonał swoje dzieło.

Zostałem do końca, ale następni mówcy wypadli raczej blado na tle Oduyi. Zaledwie mu wtórowali, bezskutecznie próbowali wzbudzić równie gorące emocje. On sam zaś siedział spokojnie na swoim miejscu, z zadowoloną miną słuchając uprzejmie pozostałych. Ludzie zaczęli jednak wychodzić, jeszcze zanim dobiegło końca ostatnie wystąpienie.

Kiedy spotkanie zostało oficjalnie zakończone, ustawiłem się w długiej kolejce do drzwi. Ani widu, ani słychu Whelana, ale pewnie musiał złożyć Ward raport z zebrania. Po numerze Oduyi rozpętają się pewnie burzliwe dyskusje. Wziął policję z zaskoczenia, ujawnił poufne szczegóły, których nie powinien znać nikt poza zespołem śledczym, co jasno wskazywało na przecieki. Ward będzie musiała sobie poradzić z PR-owym koszmarem i odpowiedzieć na masę niewygodnych pytań.

Kiedy wyszedłem z kościoła, deszcz nadal nie padał, chociaż wisząca w powietrzu delikatna mżawka zapowiadała, że wkrótce się to zmieni. Kilka osób jeszcze ociągało się z wyjściem, ale i tak byłem jednym z ostatnich. Czując chłód przenikający przez płaszcz, ruszyłem szybkim krokiem w stronę samochodu. Nie uszedłem nawet kilku kroków, kiedy ktoś mnie zawołał.

– Doktorze Hunter!

Obejrzałem się i zobaczyłem, że jakaś postać zmierza pośpiesznie w moją stronę. Kiedy się zbliżyła, ku mojemu zaskoczeniu okazała się Adamem Oduyą. Uśmiechał się szeroko.

– Tak mi się zdawało, że to pan, kiedy wczoraj pana widziałem. Co słyhać?

Na mojej twarzy musiała się odmalować konsternacja, bo jego uśmiech nieco zbladł.

– Dużo czasu minęło. Poznaliśmy się, ech, chyba z osiem albo dziewięć lat temu. Sprawa Gale Fairley? Byłem jednym z obrońców Kevina Barclaya.

Musiałem się chwilę zastanowić, żeby sobie przypomnieć, o co chodziło. Siedemnastoletnia Gale Fairley uciekła z domu, jej ciało w stanie rozkładu znaleziono w lesie. Policja postawiła zarzut morderstwa Kevinowi Barclayowi, bezrobotnemu trzydziestolatkowi z zaburzeniami rozwojowymi, bo w jego kawalerce znaleziono przedmioty należące do ofiary. Jako biegły powołany na świadka przez obronę zdołałem ustalić, że nastolatka zmarła od czterech do sześciu tygodni przed znalezieniem zwłok. Ponieważ w tym okresie Barclay leżał w szpitalu po wypadku samochodowym, nie mógł być sprawcą.

Moje zeznania nie przypadły do gustu policji ani prokuraturze. Podczas przesłuchania oskarżenie próbowało za wszelką cenę podważyć moje ustalenia, ale nie mogli kłócić się z faktami. Barclaya oczyszczono z zarzutów, a wkrótce potem o zabójstwo Gale Fairley oskarżono jego współlokatora i w końcu go skazano.

Chociaż udało mi się przywołać w pamięci samą sprawę, to za nic nie mogłem sobie przypomnieć Adama Oduyi.

– Miałem wtedy włosy – powiedział, szczerząc zęby i przesuwając dłonią po gładkiej czaszce. – Zresztą pewnie nie zwracał pan na mnie uwagi. Byłem początkującym adwokatem, więc trzymałem się raczej na uboczu. Miał pan do czynienia głównie z Jamesem Barracloughem.

Barraclougha rzeczywiście pamiętałem – pedantyczny pan mecenas z bardzo wysokim mniemaniem o sobie. Teraz powoli zaczynał mi się przypominać Oduya.

– Diametralna odmiana od pracy adwokata – rzuciłem, zerkając na salę parafialną. – Wygłosił pan interesujące przemówienie.

– Trzeba było powiedzieć to głośno. Będę to powtarzał, dopóki ludzie nie zaczną słuchać.

– Odniosłem wrażenie, że już zaczęli.

– Żeby coś naprawdę zmienić, potrzeba więcej niż kilkaset osób w salce przy kościele. – Przez chwilę sprawiał wrażenie przygnębitego. – Mam jeszcze parę rzeczy do załatwienia, ale może skoczmy potem na piwo?

Dzwonki ostrzegawcze, które brzęczały mi w uszach już od jakiegoś czasu, teraz zaczęły wyć jak syreny alarmowe.

– Dziękuję, ale nie mogę.

– To może kiedy indziej? Moglibyśmy się umówić na kawę, jeśli tak panu bardziej pasuje.

– Raczej nie.

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie pytająco.

– Nie chce pan kolaborować z wrogiem, o to chodzi?

Widział mnie pod szpitalem, więc zdążył się zorientować, że należę do zespołu śledczego.

– Powiedzmy, że nie chcę ryzykować konfliktu interesów.

Podniósł ręce, pokazując wnętrza dłoni, jakby na znak, że nie ma złych zamiarów.

– Przysięgam, nie chcę stawiać pana w niewygodnej sytuacji. Czy mi pan wierzy, czy nie, jesteśmy po tej samej stronie. Chce pan pomóc ofiarom i sprawić, by sprawiedliwości stało się zadość. Ja też.

– I w tym celu rozpowszechnia pan poufne szczegóły śledztwa w sprawie zabójstwa?

– Jeśli mówi pan o fakcie, że jedną z ofiar była ciężarna kobieta, to tak. Zauważyłem, że pan temu nie zaprzeczył.

Ostrożnie.

– Nie do mnie należy potwierdzanie czy zaprzeczanie. A swoją drogą, gdzie pan o tym słyszał?

Źródłem przecieku mogła być każda osoba powiązana ze śledztwem. Pomijając kilkudziesięciu policjantów, mogło chodzić o pracownika kostnicy czy nawet któregoś ze strażaków i sanitariuszy obecnych na miejscu zdarzenia.

Oduya pokręcił głową z uśmiechem.

– Przecież pan wie, że nie mogę powiedzieć. Ale to pewne źródło.

– I sądzi pan, że wykorzystywanie takich informacji do taniego punktowania policji to najlepszy sposób pomocy?

– Myśli pan, że o to mi chodziło? – Sprawiał wrażenie autentycznie zdumionego. – Każda z tych ofiar ma gdzieś rodzinę czy przyjaciół. Nie uważa pan, że mają prawo się dowiedzieć, co się stało z ich bliskimi?

– Oczywiście, ale nie w taki sposób. – Nie zamierzałem wysłuchiwać kazań, zwłaszcza po tym, co przez całe popołudnie musiałem robić w prosektorium. – Ta decyzja nie należy do pana.

– Błagam, panie doktorze! Poważnie sugeruje pan, że powinniśmy ślepo ufać władzom? Nie może pan chyba być aż tak naiwny.

Zabolało. Już miałem zaprotestować, ale się powstrzymałem. O to właśnie mu chodziło. Jako były adwokat świetnie się odnajdował w wymianach argumentów. Nie zamierzałem dać się sprowokować i czegoś zdradzić.

Chyba się zorientował, bo zmienił taktykę.

– No dobrze, obiecuję, że nie chodzi mi o informacje, nie dlatego pana zaczepiłem. Właściwie to chciałem się przywitać. Dawniej współpracowaliśmy i chciałbym wierzyć, że jeszcze kiedyś znowu będziemy mogli. Może nie teraz, ale kiedyś.

– W porządku.

– Widzę, że mi pan nie ufa – powiedział z uśmiechem zabarwionym nutką żalu. – Rozumiem. Proszę tylko o to, żeby zachował pan otwarty umysł.

– Zawsze staram się to robić.

– O nic więcej nie mogę prosić. – Wyciągnął dłoń z wizytówką. Po chwili wziąłem ją od niego. – Miło było znów pana zobaczyć, panie doktorze. Wbrew temu, co może pan usłyszeć od niektórych kolegów z policji, to naprawdę nie ja jestem waszym wrogiem. Mam nadzieję, że będzie pan o tym pamiętał.

Chowając wizytówkę do portfela, patrzyłem, jak odchodzi.

ROZDZIAŁ 11

Następnego ranka wcześniej wyszedłem z domu. W kostnicy miałem się pojawić dopiero przed południem, do tego czasu powinny odpaść resztki tkanek z kości, które zostawiłem na noc do odmoknięcia. Właściwie już teraz powinny być gotowe, ale nie zaszkodzi dodatkowa godzina czy dwie. Najpierw chciałem jednak gdzieś jeszcze pojechać.

Obudziłem się w niezłym humorze. Wieczorem dzwoniła Rachel. Nie spodziewałem się telefonu od niej jeszcze przez kilka dni, ale mieli nieplanowany postój na wyspie z dobrym zasięgiem. Jej głos brzmiał bardzo pogodnie i optymistycznie, opowiadała mi o tym, jak śledzili stadko delfinów, a jednego nawet uratowali z porzuconej sieci rybackiej. Opowieści o błękitnym morzu i bezchmurnym niebie wydawały się nierealne w jesiennej szarudze Londynu, jakby z zupełnie innego świata niż ponure gmaszysko Świętego Judy. Rozmowa z nią była jak światełko rozjaśniające mroki przygnębiającego śledztwa.

Dobry nastrój utrzymał się jednak tylko do chwili, gdy włączyłem radio. Chociaż nie zauważyłem na wczorajszym spotkaniu przedstawicieli mediów, to albo jacyś dziennikarze musieli być w tłumie, albo Oduya sam skontaktował się później z prasą. Tak czy inaczej, nie próżnował.

– Policja odmówiła komentarza w sprawie pańskiej wypowiedzi, jakoby jedno z ciał znalezionych w szpitalu Świętego Judy należało do ciężarnej kobiety – mówiła reporterka. – Skąd zdobył pan taką informację? Czy to przeciek od osoby pracującej przy śledztwie?

– Rzecz jasna nie mogę ujawnić źródła, więc powiedzmy tylko, że nie jestem jedyną osobą, którą niepokoi sposób, w jaki prowadzona jest ta sprawa – odparł

znajomy mi już głos Oduyi. – Informacja pochodzi jednak ze sprawdzonego źródła. A wczoraj wieczorem potwierdziła ją jeszcze jedna zaufana osoba, która ze względu na zajmowane stanowisko dysponuje odpowiednią wiedzą.

Co?! Poparzyłem sobie usta kawą i szybko odstawiłem kubek, żeby skupić się na słuchaniu.

– Jak pan sądzi, dlaczego policja nie chce ujawniać tych szczegółów? – zapytała reporterka.

– To bardzo dobre pytanie. Nie znam na nie odpowiedzi i dlatego chciałbym w tej chwili zaapelować do policji. Proszę, przez wzgląd na rodzinę tej niezidentyfikowanej kobiety i jej dziecka, powiedzcie opinii publicznej prawdę. Mamy prawo wiedzieć, więc po co te tajemnice? Czego oni się boją?

No błagam! Z niesmakiem wylałem kawę do zlewu, straciłem apetyt na śniadanie. Ujawnianie poufnych szczegółów w chwili, kiedy nie mamy jeszcze pojęcia, kim była ta młoda matka, to już wystarczająco drańskie posunięcie. Linie policyjne zostaną przeciążone telefonami od szalejących z niepokoju krewnych i od żartownisiów dzwoniących z fałszywymi zgłoszeniami. Niemniej po rozmowie z Oduyą zacząłem nawet wierzyć, że dąży do upublicznienia sprawy ze szlachetnych pobudek.

Jednak to końcowe: „Czego oni się boją?” było cyniczną próbą rozdmuchania historii. Wpadający w ucho slogan, którego wszyscy się uczeplią, sugerujący nieistniejące spiski i afery. Whelan wspominał, że Oduya potrafi świetnie wykorzystywać media. Teraz zrozumiałem, co miał na myśli.

Miałem też pewne podejrzenia, kim mogła być tajemnicza „zaufana osoba”. Anonimowo czy nie, chociaż tak bardzo się zarzekał, Oduya był gotów wykorzystać także mnie dla dobra swojej sprawy. Starłem się wywinąć od odpowiedzi na pytanie o ciążę jednej z ofiar, ale nie zaprzeczyłem wprost. Nie mogłem zaprzeczyć, skoro to była prawda.

To mu wystarczyło.

Próbowałem się dodzwonić do Ward, ale od razu włączała się poczta głosowa. Nic dziwnego. Znalazła się w bardzo niewygodnym położeniu i musiała

opracować strategię minimalizacji szkód. Informacja o ciąży młodej ofiary przedostała się do opinii publicznej, na to Ward nic już nie mogła poradzić. Gdyby od razu odpowiedziała Oduyi, wyglądałoby to tak, jakby zmusił ją do zajęcia stanowiska. Z kolei jeśli nie odpowie, uwiarygodni jego zarzuty wobec policji, która jakoby miała coś ukrywać przed obywatelami.

Zjechałem windą do garażu, próbując wyrzucić z myśli radiowy wywiad. Poranny ruch zaserwował mi typową gehennę zakorkowanych ulic i zszarganych nerwów, a dzień już bez tego zapowiadał się ciężko. Ewentualna stłuczka na pewno mi nie pomoże, a wręcz przeciwnie.

Dotarłem na miejsce i zaparkowałem na znajomej już ulicy z szeregowcami. Kot leżący na zewnętrznym parapecie jednego z domów o oknach zabitych deskami mierzył mnie przenikliwym spojrzeniem, a na drugim końcu ulicy umęczona kobiecina pchała podwójny wózek z bliźniakami. Poza tym było zupełnie pusto.

W ścianie obok nowych drzwi frontowych tkwił guzik przedpotopowego dzwonka. Kiedy go nacisnąłem, rozległo się tylko skrobanie połamanego plastiku, a w domu nadal panowała cisza. Zrezygnowałem z dzwonięcia i zapukałem do solidnych drzwi. Nieznaczna plama na chodniku u moich stóp znaczyła miejsce, w którym rozlały się mleko i jajka, ale wszelkie inne ślady zostały uprzątnięte.

Nie wiedziałem, jakiego powitania się spodziewać. Lola jasno dała mi do zrozumienia, żeby zostawić ją w spokoju, więc wątpiłem, że ucieszy się na mój widok. W każdej innej sytuacji przyjąłbym taką odmowę do wiadomości, ale to nie o nią się martwiłem. Kiedy wchodziła do domu, ze środka dobiegł jakiś jęk, do tego dochodziły pieluchy dla dorosłych, które przyniosła ze sklepu. Nie trzeba było detektywa, żeby dodać dwa do dwóch. Starsza kobieta radząca sobie jakoś sama to jedno, ale jeśli opiekowała się chorym mężem czy krewnym, nie mogłem jej zostawić, nie upewniwszy się, że wszystko jest w porządku. Kilka miesięcy wcześniej, podczas śledztwa w Essex, spotkałem innego człowieka,

który potrzebował pomocy. Nic wtedy nie zrobiłem i wkrótce gorzko tego pożałowałem.

Nie chciałem drugi raz popełnić tego samego błędu.

Odczekałem jeszcze kilka sekund, po czym zapukałem znowu. Bez odpowiedzi. Już zacząłem myśleć, że zmarnowałem czas, ale kiedy cofnąłem się o krok, zobaczyłem ruch zasłon w oknie.

– Jest tam kto? – zawołałem.

Nic. Ale przynajmniej wiedziałem, że ktoś jest w domu. Podniosłem reklamówkę, którą miałem w ręku, żeby było ją dobrze widać.

– Zrobiłem pani zakupy.

Nadal żadnej reakcji, ale kiedy już doszedłem do wniosku, że fatygowałem się na marne, usłyszałem dźwięk otwieranego zamka.

Drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów i zatrzymały na łańcuchu. Przez szparę przyglądała mi się Lola.

– Czego pan chcesz?

– Wczoraj wieczorem podwoziłem panią do domu i...

– Wiem, ktoś pan jest, pytałam, czego chcesz.

Znowu podniosłem torbę.

– Zrobiłem małe zakupy. Za tamte, które się potłukły czy rozsypały.

Zmierzyła reklamówkę wzrokiem, w którym podejrzliwość walczyła z pokusą.

– Nie napraszałam się, nie zamierzam za to płacić.

– Nie chcę pieniędzy.

– Jałmużny też nie przyjmuję!

Spróbowałem ugryźć sprawę z innej strony.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. Mam wyrzuty, że nie pomogłem pani z zakupami. Proszę zrobić mi tę grzeczność i przyjąć zadośćuczynienie.

Łypnęła na mnie spode łba, po czym zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. No trudno, próbowałem. Potem jednak zagrzechotał łańcuch i drzwi znów się

otworzyły. Lola obrzuciła mnie jeszcze jednym podejrzliwym spojrzeniem, ale w końcu odsunęła się na bok i wpuściła mnie do środka.

W budynku nie było holu. Przez drzwi wejściowe wchodziło się bezpośrednio do niewielkiego pokoju. W pomieszczeniu panował półmrok, żaluzja na oknie niemal całkowicie blokowała dopływ światła dziennego. Od razu uderzyła mnie fala nieprzyjemnego zapachu, gęsta woń ludzkich odchodów i niepranej pościeli, która cofnęła mnie do czasów praktyki medycznej. Zegar odmierzał każdą kolejną sekundę wolnym metronomicznym tykaniem. Kiedy oczy już przyzwyczyły się do ciemności, zorientowałem się, że stoję w salonie, który został kiedyś przerobiony na kuchnię, teraz zaś pełnił dodatkową funkcję pokoju chorego. W łóżku na środku pomieszczenia leżał mężczyzna przykryty brudnymi prześcieradłami i kocami. Trudno było dokładnie ocenić jego wiek, ale był wyraźnie znacznie młodszy od kobiety – miał brązowe, przetłuszczone włosy, a zapadnięte policzki porastała niechlujna broda. Usta miał uchylone i przez jedną okropną chwilę zdawało mi się, że nie żyje. Potem jednak zobaczyłem jego oczy, żywe i świadome, które wpatrywały się we mnie z zaciekawieniem spomiędzy fałdów luźnej skóry twarzy.

– Pan mi to da. – Lola praktycznie wyrwała mi torbę. Potem, jakby mimochodem, zerknęła w stronę łóżka. – To mój syn, jakby się pan zastanawiał.

Domyśliłem się. Na szafce stojącej przy łóżku tłoczyły się ramki z fotografiami, na których mężczyzna był znacznie młodszy: od małego, pulchnego chłopca z okrągłą buzią po zwalistego nastolatka. Na wszystkich zdjęciach chłopak – z nadwagą i wyraźnie zahukany – miał ten sam nieśmiały uśmiech.

Teraz jednak raczej nieczęsto się uśmiechał, śmiało czy nieśmiało. Choroba pozbawiła go nadmiaru ciała, pozostawiając ruinę człowieka. Gdyby nie te same ciemne włosy, w mężczyźnie leżącym w łóżku nie dałoby się rozpoznać tamtego chłopaka ze zdjęć. Uśmiechnąłem się do wychudzonej twarzy.

– Dzień dobry, mam na imię David.

– Szkoda czasu, i tak panu nie odpowie – warknęła Lola, bezceremonialnie rzucając zakupy na blat kuchenny, tuż obok zlewu, z którego wylewała się sterta brudnych naczyń. – Miał udar.

– Nie szkodzi, chciałem się tylko przedstawić.

Nie chciałem zakładać, że jej syn nie rozumie, co się dzieje, tylko dlatego, że jest niepełnosprawny fizycznie. Przeciwnie, jego oczy zdawały się obserwować mnie całkiem czujnie. Śledziły każdy mój krok, od kiedy wszedłem do domu.

To drugi powód, dla którego się tam znalazłem. Oprócz uzupełnienia sprawunków chciałem się też dowiedzieć, czyje jęki słyszałem poprzedniego dnia. Matka chorego zaczęła rozpakowywać reklamówkę, a ja rozejrzałem się po pokoju. W kącie, obok złożonego wózka inwalidzkiego, leżały sterty pampersów. Wszędzie walały się rozmaite sprzęty i artykuły medyczne, a kredens był dokumentnie zawalony ulotkami i nieotwartymi listami. Przeczytałem nazwisko na pierwszej z brzegu kopercie: „Pani L. Lennox”.

– Na pewno nie jest pani łatwo – powiedziałem, starając się włączyć do rozmowy także mężczyznę. – Ktoś pani pomaga czy musi pani sobie radzić sama?

– A kto inny ma się nim zająć? – Wyciągnęła z torby kolejny pakunek. – Kielbasek nie potrzeba, opłukałam tamte.

– A pomoc społeczna?

Wciąż grzebała w reklamówce, nawet nie podniosła wzroku.

– Co „pomoc społeczna”?

– Nie mogą wysłać jakichś pracowników opieki?

– Ciągle powtarzam, że nie chcę żadnej pomocy. Nie od takich ludzi. – Kolejne pudełko zmierzyła zniesmaczonym spojrzeniem. – Po co mi ciastka z jabłkami? Nie lubię.

– Przepraszam. – Spróbowałem jeszcze raz. – Jak sobie pani radzi sama ze zmienianiem pościeli czy kąpielami?

– Wiem, co robię. Byłam kiedyś pielęgniarką.

– W Świętym Judzie? – wyrwało mi się.

– Moja noga by nie powstała w tej ruderze. Wystarczy, że muszę koło niej mieszkać. – Obróciła się i posłała mi wrogie spojrzenie. – Lubisz pan wypytywać, co?

– Chciałem tylko podtrzymać rozmowę.

Pora zmienić temat. Pokazałem na ścianę, na której w ramce wisiało inne zdjęcie. Przedstawiało puszystą młodą kobietę w dopasowanej czerwonej sukience, z włosami zaczesanymi do góry w misterną, spryskaną lakierem fryzurę. Fotografia wyblakła, ale styl i przesycone barwy wskazywały na lata siedemdziesiąte. Atrakcyjna kobieta pozowała jak modelka i patrzyła w obiektyw z porozumiewawczym uśmiechem. I tak domyśliłbym się, kim jest, ale jej oczy nie pozostawiały wątpliwości. Ani trochę się nie zmieniły.

– To pani? – zapytałem.

Kiedy zobaczyła, na co patrzę, nieco złagodniała.

– W dniach świętości. Nie mogłam się wtedy opędzić od facetów. Nie to co teraz.

Przez twarz przemknął jej grymas czy to żalu, czy to niesmaku. Zniknął jednak, zastąpiony przez wyraz irytacji, kiedy z łóżka dobiegł cichy jęk. Spojrzałem na leżącego mężczyznę. Wpatrywał się w nas intensywnie, po podbródku ciekła mu strużka śliny. Niespokojny zaczął się niemrawo wiercić, rzucił na podłogę plastikowy kubek z dzióbkiem.

– O nie, tylko bez takich scen – zdenerwowała się matka i poszła podnieść kubek. – Zamknij się, zaraz się tobą zajmę.

– Nic mu nie jest?

– Trzeba go przewinać. Zajmę się nim, jak pan sobie pójdiesz.

Zostawiła syna, podeszła do torebki, wyjęła portfel i zaczęła odliczać pieniądze.

– Naprawdę, nie trzeba pieniędzy...

– Mówiłam, że nie chcę litości ani jałmużny.

Głos miała twardy jak stal. Dałem sobie spokój, rozumiejąc, że nie ma sensu się kłócić. Skrępowany zerknąłem na jej syna. Nieco się uspokoił, jakby nawet

tak niewielki wysiłek go zmęczył, ale nadal nie odrywał od nas wzroku. Stary zegar na gzymsie nierozpalonego kominka gazowego cierpliwie wypełniał swoją monotonną misję. Biedaczysko, pomyślałem. To musi być dla niego tortura, leżeć tak i słuchać odliczania kolejnych sekund życia. Po brodzie pociekło mu więcej śliny z ust, które z trudem otwierały się i zamykały jak u ryby.

– Proszę. – Lola wcisnęła mi pieniądze. – Ale potrąciłam za kiełbaski i ciastka z jabłkami. Nie chciałam ich.

Zauważyłem jednak, że je sobie zostawiła. Ewidentnie się zasiedziałem, o ile kiedykolwiek byłem tu mile widziany. Ruszyłem do wyjścia, ale zatrzymałem się jeszcze na chwilę.

– Zapomniałem spytać o imię pani syna – powiedziałem, zwracając się zarówno do matki, jak i do mężczyzny leżącego w łóżku.

Zagapiła się na mnie, jakbym zadał niezwykle trudne pytanie.

– Gary. Na imię mu Gary.

Wychodząc, cały czas czułem na sobie jego wzrok.

– Do widze... – zacząłem, ale drzwi już się za mną zatrzasnęły.

Z ulgą znalazłem się na dworze po spędzeniu czasu w ciasnym, dusznym pomieszczeniu, w atmosferze choroby. Wciąż byłem wstrząśnięty tym, co zobaczyłem. Syn Loli był przewlekłe chorym człowiekiem wymagającym całodobowej opieki, być może profesjonalnej. Może i jego matka była kiedyś pielęgniarką, ale nic nie wskazywało na to, żeby dysponowała odpowiednim sprzętem i warunkami lokalowymi. Do tego jeszcze dochodził jej wiek. Musiała być po siedemdziesiątce, a choć zdawała się całkiem krzepka, jeśli nie liczyć lekko sztywnego chodu, to męczenie się z kąpielami, pieluchami i odleżynami mogło wykończyć nawet znacznie młodszą osobę.

Pytanie brzmiało: co powinienem w związku z tym zrobić?

– Wstrętna stara krowa, co?

Jakaś kobieta stała w drzwiach domu oddalonego o kilka numerów. Wyglądała na czterdziestoparolatkę, chociaż mocny makijaż utrudniał dokładne określenie jej wieku. Włosy miała nienaturalnie czarne, a twarz i szyję lekko

pomarańczowe od samoopalacza, przez co wyglądała trochę jak chora na żółtaczkę. Opierając się o framugę, machnęła papierosem w stronę drzwi, które właśnie zamknięto mi przed nosem.

– Nie wiem, w jakiej pan sprawie, ale dałabym sobie spokój. Ten babsztyl do nikogo się nie odzywa.

Uśmiechnąłem się wymijająco i ruszyłem do samochodu, nie chcąc dać się wciągnąć w rozmowę. Kobieta jednak nie zrozumiała aluzji albo nie chciała jej zrozumieć.

– Pan z opieki społecznej?

– Nie. – Zwolniłem kroku. – A czemu?

Zaciągnęła się, przyglądając mi się przez chmurę dymu.

– Ktoś powinien wreszcie coś z tym zrobić. To nie w porządku, że tak trzyma tego syna w domu. W takim stanie powinien być w jakimś zakładzie. Aż tutaj czuć ten smród.

Zerknąłem na dom Loli. Żaluzje wyglądały na zaciągnięte, ale na wszelki wypadek i tak odszedłem trochę dalej, żeby znaleźć się poza zasięgiem wzroku i słuchu.

– Od jak dawna on jest w takim stanie?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. – Ja tu mieszkam prawie od roku, a jak się wprowadzałam, to już tak było. Jedyne raz widziałam go niedługo po przeprowadzce, wiozła go gdzieś na wózku. Biedny gość. Jakbym ja tak skończyła, to wolałabym, żeby mnie ktoś zastrzelił.

Powiedziała to zupełnie beznamiętnie.

– Ktoś do nich przychodzi, żeby pomóc? Może drugi syn czy córka?

– Nikogo nie widziałam. Ale trudno się dziwić, co nie? Wiecznie skrzywiona stara rura. Zapytałam kiedyś, co jest z tym synem, to kazała mi pilnować własnego nosa. Puściła mi niezłą wiązanekę. No to więcej już nie pytałam. –

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, w zamyśleniu otrzepując pył z papierosa. – Jak pan nie z opieki społecznej, to skąd? Jakiś lekarz czy coś?

– Coś w tym rodzaju. – Nie skłamałem, ale też oszczędziłem sobie długich wyjaśnień.

– Tak myślałam. Ma pan w sobie coś takiego. – Sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie. – Pogorszyło mu się, tak? Nic dziwnego, skoro ona się nim opiekuje. Żał mi go, ale z drugiej strony się cieszę, że nie na mnie padło, biorąc pod uwagę, co ona ma na sumieniu.

Ewidentnie mnie podpuszczała, żebym zapytał, o co chodzi. Próbowałem się powstrzymać, ale ciekawość zwyciężyła.

– A co ma na sumieniu?

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Mówiła panu, że była pielęgniarką?

– Tak, wspominała.

– A wspominała też, że ją zwolnili?

Przyglądała mi się bacznie, rejestrując moje reakcje.

– Za co zwolnili?

– Z tego, co słyszeliśmy, miała szczęście, że nie poszła siedzieć. – Znowu zaciągnęła się papierosem, wyraźnie delektując się sytuacją. – Mówią, że zabiła jakiegoś dzieciaka.

ROZDZIAŁ 12

Wdrodze powrotnej specjalnie przejechałem koło Świętego Judy. Było niedaleko, a chciałem się przekonać, jakie skutki miały rewelacje Oduyi opublikowane w prasie. Poprzedniego wieczoru pod bramą stała zaledwie garstka reporterów i to raczej nie deszcz zniechęcił pozostałych. W obliczu braku nowych wydarzeń zainteresowanie mediów zaczynało słabnąć.

Oduya jednak odwrócił sytuację o sto osiemdziesiąt stopni. Pod wjazdem do szpitala znowu gromadziło się sporo wozów satelitarnych i dziennikarzy. Nie tak dużo jak zaraz po znalezieniu ciał, ale wystarczająco, żeby móc stwierdzić wyraźny wzrost zainteresowania historią. Tłum rozlewał się na jezdnię, zmuszając mnie do zwolnienia. I dobrze się stało. Z naprzeciwka szedł chodnikiem młody mężczyzna w bluzie z kapturem. Obrócił głowę, bardziej zainteresowany kamerami telewizyjnymi niż patrzeniem, gdzie idzie, a ja nagle w przebłysku intuicji przewidziałem, jak się to skończy.

Kiedy zszedł z krawężnika, ja już hamowałem. Mimo to mało brakowało. Znajdował się tuż przede mną, gdybym nie zwolnił, tobym go potrafił. Na szczęście tylko szarpnęło mną w pasach, a neseser przeleciał gwałtownie z jednego końca bagażnika na drugi, kiedy samochód gwałtownie się zatrzymał. Chłopak stał na ulicy jak wryty, na osłoniętej kapturem twarzy odmalował się szok na widok samochodu, który pojawił się jakby znikąd. Potem jednak jego mina się zmieniła.

– Patrz, gdzie jedziesz, kutasie!

Już się przymierzał, żeby skopać mi auto, ale przypomniał sobie, że po drugiej stronie ulicy stoi policja. Rozejrzał się ukradkiem, spuścił głowę i odszedł szybkim krokiem.

Sytuacja mocno mną wstrząsnęła – o mało nie doszło do wypadku. Z rozkołatanim sercem wrzuciłem bieg i ruszyłem w dalszą drogę. Zamieszanie przyciągnęło uwagę najbliższych stojących dziennikarzy. Nie musiałem się oglądać, żeby czuć na sobie ich wzrok, kiedy odjeżdżałem ulicą.

Nie zamierzałem dostarczać im więcej materiału do nagłówków.

W miarę jak szpital Świętego Judy znikał w lusterku wstecznym, zacząłem wracać myślami do wydarzeń poranka. Sąsiadka z lubością rozpowiadała plotkę, że Lolę zwolniono po śmierci dziecka, którym się zajmowała, ale szybko się okazało, że wiedziała niewiele więcej. Jeśli w ogóle było co wiedzieć: sam też padłem kiedyś ofiarą złośliwej plotki i wiedziałem, jak łatwo może się ona do człowieka przykleić, niezależnie od prawdziwości pogłosek.

Lola jednak sama powiedziała, że była kiedyś pielęgniarką. A chociaż nie podzielałem upodobania niektórych do obmawiania bliźnich, nie dało się zaprzeczyć, że w niektórych plotkach tkwiło ziarno prawdy.

Nie potrzebowałem dodatkowych komplikacji, zwłaszcza po tym jak zobaczyłem, w jak fatalnych warunkach żyła Lola i jej syn. Samodzielna opieka nad synem wyraźnie sprawiała jej trudność, a chociaż nie chciałem się wtrącać i rozumiałem jej potrzebę niezależności, to należało wziąć pod uwagę także dobro chorego. Może i nie jestem już lekarzem, ale nie mogłem udawać, że nie widziałem, jak oni mieszkają.

Ale co powinienem z tym zrobić?

Z ulgą wkroczyłem w chłodną, kliniczną ciszę kostnicy. Tutaj przynajmniej miałem poczucie kontroli i panowania nad sytuacją. Wpisałem się na listę, przebrałem w strój chirurgiczny, wyłączyłem dźwięki w telefonie i schowałem go do wewnętrznej kieszeni. Jeśli miałem do wykonania pracę wyjątkowo trudną i wymagającą skupienia, zwykle zostawiałem komórkę w szafce. Jednak czekające mnie dziś zadanie było raczej rutynowe, a nie chciałem tracić kontaktu z otoczeniem.

Wiedziałem, że Ward będzie próbowała się ze mną skontaktować.

Najpierw sprawdziłem delikatne kostki płodu. Chociaż została na nich już tylko resztkę tkanek, rozpuści się i odpadnie dopiero po wielu dniach moczenia w zwykłej wodzie. To badanie miało być zresztą wyłącznie formalnością. Nic nie wskazywało, żeby matka została dźgnięta nożem albo doznała jakiegoś innego urazu, po którym zostałyby ślady na malutkich kostkach. W macicy płód był chroniony przed wszystkim, czego doświadczyła jego matka w ostatnich chwilach.

Przynajmniej dopóki nie straciła życia.

Jedyny sposób, w jaki mogłem usprawnić ten proces, to codzienne zmienianie wody, w której moczyły się kości. Zrobiłem to więc, a następnie zająłem się matką. Całonocna maceracja – powolne gotowanie w słabym roztworze detergentu – skutecznie usunęła tkanki miękkie i tłuszcz z rozczłonkowanych kości. Naciągnąłem na ręce gumowe rękawiczki do łokcia i przeszedłem do następnego etapu.

Żadna konstrukcja stworzona przez człowieka nie może się pod względem budowy równać z kośćmi. Gładka część zewnętrzna zbudowana jest z warstw blaszek tworzących istotę zbitą, a wewnątrz znajduje się drobnowłóknista istota gąbczasta, która wzmacnia kość, nie zwiększając ciężaru. W kościach długich, na przykład budujących ręce i nogi, pusty środek (jama szpikowa) jest wypełniony szpikiem kostnym, tłustą tkanką odpowiedzialną za produkcję krwinek. To majstersztyk inżynierii, a oglądany pod mikroskopem ujawnia jeszcze bardziej złożoną, misterną konstrukcję.

Pełną analizę miałem przeprowadzić później, dopiero po ponownym ułożeniu wszystkich kości we właściwej pozycji anatomicznej. Nie znaczyło to jednak, że nie mogłem już teraz dokonać wstępnej oceny. Wyjąłem ociekającą czaszkę z kotła, w którym odmakala, i opłukałem w czystej wodzie. Kości co prawda tworzą podstawę struktury, ale to skóry i mięśniom nasze twarze zawdzięczają mimikę i indywidualny charakter. Bez nich czaszka pozostaje wyłącznie bryłą wapnia.

Choć nadal bywa użyteczna.

Wydłużony kształt czaszki sugerował pochodzenie z rasy białej, podobnie jak wąski nos o wysokim grzbiecie i dość drobna szczeka. Chociaż nie było to jeszcze rozstrzygające, mogło pomóc Ward znaleźć dopasowanie w bazie osób zaginionych. Zębom denatki miałem okazję przyjrzeć się już podczas sekcji, na podstawie ich ogólnego stanu mogłem oszacować jej wiek i domyślić się, jaki prowadziła styl życia. Teraz moją uwagę zwrócił niewielki, ale wyraźny przodozgryz, górne zęby nachodziły na dolne. Cecha ta była najprawdopodobniej widoczna za życia, co powinno pomóc przy identyfikacji.

Odłożywszy czaszkę do wyschnięcia w wyciągu laboratoryjnym, zacząłem wyjmować pozostałe oczyszczone kości z przypominającego zupełny płyn i po kolei opłukiwać. Chciałem jak najszybciej przyjrzeć się z bliska kulistej głowie prawej kości ramiennej, a także stawowi ramiennemu, łączącemu długą kość ręki z łopatką, żeby się przekonać, czy zwichnięcie spowodowało jakiś uraz, którego nie pokazały prześwietlenia.

Odpowiedź brzmiała: nie. Były w dobrym stanie. Jeśli zwichnięcie powstało w wyniku niedelikatnego obchodzenia się ze z mumifikowanym ciałem w trakcie przenoszenia, to nie uszkodziło ani wysuszonej tkanki, ani samego stawu. Choć nie pozwalało to na wyciąganie jednoznacznych wniosków, stanowiło kolejny dowód, że do urazu doszło jeszcze za życia młodej kobiety.

Ale potem nie trwało już ono długo.

Opłukując następne kości i odkładając je do wyschnięcia, znajdowałem kolejne dowody na słuszność moich wcześniejszych szacunków wieku ofiary. Stan spojenia łonowego (fragmentu kości łonowej, który z wiekiem staje się coraz gładziej) również wskazywał na osobę po dwudziestce. To samo z kośćmi udowymi. W dzieciństwie końce takiej kości są pokryte grubą warstwą chrząstki nasadowej. W okresie dojrzewania chrząstka kostnieje i stopniowo łączy się z trzonem kości. Po zaniku chrząstki pozostaje linia znacząca miejsce złączenia się tych dwóch powierzchni. Wkrótce także ta linia zaczyna zanikać, by około dwudziestego piątego roku życia całkiem się zatrzeć.

Te kości nadal miały delikatne linie, ale ledwie widoczne. Z kolei końce mostkowe żeber były gładkie, nie miały ziarnistej powierzchni, która rozwija się z wiekiem. Coraz więcej wskazywało więc na to, że ofiara była przed trzydziestką, a prawdopodobnie ledwie po dwudziestce, biorąc pod uwagę, że nie wyróżnęły jej się jeszcze wszystkie ósemki.

Odkładałem właśnie ostatnie zebro do wyciągu laboratoryjnego, kiedy w kieszeni zawibrował mi telefon. Szlag! Ściągając rękawiczki, szybko wyszedłem z sali prosektoryjnej. Zanim jednak zdążyłem wygrzebać komórkę z wewnętrznej kieszeni, przestała dzwonić. Choć domyślałem się, kogo się spodziewać, na widok nazwiska na wyświetlaczu ścisnęło mnie w żołądku.

Ward.

Znalazłem ustronny kąt korytarza i oddzwoniłem. Odebrała od razu.

– Nie zdążyłem odebrać... – zacząłem.

– Chwilę. – Musiała zasłonić mikrofon dłonią. Słyszałem, jak rozmawia z kimś w tle, ale po chwili wróciła. – Co pan powiedział wczoraj Adamowi Oduyi?

W wiadomości, którą zostawiłem jej wcześniej na poczcie głosowej, nie zagłębiałem się w szczegóły, wspominałem tylko, że rozmawiałem z działaczem po zebraniu. Nie oczekiwałem od Ward entuzjazmu, ale jej ton był wyjątkowo szorstki i oskarżycielski.

– Nic mu nie powiedziałem. Zaczepił mnie już na zewnątrz, kiedy wychodziłem, i się przedstawił. Okazało się, że zeznawałem kiedyś jako biegły w sprawie, przy której on pracował jako początkujący obrońca.

– I dopiero teraz mi pan o tym mówi?

– Sam o tym nie wiedziałem, dopóki mi nie przypomniał. To było wieki temu, nawet go nie rozpoznałem.

– No dobrze, mówił mu pan coś o śledztwie?

– Oczywiście, że nie.

– Tymczasem Oduya powtarza w ogólnokrajowych stacjach radiowych i telewizyjnych, że ktoś mu potwierdził ten przeciek. Ktoś znajomy, zaufana

osoba, a pan naprawdę próbuje mi wmówić, że ma tu jakiegoś innego starego znajomego oprócz pana?

– Niczego nie próbuję pani wmówić – odparłem atak. – Mówię tylko, że niczego mu nie powiedziałem. Poprosił mnie o potwierdzenie, a ja odmówiłem.

– Ale nie zaprzeczył pan.

Oho, teraz się będzie działo. Wzięłem głęboki oddech.

– Nie.

Chwila ciszy. Niemal słyszałem, jak Ward próbuje zapanować nad swoim wybuchowym charakterem.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Zdałem dokładną relację, od początku do końca. Nie przerywała mi.

– Dobra – powiedziała, kiedy skończyłem, i wypuściła długi strumień powietrza. – Nie mogę mieć do pana pretensji o niezaprzeczenie domysłem o ciąży ofiary, ale tak czy inaczej Oduya ma teraz więcej amunicji. Dziennikarze nie dają nam spokoju, więc jadę do szpitala, wygłoszę oficjalne oświadczenie. Wolałabym zaczekać, aż będziemy wiedzieli coś więcej, ale teraz już nie mam wyjścia. Gdyby więc znowu próbował pana zagadać, to na litość boską, proszę dla naszego wspólnego dobra się nie zatrzymywać.

Nie musiała mi tego powtarzać. Z napięcia zeszywniały mi mięśnie. Zacząłem ugniatać kark, próbując nieco je rozluźnić.

– Udało się pani ustalić źródło przecieku?

– Jeszcze nie. Może chodzić o kogoś z zespołu śledczego, ale po wypadku Conrada po szpitalu kręciła się masa ludzi, każdy mógł coś podsłuchać, a potem przekazać to dalej.

Sprawiała wrażenie raczej zmęczonej niż złej – zupełnie zrozumiałe, śledztwo toczyło się zrywami od jednego kryzysu do drugiego. Domyślałem się, że współpraca z podkomendantem Ainsleyem też nie należy do najłatwiejszych.

– Dzwonię też w innej sprawie – dodała już nieco spokojniej. – Ile czasu jeszcze panu potrzeba w prosektorium?

Zastanowiłem się, co mi zostało do zrobienia.

– Będę jeszcze musiał wrócić, żeby zbadać płód, ale poza tym powinienem skończyć jeszcze dziś.

– Świetnie, bo od jutra potrzebuję pana w Świętym Judzie – powiedziała Ward. – Musimy się upewnić, że nie czekają nas tam już żadne niespodzianki, więc poprosiłam o ekipę z psem przeszkolonym do lokalizowania zwłok. Chciałabym, żeby pan był przy przeszukaniu.

Spodziewałem się, że prędzej czy później zostanie sprowadzony pies. Zwierzęta te dysponują zmysłem węchu rozwiniętym setki razy bardziej niż nasz, więc niektóre z nich ćwiczy się w sztuce wykrywania woni rozkładu zbyt słabej dla ludzkiego nosa. Potrafią wywęszyć gnicie nawet przez beton o grubości kilku metrów, więc fałszywa ściana nie powinna stanowić dla nich problemu.

Choć takie psy były niewątpliwie bardzo użyteczne, nie potrafiły odróżnić szczątków ludzkich od zwierzęcych. Nie miało to większego znaczenia w przypadku odnalezienia całych zwłok, ale części ciała i pojedyncze kości bywały trudne do zidentyfikowania. Dlatego nie można się było obejść bez antropologa kryminalistycznego. Zdziwiłem się jednak, że to mnie Ward poprosiła o pomoc.

– A co z Mearsem?

– Ma już pełne ręce roboty. Parekh ma jeszcze dziś zacząć sekcję pierwszej z tych zamurowanych ofiar, więc Mears przez kilka dni będzie tym zajęty. Nie zamierzam sprowadzać kolejnej osoby, skoro mam już was dwóch.

Sądziłem, że już nigdy nie przekroczę progu starego szpitala. Opuściłem go bez większego żalu, ale teraz poczułem lekki dreszcz podniecenia na myśl o powrocie.

– O której mam jutro przyjść?

Zamierzałem powtórzyć Ward, co usłyszałem od sąsiadki Loli, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Miała już i tak wystarczająco dużo na głowie, nie chciałem marnować jej czasu na niesprawdzone plotki. Była pielęgniarka

rzekomo zamieszana w śmierć jakiegoś dziecka i mieszkająca w pobliżu Świętego Judy – coś w tym mogło być, ale im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej traciłem przekonanie, że warto w ogóle o tym wspominać. Nawet jeśli sąsiadka mówiła prawdę, nie bardzo widziałem ewentualny związek z naszą sprawą. Starsza kobieta i jej przykuty do łóżka syn raczej nie pasowali na potencjalnych sprawców. Powinna się nimi zająć pomoc społeczna, a nie policja.

Schowałem telefon z powrotem do kieszeni i wróciłem do sali prosektoryjnej. Gdybym szybko uporał się ze złożeniem szkieletu młodej matki, mógłbym w przerwie obiadowej podjechać do szpitala i posłuchać oświadczenia Ward. Po raz pierwszy miała je wygłosić jako prowadząca śledztwo, ciekawiło mnie, jak sobie poradzi. Pogrążony w rozmyślaniach prawie wpadłem na drzwi do szatni, które otworzyły się gwałtownie. Ktoś wyszedł na korytarz w pełnym stroju chirurgicznym, z czepkiem włącznie. Jednak nawet nie widząc płomiennorudych włosów, od razu rozpoznałem młodzieńczą twarz Daniela Mearsa.

Na mój widok zawahał się i oblał rumieńcem. Potem jednak zadarł brodę i puścił drzwi, które się za nim zatrzasnęły.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Odpowiedział mi sztywnym skinięciem głowy.

– Widział pan doktor Parekh? – zapytał, patrząc za moje plecy, jakby się spodziewał, że patolożka nagle się tam zmaterializuje.

– Jeszcze nie. Dzisiaj zaczyna sekcje, zgadza się?

– Owszem. – Zawiesił głos. – Zapowiada się ciekawie.

Jak na dłoni było widać, że próbuje mnie sprowokować do pytania. Kusilo mnie, żeby nie dać się złapać, ale wiedziałem, że potem przez cały dzień bym się zastanawiał.

– Tak? A co znaleźliście?

Widziałem tamte ofiary tylko przelotnie. Mears miał zapewne okazję przyjrzeć się im znacznie bliżej, zanim zostały przetransportowane do kostnicy.

Natychmiast jednak pożałowałem swojego pytania. Nie udało mu się ukryć samozadowolenia.

– Ach, to i owo. Pewnie sam pan zauważył, że ofiary były torturowane?

Torturowane? Jeśli nie liczyć głębokich obtarć od pasów, w świetle latarki nie dostrzegłem żadnych wyraźnych śladów urazów fizycznych. Co prawda zamurowanie żywcem kwalifikowałoby się jako tortury według każdego możliwych kryteriów, ale wiedziałem, że nie to Mears ma na myśli.

– Nie mogłem się porządnie przyjrzeć – odparłem, świadom, że brzmi to jak marna wymówka.

– Tak, faktycznie można to było przeoczyć – powiedział z fałszywą wielkodusznością. – Z uwagi na ześlizg i odbarwienie skóry trudno było to tak od razu zauważyć, ale na niektórych fragmentach naskórka występowały miejscowe oparzenia.

– Przypalano ich?

– To właśnie powiedziałem, prawda?

Niezbyt udatnie markował zmieszanie. Nie oglądałem tamtych dwóch ofiar z bliska, a ich ciała były w takim stanie, że nawet poważniejsze poparzenia mogły nie rzucać się w oczy. Mimo to poczułem niemiłe ukłucie zranionej dumy.

– Urazy były dość niewielkie i zbyt ograniczone, żeby mogły powstać w wyniku przypalania ogniem – ciągnął z lubością Mears. – Użyto raczej jakiegoś rozgrzanego narzędzia, a nie na przykład lampy lutowniczej. Oczywiście więcej dowiem się po pogłębionym badaniu.

– Gdzie znajdowały się oparzenia? – zapytałem.

– Wszędzie. Znalazłem ślady na głowie, kończynach, torsie. Lokalizacja sprawia wrażenie przypadkowej. – Na usta ciągle cisnął mu się protekcyjny uśmieszek. – Jeśli to pana pocieszy, doktor Parekh również musiałem sam je wskazać.

– Bo te moje stare oczy nie widzą już za dobrze w ciemności – odezwał się za nami głos Parekh. – Chociaż na swoją obronę muszę powiedzieć, że skupiałam się wtedy na ranach od pasków.

Nie zauważyłem, kiedy się pojawiła, Mears najwyraźniej też. Gdy drobna patolożka stanęła obok nas, oblał się szkarłatem.

– Pani doktor, ja... eee... właśnie...

– Tak, słyszałam. Cześć, David. – Uśmiechnęła się do mnie, ale w oku błysnęła jej groźna iskierka. – Jak ci idzie z ofiarą z poddasza? Domyślam się, że już kończysz?

– Już prawie.

– Nigdy nie lubiłeś marnować czasu. Z chęcią przeczytam twój raport. Na pewno będzie tak wyczerpujący jak zawsze. – Odwróciła się do Mearsa, którego rumieniec jeszcze pociemniał. – Jeśli jest pan już gotowy, panie doktorze, chciałabym zacząć pierwszą sekcję. Postaram się niczego nie przegapić, ale gdyby się tak zdarzyło, to proszę się nie krępować.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do swojej sali prosektoryjnej. Mimo niewielkiego wzrostu narzucała zaskakująco szybkie tempo, Mears ledwie mógł za nią nadążyć.

Patrzyłem za nimi z uśmiechem, ale szybko spoważniałem na wspomnienie słów tafonoma. Od początku wiedziałem, że ofiary uwięzione za ślełą ścianą spotkała straszliwa śmierć. Jeśli jednak je przypalano, czyli torturowano, to ich męczarnie musiały być jeszcze okrutniejsze.

Wstrząsająca wizja. Wyrzuciłem z głowy egoistyczny żal, że nie mogłem sam dokonać analizy zwłok, po czym wróciłem do sali, gdzie czekały na mnie kości niedoszłej matki.

ROZDZIAŁ 13

Mało brakowało, żebym nie zdążył na konferencję prasową Ward. Płuczac ostatnie kości i odkładając je do wyschnięcia, nie odkryłem niczego niespodziewanego, ale nie mogłem przestać myśleć o tym, co powiedział mi Mears. Kiedy już wszystkie fragmenty szkieletu leżały w wyciągu laboratoryjnym, wyjąłem fotografie z miejsca zbrodni oraz te wykonane podczas sekcji. Chociaż wiedziałem, że jeśli na zwłokach znajdowałyby się jakieś ślady przypalania, to już bym je zauważył, jeszcze raz przejrzałem zdjęcia pod kątem przeoczonych oparzeń na skórze młodej kobiety. W procesie rozkładu jasna skóra ciemnieje, ciemna zaś jaśniej, co uniemożliwia określenie na tej podstawie pochodzenia etnicznego. Mimo tego, i nawet biorąc pod uwagę wysychanie skóry w procesie mumifikacji, ciężkie poparzenia, jak te opisane przez Mearsa na ciałach zamurowanych ofiar, powinny być wyraźnie widoczne. Nie mogłem wykluczyć możliwości, że przypalano ją w miejscach, które potem padły ofiarą owadów – ropiejąca rana po oparzeniu na brzuchu nie zostawiłaby śladów krwi na odzieży, a muchy chętnie składałyby w niej jaja, co tłumaczyłoby ziejącą dziurę w jamie brzuszno-miedniczej.

Nie znalazłem jednak dowodów na potwierdzenie tej tezy. Gdyby nie to, że ciała znaleziono w bliskiej odległości od siebie, nic nie wskazywało na związek między ciężarną kobietą na strychu a ofiarami zamurowanymi w ukrytej sali. Nie przepadam za zbiegami okoliczności, ale wszystko zaczynało wskazywać, że właśnie z nim mieliśmy tu do czynienia. Może podkomendant Ainsley słusznie nakazał Ward rozdzielenie obu miejsc zbrodni, przyznałem niechętnie w myśli. W schowanym przed wzrokiem ciekawskich, opuszczonym i zdewastowanym szpitalu można było ukrywać najróżniejsze sekrety.

Przeanalizowałem dokładnie wszystkie fotografie i w końcu przyjąłem do wiadomości, że niczego nie przegapiłem. Na szczątkach ciężarnej kobiety nie było żadnych widocznych oparzeń.

Kości suszyły się w wyciągu laboratoryjnym, a ja zerknąłem na zegarek – okazało się, że zbliżała się pora wygłoszenia oświadczenia przez Ward. Pośpiesznie przebrałem się ze stroju chirurgicznego, wyszedłem z kostnicy i pojechałem do Świętego Judy. Lato zdawało się już należeć do dalekiej przeszłości, a jesień zaczęła się na dobre. Światło nieco się zmieniło, cienie były dłuższe, o twardszych konturach, a podskórny chłód w powietrzu zwiastował nadchodzącą zimę.

Kiedy dotarłem do szpitala, przed główną bramą stał już pokaźny tłumek. Jezdnię zastawiały kamery, wozy transmisyjne i wysięgniki mikrofonowe, a jeden pas był ogrodzony metalowymi barierkami. Zaparkowałem kilka ulic dalej i pośpieszyłem z powrotem. Znalazłem miejsce przy barierce na skraju zbiegowiska, gdzie mogłem zająć dobrą pozycję obserwacyjną. Tuż za bramą czekał już mikrofon, ale na razie nikt za nim nie stał. Rozglądając się wokół, zauważyłem Ainsleya stojącego samotnie za plecami przedstawicieli mediów. Nikt nie zwracał uwagi na podkomendanta, ale z uwagi na cywilny strój trudno było rozpoznać w nim funkcjonariusza policji.

Zastanawiałem się, czy to znaczące, że stoi po tej stronie mikrofonu, a nie razem z Ward.

Poza nim nie dostrzegłem w tłumie nikogo znajomego. Nawet Oduyi. Ku mojemu zaskoczeniu nigdzie nie było widać rzutkiego działacza. Sądziłem, że ochoczo skorzysta z okazji do przedstawienia swoich racji przed kamerami telewizyjnymi. Kiedy się nad tym zastanawiałem, od strony szpitala podjechał ciemny samochód i zatrzymał się przed bramą wyjazdową. Wsiadła z niego Ward, a za nią Whelan i elegancka młoda kobieta – domyśliłem się, że to rzeczniczka prasowa policji.

Szmer rozmów ucichł, Ward podeszła do mikrofonu. Zachowywała kamienną twarz, ale nerwowe odkaszlnięcie zdradziło jej treść. Dołożyła starań, żeby

wyglądać jak na prowadzącą sprawę przystało – ułożyła nieposłuszne włosy w jako taką fryzurę i włożyła czarny trencz, który maskował jej wydatny brzuch. Ciekawe, czy zrobiła to celowo. Wiadomość, że ciężarna była nie tylko jedna z ofiar, lecz także dowodząca śledztwem, wzbudziłaby kolejną niepotrzebną sensację.

Poczułem na sobie czyjś wzrok, odwróciłem się i zobaczyłem, że Ainsley na mnie patrzy. Z początku nie zareagował, jakby zapomniał, kim jestem. Gapił się przez chwilę tymi niepokojącymi jaskrawoblękitnymi oczami, a potem skinął szybko głową i odwrócił się, kiedy Ward zaczęła mówić.

– W niedzielę wieczorem... – Skrzywiła się, bo z głośników rozległ się przenikliwy pisk, który zagłuszył jej słowa. Rzeczniczka szepnęła jej coś do ucha i Ward odsunęła się nieco od mikrofonu, po czym podjęła wątek: –

W niedzielę wieczorem policja otrzymała zgłoszenie, że w przeznaczonym do rozbioru budynku szpitala Świętego Judy znaleziono ciało młodej kobiety. W toku dalszych poszukiwań odkryto zwłoki dwóch kolejnych osób. Do czasu oficjalnej identyfikacji nie mogę ujawnić danych żadnej z ofiar. Mogę jednak potwierdzić, że do wszystkich trzech zgonów doszło w podejrzanych okolicznościach.

Typowy komunikat prasowy, nijaki, unikający niewygodnych tematów i sprytnie omijający nieliczne fakty, jakie udało nam się ustalić. Zauważyłem, że Ward nie wspomniała o płci pozostałych ofiar: trzeba będzie to później ustalić.

Zawiesiła głos, patrząc teraz na prasę z większą pewnością siebie.

– Pojawiły się spekulacje dotyczące stanu, w jakim znajdowała się jedna z ofiar w chwili śmierci. Na ten moment nie mogę ani potwierdzić tych spekulacji, ani im zaprzeczyć, ponieważ mogłoby to zaszkodzić śledztwu. Sprawa jest niezwykle złożona i zakrojona na szeroką skalę, więc chciałabym prosić...

Urwała, bo tłum nagle zafalował, zrobiło się jakieś zamieszanie. Głowy zwracały się w stronę grupy ludzi przedzierających się ku przodowi, reporterzy rozstępowali się, żeby ich przepuścić. Wyciągnąłem szyję i zobaczyłem kobietę

i mężczyznę w średnim wieku o twarzach poranych zmarszczkami od trosk. Z boku i trochę za nimi szedł ze spuszczoneym wzrokiem znacznie młodszy człowiek, chłopak nastoletni albo tuż po dwudziestce.

Prowadził ich zaś Adam Oduya.

Aktywista z poważnym wyrazem twarzy torował sobie drogę między dziennikarzami. Otaczająca go aura pewności siebie kontrastowała z tym, jak wyraźnie nieswojo czuła się towarzysząca mu trójka. Podążali tuż za nim, skupieni w ciasną grupkę, i rozglądali się nerwowo na boki.

Ward próbowała podjąć wątek.

– ...prosiłabym zatem, aby zachowali państwo cierpliwość i pozwolili nam prowadzić śledztwo...

Nikt już jednak jej nie słuchał. Oczy wszystkich spoczywały na Oduyi, który zatrzymał się właśnie przed Ward wraz ze swoją tajemniczą świtą. Nie zwracał najmniejszej uwagi na mikrofony i kamery, które teraz po kolei obracały się w jego stronę.

– To Sandra i Tomas Gorscy – oznajmił głośno, tak by wszyscy dokładnie go słyszeli. Wskazał młodego człowieka, który jeszcze bardziej się skulił, chowając głowę w ramionach. – To ich syn Luke. A to ich córka, dwudziestojednoletnia Christine.

Podniósł dużą, błyszczącą fotografię i obrócił tak, żeby każdy mógł się przyjrzeć twarzy młodej kobiety. Rzeczniczka prasowa pośpiesznie zastąpiła Ward przy mikrofonie.

– Przepraszam bardzo, ale to nie jest publiczne zebranie. Jeśli dysponuje pan jakimiś informacjami...

– Ta rodzina zasługuje na to, żeby ich wysłuchać! – Oduya nie musiał podnosić głosu, żeby uzyskać dominację. Zauważyłem, że przez tłum przeciskają się w jego stronę mundurowi. – Christine zaginęła piętnaście miesięcy temu w Blakenheath. Od tego czasu nikt jej nie widział, słuch po niej zaginął. Jednak mimo nieustannych apeli bliskich policja nie zrobiła nic, żeby ją znaleźć!

– Jeśli ma pan jakieś informacje, proszę porozmawiać z którymś z naszych funkcjonariuszy...

– Sandra i Tomas skontaktowali się ze mną dziś rano, w całkowitej desperacji! – ciągnął nieustępliwie. – Nie mieli się do kogo zwrócić. Otóż ich córka...

Policjanci coraz gwałtowniej przepychali się przez zgromadzonych dziennikarzy. Oduya wymachiwał fotografią dziewczyny jak mieczem.

– ...ich córka Christine Gorski była w szóstym miesiącu ciąży!

Kiedy jeden z funkcjonariuszy próbował go złapać, rozpętało się pandemonium. Reporterzy wyrzaskiwali pytania, ale Ward położyła rękę na ramieniu rzeczniczki prasowej, powstrzymując ją przed dalszymi komentarzami. Zamieniła po cichu kilka słów z Whelanem, który kiwnął głową i powiedział coś do telefonu. Policjanci, którzy otoczyli Oduyę, zatrzymali się i cofnęli o kilka kroków, ale nie spuszczali go z oka.

– Spokój, proszę o ciszę – powiedziała Ward do mikrofonu. – Przepraszam, czy mogę prosić o ciszę?!

Sprzężenie poniosło się przenikliwym gwizdem nad tłumem przedstawicieli mediów. Zapadła cisza, przerywana jedynie trzaskiem obiektywów aparatów. Ward chciała coś powiedzieć, ale Oduya ją uprzedził.

– Nadkomisarz Ward, mogłaby pani potwierdzić przez wzgląd na rodzinę Gorskich, czy jedną z ofiar znalezionych w szpitalu Świętego Judy rzeczywiście była młoda kobieta w ciąży?

– Przez wzgląd na wszystkie ofiary i dobro ich rodzin nie zamierzam zdradzać żadnych informacji, których ujawnienie mogłoby zaszkodzić toczącemu się śledztwu. Jesteśmy im to winni – odparła Ward. Czerwone plamy na policzkach świadczyły o kipiącym w niej gniewie. – Oczywiście współczuję państwu Gorskim i ich bliskim zaginięcia córki. Rozumiem, jak trudne...

– Naszej córki nie ma od ponad roku! – Słowa Ward zagłuszył udręczony krzyk Sandry Gorski. Stojący obok mąż patrzył w przestrzeń niewidzącym

wzrokiem, twarz miał zaciętą. – Nie zależy nam na współczuciu, chcemy, żebyście wreszcie coś zrobili!

Przez chwilę Ward wyglądała, jakby dostała w twarz, ale zaraz odzyskała rezon.

– I zrobimy, obiecuję pani. Ale forum publiczne to nie jest miejsce na taką dyskusję. Jeśli pójdą teraz państwo z jednym z moich funkcjonariuszy, to daję słowo, że wysłucham, co mają państwo do powiedzenia. Jeśli potem nadal będzie pani chciała publicznie wylewać żale, proszę bardzo, to pani wybór. Dziękuję bardzo, to już wszystko.

Odwróciła się i odeszła od mikrofonu, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, że skończyła. Dziennikarze bezskutecznie wyrzaskiwali pytania, a ja zobaczyłem, że Whelan przeciska się w stronę Oduyi i Gorskich. Po krótkiej wymianie zdań przeprowadził ich przez kordon policyjny do nieoznakowanego samochodu, którym przyjechała Ward.

Pytania ciągle rozbrzmiewały tu i tam, ale tłumek reporterów coraz mocniej się przerzedzał. Mieli nadzieję na jakąś sensację i niewątpliwie dostali to, po co przyszli.

Też zbierałem się do odejścia, kiedy nagle po raz kolejny poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Rozejrzałem się za Ainsleyem, sądząc, że to znów on, ale nie zobaczyłem go ani na poprzednim miejscu, ani nigdzie w zasięgu wzroku. Zresztą nikogo nie dało się wypatrzeć w chmarze dziennikarzy, fotografów, kamer i mikrofonów.

Nieprzyjemne wrażenie towarzyszyło mi jednak przez całą drogę do samochodu.

Zanim wróciłem do prosektorium, kości zdążyły wyschnąć. Ponowne złożenie ich w szkielet poszło mi całkiem sprawnie, a po dokładniejszym badaniu nie dowiedziałem się niczego, czego nie wiedziałem wcześniej. Żadnych zrośniętych złamań ani innych cech charakterystycznych, które mogłyby pomóc w identyfikacji, a jedyną nową informacją, jaką udało mi się uzyskać, był

szacowany wzrost ofiary. Nie jest to takie proste jak w przypadku żywej osoby, kiedy wystarczy zmierzyć długość od stóp do czubka głowy. Utrata tkanek miękkich oraz deformacja kręgosłupa (jeśli zwłoki leżały w wymuszonej pozycji) mogą prowadzić do zafałszowania wyników i potencjalnie utrudnić identyfikację. Chociaż możliwe jest przybliżone ustalenie wzrostu na podstawie długości wybranych kości długich z kończyn, to dysponując pełnym szkieletem, lepiej wykorzystać poszczególne segmenty ciała, na przykład czaszkę, kręgi i kości udowe. Dokonałem pomiarów przy użyciu suwmiarki i udało mi się ustalić, że z dużą dozą prawdopodobieństwa kobieta miała za życia około metra sześćdziesięciu trzech centymetrów.

W trakcie pracy starałem się nie zastanawiać zbyt głęboko nad tym, co się wydarzyło w szpitalu Świętego Judy, ale myśli te wciąż czały się gdzieś z tyłu głowy. Nadal towarzyszyła mi uporczywa świadomość, że te zmumifikowane szczątki – teraz zostały z nich tylko jasne, gładkie kości – były kiedyś młodą kobietą, która miała rodzinę i przyjaciół. Miała życie. Może i dobiegło ono końca na brudnym strychu, ale człowieka nie można oceniać wyłącznie przez pryzmat okoliczności śmierci. Chociaż zdawałem sobie sprawę, jak ważne jest zachowanie dystansu, wiedza, kim mogła być ta dziewczyna, skłoniła mnie do lekkiej zmiany perspektywy. Mogłem sobie powtarzać, że to jeszcze niepotwierdzone, że pod szpitalem pojawiła się dziś pogrążona w żałobie rodzina innej młodej kobiety. Jednak nawet potencjalne imię ofiary ucłowieczało ją, czyniło sprawę bardziej osobistą, zbliżało nas do siebie.

Drobne kości zdawały się teraz cięższe w moich dłoniach.

Już kończyłem, kiedy w kieszeni zawibrowała mi komórka. Spodziewałem się tego telefonu, więc znów bez zaskoczenia zobaczyłem na wyświetlaczu nazwisko Ward. Od razu przeszła do rzeczy.

– Jest pan jeszcze w kostnicy?

– Właśnie kończę.

– Proszę tam zostać. Wysyłam dokumentację stomatologiczną, chcę, żeby pan sprawdził, czy odpowiada uzębieniu ofiary ze strychu. Jak szybko będzie mógł

mi pan powiedzieć, czy pasuje?

– Zależy, czy potrzebuje pani szczegółowej analizy, czy wystarczy zwykłe porównanie. – To drugie nie powinno mi sprawić żadnego problemu: każdy antropolog kryminalistyczny dysponował wiedzą pozwalającą na porównanie dokumentacji dentystycznej z zębami denata. O bardziej skomplikowane badanie lepiej jednak poprosić specjalistę.

– Zwykle wystarczy. Później zlecimy oficjalną identyfikację dentyście sądowemu, zrobimy też testy DNA. To wszystko jednak trochę potrwa, a potrzebuję jakichkolwiek informacji już teraz. Może pan to dla mnie zrobić?

Mogłem.

– To dokumentacja Christine Gorski?

– Słyszał pan o tym, tak? – Ward nie sprawiała wrażenia zaskoczonej, ale przez ten czas informacja na pewno rozpanoszyła się w wiadomościach i mediach społecznościowych.

– Byłem pod szpitalem, kiedy Oduya przyprowadził jej rodzinę.

– W takim razie rozumie pan, dlaczego nie chcę czekać tygodniami na potwierdzenie, czy to rzeczywiście jej ciało. – W głosie policjantki wyraźnie pobrzmiwała desperacja. – Najbardziej mnie irytuje to, że braliśmy pod uwagę Christine Gorski, jeszcze zanim ten pieprzony Oduya wykręcił nam ten numer. To nie jedyna ciężarna spośród zaginionych osób, ale opis odpowiada wszystkiemu, co wiemy o kobiecie ze strychu. Zgadza się wiek, szósty miesiąc ciąży, zaginiona od piętnastu miesięcy, co pasuje do szacowanego czasu śmierci. Nie wiemy, co miała na sobie w dniu zaginięcia, ale było lato, więc niewykluczone, że właśnie miniówkę i koszulkę z krótkim rękawem. Rodzina wygląda na całkiem porządną. Ojciec jest Polakiem, jak się pan pewnie domyślił, pracuje dla firmy handlującej sprzętem sportowym. Matka jest sekretarką, syn jest na ostatnim roku studiów. Nie są może najbogatsi, ale stać ich było na białe plomby, kiedy Christine miała piętnaście lat.

Przypomniało mi się, w jakim stanie były zęby zmarłej.

– Zażywała narkotyki?

– Uzależniona od heroiny, od siedemnastego roku życia regularnie wracała na odwyk. Rodzina straciła z nią kontakt na prawie dwa lata, aż nagle któregoś dnia pojawiła się bez uprzedzenia i oznajmiła, że jest w ciąży. Była spłukana, poprosiła o pomoc, chciała wyjść na prostą przez wzgląd na dobro dziecka.

– A ojciec dziecka?

– Rodzice nie wiedzą, Christine chyba też nie wiedziała. Obstawiam, że w końcu musiała zacząć pracować na ulicy, bo nie była w stanie utrzymać normalnej pracy. Rodzice nie zadawali zbyt wielu pytań, cieszyli się, że wróciła. Upierają się, że naprawdę się zmieniła, chociaż nadal nie ufali jej na tyle, żeby dać jej pieniądze. Miała wrócić na odwyk, wszystko było już załatwione, ale dzień przed rozpoczęciem leczenia zniknęła. Od razu zgłosili zaginięcie i od tamtej pory dziewczyna nie dała znaku życia.

Choć to bardzo przykre, rozumiałem, dlaczego policja nie potraktowała odnalezienia Christine Gorski jako sprawy priorytetowej. Zaginięcie było na pewno postrzegane w kontekście jej nałogu – kolejna narkomanka postanowiła uniknąć kliniki odwykowej – a nie jako coś groźniejszego. Dla jej rodziny musiało to być jeszcze gorsze. Długie miesiące cierpienia, życia w zawieszeniu, bez żadnych wieści o córce: to prawdziwa tortura.

Na ich miejscu też zwróciłbym się do Oduyi.

Obiecałem Ward, że się odezwę, i wróciłem do sali prosektoryjnej. Coraz więcej poszlak wskazywało na to, że na moim stole leżą szczątki Christine Gorski, ale nie mogłem pozwolić, żeby to na mnie wpłynęło. Nie chciałem też patrzeć na dokumentację stomatologiczną przesłaną przez Ward. Jeszcze nie.

Proces identyfikacji zwłok na podstawie uzębienia składa się z wielu etapów. Najpierw sprawdziłem, czy każdy ząb jest na swoim miejscu – były prawie wszystkie, z wyjątkiem jednego tylnego trzonowca – oraz wypisałem lokalizację, rodzaj koronek i wypełnień. Potem odnotowałem wszelkie nieleczone dolegliwości: pęknięty ząb obok dziury po trzonowcu, kilka niewielkich ubytków.

Wpisałem wszystkie dane do karty dentystycznej. Stomatolog kryminalistyczny wypełniłby ją zapewne bardziej szczegółowo, mnie brakowało pogłębionego doświadczenia. Nie miałem jednak wątpliwości, że na potrzeby Ward to całkowicie wystarczy.

Po zakończeniu przeglądu porównałem swoją kartę z dokumentacją medyczną przesłaną przez Ward mejlem w pliku chronionym hasłem. Dołączyła do niego zdjęcie Christine Gorski. Wyglądało na wycięte z fotografii grupowej z czasów, kiedy dziewczyna była nastolatką. Brązowe włosy miała ułożone w półformalne uczesanie, które podkreślało okrągłą twarz, atrakcyjną, a zarazem zupełnie zwyczajną. Fotograf uchwycił ją w chwili, gdy patrzyła w bok, jakby nie w pełni angażowała się w to, co się wokół niej działo, a jej uśmiech wyglądał sztucznie, raczej jak poza wymuszona na potrzeby zdjęcia niż spontaniczny wyraz radości. Próbowałem dopatrzeć się w tym uśmiechu przodozgaryzu, ale trudno było to stwierdzić z niewyraźnego, powiększonego zdjęcia.

Czasami pojedyncza cecha charakterystyczna wystarcza do identyfikacji. Przy jednym śledztwie udało mi się nieoficjalnie zidentyfikować zwłoki na podstawie specyficznego skrzywionego zęba. To jednak była wyjątkowa sytuacja. W idealnych warunkach powinno wystąpić dokładne dopasowanie między dokumentacją dentystyczną żywego pacjenta i pośmiertnym badaniem zębów. Tutaj nie było o tym mowy. W dokumentacji Christine Gorski nie pojawiały się ani próchnica, ani brakujący trzonowiec, ani pęknięty ząb.

Jednak nie odwiedzała dentysty przez pięć lat przed zaginięciem, a to wystarczająco dużo czasu, żeby wytłumaczyć te różnice. A pęknięty trzonowiec obok pustej dziury wskazywał na to, że brakujący ząb został usunięty siłą. Raczej wybity niż wyrwany.

Bardziej przekonujące od tych drobnych różnic zdawały się podobieństwa. Według dokumentacji Christine Gorski miała identyczny przodozgaryz jak ten, który zauważyłem u denatki, a ślady po zabiegach dentystycznych pasowały w każdym szczególe, łącznie z białymi plombami w dwóch tylnych

trzonowcach. Sprawdziłem wszystko jeszcze raz, żeby się upewnić, ale nie było miejsca na żadne wątpliwości.

Znaleźliśmy Christine Gorski.

ROZDZIAŁ 14

Od lat jednym z najbardziej pożądanym, a niedoścignionym celów ekspertów kryminalistyki jest wynalezienie sposobu wykrywania gazów wydzielanych w trakcie rozkładu ciała. Pozwalałoby to nie tylko lokalizować zakopane lub schowane szczątki ludzkie, lecz także ustalać, jaki czas upłynął od śmierci. Jak do tej pory nauka nie wymyśliła nic, co mogłoby się równać z naturą.

Labrador prawie chodził po ścianach z podniecenia. Był młodym pieskiem o lśniącej sierści, czarnej jak smoła z wyjątkiem białej plamki na głowie. Drżąc z ekscytacji, przestępował z łapy na łapę, raz po raz zerkając z nadzieją na opiekunkę i zawodząc błagalnie.

– Cicho – powiedziała, czochrając go za uszami. – Spokój, Gwiazdek.

– Miło, że przynajmniej jemu śpieszno do pracy – skwitował Whelan, zerkając na zegarek.

Staliśmy w szóstkę u podnóża schodów prowadzących do szpitala Świętego Judy. W siódemkę, jeśli liczyć psa. Ward zapowiedziała, że może się zjawić później, bo na razie musiała się zająć skutkami identyfikacji Christine Gorski. Zresztą i tak nie potrzebowaliśmy prowadzącej śledztwo. Oprócz mnie, Whelana i opiekunki psa był jeszcze policyjny specjalista do spraw przeszukań – krępy mężczyzna po pięćdziesiątce nazwiskiem Jackson – i dwoje techników kryminalistycznych, których kojarzyłem jeszcze ze strychu. Techniczka miała kamerę wideo zawieszoną na pasku na szyi, jej kolega niósł neseser ze sprzętem. Wszyscy mieliśmy na sobie białe kombinezony i sprzęt ochronny, ale chwilowo nie zakładaliśmy masek i kapturów. Potrzebne były dopiero wewnątrz, więc staraliśmy się nacieszyć świeżym powietrzem, póki mogliśmy. Teraz jednak już

nie tylko labrador zaczynał się niecierpliwić. Sterczeliśmy w paskudnej mżawce od dobrych dziesięciu minut.

Czekaliśmy.

Odezwało się radio Whelana. Odebrał opryskliwie:

– Co jest? – Nie dosłyszałem odpowiedzi, ale zastępca Ward sapnął z rozdrażnieniem: – No wreszcie, psiakrew.

Rozłączył się.

– Przyjechał – oznajmił.

W milczeniu patrzyliśmy na kolejną odzianą na biało postać zbliżającą się od strony przyczep policyjnych. Przybysz szedł powoli za młodą funkcjonariuszką, kombinezon ciasno opinał mu wydatny brzuch. Przez ramię miał przewieszoną sponiewieraną, ale czystą torbę, a w drugiej ręce niośł równie wysłużoną walizkę z wiertarką do dużych obciążeń.

– Miło mi, że zechciał pan do nas dołączyć, panie Jessop – powiedział Whelan tonem pozbawionym wyrazu, bez jawnego sarkazmu, ale też nie do końca przyjaźnie. Spec od rozbiórek łypnął na niego spode łba przekrwionymi oczami o pożółkłych białkach.

– Miałem być, to jestem, co nie?

Kombinezon roboczy był najelegantszym elementem jego wyglądu. Przerzedzone włosy miał rozczochrane, a na obwisłych policzkach dwu-, trzydniowy zarost. Kiedy poprzedniego wieczoru zadzwoniłem do Ward z informacją, że zidentyfikowałem Christine Gorski, powiedziała mi, że Jessop będzie nam pomagał przy przeszukaniu z psem.

– Nikt nie zna tego budynku lepiej – powiedziała. – Poza tym on ma kopie oryginalnych planów budynku i odpowiedni sprzęt, żeby sprawdzić, co się kryje za ewentualnymi fałszywymi ścianami.

Nie skomentowałem. Jessop nie wyglądał na entuzjastycznie nastawionego do śledztwa, kiedy widziałem go wtedy z Whelanem, a dziś rano nie stawił się na odprawę. To wszystko nie zwiastowało niczego dobrego, ale to do Ward należała decyzja o wyborze cywilnych konsultantów. Zresztą zaproszenie kogoś, kto

dobrze znał konstrukcję rozpadającego się szpitala, wydawało się rozsądne. Jessopa zatrudniono do przeprowadzenia rozbiórki, jego perspektywa mogła okazać się cenna. Mimo to, kiedy wspinałem się za tym postawnym mężczyzną po schodach prowadzących do wejścia, wciąż dręczyły mnie wątpliwości. Potem przekroczyłem próg szpitala Świętego Judy.

Przez te kilka dni zatarło się w mojej pamięci wspomnienie jego ponurej atmosfery. W ogromnym budynku panowała wieczna noc. Policyjne reflektory tylko pogłębiały cienie w niszach i kątach przepastnych korytarzy, którymi niosło się echo, a nawet najjaśniejsze lampy nic by nie pomogły na smród pleśni i moczu. Cieszyłem się, że Ward poprosiła mnie o powrót, ale teraz, gdy zostawiliśmy za sobą światło dnia i dotarł do mnie ogrom zadania, jakie musieliśmy wykonać, poczułem, że mój entuzjazm słabnie. Przeszukanie każdej sali, poczekalni, każdego korytarza zajmie nam wiele dni.

W klaustrofobicznej ciemności Świętego Judy dni mogły się ciągnąć jak lata.

Aby ułatwić systematyczną rewizję, budynek podzielono na obszary, zaczynając od góry, gdzie znaleziono dwa zamurowane ciała, piętro po piętrze w dół, aż do piwnicy. Policja prowadziła niezwykle skrupulatne przeszukanie całego budynku, a zespół z psem miał podążać ich śladem, żeby upewnić się, że nie ma już żadnych rozkładających się zwłok za ślepyimi ścianami czy gdziekolwiek indziej.

Zwykle w takim przeszukaniu brał udział patolog, żeby w przypadku znalezienia ciała stwierdzić zgon i nadzorować wydobycie zwłok. Ta sytuacja była jednak nietypowa, nie było bowiem wiadomo, czy w ogóle cokolwiek znajdziemy. Ja mogłem ocenić, czy szczątki należały do istoty ludzkiej, a zresztą najprawdopodobniej trudno byłoby się dostać do czegokolwiek, co wywąchałby labrador. Będziemy mieć masę czasu na ściągnięcie Parekh, jeśli w ogóle okaże się to konieczne.

Ruszyliśmy w górę po schodach. Pazury psa stukwały jak druty do dziergania, nasze cięższe kroki niosły się dudniącym echem, które odbijało się od twardych ścian klatki schodowej. Zauważyłem, że idący tuż przede mną Jessop wspina się

z dużym trudem, dźwigając ciężką wiertarkę i torbę. Podciągał się na poręczy, a kiedy dotarliśmy do szczytu schodów, świszczał głośno pod maską.

– Dobrze się pan czuje? – zapytałem.

Żółtawe oczy zwróciły się w moją stronę, potężna pierś falowała mu w górę i w dół. Nawet przez maskę było czuć kwaśny oddech, woń przetrawionego alkoholu.

– Lepiej bym się czuł, jakbym nie musiał łązić po tej zasranej ruderze.

– Pomóc panu z tymi torbami?

Łypnął na mnie z oburzeniem widocznym spod maski.

– Nie.

Poprawił sobie pasek torby na ramieniu i ruszył przed siebie. Oświetlony reflektorami korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność, przypominał czarny tunel biegnący gdzieś w dal. Przeszukiwanie zaczynało się na drugim końcu, ale Jessop po drodze znów się zatrzymał. Z początku sądziłem, że jeszcze nie doszedł do siebie po wspinaczce stromymi schodami, ale potem zauważyłem, na co patrzy. Z boku policja odgrodziła taśmą wejście na strych, gdzie znaleźliśmy ciało Christine Gorski.

Rzucił na mnie okiem, kiedy się zorientował, że go obserwuję.

– Tutaj ją znaleźli?

– Tak sądzę.

Jessop wbił wzrok w ciemność za taśmą policyjną, sapiąc przez nos pod maską.

– W wiadomościach mówili, że miała dwadzieścia jeden lat. Tyle samo co moja córka.

Nie czekając na moją reakcję, obrócił się i poczłapał dalej korytarzem.

Chociaż wiedziałem, że w budynku pracowały jeszcze inne zespoły poszukiwawcze, to kiedy nasza mała grupka ruszyła w powolny obchód przez czarną otchłań Świętego Judy, poczułem się tak, jakbyśmy byli całkowicie sami, odcięci od wszelkich żywych istot. Dobrze znałem szpitale, wiedziałem, że nawet w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach potrafiły przypominać

kręte labirynty. Niemniej te, w których dawniej pracowałem, były pełne życia i dźwięków, a nie takie opustoszałe i ciche jak ten. Bez trudu można było stracić tu orientację.

Przynajmniej pies był zadowolony. Wszyscy oprócz opiekunki labradora trzymaliśmy się z tyłu, żeby nie przeszkadzać mu w pracy. Nie żeby cokolwiek mogło go rozproszyć – Gwiazdek był całkowicie pochłonięty eksploracją wspaniałego świata nowych zapachów, który otworzył się przed nim w szpitalu. Gabinety lekarskie, sale szpitalne, kabiny i pracownie, nawet schowki i szafy: pies musiał wszystko dokładnie obwąchać.

Nie zastanawiałem się wcześniej nad praktycznymi aspektami akcji przeszukiwawczej. Święty Juda, jak większość publicznych szpitali, w ciągu wielu lat przechodził liczne remonty i modernizacje. Z zewnątrz wyglądał tak samo, ale wnętrza miały niewiele wspólnego z oryginalnym budynkiem. Rozkład pomieszczeń, wygląd oddziałów i korytarzy zmieniły się przez ten długi czas. Jedne ściany burzono, inne dobudowywano. Niektóre zmiany były ewidentnie stare, pochodziły sprzed dziesięcioleci. Inne sprawiały wrażenie świeższych.

Labrador dokonał odkrycia jeszcze przed upływem pierwszej godziny – czujnie postawił uszy, myszkując w zakamarkach zakurzonej szafy. Jeden z techników zajrzał do kąta i wyciągnął skórzaste truchło nietoperza – leżało zmięte pod połamanymi półkami jak zgubiona rękawiczka. Opiekunka nagrodziła psa pogryzioną piłką tenisową.

– Niewiele trzeba, żeby go zadowolić – zauważył Whelan, patrząc na psa merdającego radośnie ogonem.

Wkrótce potem zrozumiałem, dlaczego Ward chciała, żeby Jessop nam towarzyszył. Dotarliśmy do jednej z dawnych poczekalni, z rzędem połamanych plastikowych krzesełek przymocowanych do ściany pod tabliczką z napisem: „Proszę zająć miejsce i czekać na wezwanie”. Obdrapany plakat przedstawiający wirusa grypy widzianego przez mikroskop elektronowy wisiał obok pustego pojemnika na mydło do rąk.

Labrador obwąchiwał zakurzoną listwę przypodłogową, kiedy nagle się ożywił. Przebiegł nosem wzdłuż jednego odcinka listwy, najpierw w tył, potem w przód, po czym spojrzął na opiekunkę i zaszczekał.

– Chyba coś znalazł – zwróciła się do Whelana kobieta, głaszcząc psa.

Jessop przez cały czas nie odezwał się ani słowem, a jego ponury nastrój dodatkowo wzmacniał opresyjną atmosferę. Teraz, zawołany przez Whelana, walnął pięścią w ścianę nad miejscem, które zwróciło uwagę psa. Rozległ się głuchy odgłos.

– Płyta gipsowa – warknął.

Otworzył plastikową walizeczkę, wyjął wiertarkę bezprzewodową i wywiercił niewielki otwór w dolnej części ściany. Z torby przewieszanej przez ramię wyciągnął endoskop inspekcyjny – sondę światłowodową podłączoną do małego wyświetlacza. Wsunął sondę przez wywierconą dziurkę i zaczął obracać nią na wszystkie strony. Uważnie przyglądał się obrazom na ekranie, z którego światło padało mu na twarz. Nagle się zatrzymał i nieznacznie podkręcił ustawienia, żeby poprawić jakość obrazu.

– Co pan znalazł? – zapytał Whelan.

W odpowiedzi Jessop odłożył endoskop, znowu sięgnął do torby i wyjął z niej łom. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, walnął nim z całej siły w ścianę, wybijając dziurę w lichym karton-gipsie. Kiedy wepchnął do niej rękę, Whelan rzucił się gwałtownie do przodu.

– Jezu, co pan wyrabia...!

Ale Jessop już wyciągał rękę. Trzymał w niej coś ciemnego i włochatego. Podniósł to coś za cienki ogon.

– Zwykły szczur. Pewnie wlaźł przez szparę w listwie.

Whelan bez słowa podszedł do dziury w ścianie. Zajrzał do środka, przyświecając sobie latarką. Odniosłem wrażenie, że robi to nie tylko po to, żeby przekonać się, czy rzeczywiście niczego już tam nie ma, lecz także, żeby się uspokoić. Kiedy zwrócił się znów do Jessopa, oczy miał lodowato zimne.

– Jeszcze raz wytnie pan taki numer, to postawię panu zarzut manipulacji dowodami. Tak na przyszłość, jak pan coś zobaczy, to do mnie należy decyzja, co z tym zrobić. Jasne?

– Chryste, to był tylko głupi szczur...

– Jasne?

Budowlaniec spuścił wzrok.

– Dobra, spokojnie – wymamrotał.

Cisnął martwego szczura w kąt. Pies rzucił się za nim ochoczo, za co dostał burę od opiekunki. Cofnął się z podkulonym ogonem, wyraźnie obrażony. Whelan wziął głęboki oddech.

– No dobrze, zrobmy przerwę na obiad.

Pogoda trochę się poprawiła, deszcz zelżał do lekkiej mżawki, delikatnej mgiełki, która unosiła się w powietrzu, oblepiając włosy i ubrania. Z początku chciałem znowu przejść się do lasu za szpitalem, ale ziemia była mokra i błotnista, więc zdecydowałem się na kanapkę i herbatę w samochodzie.

Wyglądałem niewidzącym wzrokiem przez okno, przeżuając mechanicznie i zastanawiając się, co też porabia Rachel, kiedy ktoś zastukał w okno po stronie pasażera. Ward.

– Ma pan chwilę?

Sięgnąłem do klamki i otworzyłem jej drzwiczki. Nie widziałem jej od czasu spotkania z prasą, zdominowanego przez Oduyę, i uderzyło mnie zmęczenie malujące się na jej twarzy. Pojawiły się na niej zmarszczki i cienie pod oczami, których wcześniej nie widziałem. Opadła na siedzenie z głębokim westchnieniem, poruszając się niezgrabnie przez wielki brzuch.

– Dobrze dać trochę odpocząć nogom. Nie będę panu długo zawracała głowy, chciałam się tylko dowiedzieć, jak idzie.

Wzruszyłem ramionami.

– Jako tako. Niczego jeszcze nie znaleźliśmy.

– Boże, niech tak zostanie. Przydałby mi się choć jeden dzień bez trafiania na pierwsze strony gazet. Jak się układa współpraca z naszym ekspertem od rozbiórek?

– Z Jessopem? Nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać.

– Bardzo dyplomatycznie pan to ujął. Słyszałam, że nie należy do najbardziej zachwyconych członków zespołu.

– Powiedzmy, że sprawia wrażenie, jakby wolał demolować budynek, zamiast w nim pracować.

– Trudno go winić. Musi być na strasznym minusie przez te ciągłe opóźnienia. Gdyby nie był takim bucem, to byłoby mi go nawet żal. – Zmieniła pozycję w fotelu, próbując znaleźć taką, w której będzie jej wygodnie. –

A rozmawiał pan ostatnio ze swoim kolegą Mearsem? – Słowo „kolega” wymówiła z nieukrywaną ironią.

– Spotkałem go wczoraj w prosektorium. Podobno znalazł oparzenia na skórze obu ofiar.

– Teraz poszedł już krok dalej. Twierdzi, że to mogły być piętna.

– Piętna? Takie jak u bydła? – Tego jeszcze nie słyszałem.

– Albo coś podobnego. Są bardzo małe, trudno je było zauważyć z uwagi na stan zwłok. Mówi jednak, że poparzenia od żywego ognia byłyby znacznie poważniejsze. Sądzi, że sprawca użył czegoś w rodzaju lutownicy. Na tyle gorącego, żeby przypalić kość, ale na skórze zostawić tylko miejscowe oparzenia.

– Zaraz, oparzenia doszły aż do kości?

Ward skinęła głową.

– Aż trudno sobie to wyobrazić, prawda? Nie zbadał jeszcze większej ofiary, więc na razie zakładamy, że była prawdopodobnie płci męskiej. Potwierdził jednak, że ta pierwsza była kobietą koło czterdziestki. Na szkielecie znalazł ślady odpowiadające oparzeniom na skórze.

Chryste. Gorączkowo próbowałem wymyślić, co mogło palić tak głęboko, nie powodując przy tym bardziej widocznych uszkodzeń naskórka. Małe czy nie, ja

nie zauważyłem w ogóle żadnych śladów, kiedy oglądałem szczątki w ukrytej sali. Mogłem sobie oczywiście powtarzać, że było ciemno, a ja tylko pośpiesznie rzuciłem na nie okiem, i to z odległości kilku metrów.

Ale i tak...

– To nie koniec – ciągnęła ponuro Ward. – Prześwietlenia pośmiertne ujawniły pęknięcia kości rąk i nóg obu ofiar. Niewielkie, ale wygląda na to, że ktoś dał im popalić. Mears spekuluje, że mogły to być porachunki gangów albo dilerów.

– Od tego też jest ekspertem?

Uśmiechnęła się.

– Nie, ale to całkiem rozsądna teoria. Wiemy, że w szpitalu handlowano narkotykami, a ta sprawa ma wszystkie elementy charakterystyczne albo dla wymierzenia kary, albo zabójstwa w odwecie. Obie ofiary przywiązano pasami do łóżek i torturowano, a potem zamurowano żywcem. Ktoś musiał naprawdę mieć im wiele za złe.

– Gangowi chciałoby się w to bawić? – Mogłem uwierzyć w tortury, ale trudno mi było sobie wyobrazić gangsterów wkładających tyle czasu i zachodu w zamurowanie ofiar żywcem, nawet zakładając, że potrafiliby postawić ścianę.

Ward potarła zmęczone oczy.

– Mówiłam, że to tylko teoria, nie twierdziłam, że jest idealna. Według mnie też nie ma większego sensu. Gdyby ktoś chciał ich ukarać dla przykładu, to zostawiłby ciała gdzieś na widoku. A jeśli nie, to po co ryzykować, że zostaną znalezione przy okazji rozbiórki budynku?

Podobną rozmowę przeprowadziłem już z Parekh i wtedy też nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

– Udało się zidentyfikować odciski palców z puszek z farbą?

– Nie, nic nam z nich nie przyszło, podobnie jak z tego w zaprawie. Pochodzą od tej samej osoby, prawdopodobnie mężczyzny, sądząc po rozmiarze, ale nie znaleźliśmy dopasowania w bazie danych. Możemy więc mieć do czynienia z osobą niekaraną, co niewiele nam daje. – Sprawiała wrażenie przygnębionej,

ale nagle się rozchmurzyła. – Dobra wiadomość jest taka, że Mearsowi udało się zdjąć odciski z palców ofiar.

– Zidentyfikowaliście je?

– Jeszcze nie, ale biorąc pod uwagę ześlizg skóry, nie miałam nadziei na uzyskanie jakichkolwiek odcisków z obu ciał. Mears może i wygląda na studenta, ale zna się na rzeczy. Odmoczył skórę dłoni, żeby ją zmiękczyć, a potem użył jej jak rękawiczek, uwierzy pan? – Pokiwała głową z uznaniem. – Nie słyszałam jeszcze o takim sposobie.

Ja słyszałem. Działał tylko w odpowiednich warunkach, ale sam nieraz wykorzystywałem tę technikę. Musiałem jednak przyznać, że przeprowadzenie jej w przypadku tak starego ciała i przy tak zaawansowanym stopniu rozkładu wymagało niemałych umiejętności.

– Szkoda, że nie dało się zrobić tego samego z Christine Gorski – ciągnęła Ward, tłumiąc ziewnięcie. – Oszczędzilibyśmy sobie trochę wstydu, gdybyśmy wcześniej ją zidentyfikowali.

– Szczury obgryzły jej opuszki palców. Nie zostało na nich nawet pół odcisku – powiedziałem, obruszając się nieco.

– Wiem, nie krytykuję pana. – Zawahała się. – I na pewno nie było na niej żadnych śladów oparzeń? Niczego, co mogłoby sugerować, że ją również poddano torturom?

– Powiedziałbym pani, gdybym cokolwiek znalazł.

– Na pewno?

Ugryzłem się w język, powstrzymując się przed kąśliwą ripostą, i posłałem jej tylko znaczące spojrzenie. Ward знаła mnie na tyle dobrze, że nie musiała zadawać takich pytań, i chyba sama się zreflektowała. Pokiwała głową na potwierdzenie.

– W porządku, chciałam się tylko upewnić. – Zerknęła na zegarek. – Muszę już lecieć, a właściwie zajrzałam do pana po to, żeby uprzedzić, że będziemy mieć później gości. Rodzina Christine Gorski chce zobaczyć, gdzie znaleziono ich córkę i siostrę.

– Sądzi pani, że to dobry pomysł? – zapytałem zaskoczony.

– Niezależnie od tego, czy to dobry pomysł, i tak się to stanie – odparła Ward i westchnęła ciężko. – Zaskoczyli nas, tak nagle wyskakując. Nie przedstawiło nas to w dobrym świetle, a teraz, skoro ciało zostało zidentyfikowane, nie chcemy wyjść na nieczułych. Przyjadą tylko zobaczyć, co robimy, żeby znaleźć osoby odpowiedzialne za jej śmierć. Nie wprowadzimy ich do budynku szpitala, więc pewnie nawet się pan z nimi nie zetknie. Chciałam pana tylko uprzedzić, żeby wiedział pan, czego się spodziewać.

Brzmiała tak, jakby próbowała samą siebie przekonać, i nie dziwiło mnie to. Pozwolenie krewnym Christine Gorski na odwiedzinę na miejscu zbrodni nie było najlepszą decyzją. Nawet jeśli nie mają złudzeń co do plugawych okoliczności śmierci dziewczyny, to zobaczenie na własne oczy nędznego otoczenia, w jakim umarła, nie pomoże im lepiej tego zrozumieć. Ani nie przyniesie ukojenia.

To wszystko z daleka pachniało pomysłem działu PR. Znałem Ward na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że wcale jej się to nie podoba, i domyśliłem się, że prawdopodobnie stoi za tym Ainsley. Po publicznym fiasku, jakim zakończyła się konferencja prasowa, podkomendantowi musiało zależeć na nagraniu sceny, która będzie dobrze wyglądała w telewizji.

Dopiero kiedy Ward wysiadła, uświadomiłem sobie, że przegapiłem okazję, żeby powiedzieć jej o Loli.

ROZDZIAŁ 15

Popołudniowa tura przeszukania zaczęła się tak samo jak poranna. Po przerwie obiadowej zespół zebrał się na schodach przed szpitalem. Znowu zaczęło padać, na razie niezbyt intensywnie, ale obecność ciemnych chmur groziła, że w każdej chwili może się to zmienić. Schroniliśmy się pod pseudogreckim portykiem z kolumnami upstrzonymi graffiti i ptasimi odchodami. Już któryś raz uderzyła mnie myśl, że wejście do szpitala Świętego Judy w dużym stopniu przypomina wrota mauzoleum. Stojąc w cieniu portyku przed ciężkimi drzwiami otwierającymi się na pogrążone w mroku wnętrze, można się było poczuć jak na progu grobowca.

– Nie najlepsze skojarzenie w przypadku szpitala.

I znowu okazało się, że musimy czekać na Jessopa. Przedsiębiorca ulotnił się w przerwie i jeszcze nie wrócił. Tak samo jak rano Whelan zerkał raz po raz na zegarek z ledwie ukrywaną irytacją.

– Pieprzyć to. Zaczniemy bez niego.

Ale w chwili, kiedy to powiedział, budowlaniec pojawił się na horyzoncie. Ostentacyjnie powolnym krokiem zbliżał się od strony przenośnych toalet. Po drodze zapinał jeszcze kombinezon, krzywiąc się z wysiłku, kiedy próbował zasunąć go na brzuchu.

– Czekaliśmy na pana – powiedział Whelan i zacisnął usta w wąską linijkę.

Jessop wepchnął grube palce w ciasną rękawiczkę.

– W kiblu byłem.

– Mieliśmy zacząć dziesięć minut temu.

– No ale przecież już jestem, nie?

Whelan zmierzył go wzrokiem, z twarzą pozbawioną wyrazu, po czym zwrócił się do nas:

– Idźcie na górę. Za chwilę do was dołączymy z panem Jessopem.

Chwila trwała dość długo. Wspięliśmy się z powrotem na górne piętro i stanęliśmy w grupce przy szczycie schodów. Nikt się nie odzywał, jedynie labrador nie wyczuwał nieprzyjemnej atmosfery. Odgłos kroków niosący się echem po klatce schodowej zapowiedział przybycie Whelana i Jessopa – potężny mężczyzna podązał za komisarzem potulnie jak skarcony uczeń.

– Dobrze, bierzmy się do roboty – powiedział Whelan, ruszając w głąb oświetlonego lampami korytarza.

Jessop, który zatrzymał się na chwilę dla złapania oddechu, popatrzył za nim posepnie, ale nic nie powiedział.

Na palcach jednej ręki mógłbym policzyć śledztwa, podczas których czas mi się dłużył. Zwykle jest wręcz przeciwnie, praca całkowicie mnie absorbuje i po wykonaniu jakiegoś zadania orientuję się nagle, że minął cały dzień, a ja tego nie zauważyłem. Tymczasem w murach Świętego Judy czas zdawał się zastygać. Nie mieliśmy nic do roboty, mogliśmy tylko śladem psa przemierzać jeden niekończący się korytarz za drugim i przeszukiwać puste pomieszczenia, które zaczynały się zlewać w jedno. Spoglądałem na zegarek, przekonany, że minęła już godzina czy więcej, a wskazówki ledwie drgnęły.

Jessop przynajmniej zaczął się zachowywać. Połajanka Whelana poskutkowała, chociaż wraz z upływem czasu powoli wracał jego bojowy nastrój. Znowu czekało nas kilka fałszywych alarmów, a budowlaniec reagował na każdy z nich mamrotaniem i niecierpliwym wzdychaniem. Kiedy kolejne odkrycie okazało się włochatym truchłem szczura, nie wytrzymał.

– Myślałem, że ten kundel miał być tresowany – warknął, kiedy opiekunka znowu nagrodziła labradora piłką do tenisa. – Mój pies lepiej by sobie poradził! Ten pchlarz nie umie odróżnić ludzkiego trupa od jebanego gryzonia?

– Nie, a pan potrafi? – odgryzła się opiekunka labradora. Wyprostowała się i zmierzyła Jessopa wzrokiem wyzywająco, jakby chciała go sprowokować do

kolejnej krytycznej uwagi pod adresem jej psa. Przedsiębiorca zwrócił się jednak do Whelana:

– To jakaś ściema! Ile jeszcze będziemy się tu tak bujać bez sensu?

Policjant nie zaszczylił go spojrzeniem.

– Tak długo, jak będzie trzeba.

– Błagam, marnujemy tylko czas. Nic tutaj nie ma!

– Im szybciej to potwierdzimy, tym szybciej będzie pan mógł sprowadzić buldożery i zacząć wszystko burzyć.

– Was to bawi? – Przekrwione oczy Jessopa prawie wylazły z orbit. – Wy sobie tu stoicie i drapiecie się po dupie, a mnie to kosztuje fortunę!

Whelan zmierzył go wzrokiem.

– Nie, wcale mnie to nie bawi, proszę pana. Przykro mi, że to dla pana taka niedogodność, ale mamy do czynienia ze śledztwem w sprawie zabójstwa. To jest ważniejsze od pańskich zysków.

– Zysków? – Jessop zaśmiał się gorzko i pokręcił głową. – Jezu. Nie ma pan o niczym zielonego pojęcia.

Krótkofalówka Whelana uratowała go od odpowiedzi. Zgromił Jessopa spojrzeniem i odszedł na bok, żeby odebrać radio.

Zapadła cisza. Technik kryminalistyczny wymienił porozumiewawcze spojrzenia z techniczką, a potem zerknął na mnie i wywrócił oczami. Zwalisty budowlaniec stał ze spuszczoną głową i zgarbionymi ramionami. Kręcił głową, mrużąc coś do siebie pod nosem.

– Wiecie co? Chuj z tym.

Gwałtownym ruchem zerwał z głowy kaptur i maskę. Twarz miał rumianą i mokrą od potu, przerzedzone włosy kleiły się do czaszki. Przez policzki biegły mu czerwone linie, w miejscach, gdzie werżnęły się tasiemki maski.

– Hej, nie może pan tego zdejmować – upomniała go techniczka.

– Nie? Jakoś mogę. I tak już za dużo czasu zmarnowałem w tej pieprzonej ruderze.

Zawrócił i ruszył korytarzem w stronę głównej klatki schodowej. Zatrzymał go głos Whelana:

– Panie Jessop!

Przedsiębiorca zwolnił, a potem odwrócił się z naburmuszoną, wściekłą miną.

– Dzwonił specjalista od przeszukań. Podobno jeden z naszych zespołów znalazł w piwnicy azbest. Pewnie nic panu nie wiadomo na ten temat, prawda?

Jessop zmienił się na twarzy. Zamrugał, zaczął bezgłośnie poruszać ustami, jakby próbował znaleźć jakieś słowa.

– Co? Nie, ja nic... Ja nie...

Urwał. Whelan zmierzył go wzrokiem, a potem zwrócił się do reszty:

– No dobrze, zrobmy sobie przerwę.

Siedziałem w samochodzie z otwartymi drzwiami. Na desce rozdzielczej parowała za mocna herbata w styropianowym kubku, stygnąc powoli. Minęła prawie godzina, odkąd wyszliśmy ze szpitala, i jeszcze się nie dowiedziałem, kiedy – i czy w ogóle – wrócimy do środka. Patrząc na przednią szybę upstrzoną kropkami drobnego kapuśniaczku, pociągnąłem łyk herbaty. Nie śpieszyłem się.

Coś mi mówiło, że trochę sobie poczekam.

Kiedy wynurzyliśmy się ze szpitala na światło dnia, Jessop wyglądał bardzo kiepsko, twarz miał szarą pod niechlujnym zarostem. Brawura przeszła mu jak ręką odjął, co stanowiło dowód równoznaczny z przyznaniem się do winy. Jego firma miała dokonać inspekcji budynku przed rozpoczęciem prac rozbiórkowych. Inspekcja taka obejmowała sprawdzenie starego szpitala pod kątem obecności azbestu, a w razie jego znalezienia – bezpieczne usunięcie materiału. Pochłaniało to dużo czasu i pieniędzy, a zająć się tym mogła wyłącznie licencjonowana firma. W najlepszym wypadku Jessop był winny zaniedbania i przeoczenia. W najgorszym – jeśli wiedział o azbeście i celowo przemilczał ten fakt – mogło się to skończyć postawieniem mu poważnych zarzutów.

Nic dziwnego, że tak mu zależało na jak najszybszym zburzeniu budynku.

Przeszukanie szpitala pozostawało więc w zawieszeniu, przynajmniej do chwili określenia stopnia ryzyka. A może nawet dłużej, jeśli operacja zostanie wstrzymana na czas niezbędny do usunięcia niebezpiecznego materiału. Tak czy inaczej, czekały nas kolejne opóźnienia i odroczenia do czasu podjęcia decyzji.

Wysiadłem z samochodu i przeciągnąłem się, próbując zdecydować, czy jest w ogóle sens tu zostawać. Nie spodziewałem się, żeby ktokolwiek mógł jeszcze dziś wrócić do szpitala, a znałem ciekawsze sposoby spędzania popołudnia niż tkwienie na parkingu. Postanowiłem poszukać Whelana, ale wtedy zobaczyłem, że ktoś wychodzi z jednej z przyczep policyjnych.

Jessop.

O ile to w ogóle możliwe, wyglądał jeszcze gorzej niż wcześniej, jakby w ciągu godziny postarzał się o dziesięć lat. Nie chciałem z nim rozmawiać, ale nie musiałem się martwić, że mnie zauważy. W takim stanie nikogo by nie zauważył. Szedł chwiejnym krokiem, jakby stracił koordynację ruchową, a wyraz twarzy miał raczej nieprzytomny. Zacząłem się zastanawiać, czy to skutek szoku. Odpowiedź uzyskałem już po chwili. Gdy mijał rząd zaparkowanych radiowozów, nagle ugięły się pod nim nogi. Próbował oprzeć się o jeden z samochodów, ale zsunął się po drzwiczkach i usiadł z impetem na mokrym asfalcie.

Podbiegłem do niego. Nie próbował wstawać, siedział na swoim miejscu, ramieniem obejmując samochód.

– Nic panu nie jest? – zapytałem. Gapił się na mnie bez odpowiedzi, mrugając jak sowa. Pomyślałem, że to może być coś poważniejszego niż szok, i rozejrzałem się wokół za kimś do pomocy. – Niech się pan nie rusza. Pójdę i zawołam...

– Nie! – Jego twarz odzyskała kolory, policzki zaczęły czerwienić. – Nie chcę mieć do czynienia z tymi bydlakami.

Zaczął się podnosić, opierając o auto. Po chwili wahania wziąłem go pod ramię, żeby mu pomóc.

– Łapy precz – powiedział słabo.

Zaprotestował jednak bez większego przekonania i nie próbował mnie odepchnąć. Był tak ciężki, na jakiego wyglądał, nie zdołałbym sam go podnieść. Zaczął już jednak dochodzić do siebie. Mocno złapał mnie za ramię, podciągnął się, zakołysał lekko, ale po chwili złapał równowagę. Widocznie doznał tylko szoku, pomyślałem, kiedy mnie puścił i stanął prosto na własnych nogach.

– Gdzie pan zaparkował? – zapytałem.

– Poradzę sobie – mruknął, ale zaraz dodał: – Tam.

Jeździł starym mercedesem, który lepiej utrzymany mógłby mieć wartość kolekcjonerską. W obecnym stanie przypominał swojego właściciela i wyglądał tak, jakby ledwo się trzymał w jednym kawałku. Jessop dał radę samodzielnie dotrzeć do auta, ale zostałem przy nim, czekając, aż znajdzie kluczyki.

– Nie powinien pan jeszcze prowadzić – powiedziałem z nadzieją, że nie będzie oponował. Nie uśmiechała mi się wizja odbierania mu kluczyków siłą.

– Nic mi nie jest.

Mimo to nie próbował wsiadać do samochodu. Zastanawiałem się właśnie, czy powinienem z nim zostać, czy zostawić go w spokoju, kiedy zaczęły mu się trząść ramiona.

– Wykopali mnie – powiedział, a po szczeciniastych policzkach popłynęły łzy. – Dranie mnie wykopali. Powiedzieli, że może postawią mi zarzuty.

Przecież i tak się odgrażał, że sobie pójdzie, a od samego początku tylko narzekał. Poza tym, nawet jeśli nie wiedział o azbeście, to przez swoje niedbalstwo naraził życie i zdrowie swoich pracowników oraz innych ludzi. Ale choćby Jessop sam był sobie winny, w tej chwili każdemu zrobiłoby się go żal. Może i dostał to, na co sobie zasłużył, ale nie mogłem go zostawić samego w takim stanie.

– Niech pan sobie siądzie.

Po otwarciu drzwiczek najpierw zobaczyłem plastikową butelkę soku pomarańczowego na podłodze przed fotelem pasażera, a potem leżącą opróżnioną do połowy flaszkę wódki. Już wcześniej domyśliłem się, że Jessop pije. Rano śmierdziało od niego alkoholem, woń była ciągle wyczuwalna, kiedy

pomagałem mu dotrzeć do samochodu. Zakładałem, że jest wczorajszy, nie przyszło mi do głowy, żeby podejrzewać go o picie w trakcie akcji policyjnej. Straciłem resztki współczucia dla przedsiębiorcy. Nie chodziło już o to, żeby to jemu nic się nie stało. Moja żona i córka zginęły w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę. Nie pozwolę mu usiąść za kierownicą.

Jessop opadł ciężko na fotel, twarzą na zewnątrz i z nogami opartymi na ziemi. Siedział bezwładnie, wielkie łapy dyndały mu między kolanami, a na twarzy miał wyraz zagubienia.

– Koniec. Mam przesrane. – Przynajmniej przestał płakać. – Wszystko przepadło. Wszystko. Poszło się jebać.

Wyglądał jak zbity psiak. Potem jednak podniósł wzrok na szpital Świątego Judy i sposepniał.

– Pieprzona rudera. Żałuję, że w ogóle się o niej dowiedziałem. Tyle czasu i forsy, kupowanie nowego sprzętu, zatrudnianie dodatkowych ludzi. Jezu. Trzeba było już dawno temu rozpierzdzić tę kupę gruzu.

Rozglądałem się dookoła z nikłą nadzieją przyciągnięcia uwagi Whelana czy kogoś innego, kto mógłby zainterweniować. Na drugim końcu parkingu kręciło się kilka postaci w białych kombinezonach, ale żadna z nich nie patrzyła w naszą stronę.

– Może zadzwonię po taksówkę...? – zaproponowałem, choć z góry wiedziałem, jakiej reakcji się spodziewać.

Podniósł na mnie zmrużone oczy.

– Co pan pierdoli? Nie chcę żadnej taksówki, mam przecież auto.

Wrócił mu bojowy nastrój. Wiedziałem, że mam małe szanse go przekonać, ale zanim nawet zdążyłem spróbować jeszcze raz, otworzyły się drzwi przyczepy po przeciwległej stronie parkingu. Ku mojej uldze zobaczyłem Whelana w towarzystwie starszych rangą funkcjonariuszy w mundurach. Rozpoznałem Ainsleya, ale dopiero kiedy zauważyłem, że towarzyszą im cywile, zorientowałem się, co się dzieje.

Chryste Panie.

Zupełnie zapomniałem o zaplanowanej na popołudnie wizycie rodziny Christine Gorski na terenie szpitala. Rodzice dziewczyny wspierali się nawzajem, na ich twarzach malowały się szok, trauma i głęboki żal. Byli elegancko ubrani, jak do kościoła czy na jakąś uroczystość. Syn trzymał się nieco z boku. Szedł ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach dżinsów, zachowując wyraźny dystans wobec rodziców.

Czwartym cywilem był Adam Oduya.

Nawet w nieformalnym stroju aktywista wyróżniał się bardziej niż najwyższym stopniem policjanci w ciemnych odprasowanych mundurach. Wizyta wyraźnie dobiegała końca. Z tej odległości nie mogłem nic dosłyszeć, ale zobaczyłem uściski dłoni i uprzejme ukłony funkcjonariuszy. Potem grupa się rozdzieliła, większość policjantów rozeszła się do samochodów. Ward i Ainsley zostali z Oduyą i bliskimi Christine Gorski, odprowadzając ich do przyczepy.

W stronę moją i Jessopa. Jeszcze nas nie zauważyli, a budowlaniec siedział tyłem do nich. Tak czy inaczej, spotkanie było tylko kwestią czasu. Rozpaczliwie potoczyłem wzrokiem dookoła, szukając jakiegoś sposobu, by uniknąć nieprzyjemnej konfrontacji. Coraz wyraźniej słyszałem ich głosy, w miarę jak się zbliżali, charakterystyczny baryton Oduyi niósł się nad resztą. Jessop też go usłyszał i zadarł głowę. Wstał, a na widok zbliżającej się grupy zmarszczył mocno brwi.

– Co tu robi ten bydlak?

Do tamtej chwili martwiłem się tylko ewentualnym spotkaniem budowlanica z pogrążoną w żałobie rodziną. Nie przyszło mi do głowy, że Jessop może znać Oduyę. Aktywista stał przecież na czele kampanii mającej na celu uratowanie Świętego Judy, to on odpowiadał za przesunięcie terminu egzekucji budynku ze względu na nietoperze. A po tym jak zaprezentował rodzinę Christine Gorski na konferencji prasowej, jego twarz nie zniknęła z serwisów telewizyjnych i portali informacyjnych.

Jessop oczywiście rozpoznał człowieka odpowiedzialnego za kolejne opóźnienia.

Położyłem mu dłoń na ramieniu, żeby go zmitygować.

– Nie powinien pan wstawać...

– Skurwiel jeden – wydyszał, patrząc morderczo na Oduyę.

Próbowałem zagrozić mu drogę, kiedy ruszył w ich stronę, ale przepchnął się obok mnie. Wcześniejsza słabość poszła w zapomnienie, jej miejsce zajęły adrenalina i wściekłość. Świadomy, że robimy właśnie taką scenę, jakiej chciałem uniknąć, podjąłem ostatnią próbę powstrzymania jego zamiarów.

– Proszę przestać, to jej bliscy... – zacząłem, ale on mnie nie słuchał. Jessop był potężnym mężczyzną, przywykłym do robienia użytku ze swojej masy, więc bez problemu strząsnął moją rękę i wypadł z samochodu.

– Ty!

Wycelował w Oduyę oskarżycielski palec. Cała grupa już na nas patrzyła, sprowokowana zamieszaniem. Zobaczyłem, że oczy Ward robią się okrągłe, a twarz Ainsleya kurczy się w zimnej furii. Reszta patrzyła na nas z konsternacją. Z Oduyą włącznie. Jessop miał powody go kojarzyć, ale była to znajomość jednostronna: działacz pewnie nigdy nie widział przedsiębiorcy budowlanego na oczy.

– To twoja wina! – wrzasnął Jessop, systematycznie zmniejszając dystans między nimi. – Jesteś zadowolony, kurwa? Co?

Oduya wpadł w osłupienie.

– Przepraszam, czy my się znamy...?

– Dosyć tego, wystarczy.

Ainsley podszedł do Jessopa – mocno zbudowany oficer robił duże wrażenie w policyjnym uniformie i czapce garnizonowej. Budowlaniec go zignorował.

– Masz ty pojęcie, co narobiłeś, do chuja? – warknął do Oduyi. – Ile problemów ludziom dowaliłeś? Kogo obchodzą jakieś zjebane nietoperze czy naćpana kurwa, która...

– Dosyć, mówię przecież! – Ainsley zastąpił mu drogę i złapał za ramię. – Nadkomisarz Ward, ten człowiek ma...

Wydaje mi się, że Jessop nie zamierzał go uderzyć, ale chyba było mu już zupełnie wszystko jedno. Wyrwał się Ainsleyowi, ciężka ręka wystrzeliła w górę i chlasnęła podkomendanta prosto w twarz. Głowa oficera odskoczyła, czapka spadła na ziemię, zatoczył się do tyłu. Usłyszałem dudnienie kroków – policjanci dopiero teraz śpieszyli w naszą stronę. Pobiegłem ku Jessopowi, żeby go unieszkodliwić, Ward też rzuciła się w jego kierunku, a rodzina Christine Gorski przyglądała się całej scenie wyraźnie wstrząśnięta.

Oduya miał jednak najbliżej z nas wszystkich. Wyszedł na spotkanie Jessopowi z głębokim skupieniem na twarzy. Kiedy masywny budowlaniec się na niego rzucił, działacz odsunął się na bok i złapał go za wyciągniętą rękę. Wykorzystał impet przeciwnika, który poniosł go dalej, szarpnął złapane ramię w górę i przesunął za plecy Jessopa, unieruchamiając je ciasno. Przedsiębiorca zaklął, potknął się i upadł na kolano z boleśnie wykręconą ręką.

– Proszę się uspokoić – powiedział Oduya.

– Puszczaj, skurwielu! – Jessop z trudem łapał powietrze, próbując się oswobodzić. W odpowiedzi Oduya jeszcze mocniej wykręcił mu ramię.

– Bo będę zmuszony zrobić panu krzywdę.

Ainsley doszedł do siebie po ciosie, ale stracił czapkę, a z nosa leciała mu krew. Podszedł do nich z wyrazem zimnej furii na twarzy.

– No dobra, przejmujemy go.

Podbiegali już inni funkcjonariusze. Oduya cofnął się o krok, żeby zrobić miejsce dla mundurowych, którzy oblegli Jessopa. Kiwnął mi głową, nawet nie dostał zadyszki.

– Dzień dobry, doktorze.

Odkłoniłem się, wciąż poruszony. Whelan podbiegł do nas zziębnięty, kiedy jego koledzy podnosili sponiewieranego budowlanica na nogi.

– Co, do diabła...?

– Później – powiedziała Ward. Spiorunowała mnie wzrokiem, po czym zwróciła się do Gorskich. – Jest mi ogromnie przykro...

Przerwał jej głośny chlust. Nastoletni brat Christine Gorski, który stał na uboczu, zapomniany przez wszystkich, zgiął się wpół i zwymiotował hałaśliwie na spękany asfalt. Potem wyprostował się powoli z kredowobiałą twarzą. Przez chwilę wydawało się, że chce coś powiedzieć.

Ale wtedy nogi się pod nim ugięły i upadł na ziemię.

ROZDZIAŁ 16

Światła zapaliły się automatycznie. Kiedy wszedłem do mieszkania, lampy i kinkiety stopniowo rozjaśniły się do ciepłego blasku. Oświetlenie nastrojowe miało w zamyśle działać kojąco po stresach i trudach całego dnia, stanowić odrobinę luksusu po powrocie do domu. Mnie jednak tylko irytowała ta nowoczesna technologia, wolałbym normalny pstryczek, którym mógłbym włączać i wyłączać światło.

Rzuciłem metalowy neseser na podłogę w korytarzu przy drzwiach, zdjąłem płaszcz i poszedłem do kuchni. Na razie nie chciałem wybiegać myślami dalej niż przyrządzenie czegoś do jedzenia i picia.

Zwłaszcza do picia.

Otworzyłem lodówkę, żeby sprawdzić, co mam do jedzenia. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w pustawe półki bez żadnego pomysłu, aż w końcu przeprosiłem w myślach Anję, wyjąłem jajka i ser i wziąłem się do robienia omleta.

O ile nie opanowałem obsługi kosmicznego ekspresu do kawy, o tyle umiałem całkiem sprawnie korzystać z systemu nagłośnienia, w który wyposażono apartament. Ustawiłem losowe odtwarzanie muzyki, nalałem sobie piwa i zaniósłem talerz na stół w jadalni, starając się nie myśleć o pustym krześle naprzeciwko. Z głośników leciały smętne dźwięki jazzowego pianina. Sam bym nie wybrał takiego utworu, ale wypełniał ciszę. Wystarczy.

Pociągnąłem łyk piwa i próbowałem się odprężyć.

Po upadku brata Christine Gorski zapanował ogólny chaos.

Wezwano ratowników medycznych i karetkę, ale widziałem, że chłopak już wraca do siebie. Najwyraźniej po prostu zemdlął z powodu napięcia czy szoku.

Szybko zabrano Jessopa, który też zaczynał wyglądać na coraz bardziej szokowanego. Szok występował ostatnio coraz częściej w okolicach Świętego Judy, szerzył się jak zaraza. Kiedy Ward upewniła się, że Luke'owi Gorskiemu nic poważnego nie dolega i ktoś się nim zajmie, podeszła do mnie. Złapała mnie za ramię i odciągnęła na bok.

– Co tu się odpięrdala? – syknęła.

Przekazałem jej wszystko, co wiedziałem. Słuchała mnie w milczeniu, wciąż lekko pobladła. Kiedy zdałem relację, ze złością wypuściła powietrze.

– Nie mógł pan, nie wiem, jakoś go powstrzymać czy coś?

– Próbowałem. Widziała pani, jak to się skończyło.

Zacisnęła powieki i potarła grzbiet nosa.

– Jezu, co za masakra.

– Co to oznacza dla akcji przeszukiwawczej?

Ward obejrzała się na szpital i pokręciła głową.

– Jeszcze nie wiem. Muszę porozmawiać z Whelanem i specjalistą od przeszukań, zorientować się, jaka jest sytuacja z tym azbestem. Potem będziemy mogli coś zdecydować.

– A co z Jessopem?

– Kto to wie. Zgodnie z prawem moglibyśmy postawić mu zarzut napaści na funkcjonariusza policji, ale to zależy od Ainsleya. Jezu, Oduya będzie miał teraz używanie.

– Ach tak?

Za naszymi plecami rozległ się znajomy aksamitny głos. Świetne wyczucie czasu, pomyślałem i odwróciłem się do działacza. Ani ja, ani Ward nie usłyszeliśmy, kiedy do nas podszedł.

Ward próbowała zatuszować wpadkę.

– Chciałabym pana przeprosić w imieniu całej ekipy prowadzącej śledztwo...

Oduya machnął ręką.

– Nie ma sprawy. Dobrze znam takich agresorów. Może i w sprawie Świętego Judy jesteśmy po przeciwnych stronach, ale nie zamierzam obciążać pani

odpowiedzialnością za działania jednego łajdaka. Przykro mi tylko, że Tomas i Sandra musieli go słuchać. No i oczywiście Luke też.

– Zajmiemy się sprawą Keitha Jessopa, a jeśli zdecyduje się pan wnieść zarzuty, to naturalnie może pan liczyć na nasze pełne wsparcie.

– Dziękuję, ale nie zamierzam marnować czasu na takich Jessopów. Życie jest zbyt krótkie. – Zmrużył oczy w gorzkim uśmiechu. – Poza tym będę opowiadał tę historię przez lata. Zostać napadniętym w otoczeniu stróżów prawa? Nikt by tego nie wymyślił.

Ward próbowała się zmusić do uśmiechu, ale nie miała nastroju do żartów.

– To bardzo miłe z pańskiej strony...

– Proszę mi mówić na ty. Adam.

Pounął się jednak za daleko. Ward skinęła głową, puszczając propozycję mimo uszu.

– Proszę wybaczyć, ale muszę sprawdzić, jak się miewa Luke Gorski.

– Oczywiście. Zaraz też tam podejdem.

Ward wyraźnie nie podobał się pomysł zostawienia mnie z nim sam na sam, ale niewiele mogła na to poradzić. Posłała mi ostrzegawcze spojrzenie i wróciła do chłopaka, któremu sanitariusz pomagał właśnie się podnieść z ziemi.

– Okropne, prawda? – zagadnął Oduya, patrząc w tamtą stronę. – Już bez tego musiało im być bardzo trudno.

– Niepotrzebnie tu przyjechali.

Nie próbowałem łagodzić oskarżycielskiego tonu. Oduya ciężko pokiwał głową.

– Zgadzam się. Próbowałem im to wyperswadować. Tomas nie chciał przyjeżdżać, sam pan widzi, jak zareagował Luke. Ale Sandra nalegała, a ja nie chciałem się kłócić z kobietą, której zamordowano córkę. – Spojrzał teraz na mnie. – Tak czy inaczej, dziękuję panu. Widziałem, że próbował pan powstrzymać Jessopa.

– Niezbyt skutecznie. Pan za to dał niezły popis.

Wzruszył ramionami.

– W mojej branży opłaca się znać podstawy samoobrony.

Patrzyliśmy, jak Luke Gorski, słabo protestując, daje się odprowadzić do karetki.

– Ciężko to zniósł? – zapytałem.

– Bardzo. Chyba nawet rodziców zdziwiło, jak mocno to przeżył. Wydawało się, że nie byli z siostrą zbyt blisko.

Śmierć czasem tak działa. Bywa, że dopiero kiedy jest już za późno, zdajemy sobie sprawę z tego, jak wiele ktoś dla nas znaczył.

– Wiem, to nie jest właściwa chwila, ale chciałbym z panem poruszyć jeszcze jedną kwestię – ciągnął Oduya. – Jeśli dam panu słowo, że nie ma to nic wspólnego ze sprawą, to czy mógłbym do pana zadzwonić i porozmawiać?

Zaczynałem już opuszczać gardę, ale teraz gwałtownie wzmożłem czujność.

– Żeby mógł pan znowu powoływać się na mnie jako na zaufane źródło?

Nie dał po sobie poznać urazy.

– Zrobiłem to, co musiałem zrobić, nie zamierzam za to przeproszać. Umyślnie czy nie, swoją reakcją potwierdził pan pogłoskę o ciąży. Zrobiłbym to jeszcze raz, gdyby to oznaczało, że rodzina zaginionej młodej kobiety dowie się, co się z nią stało.

Nie sposób było odmówić mu słuszności. Chociaż Christine Gorski zostałyby tak czy inaczej wkrótce zidentyfikowana, dzięki Oduyi jej rodzice nie musieli dłużej żyć w niepewności. Mimo że nie mogłem się przyczepić do jego motywacji, to nie podobało mi się, że mnie wykorzystał.

– Jak sam pan zauważył, to nie jest odpowiednia pora.

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnął się z żalem. – W takim razie może później.

Jeśli będę miał na to jakikolwiek wpływ, to nastąpi to dużo później. Owszem, Oduya działał ze szlachetnych pobudek i niewątpliwie osiągał sukcesy. Niemniej dla niego cel zawsze uświęcał środki.

Takim ludziom trudno jest zaufać.

Kiedy już złożyłem zeznania w sprawie incydentu z Jessopem, zrobiło się późne popołudnie. Nie było mowy o powrocie do szpitala. Z powodu obecności

azbestu zawieszono całą akcję poszukiwawczą, a wznowić miano ją dopiero po stwierdzeniu, że budynek jest bezpieczny. Nie przepadałem za spędzaniem czasu w tych starych murach, ale nie uśmiechało mi się też kolejne opóźnienie. Najpierw strych, teraz piwnica.

W Świętym Judzie pułapki czaiły się na każdym kroku.

Było za wcześnie na powrót do Ballard Court, więc z braku lepszego zajęcia zajrzałem na uczelnię. Od rana nie sprawdzałem poczty, a teraz znalazłem kolejnego mejla od Francisa Scotta-Hayesa. Ten dziennikarzyna zaczyna mi działać na nerwy, pomyślałem, kasując wiadomość. Poza tym w skrzynce czekały tylko rutynowe wiadomości. Wszystko było jednak lepsze od samotnego wieczoru w Ballard Court, więc dopiero kiedy w brzuchu zaczęło mi burczeć, niechętnie uznałem, że czas się zbierać.

Nie tylko z powodu pracy nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Prawdę mówiąc, tęskniłem za Rachel. Oboje z góry wiedzieliśmy, że czasem przez wiele dni nie będzie z nią kontaktu, ale jej nieobecność zaczynała mnie dręczyć. Przyzwyczailem się już, że stanowi część mojego życia. Przez ostatnie parę miesięcy praktycznie mieszkaliśmy razem, rozstawaliśmy się rzadko i najwyżej na kilka dni. Świadomość, że na mnie czeka, czyniła ten bezduszny apartament nieco znośniejszym. Po raz pierwszy od lat zacząłem myśleć raczej jako „my” niż „ja”.

A teraz znowu musiałem się przyzwyczaić do samotności.

Przestań się nad sobą użalać. Pojechała do pracy. Ty też masz co robić, powiedziałem sobie. Zjadłem omlet, dopiłem piwo i zobaczyłem, że zbliża się pora późnego wydania wiadomości. Umyłem naczynia i odstawiłem je na suszarkę, a potem wyjąłem z szafki jedną z kompletu absurdalnie ciężkich kryształowych szklanek i nalałem sobie burbona. Od jakiegoś czasu pijałem szklaneczkę blantona dla uczczenia pamięci starego przyjaciela, więc przy przeprowadzce zabrałem ze sobą butelkę. Właściciel apartamentu co prawda zachęcał mnie do częstowania się trunkami ze świetnie zaopatrzonego barku, ale czułem się skrępowany. Trafiłem tam tylko dlatego, że zdaniem Ward w starym

mieszkańcu groziło mi niebezpieczeństwo, a choć byłem Jasonowi wdzięczny, że mi to nagrał, nie chciałem się zbytnio rozgaszcać. Zwłaszcza że nie planowałem tu zostawać.

Rozsiadłem się wygodnie w głębokim skórzanym fotelu i włączyłem telewizor. W serwisie informacyjnym znowu mówiono o szpitalu Świętego Judy, choć już nie na samym początku. Pokazano Gorskich wjeżdżających przez bramę na teren szpitala, blade owale twarzy za przyciemnionymi szybami samochodu, ale nie był to najważniejszy materiał wydania. Nie wspomniano o incydencie z Jessopem, lecz przecież doszło do niego na terenie szpitala, z dala od wścibskich reporterów. Musiałem też oddać honor Oduyi – wyraźnie nic nie powiedział mediom, chociaż podejrzewałem, że raczej przez wzgląd na rodzinę Christine Gorski niż na policję.

Tak czy inaczej, Ward pewnie ulżyło.

Kiedy dobiegł końca segment poświęcony szpitalowi, przypomniałem sobie o burbonie. Sięgnąłem po szklaneczkę i prawie ją przewróciłem, bo nagle zadzwoniła komórka. Z nadzieją, że to Rachel – mimo iż nie spodziewałem się jeszcze od niej telefonu – szybko odebrałem, choć na ekranie wyświetlił się nieznany numer.

– Doktor Hunter?

Głos brzmiał znajomo, ale nie mogłem go skojarzyć. Rozczarowanie objawiło się rozdrażnieniem.

– Kto mówi?

– Z tej strony, eee, Daniel Mears.

Mears? Nie miałem pojęcia, po co miałyby do mnie dzwonić, zwłaszcza o tak późnej porze.

– Czym mogę panu służyć?

Usłyszałem w słuchawce nerwowy oddech.

– Nieważne. Przepraszam.

– Zaraz, proszę poczekać – wtrąciłem, zanim zdążył się rozłączyć. Udało mu się wzbudzić moją ciekawość. – Co się dzieje?

- Nic się nie dzieje. – Wróciła arogancja, ale równie szybko znowu zniknęła.
 - To znaczy nie do końca, ale... Czy mógłby pan przyjechać do kostnicy?
 - Teraz?
 - Tak, przecież mó... – Powstrzymał się. – Jeśli to nie problem.
- Wizja wypicia burbona i pójścia spać gwałtownie zbladła. Wyprostowałem się w fotelu.
- Dlaczego, co się stało?
- Odpowiedziała mi cisza. W końcu Mears zebrał się w sobie.
- Potrzebuję pańskiej pomocy.

ROZDZIAŁ 17

Nawet za dnia kostnice są specyficznym miejscem, nocą zaś nabierają indywidualnego charakteru. Nie żeby przechodziły wtedy jakąś głęboką przemianę. Jest tam przecież niewiele okien: z oczywistych powodów większość budynków tego typu musi polegać raczej na sztucznym oświetleniu. Poza tym, podobnie jak na przykład szpitale, kostnice działają przez całą dobę.

Mimo to odnoszę wrażenie, że po zmroku coś się zmienia. Nawet w okresach najbardziej intensywnej pracy w kostnicy nie ma hałasu i pędu, ale w nocy rytm jeszcze bardziej zwalnia. Zapada spokój o nieco innym charakterze, pełen refleksji i jakby cichszy. Niemal da się wyczuć jego ciężar. Zdaje się wyostrzać świadomość obecności milczących zmarłych zamieszkujących budynek, ich ciała wyłożonych na stalowych stołach lub przechowywanych w ciemnych, zimnych szafach. Może to pierwotna reakcja na zapadnięcie nocy połączona z bliskością śmierci, przed którą instynktownie wszyscy się wzbraniamy. Albo skutek wyczerpywania się baterii zegara biologicznego, psychologiczny i fizjologiczny sprzeciw organizmu wobec zakłócenia naturalnego rytmu dziennego.

A może to tylko ja tak mam.

Skrzypiąc butami po podłodze, szedłem korytarzem kostnicy. Nocny dyżurny powiedział mi, gdzie szukać Mearsa, chociaż na dźwięk jego nazwiska parsknął pogardliwie.

– Dobrze, że to nie ja muszę do niego iść.

Mearsowi świetnie idzie zjednywanie sobie ludzi, pomyślałem. To co ja tu robię? Nie byłem mu niczego winny, a miałem już za sobą wystarczająco długi dzień. Ale zdarzało mi się pracować przy sprawach, które rozbijały się o ego

osób zainteresowanych, więc wiedziałem, jak opłakane skutki może mieć taki konflikt. Nawet jeśli nie przepadaliśmy za sobą z Mearsem, to nie powinno na tym ucierpieć śledztwo.

Poza tym chętnie skorzystałbym z okazji do bliższego przyjrzenia się zwłokom zamurowanych ofiar.

Znalazłem go w niewielkiej sali prosektoryjnej, do której skierował mnie dyżurny. Ku mojemu zaskoczeniu miał na sobie pełen strój chirurgiczny i nieprzemakalne buty, a nie zwykły kitel, tak jak ja. Przez telefon nie chciał powiedzieć, dlaczego potrzebuje pomocy, ale po takim czasie powinien już dawno wyjść poza wczesne etapy badania, kiedy niezbędny jest strój ochronny.

Pochylając się nad szkieletem złożonym w całość na stole prosektoryjnym, ostrożnie poprawił pozycję jednej z kości. Kiedy wszedłem do sali, stanął prosto, a mnie zszokował jego wygląd. Błądą zwykle twarz miał teraz białą jak kreda, przez co piegi i rude włosy jeszcze mocniej się odróżniały. Nieogolony i z podkrążonymi oczami wyglądał, jakby nie spał od wielu dni.

– O, już pan jest! – Miał w głosie taką ulgę, że zabrzmiało to prawie serdecznie. – Szybko pan przyjechał.

O tej porze prawie nie było ruchu. Podeszedłem do szkieletu, nad którym tak medytowałem. Po dość małych rozmiarach domyśliłem się, z którą ofiarą mamy do czynienia.

– To ta kobieta? – zapytałem, wyjmując z dozownika parę rękawiczek.

– Tak, właśnie, eee, właśnie kończyłem.

Nie rozumiałem, co jeszcze ma do skończenia. Przeprowadził tę samą procedurę co ja w przypadku Christine Gorski – rozczłonkował kości i oczyścił z tkanek miękkich, po czym złożył szkielet ponownie do badania. To proces fundamentalny dla naszej pracy, który dzięki praktyce szybko stawał się drugą naturą. Znałem go już tak dobrze, że dałbym sobie radę z zawiązanymi oczami.

Musiałem jednak przyznać, że trudno by mi było osiągnąć lepszy efekt niż Mearsowi. Kości anonimowej kobiety były nieskazitelnie czyste i ułożone z najwyższą precyzją. Każdą umieszczono w identycznej odległości od

sąsiadującej z nią kości, praktycznie co do milimetra, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Widok robił wrażenie i mógłby trafić na łamy każdego podręcznika anatomii, prezentując symetrię niedościgłą dla szkieletów za życia.

– Dobra robota – zauważyłem, naciągając rękawiczki.

Osobiście uważałem, że aż taka precyzja nie była potrzebna, ale powstrzymałem się przed tą uwagą, żeby nie wypaść grubiańsko. Zresztą bardziej zainteresowały mnie ciemne ślady na kościach. Najmniejszy miał średnicę mniej więcej paznokcia kciuka, największy zaś – na kości łonowej – był wielkości małego kurzego jaja. Wszystkie były żółtawobrazowe, jak plamy słabej kawy na papierowej serwetce.

Zauważyłem też pęknięcia włoskowate na kościach długich lewej ręki, łokciowej i promieniowej, a także na kilku żebrach. Ward wspominała o złamaniach, ale nie takich obrażeń spodziewałbym się po torturach czy biciu. Pęknięcia nie promieniowały liniowo z pojedynczych punktów uderzenia, brakowało też złamań, czyli całkowitego przerwania ciągłości kości. Te pęknięcia wyglądały na spowodowane raczej gięciem albo naprężaniem. Kości czaszki wyglądały zaś na nienaruszone. Jeśli ofiara była bita, to ciosy omijały twarz.

Moją uwagę znowu zaprzątnęły przebarwienia. Podniosłem jedną z wąskich kości śródrezcza prawej dłoni. Kremową powierzchnię znaczyła brudnożółta plama.

– To te oparzenia? Ile ich jest w sumie?

– Trzynaście. Na rękach, nogach, stopach. Czaszce. – Mears wracał do siebie, widocznie albo mój komplement, albo rozmowa na tematy zawodowe pomogły mu odzyskać równowagę. Dobrze. – Wszystkie miejsca, w których warstwa skóry nad kością była cienka. Znalazłem też dodatkowe oparzenia na ześlizgniętym naskórku na częściach ciała pozbawionych kości, takich jak brzuch czy mięśnie nóg. Sprawiają wrażenie przypadkowo rozmieszczonych.

– I to na pewno ślady przypalania? – Owszem, tak wyglądały na oko, ale żeby się przekonać, należało zbadać plamy pod mikroskopem. Zauważyłem ubytki

w kościach, Mears musiał już pobrać próbki.

– Widać pęknięcia w mikroskali i uszkodzenia okostnej – odparł, a w jego głosie znów zaczynała pobrzmiwać zuchwałość. – W połączeniu z przebarwieniami może to świadczyć tylko o jednym.

– Nadal uważa pan, że dokonano tego przy użyciu lutownicy? – zapytałem z powątpiewaniem.

– Lub jakiegoś podobnego urządzenia, tak, bez cienia wątpliwości. – Nabierał pewności siebie, mogąc wypowiadać się o znajomej działce. – Brałem też pod uwagę rozżarzonego papierosa, z uwagi na rozmiar większości śladów. Nie byłby on jednak wystarczająco gorący. Musiano by dłużej go przyciskać, żeby ciepło przebiło się aż do kości, więc przepaliłby skórę. Tymczasem tu mamy do czynienia z miejscowymi oparzeniami naskórka i górnych warstw skóry nad kością, ale to wszystko.

To nie miało żadnego sensu. Można by się spodziewać, że temperatura wystarczająco wysoka, by zostawić ślad na kościach, znacznie poważniej uszkodzi leżące nad nimi tkanki, niezależnie od narzędzia, jakim się posłużono.

– Miejscowe oparzenia?

– Tak, mniej więcej tej samej wielkości co ślady na kościach. – Mears wyraźnie odzyskał rezon, jego uśmiech zaczynał niebezpiecznie balansować na granicy protekcjonalności. – Dlatego myślę, że użyto czegoś, co może skupić bardzo wysoką temperaturę na bardzo małej powierzchni, na przykład lutownicy.

Ciągle coś mi nie grało, ale to była sprawa Mearsa, nie moja. Wydawał się pewny swego. Odłożyłem kość śródreńcza na miejsce.

– Z drugą ofiarą jest tak samo?

Mears sięgnął do kości, którą właśnie odłożyłem, i pedantycznie przesunął ją na właściwe miejsce, aż leżała idealnie równo w stosunku do sąsiednich. Nie odpowiedział od razu, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że oblał się rumieńcem.

– Nie, eee... Nie jestem pewny. Chyba tak.

– Nie potrafi pan tego stwierdzić? – spytałem zaskoczony.

– Nie, oczywiście. Tylko że... jeszcze nie. – Odkaslnął. – Właściwie to dlatego po pana zadzwoniłem.

– Oczywiście mogę podzielić się z panem moją opinią – powiedziałem, wciąż skonsternowany.

Nie rozumiałem, czemu się tak denerwował, skoro tylko o to chodziło. Prośba o konsultację to nic złego, inny punkt widzenia przydaje się, kiedy sprawa nie jest jasna. Sam nieraz uciekałem się o pomoc do kolegów po fachu, zwłaszcza na początku drogi zawodowej, kiedy jeszcze musiałem się wiele nauczyć.

Mears jednak przestępował z nogi na nogę, wyraźnie skrępowany. Znów ledwie zauważalnie przesunął jeden z paliczków.

– Eee, nie o to... To znaczy, to nie...

Dokonał zupełnie niepotrzebnej korekty położenia jednego z żeber wolnych, potem zaczął poprawiać z drugiej strony. Powstrzymałem go wyciągniętą dłonią.

– Może mi pan pokaże, o co chodzi?

Kiwnął głową, wciąż płonąc ze wstydu.

– Dobrze. Tak, pokażę.

Wyszedłem za nim na korytarz, po drodze ściągając rękawiczki i wyrzucając je do kosza. Otworzył drzwi do jednej z większych sal prosektoryjnych. Panowała w niej ciemność. Pod sufitem zamigotały lampy, które Mears obudził do życia wciśnięciem pstryczka. Zamrugalem w jaskrawym świetle, początkowo oślepiony, i dopiero po chwili zobaczyłem, co tam na nas czeka.

Wyglądało to jak scena z jatki.

W pomieszczeniu stały trzy stoły ze stali nierdzewnej. Na tym znajdującym się najdalej od nas leżały zwłoki drugiej ofiary obrane z większości tkanek miękkich i wstępnie rozczłonkowane w stawach. Lewą stopę odłączono w kostce, dolną część nogi schludnie odcięto w kolanie. Na pierwszy rzut oka rezultaty przywodziły na myśl rzeźnię, ale była to piękna, koronkowa robota.

Choć zaczęto oddzielać również uda, to tych cięć dokonano już znacznie mniej starannie. Ta ofiara była wyraźnie masywniejsza od poprzedniej, więc stawy w miednicy odpowiednio trudniej było przeciąć. Kremowobiała głowa

kości biodrowej i panewka stawu były odsłonięte, ale nadal połączone, a twarde ścięgna i chrząstka poszarpane, jakby ktoś rzucił się na nie z tępym nożem w ataku wściekłości. Na sąsiednim stole leżał porzucony skalpel o cienkim ostrzu wraz z kilkoma większymi nożami. Wszystkie były brudne i tłuste i dopiero teraz zauważyłem, że ktoś próbował przeciąć tkankę łączną także w innych stawach, po czym skapitulował.

Stałem jak wryty, oszołomiony widokiem szczątków. Teraz zrozumiałem, dlaczego Mears mnie wezwał. Powinien być już na znacznie dalszym etapie. Spodziewałem się, że będzie kończył także z drugą ofiarą. Kości powinny się już przynajmniej macerować.

Spojrzałem pytająco na Mearsa. Próbował wyprężyć się z determinacją.

– Złapałem, eee... Złapałem małe opóźnienie względem harmonogramu.

Mało powiedziane. Mniej jednak zszokowało mnie, jak długo mu to zajmuje, a bardziej zastanawiałem się dlaczego. Nienagannie oczyścił i złożył szkielet kobiety, więc trudno mi było zrozumieć, czym różnił się ten przypadek. Choć większe rozmiary ciała mogły nieco utrudniać fizyczny aspekt zadania, to nie tłumaczyło, dlaczego Mears aż tak się pogubił.

– Co się stało? – zapytałem.

– Nic się nie stało. Po prostu, hm, zajmuje mi to nieco więcej czasu, niż planowałem.

– To dlaczego nie poprosił pan o pomoc kóregoś z asystentów?

Znękany Mears próbował wydusić jakąś odpowiedź.

– My... myślałem, że sobie poradzę.

Wreszcie zacząłem rozumieć, w czym tkwi problem. Wróciłem myślami do damskiego szkieletu ułożonego idealnie w mniejszej salce.

Zbyt idealnie.

– Ile panu zeszło ze szczątkami tamtej kobiety? – zapytałem.

Jakby ktoś spuścił powietrze z balonu. Wzruszył ramionami, siląc się na nonszalancję.

– Nie wiem dokładnie. Wie pan, jak to jest, nie powinno się śpieszyć.

Owszem, nie powinno się śpieszyć. Była jednak kolosalna różnica między poświęceniem odpowiedniej ilości czasu na rzetelne wykonanie zadania a tego czasu marnowaniem. Parekh wspominała o jego metodycznym podejściu, a sposób złożenia szkieletu kobiety służył za najlepsze świadectwo perfekcjonizmu. Nie zawsze jednak była to pożądana cecha. Zbyt mocno skupił się na drobiazgach, obsesyjnie pilnował nieistotnych detali, a zapomniał o szerszej perspektywie. A kiedy dogonił go czas, spanikował i jeszcze pogorszył sytuację.

– Ward o tym wie? – zapytałem, choć mogłem się domyślić odpowiedzi.

– Skąd! – odparł z przerażeniem. – Nie... nie chciałem jej zawracać głowy.

Oczywiście. Na pewno też nie śpieszyło mu się poinformować o wpadce przełożonych. Mears nigdy nie przyznałby się do błędu, pewnie nawet przed samym sobą. Pograżał się więc coraz głębiej, a w końcu zdesperowany zadzwonił po mnie.

Nie mogłem jednak pojąć, jak w ogóle mógł sobie pozwolić na popełnienie tak podstawowego błędu. Coś takiego mogło przytrafić się żółtodziobowi, ale nie doświadczonemu...

Wtedy mnie tknęło. Mears patrzył na mnie spanikowany i wyglądał jeszcze młodziej niż zwykle.

– To pana pierwsze śledztwo w sprawie zabójstwa, prawda? – zapytałem.

– Słucham? Nie, oczywiście, że nie! – Unikał jednak mojego wzroku, a rumieniec na jego twarzy jeszcze bardziej pociemniał.

– Przy ilu takich sprawach już pan pracował?

– Przy kilku. – Wzruszył ramionami. – Trzech.

– Samodzielnie?

– To nie ma żadnego znaczenia.

A jednak miało. Presja towarzysząca dochodzeniu w sprawie morderstwa bywała przytłaczająca. Nie każdy sobie z nią radził. Była też ogromna różnica między asystowaniem a samodzielną pracą przy dużej sprawie. Pamiętałem swój pierwszy raz w takiej sytuacji, ciągle oblewał mnie wtedy zimny pot ze strachu,

że się skompromituję. Na taką chwilę nie potrafiły przygotować nawet długie lata nauki.

Teraz spojrzałem na zachowanie Mearsa w innym świetle. Pod płaszczykiem arogancji i tupetu krył się brak wiary w siebie. Nadrabiał miną, żeby zatuszować niedoświadczenie.

– Miałem asystować Peterowi Madeleyowi – wyrzucił z siebie Mears. – Ale chyba z kimś się pokłócił i odszedł. Nie mieli czasu znaleźć nikogo na jego miejsce, więc... więc powiedziałem, że poradzę sobie sam.

Znałem Madeleya ze słyszenia. Cieszył się reputacją solidnego antropologa, nie wiedziałem, że przeszedł do sektora prywatnego. Cała sprawa zaczynała nabierać sensu. Mears może i miał talent, ale nie został specjalnie wybrany do pracy przy tej sprawie. BioGen w ostatniej chwili zwerbował go na zastępstwo, żeby nie stracić kontraktu z policją. Dlatego nigdy wcześniej o nim nie słyszałem.

Nikt o nim nie słyszał.

Potarłem oczy, próbując się zastanowić. Ward powinna wiedzieć, że jeden z konsultantów kryminalistycznych nie spełnia wymagań. Choć nie cała wina leżała po stronie Mearsa, to komuś tak początkującemu i niesprawdzonemu nie można było powierzyć takiej odpowiedzialności. Stawka była zbyt wysoka, żeby tak ryzykować. A zresztą nie byłem mu nic winny.

A jednak sposobem pobrania odcisków palców – a może także analizą oparzeń – udowodnił wystarczającą kompetencję. Może nawet więcej niż wystarczającą. Niewykluczone, że dopadła go po prostu trema, stres debiutanta. Gdybym poszedł teraz do Ward, nie tylko zwolniono by go z pracy przy śledztwie, lecz mogłoby to także położyć się cieniem na całym jego późniejszym życiu zawodowym. Niekoniecznie chciałem mieć na sumieniu jego karierę.

Mears przyglądał mi się niespokojnie, przygryzając wargę.

– Nie będę pana krył – powiedziałem. – Ward musi się dowiedzieć.

– Na pewno ma zbyt wiele na głowie, żeby...

– Jest dowodzącą w tym śledztwie. Jeśli pan jej nie powie, ja to zrobię.

Odwrócił oczy, ale jego wzrok padł na zmasakrowane szczątki. Zgarbił się ponuro.

– W porządku.

– A jeśli jeszcze kiedykolwiek przytrafi się panu coś takiego, to musi pan o tym komuś powiedzieć. A nie blefować i liczyć na to, że jakoś to będzie.

– Nie przytrafi...

– Mówię poważnie.

Zacisnął usta w wąską linijkę i pokiwał głową.

– Dobrze. Ale już się nie przytrafi.

Mam nadzieję. Spojrzałem na zegar ścienny – minęła już północ. Westchnąłem ciężko.

– Pójdę się przebrać.

Szczątki większej ofiary były w znacznie lepszym stanie, niż sugerował ich wygląd. Załamanie Mearsa nie miało katastrofalnych skutków. Mimo pośpiechu młody tafonom nie pociął kości, nie zauważyłem pośmiertnych urazów szkieletu. Zniszczeniu uległy jedynie tkanka łączna i miękka, które i tak zostaną odrzucone. Niechlujna robota, przeprowadzona w panice, ale choć nie można było tego pochwalać, to nie stało się nic gorszego.

Mears położył uszy po sobie i bez słowa zabraliśmy się do usuwania pozostałych fragmentów tkanki miękkiej z ciała mężczyzny. Choć odsłaniany stopniowo szkielet oczywiście nie był jeszcze porządnie oczyszczony, to już teraz zauważyłem na niektórych kościach te same żółtawobrazowe ślady przypalania co u tamtej kobiety. Chętnie zbadałbym je dokładniej, ale priorytetem było przygotowanie szkieletu do odmoczenia, żeby Mears mógł przeprowadzić staranną analizę.

Pracował okropnie powoli, już nie z powodu perfekcjonizmu, lecz zwykłych nerwów. Zawsze tak zadzierał nosa, a okazało się, że ma bardzo kruche poczucie własnej wartości. Jeśli miał jakoś pozbierać się po tej wpadce, a do tego jeszcze pomóc w śledztwie, coś musiało się zmienić.

– Wygląda na dużego – zauważyłem. – Określił pan już wzrost?

– Oszacowałem wzrost na sto siedemdziesiąt osiem centymetrów – odparł markotnie.

Czyli nieco ponad średnią dla mężczyzny, ale olbrzym to nie był.

– Jak pan myśli, kobieta czy mężczyzna?

Nie zawsze można było łatwo określić płeć ciała, które uległo poważnemu rozkładowi. Jeśli nie dało się jej zidentyfikować na podstawie genitaliów, jedynym sposobem było badanie samego szkieletu. Nawet wtedy nie było to jednak oczywiste, więc tym pytaniem postawiłem Mearsa w dość kłopotliwej sytuacji.

Usunęliśmy jednak już dość tkanki, żeby ujawnić pewne cechy charakterystyczne, a ja prosiłem o opinię, a nie o ostateczny werdykt. Westchnął, jakby cała ta sytuacja go bardzo nużyła.

– Na tym etapie oczywiście nie mogę tego stwierdzić jednoznacznie. Jednak łuki brwiowe są dość wyraźnie zarysowane, a wyrostek sutkowaty duży, widocznie wystaje. Jeśli do tego uwzględnimy wysoki wzrost i masywne kości, to raczej nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z mężczyzną.

Odniosłem wrażenie, że Mears uważa to już za przesądzone. Takie przekonanie bywało zgubne, choć z drugiej strony trudno było polemizować. Łuki brwiowe i wyrostek kości skroniowej pod uchem to zwykle wiarygodne oznaki płci. Czasami wszystko jest dokładnie takie, jakim się wydaje. Wiedzieliśmy już, że mniejsza ofiara, którą poddano torturom i zamurowano, była kobietą. Bezpiecznie można było założyć, że razem z nią zginął jakiś mężczyzna.

Zauważyłem, że Mears zaczyna pracować płynniej, posługuje się piłami i skalpelem z większym zdecydowaniem. Najwyraźniej opryskliwość szła u niego ramię w ramię z pewnością siebie, ale nic w tym złego. Woląłem kogoś irytującego, ale sprawnego, niż sympatycznego nieudacznika, który mógłby zagrozić powodzeniu śledztwa.

Zacząłem przecinać tkankę łączną w lewym stawie biodrowym.

– A wiek?

Wzruszył ramionami.

– Między trzydzieści pięć a pięćdziesiąt, sądząc po stopniu zużycia zębów.

– W jakim są stanie?

– Czemu sam pan nie sprawdzi? – odparł zaczepnie.

Nie podniosłem wzroku.

– Ponieważ nie chcę tracić czasu na sprawdzanie czegoś, co sprawdził już ktoś inny. Bo zakładam, że pan już to zrobił?

– Oczywiście! Przebarwienia sugerujące, że palił i przepadał za kawą, sporo wypełnień, więc nie dbał o zęby, ale przynajmniej chodził do dentysty. Przepraszam bardzo, ale próbuję się tu skupić.

Uśmiechnąłem się pod maską.

Mears zyskał jeszcze więcej pewności siebie. W fizycznym aspekcie pracy cechował się chirurgiczną precyzją i delikatnością, zrozumiałem, dlaczego wszyscy go tak chwalili. Wkrótce trudno było uwierzyć, że niedawno przeżył atak paniki, a z czasem do głosu zaczęło dochodzić jego wrodzone poczucie wyższości.

– Maceruje pan w wyższej temperaturze, niżbym sobie życzył – wycedził, kiedy układaliśmy rozczłonkowane kości w kotłach z ciepłym roztworem.

– Można sobie pozwolić na niższą, kiedy ma się więcej czasu. Podczas śledztwa nie zawsze ma się taki luksus.

– Hmm – mruknął wymijająco. – Co kto lubi, jak to mówią.

Nie dałem się sprowokować. Pstryknąłem włącznik wyciągu i słowa Mearsa zagłuszyło buczenie wysysanego powietrza.

Podbudowawszy swoje ego, Mears postanowił wystrzelić jeszcze ostatnią salwę. Byliśmy już w szatni. Wszystkie kości zostały na noc do odmoknięcia, tak żeby nazajutrz koło południa można je było wypłukać i przebadać. A raczej dzisiaj koło południa, poprawiłem się, kiedy zobaczyłem, która jest godzina. Przebrałem się w zwykłe ubranie, przed wyjściem wrzuciłem strój chirurgiczny do kosza na pranie. Od chwili wyjścia z sali prosektoryjnej nie zamieniliśmy ani

słowa, a zastanawiałem się, czy Mears nie będzie potrzebował pomocy przy składaniu szkieletu. Powinno to być proste zadanie, ale przy okazji chciałbym się przyjrzeć bliżej śladom przypalania na kościach ofiary.

Mears jednak wyraźnie nie zamierzał mi tego zaproponować. W powietrzu wisiała gęsta, niezręczna cisza. Zajęty pakowaniem neseseru młody tafonom nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem, jakby ignorując mnie, mógł wymazać fakt, że stracił twarz. Odezwał się dopiero, kiedy wkładałem płaszcz, gotowy do wyjścia.

– Dziękuję za asystę, Hunter. – Stał plecami do mnie i nawet się nie odwrócił.
– Nie omieszkam przekazać nadkomisarz Ward, że mi pan partnerował. Chętnie się kiedyś odwzajemnię.

Gapiałem się na niego z niedowierzaniem. „Dziękuję za asystę”? Mears nadal nie podnosił wzroku, wyjątkowo zaabsorbowany wiązaniem butów. Odczekałem jeszcze chwilę, ale ewidentnie nie miał już nic do dodania. Niewiarygodne, pomyślałem i wyszedłem, zatraskując za sobą drzwi.

Było już po drugiej, ulice opustoszały. Przez całą drogę powrotną kipiałem gniewem. Trzeba było zostawić Mearsa samego z jego bajzlem, powtarzałem sobie, szarpiąc wściekle dźwignią zmiany biegów. Nie oczekiwałem wdzięczności, ale nie spodziewałem się też, że tak szybko wróci do formy. Już zaczął przepisywać historię, modyfikować ją tak, żeby była łatwiejsza do przełknięcia. Kiedy już opowie o tym Ward – a teraz na pewno dopilnuję, żeby się dowiedziała – to pewnie przedstawi wersję, zgodnie z którą to on wyświadczył mi przysługę.

Wciąż rozjuszony, skręciłem w uliczkę, przy której stał Ballard Court, i zobaczyłem miganie niebieskich świateł. Pod blokiem stał wóz straży pożarnej, zupełnie nie pasował do spokojnego otoczenia. Sam budynek wyglądał normalnie: żadnych płomieni, tylko światła paliły się jeszcze w niektórych oknach. Na dworze stało kilka osób, część z nich w piżamach i szlafrokach, ale wracali już do środka.

Nikt mnie nie zatrzymał przy wjeździe przez bramę, co uznałem za dobry znak. W grupce mieszkańców nie zauważyłem nikogo znajomego, więc zaparkowałem przed szlabanem na drodze do garażu i wysiadłem z samochodu. W chłodnym nocnym powietrzu unosił się smród palonego plastiku. Podeszedłem do strażaków stojących koło wielkiego czerwonego wozu. Dwoje zwijało wąż gaśniczy, wyraźnie bez pośpiechu, a pozostali gadali sobie bez troski.

– Co się tu dzieje? – zapytałem strażaczkę z kręconymi włosami wystającymi spod hełmu.

Rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie.

– Mieszka pan tutaj?

– Na piątym piętrze.

– Na pewno?

– Mogę pani pokazać klucze, jeśli trzeba. Byłem w pracy.

– Ani chwili wytchnienia, co? – Ale wyraźnie się odprężyła. – Przepraszam, proszę tego nie brać do siebie, ale musieliśmy już odeskortować jedną z pańskich sąsiadek, bo strasznie się wtrącała. Nie była tym zachwycona, ale cóż, pożary zawsze przyciągają czubków.

Dzięki.

– Co się stało?

Machnęła ręką w stronę bloku.

– Jakiś idiota próbował podpalić kosze na śmieci. Nie było dużych szkód, ale dym poniósł się zsysem. Zraszacze się nie włączyły, ale alarm owszem.

Na każdym piętrze Ballard Court znajdowały się dyskretnie schowane zsypy, przez które mieszkańcy mogli wyrzucać śmieci do pojemników na dole. Zadziałały jak kominy, przewodząc dym na górę.

– Kto to zrobił?

– Najprawdopodobniej dzieciaki. Straszna głupota. W takim budynku na szczęście są porządne zabezpieczenia, ale można by się spodziewać po ludziach trochę więcej rozsądku.

Można by, chociaż rzadko go mieli. Swoją drogą rzeczywiście szczęście, że wydarzyło się to w Ballard Court. Oprócz systemu bezpieczeństwa, w którego skład wchodziły elektrycznie sterowane drzwi i całodobowa opieka portiera, budynek wyposażono też w najnowocześniejszy system przeciwpożarowy, czego nie można powiedzieć o większości bloków mieszkalnych.

– Mogę wejść do środka? – zapytałem.

– Nie widzę przeszkód. Ogień już ugasiliśmy, ale jeszcze trochę się tu pokręcimy. A skoro i tak pan nie śpi, to mógłby pan coś jeszcze dla nas zrobić.

– Co takiego?

Uśmiechnęła się przymilnie.

– Może postawiłby pan wodę na herbatę?

ROZDZIAŁ 18

Kobieta wyglądała jak cień na tle światła słonecznego. W powietrzu wokół niej unosiły się drobinki kurzu, poruszające się niemal niedostrzegalnie plamki światła. Widziałem tylko jej sylwetkę w obramowaniu framugi drzwi, ale wiedziałem, kim jest. Świadomość ta zmroziła mi serce. Podchodziła bliżej, powoli nabierając kształtów i rysów twarzy. Długie kruczoczarne włosy. Ciemne brwi nad martwymi oczami i skóra biała jak kość. Jej uroda była przerażająca. Chciałem krzyczeć, uciekać.

Nie mogłem się ruszyć.

Pochyliła się ku mnie, rozciągając pełne wargi w uśmiechu. Czuję jej zapach, delikatną, korzenną woń piżma. Przysunęła usta do mojego ucha, oddechem musnęła mi skórę.

– Witaj, Davidzie.

Była już bardzo blisko, wbijała we mnie wzrok tak pusty, że aż palił. Wiedziałem, co się zaraz stanie, ale mogłem tylko bezradnie patrzeć, jak wyjmuję nóż. W ostrzu odbiły się promienie słońca.

– Puściłeś mnie – powiedziała Grace i wbiła mi nóż w brzuch...

Wybudziłem się gwałtownie z głośnym krzykiem. Widmo korzenno-piżmowej woni zdawało się jeszcze wisieć w powietrzu, ale zniknęło, kiedy próbowałem je uchwycić. Z trudem łapałem powietrze, serce łomotało mi w piersi, próbowałem wzrokiem przeniknąć ciemności panujące w sypialni. Za oknem była jeszcze noc, ale w świetle latarni dochodzącym z ulicy mogłem na własne oczy zobaczyć, że pokój jest pusty. Rozprężyłem się, zeszło ze mnie napięcie.

Chryste. Czemu, do cholery, znowu mnie to naszło? Świejące cyfry na budziku przy łóżku wskazywały piątą z minutami. Świadom, że już nie zasnę, odrzuciłem kołdrę i wstałem. Czując, jak stygnie mokra od nocnych potów skóra, podszedłem do okna i spojrzałem w dół. Wóz strażacki już odjechał, ale w powietrzu wciąż unosił się lekki swąd dymu.

To właśnie musiało wywołać ten koszmar.

Przyśnił mi się po raz pierwszy od wielu dni, a już zaczynałem myśleć, że się od niego uwolniłem. Potarłem twarz dłonią drżącą od wyrzutu adrenaliny. Zbliżał się świt. Już po chwili na drzewie za oknem zaczął śpiewać ptak. Zaraz dołączyły do niego inne, chór natury zapowiadał początek nowego dnia.

Po puszystym dywanie, w który zapadały mi się stopy, przeszedłem przez sypialnię do łazienki i odkręciłem prysznic. Stałem pod gorącym strumieniem, dopóki nie splukał resztek koszmarnego snu, a potem dla pewności na chwilę zmieniłem wodę na lodowato zimną.

Już przytomniejszy włączyłem radio i przygotowałem sobie śniadanie. Jajecznica, grzanki, kawa. Przez chwilę nawet rozważałem, czyby się nie pomęczyć z tym przekombinowanym ekspresem, ale prędko mi się odechciało – wystarczy rozpuszczalna.

Ciągle dręczyło mnie wspomnienie wczorajszej sytuacji z Mearsem, ale już coraz słabiej. W zasadzie pomogłem mu raczej przez wzgląd na dobro śledztwa – i Ward – niż na niego. Tak czy inaczej, raz wystarczy. Jeśli znowu odstawi fuszerkę, będzie sobie musiał radzić sam.

Krople deszczu uderzające o szybę akompaniowały mi do śniadania jedzonego przy granitowej wyspie kuchennej. Wciąż czułem się trochę rozbity, jak zwykle bywa po zbyt krótkim śnie, ale śniadanie mi pomogło. Nastrój poprawił mi się jeszcze bardziej, kiedy w porannych wiadomościach nawet nie wspomniano o szpitalu Świętego Judy. Temat wyraźnie wypadł z obiegu, co mogło mnie tylko cieszyć.

Kiedy myłem naczynia po śniadaniu, za oknem wstał kolejny słotny dzień. Było jeszcze wcześniej, więc zaparzyłem sobie następną kawę, zastanawiając się,

co robić. Za wcześnie, żeby spodziewać się wieści o terminie wznowienia akcji przeszukiwawczej, ale raczej nie zostanie on wyznaczony na dzisiejszy poranek. Może nawet nie na przyszły tydzień. Wszystko zależało od rozmiaru powierzchni pokrytej azbestem i czasu niezbędnego do usunięcia niebezpiecznego materiału, tak żebyśmy mogli wrócić do szpitala. Miałem nadzieję, że nie potrwa to długo: nie tylko Jessopa frustrowały te ciągłe opóźnienia.

Mogłem później pojechać na uczelnię, ale skoro niespodziewanie trafił mi się wolny ranek, grzechem byłoby go nie wykorzystać. Sytuacja Loli i jej syna nie dawała mi spokoju od mojej ostatniej wizyty. Niewątpliwie potrzebowali czyjejs pomocy, ale nie udało mi się jeszcze wymyślić, jak to zorganizować. Lola nie zgodziłaby się na żadną interwencję, czy to moją, czy kogokolwiek innego, a nie uśmiechało mi się, żeby po prostu na nich donieść opiece społecznej. Ewidentnie jednak nie radziła sobie zbyt dobrze z samodzielną opieką nad chorym synem, a z wiekiem będzie jej coraz trudniej.

No i jeszcze ta opowieść sąsiadki. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym mniej wiarygodna mi się wydawała, ale nie mogłem przestać o niej myśleć. Wizyta pomoże mi zdecydować, czy warto wspominać Ward o całej sprawie.

Zakładając, że Lola w ogóle mnie wpuści.

Ciąg zabitych deskami szeregowców wyglądał jeszcze bardziej ponuro w ten pochmurny poranek. Przestało padać, ale powietrze było przesiąknięte wilgocią, a z powodu ciężkich chmur robiło się ciemno jak o zmierzchu. Zaparkowałem na ulicy przed domem Loli. Przez szpary między listewkami żaluzji sączyło się światło, więc przynajmniej wiedziałem, że jest w domu. Owszem, niewykluczone, że zostawiła zapaloną lampę dla syna, a sama wychodziła, ale tamtego deszczowego wieczoru, kiedy podwiozłem ją do domu, tego nie zrobiła. Coś mi mówiło, że uznałaby to za marnowanie prądu.

Wysiadając z auta, zerknąłem na dom sąsiadki. Żadnych oznak życia, a szkoda. Chętnie skorzystałbym z okazji, żeby jeszcze raz z nią porozmawiać.

Zapukałem do błyszczących drzwi frontowych, bacznie obserwując zasłonięte okno. Tak jak się spodziewałem, po chwili żaluzja się poruszyła, jakby ktoś wyglądał między listewkami. Podniosłem wysoko brązową torbę papierową, którą przywiozłem, z nadzieją, że ciekawość wygra z chęcią zostawienia mnie na progu.

Listewki z powrotem się zamknęły, ale poza tym nic się nie wydarzyło. Rozejrzałem się w obie strony po na wpół wyludnionej ulicy i pomyślałem, że moja misja od początku była skazana na porażkę. Podniosłem rękę i już miałem znowu zapukać, ale w tej samej chwili usłyszałem dźwięk przekręcanego zamka. Drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów i nad łańcuchem ukazała się nieżyczliwa twarz Loli.

– Czego pan chcesz?

– Przyniosłem to dla was. – Znów pokazałem papierową torbę. Zmierzyła ją wzrokiem, łypiąc spode łba przez szparę w uchylonych drzwiach.

– Co to jest?

Otworzyłem torbę, nie po to, żeby pokazać jej zawartość, ale pozwolić ją powąchać.

– Kurczak z różną.

Po drodze zahaczyłem o ekskluzywne delikatesy niedaleko Ballard Court. Ceny były dostosowane raczej do możliwości zamożnych mieszkańców niż antropologa sądowego, który przypadkiem wylądował w tej dzielnicy, ale zdarzało mi się chodzić tam z Rachel na zakupy. Oprócz dużego wyboru wędlin i serów rzemieślniczych w sklepie znajdowała się też przeszklona gablota z różnym, na którym obracały się kurczaki, na bieżąco podlewane sosem własnym, codziennie świeże. Zapach mięsa niósł się po ulicy, a ja uświadomiłem sobie wtedy, że zakupy Loli praktycznie w całości składały się z puszek albo przetworzonej żywności. Nie było tam niczego, co mogłoby się równać z jeszcze ciepłym kurczakiem, który teraz pachniał jej na progu.

Zauważyłem, że poruszyła nozdrzami, kiedy wypełnił je apetyczny aromat pieczonego mięsa. Próba zmanipulowania staruszki to nie powód do dumy, ale

przekonywałem sam siebie, że robię to dla jej dobra. Oczywiście mogła po prostu wziąć torbę i zatrzaskać mi drzwi przed nosem. W takim wypadku byłbym przynajmniej spokojny, że zjedli z synem porządny posiłek.

Znowu obrzuciła wzrokiem brązową torbę. Potem drzwi się zamknęły i usłyszałem brzęk zdejmowanego łańcucha. Otworzyła drzwi, tym razem szerzej, i sięgnęła po kurczaka.

– Mogę wejść? – zapytałem, nie wypuszczając go z rąk.

Łypnęła na mnie wrogo, ale ciągle wracała wzrokiem do torby.

– A po co?

Zaryzykowałem uśmiech.

– Nie odmówiłbym herbaty.

Przygotowałem się na to, że lada chwila drzwi trzasną mi w twarz. Tak się jednak nie stało. Lola przewierciła mnie małymi oczkami, po czym obróciła się na pięcie, zostawiwszy drzwi otwarte. Ruszyłem za nią od razu, żeby nie zdążyła się rozmyślić.

Znowu ogarnął mnie duszny smród odchodów i niemytego ciała. Ze stojącego na kredensie staroświeckiego odtwarzacza płyt CD sączyła się pseudoklasyczna muzyka fortepianowa, konkurencja dla powolnego tykania zegara, które tak działało mi na nerwy. Dom był tak samo przygnębiający i chaotycznie urządzone, jak go zapamiętałem, pojedyncza żarówka pod sufitem emitowała anemiczne światło, przez które to potwornie gorące pomieszczenie jakimś cudem zdawało się zimne.

Leżący w wąskim łóżku mężczyzna obserwował mnie czujnymi oczami zatopionymi w niewyraźnej twarzy. W brodę wplątały mu się kawałki jedzenia, a na pogniecionej pościeli leżał plastikowy kubeczek dla dzieci, z pokrywką i dzióbkiem. Na szafce w nogach łóżka ramki ze zdjęciami chłopca, którym kiedyś był, stały zwrócone w jego stronę niczym przedwczesny ołtarzyk.

– Dzień dobry, Gary – powiedziałem. – Znowu przyniosłem zakupy.

Lola wyrwała mi torbę z ręki, zaniosiła ją na blat przy przepełnionym zlewozmywaku i zanurkowała w środku. Obok syczał rozgrzewający się czajnik

elektryczny.

– Jest tam jeszcze parę innych rzeczy – powiedziałem, kiedy wyciągnęła kurczaka.

– Widzę – warknęła, ale zatrzymała się na chwilę, żeby powąchać mięso przez zatłuszczoną folię, zanim odłożyła je na bok. Musiałem siłą powstrzymać uśmiech, kiedy patrzyłem, jak grzebie w tej papierowej torbie, szczęśliwa jak dziecko na Gwiazdkę. Do kurczaka zaraz dołączyły łosoś na parze, kawał wiejskiego cheddara i zapiekanka wieprzowa w cieście. Żaden dietetyk nie poleciłby takiego jadłospisu, sam jeszcze jako lekarz pierwszego kontaktu też nikomu nie radziłem się tak odżywiać, ale uznałem, że Loli i jej synowi należy się uczta. Czasem nakarmić trzeba nie tylko ciało, lecz także duszę.

Patrzyłem, jak Lola rozpakowuje ciepłego kurczaka i odrywa palcami kawałek skóry. Kiedy włożyła go do ust, mruknęła cicho z rozkoszy i przymknęła na chwilę oczy, skupiając się na przeżuwanii. Obejrzałem się na jej syna i dopiero teraz zacząłem się zastanawiać, czy on też będzie mógł się zajadać tym przysmakiem. Niewykluczone, że nie może przyjmować pokarmów stałych, a nigdzie nie widziałem blendera czy robota kuchennego, w którym można by rozdrabniać posiłki. Może tym też powinienem się zainteresować.

Woda w czajniku na blacie zaczęła bulgotać, miłosiernie zagłuszając tandetne fortepianowe plumkanie. Lola wepchnęła sobie do ust jeszcze jeden kawałek mięsa, po czym zawięła kurczaka z powrotem. Oblizwała palce z tłuszczu, wytarła je o sweter i zwróciła się do mnie.

– Czego pan od nas chcesz?

Nie ma za co.

– Niczego nie chcę.

– Nie jestem głupia. Bez powodu tego wszystkiego nie przyniosłeś. Jakbym była młodsza, tobym pomyślała, że się próbujesz pan do mnie dobierać.

– Nie próbuję.

Zachowałem kamienną twarz, chociaż zastanawiałem się, co jej syn myśli o tej całej rozmowie. Lola nagle zaświszczała, jakby coś jej zalegało na płucach. Dopiero po chwili się zorientowałem, że pęka ze śmiechu.

– Spokojnie, ślepa też nie jestem. – Śmiech nagle zamarł, jakby wyłączony pstryczkiem. – Mówiłam już parę razy, że nie chcę jałmużny.

– To nie jałmużna. Pomyślałem sobie po prostu, że może będziecie mieli z synem ochotę na coś takiego.

Nie wiedzieć czemu powiedziałem coś nie tak. Twarz jej stężała. Za plecami Loli czajnik wyłączył się z cichym prztyknięciem. Jeszcze przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem, ale w końcu odwróciła się do czajnika.

– Skoro już przylazł, to niech sobie usiądzie. Mleko, cukier?

– Mleko – odparłem zaskoczony.

Przy dźwiękach fortepianowych tryli rywalizujących z tykaniem zegara podszedłem do małego stołu kuchennego. Czując na sobie wzrok Gary’ego, wysunąłem krzesło i usiadłem.

– Wracasz pan tam dziś? – zapytała Lola, nalewając wrzątek do kubków.

Nie zrozumiałem pytania.

– Gdzie?

– Do Świętego Judy, a gdzie? – Zerknęła na mnie chytrze. – Mówiłam przecież, że nie jestem głupia. Widać, że nie jesteś pan stąd, a nie ma innego powodu, żeby się tu ciągle kręcić.

Wcześniej, kiedy spotkałem ją w ruinach kościoła, wymigałem się od odpowiedzi. Uznałem jednak, że teraz już nie ma sensu kręcić.

– Nie, dzisiaj nie.

– Ale nie jesteś pan z policji.

Niby nie było to pytanie, ale z jej tonu wyraźnie wynikało, że próbuje uzyskać potwierdzenie swoich domysłów.

– Nie.

– To ktoś pan jest? Jeden z tych takich techników? Kryminalnych czy jak ich zwać?

– Coś w tym rodzaju.

Pokiwała głową z satysfakcją.

– Tak myślałam. Masz pan w sobie coś takiego.

Nie wiedziałem, co konkretnie ma na myśli, ale nie wnikałem.

– A pani?

– O co chodzi? – Wróciła podejrzliwość.

– Zbierała pani śmieci w lasku. Często to pani robi?

– Nie przy takiej pogodzie. I tak dokucza mi rwa kulszowa, jeszcze tego mi brakuje, żeby się tam wywalić. – Łyzeczką wycisnęła torebki z herbatą o ścianki kubków. – Ale podoba mi się tam. Zmiana otoczenia. Jakby człowiek się przeniósł w zupełnie inne miejsce.

Świetnie to rozumiałem. Na otoczonej starymi drzewami polanie z ruinami kościółka trudno było uwierzyć, że tuż za murem biegną zdewastowane, opuszczone ulice.

– Jak długo była pani pielęgniarką? – zapytałem, próbując skierować rozmowę na jeden z interesujących mnie tematów.

– W sam raz.

– A gdzie pani pracowała? Bo wspominała pani, że nie w Świętym Judzie.

Zgromiła mnie wzrokiem.

– A co się pan tak interesujesz?

– Tak tylko dla podtrzymania rozmowy.

Posłała mi jeszcze jedno groźne spojrzenie, po czym wsypała sobie do kubka trzy kopiaste łyżeczki cukru.

– Pracowałam tu i tam. Pan żonaty?

Nagła zmiana tematu zbiła mnie z tropu.

– Nie.

– Facet w tym wieku powinien mieć żonę. Coś z panem nie tak?

Nie miałem ochoty wałkować tematu mojego życia osobistego, ale przecież sam przed chwilą wypytywałem Lolę.

– Jestem wdowcem.

To zdanie wywołuje najróżniejsze reakcje, od skrępowania do współczucia. Odpowiedź Loli nie zaliczała się jednak do żadnej z tych kategorii.

– Jak umarła?

Powiedziała to tym samym obojętnym tonem, którym wcześniej zapytała, czy herbatę piję z mlekiem i cukrem. Ale przynajmniej mogłem odpowiedzieć szczerze i nie martwić się, że będzie niezręcznie.

– Wypadek samochodowy – odparłem. Po tylu latach wciąż wydawało mi się to nierealne, za każdym razem, kiedy o tym wspominałem. – A pani? Ma pani męża?

– Miałam. Właściwie to nadal mam. – Wzruszyła pogardliwie ramionami. – Zmył się wiele lat temu. Krzyż na drogę. Pływał w marynarce handlowej, więc i tak prawie w ogóle nie było go w domu, a jak już się pojawiał, to chlał na umór. Kawał sukinsyna. Nawet na trzeźwo traktował Gary’ego jak gnój, a po pijaku jeszcze gorzej. Lepiej nam bez niego.

To była najdłuższa wypowiedź, jaką dotychczas usłyszałem z jej ust. Jakoś sztywno podeszła do lodówki i wyjęła butelkę z mlekiem, jakby po tym napadzie gadulstwa się zawstydziała.

– Dzieci pan masz? – zapytała, nalewając mleko.

– Mieliśmy córkę. Była wtedy z żoną w aucie.

Lola spojrzała na mnie, trzymając butelkę zawieszoną w powietrzu. Potem odstawiła ją i zaczęła mieszać herbatę.

– No to sam pan wiesz, jak to jest. Człowiek oddaje im całe serce i duszę. Daje z siebie wszystko, próbuje chronić. A potem coś się dzieje i koniec. Wszystko przepada.

Torebki po herbacie wylądowały w zlewie z mokrym płaskiem. Zerknąłem na jej syna, czułem się nieswojo, prowadząc przy nim tę rozmowę. Przyglądał nam się, poruszając niemrawo ustami. W tamtej chwili nie potrafiłbym powiedzieć, czy bardziej żał mi jego czy jego matki.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi, nie powiedziałam niczego, czego by nie wiedział – stwierdziła Lola. – On wszystko rozumie. Prawda? – zwróciła się do

niego.

Syn tylko na nią patrzył.

– Ile czasu minęło od udaru? – zapytałem, zwracając się również do syna. Lola przyniosła herbatę.

– To musiało być... zaraz, chwilę. – Zmarszczyła czoło z namysłem, stawiając kubki na stole. Krawędź mego była wyszczerbiona i brązowa od garbników, a na powierzchni herbaty połyskiwała cienka warstewka tłuszczu. –

Już z półtora roku temu. Jak grom z jasnego nieba. Bez żadnego ostrzeżenia. Nic mu nie było, zdrowy jak ryba, a tu nagle...

Podeszła do szafki i wzięła do ręki największą z oprawionych fotografii. Zdjęcie przedstawiało ją i syna w wietrzny dzień nad morzem, z rozwianym włosiem i płaszczami zapiętymi po szyję.

– To moje ulubione zdjęcie. Miał wtedy piętnaście lat. To w Southend – powiedziała, wyciągając rękę, żeby pokazać mi fotografię. – Widzi pan, jaki był z niego kawał chłopca. Mój Gary był silny jak tur. Zawsze lubił pracę fizyczną. Wszystkim się potrafił zająć. Sam zrobił całą kuchnię. Hydraulika, stolarka, co pan tylko chcesz.

Skupiłem się na fotografii, żeby ukryć efekt, jaki wywarły na mnie jej słowa. Chłopak na zdjęciu stał ze spuszczonego wzrokiem – duży nastolatek z nadwagą i krzywymi zębami. Za to jego matka patrzyła prosto w obiektyw z wyzywającą wręcz dumą.

– Tym właśnie się zajmował w życiu? – zapytałem, spoglądając na leżącego mężczyznę. Nie odrywał ode mnie zapadniętych oczu, usta przecinały brodę wilgotną szramą. Rozziew między zwałistym nastolatkiem a tym wrakiem człowieka był szokujący.

– Nie za pieniądze, jeśli o to panu chodzi. Wszyscy ci pieprzeni obcokrajowcy zabierają nam pracę. – Odstawiła zdjęcie na miejsce. – Mógłby, gdyby tylko bardziej się rozpychał. Ale nie chciał. Był za miękki, to był jego największy problem. Powtarzałam mu, że powinien walczyć o swoje, nie pozwalać innym... Zresztą to już nieważne.

Brzmiało mi to jak stare narzekanie, śpiewka powtarzana odruchowo, więc słuchałem jednym uchem, zwłaszcza że właśnie zauważyłem coś interesującego. Przeglądałem pozostałe zdjęcia, tym razem uważniej niż poprzednio. Na niektórych jej syn był chyba tuż przed dwudziestką. Stał przy kominku w tym samym pomieszczeniu, w którym się teraz znajdowaliśmy, ubrany w granatową koszulkę i czarne spodnie. Podobne uniformy widywałem kiedyś codziennie, zanim zmieniłem branżę z medycyny na kryminalistykę.

Ruchem głowy wskazałem na fotografię.

– Gary pracował jako salowy w szpitalu?

– Miał różne fuchy – warknęła Lola. – A co to pana obchodzi?

– Nic, ja tylko...

– Czas już na pana. – Wstała z surową miną. – Muszę go oporządzić.

Była już w połowie drogi do wyjścia, kiedy wstałem od stołu, świadomy, że przeciągnąłem strunę. Otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, przytrzymując mi je. Zatrzymałem się jeszcze na chwilę w progu, nie chciałem kończyć spotkania w tak nieprzyjemnej atmosferze.

– Dziękuję za herbatę. Mogę załatwić jeszcze jakieś sprawunki, jeśli...

– Nic mi nie trzeba.

I już zamykała drzwi, siłą wypychając mnie na chodnik. Jej syn jęknął cicho.

– A ty nie zaczynaj... – usłyszałem, zanim drzwi ostatecznie zatrzasnęły mi się przed nosem.

Rozejrzałem się dookoła. Wychudzony kot patrzył na mnie obojętnie z tego samego parapetu co wcześniej, ale poza tym ulica była pusta. Z mętlikiem w głowie wróciłem do samochodu. Czułem, że zrobiłem coś nieodwracalnego, chociaż nie miałem pojęcia, czy było to dobre czy złe. Jechałem przed siebie, dopiero kilka ulic dalej zjechałem i stanąłem. Złożyłem Loli wizytę z troski o starszą kobietę i jej niepełnosprawnego syna, licząc na sprostowanie plotki o jej odpowiedzialności za śmierć pacjenta. Zamiast tego dowiedziałem się, że Gary Lennox był salowym z żyłką majsterkowicza.

Ciekawe, czy jako złota rączka potrafiłby też postawić całą ścianę.

Powtarzałem sobie, żeby nie dać się ponieść emocjom. Miałem zbyt mało informacji, może wcale nie pracował w Świętym Judzie i to wszystko był jeden wielki zbieg okoliczności. Matka mówiła, że doznał udaru półtora roku temu. To by go wykluczało jako zabójcę Christine Gorski, bo ta zaginęła piętnaście miesięcy przed tym, jak znaleźliśmy ciało.

Nie mogliśmy jednak stwierdzić z absolutną pewnością, kiedy zmarły zamurowane ofiary. Nie mogło być też już mowy o niezawracaniu głowy Ward: musiała się o tym dowiedzieć.

Wyjąłem z kieszeni telefon, żeby wybrać jej numer, i aż podskoczyłem, kiedy komórka zaczęła dzwonić. Whelan.

– Możemy wracać – oznajmił.

ROZDZIAŁ 19

Jeśli nawet się łudziłem, że Ward z zadowoleniem zareaguje na moje rewelacje o Garym Lennoxie, to szybko pozbawiono mnie złudzeń. Pokrótkce wyłuszczyłem sprawę Whelanowi, a on zaklął pod nosem.

– Będzie chciała z panem porozmawiać – powiedział.

Lola mieszkała niedaleko szpitala, ale z powodu zawilego układu ulic musiałem trochę pokluczyć. Whelan nie powiedział zbyt wiele, tyle że wznowiono akcję przeszukiwania budynku z psem. Znacznie wcześniej, niż się spodziewałem, więc albo alarm azbestowy okazał się fałszywy, albo sprawa nie była aż tak poważna, jak wcześniej sądzono. Tłum dziennikarzy przed bramą Świętego Judy znacznie się przerzedził – skoro śledztwo zeszło z pierwszych stron gazet, reprezentacja mediów była już tylko symboliczna. Ruch na ulicy też był raczej niewielki, ale akurat kiedy zbliżałem się do bramy, z przeciwnej strony nadjechał autobus. Na przystanku ktoś czekał, lecz nawet nie próbował machać, żeby go zatrzymać. Dopiero skręcając w podjazd szpitala, zwróciłem uwagę na bluzę z kapturem i rozpoznałem niedoszłego pasażera.

To był ten sam mężczyzna, który wlaźł mi przed samochód, tak zaaferowany wydarzeniami w Świętym Judzie, że nie patrzył, gdzie idzie.

Widziałem go już wcześniej na tym przystanku, uświadomiłem sobie. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że teraz przepuścił autobus. Zaczynam mieć paranoję, powiedziałem sobie. Po wizycie u Loli byłem chyba ciągle trochę podenerwowany. Zahamowałem i opuściłem szybę, czekając na któregoś z policjantów pilnujących wjazdu. Podeszła do mnie ta sama młoda funkcjonariuszka o okrągłej twarzy, którą widywałem tam przy poprzednich okazjach.

– Znowu pan? – zagadnęła wesoło. – Dobra, proszę wjeżdżać.

Uśmiechnąłem się, ale nie wcisnąłem gazu.

– Wie pani, ile linii autobusowych tędy jeździ?

– Chyba tylko jedna – odparła z wyraźnym zdziwieniem. – Co godzinę.

A czemu?

Daj sobie spokój. Zabębniłem palcami na kierownicy, patrząc w lusterko wsteczne. Przystanek wraz z jedynym czekającym zniknął z pola widzenia.

– To pewnie nic takiego, ale widziałem tu już wcześniej tego faceta z przystanku naprzeciwko. Koło dwudziestki. Właśnie przepuścił autobus.

– Pewnie nie ma nic lepszego do roboty. Niewiele tutaj rozrywek, jeśli nie ma się pracy.

Pokiwałem głową, żałując, że w ogóle się odzywałem. Policjantka jednak już spoglądała uważnie na drugą stronę ulicy, cofnęła się nawet o parę kroków, żeby lepiej widzieć.

– Stąd nic nie widać. – Zwróciła się do swojego towarzysza. Dyżurny wyglądał staro jak na mundurowego, zbliżał się do wieku emerytalnego i nie był w najlepszej formie. – Hej, Carl, mógłbyś sam tu popilnować przez chwilę? Chcę coś sprawdzić, a raczej kogoś, po drugiej stronie ulicy.

– Może ja pójdę?

– Obawiam się, że nie dasz rady dojść tak daleko – odparła z przekornym uśmiechem.

Wysiadłem z samochodu i też spojrzałem na przeciwległy chodnik. Młoda policjantka zaczęła przechodzić przez jezdnię, ale na jej widok zakapturzony chłopak ulotnił się z przystanku. Patrzyła za nim przez chwilę, a potem wróciła pod bramę.

– Nie chce się przywitać. – Wzruszyła ramionami. – Może jakiś narkoman, czeka, aż się stąd zmyjemy. Będziemy czujni, na wypadek gdyby wrócił.

– Małe szanse – wtrącił się starszy funkcjonariusz. – Będzie się trzymał z daleka, spłoszyłaś go.

– W takim razie dobrze, że ciebie nie zauważył, uciekłby gdzie pieprz rośnie.

Przekomarzali się koleżeńsko, ze swobodą typową dla osób, które spędzają dużo czasu w swoim towarzystwie. Przynajmniej zapewniłem im trochę rozrywki, przełamałem monotonię, pomyślałem, jadąc w głąb terenu szpitala.

Ward była w przyczepie, w której odbywały się wszystkie narady. Towarzyszył jej Whelan, a także Jackson, specjalista do spraw przeszukań, i jeszcze kilku nieznanym mi policjantów.

– Można wejść, już skończyliśmy – powiedziała i zaprosiła mnie do środka niecierpliwym gestem, kiedy zawahałem się na progu.

Jackson skinął mi głową na pożegnanie, Whelan zaś posłał mi spojrzenie, którego nie potrafiłem rozszyfrować. Ward siedziała za stołem, wokół którego w nierównym kręgu ustawiono plastikowe krzesła sztaplowane. Ogólnie nie należały do najwygodniejszych, a dla ciężarnej musiały być narzędziem tortur. Siedziała ściśnięta, wyraźnie było jej niewygodnie, ale czułem, że nie to jest głównym powodem jej kiepskiego humoru.

– Proszę siąść. – W jej głosie znać było zmęczenie i rozdrażnienie, twarz miała spuchniętą, oczy podkrążone. Na stole stał przed nią jednorazowy kubek z herbatką miętową (sądząc po zapachu), wzdłuż jego ścianki dyndał sznurek torebki. Czekala, aż zajmę miejsce. – Jack mi mówił, że miał pan różne przygody.

Opowiedziałem jej o Loli i jej synu, począwszy od przypadkowego spotkania w lasku za szpitalem, a skończywszy na wydarzeniach tego poranka. Przez cały czas Ward wbijała wzrok w kubek z herbatą. Spojrzała na mnie dopiero, kiedy skończyłem.

– Dlaczego wcześniej nic mi pan o tym nie powiedział?

– Wcześniej nie wydawało mi się to istotne.

– A od kiedy to pan decyduje, co jest istotne, a co nie jest?

– To były niepotwierdzone plotki. O Garym Lennoxie dowiedziałem się jakąś godzinę temu, a gdyby Whelan akurat do mnie nie zadzwonił, to pani pierwsza by się o tym dowiedziała.

– W ogóle nie powinien pan do nich łązić. Co pan wyrabia, do jasnej cholery?

Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak rozwścieczonej, ale i ja nie byłem zachwycony tą sytuacją.

– Odwiedzam starszą kobietę, która ledwie sobie radzi z opieką nad chorym synem – odparowałem. – Gdybym wcześniej wiedział cokolwiek z tego, co wiem teraz, to postąpiłbym inaczej, ale nie wiedziałem. Wolałaby pani, żebym ich olał?

– Tak, wolałabym! Mam nadzieję, że nie próbuje pan w ten sposób załatwić im pomocy opieki społecznej. – Zacząłem protestować, ale uciszyła mnie gestem uniesionej dłoni. – No dobrze, trochę się zagalopowałam. Ale nie powinien pan za moimi plecami rozmawiać z potencjalnymi świadkami, a może nawet podejrzanymi. Już sytuacja z Odują była nieciekawa, ale teraz zaczynam żałować, że nie pozwoliłam Mearsowi...

Nie skończyła, ale domyśliłem się, co chciała powiedzieć.

– Że nie pozwoliła pani Mearsowi co? – zapytałem wyzywająco. – Zbadać też zwłok Christine Gorski?

Powodzenia, pomyślałem z furją. Tak narozrabiał z tamtymi dwiema ofiarami, że strach pomyśleć, jak by się to skończyło, gdyby powierzono mu odpowiedzialność jeszcze i za trzecią.

Nie mogłem jednak tego powiedzieć, żeby dodatkowo nie pogorszyć sytuacji. Ward zresztą też chyba zaczynała żałować swojego wybuchu. Wyraźnie próbowała powściągnąć temperament.

– Dobrze, oboje powinniśmy spuścić z tonu. Wiem, że nie zrobił pan tego rozmyślnie. I jestem wdzięczna, że zaofiarował pan Mearsowi pomoc.

Sądziłem, że się przesłyszałem.

– Przepraszam, mogłaby pani powtórzyć?

– Niech pan mnie źle nie zrozumie, wiem, że miał pan dobre intencje. Ale Mears jest dorosły, nie potrzebuje pomocy. Na przyszłość niech się pan ogranicza do wykonywania własnych obowiązków.

No ładnie.

– Co dokładnie powiedział pani Mears?

– Że wpadł pan do kostnicy i zaoferował pomocną dłoń. Nie skarżył się, spokojnie. Zachował się bardzo taktownie.

Pewnie, że się nie skarżył. Z całych sił starałem się nie stracić panowania nad sobą.

– Naprawdę sądzi pani, że tak po prostu „wpadłem” do kostnicy o jedenastej wieczorem?

Ward przyglądała mi się przez chwilę.

– No dobrze, pewnie nie. Ale nie obchodzą mnie wasze sprawy, albo sami to załatwcie, albo zachowajcie dla siebie. Mamy już i tak wystarczająco dużo na głowie, tego nam tylko brakuje, żebyście się teraz zaczęli licytować, kto jest lepszy.

Wolałem na to nie odpowiadać, bo nie ręczyłem za siebie. Pieprzony Mears.

– Chce pani, żebym nadal brał udział w przeszukaniu szpitala?

– Gdybym nie chciała, toby tu pana nie było. Chciałabym tylko, żeby zrezygnował pan z wszystkich zajęć pobocznych, którym tak chętnie się pan oddaje.

– Wcale ich sam nie szukam.

– Może i nie, ale jakoś zawsze pana znajdują. – Westchnęła. – Proszę posłuchać, jesteśmy pod bardzo ścisłą, krytyczną obserwacją. Zwłaszcza ja. Ainsley ciągle się wścieka o to, co wczoraj wywinął Jessop, a potem Luke Gorski prawie stracił przytomność...

Ucieszyłem się, że wróciliśmy do kwestii, w których mogliśmy się zgodzić.

– Co z nim?

– Jeśli ma pan na myśli chłopaka, to było tylko zasłabnięcie. Znalazł się w miejscu, w którym zamordowano jego siostrę, miało prawo go to trochę przytłoczyć. Chodzi mi o to, że zaliczyliśmy już wystarczająco dużo wpadek, niektóre z własnej winy. Nie chcę już więcej takich sytuacji, dobrze?

Odniosłem wrażenie, że Ward nie mówi mi wszystkiego o Luke’u Gorskim. Potrafiłem jednak zrozumieć aluzję: już i tak stąpałem po cienkim lodzie.

– A co z tym azbestem?

Ward zaczęła sobie rozmasowywać kark.

– W piwnicy jest stary tunel, który łączył szpital z kostnicą. Kostnicę zburzono, ale tunel został, a teraz się okazało, że na suficie jest azbest. Powinno się go było usunąć przed rozpoczęciem prac rozbiórkowych, ale z tego, co udało nam się ustalić, azbest jest tylko w tunelu. Na razie wystarczy, że go odgradzimy, a jeśli wszyscy będą nosić maski i odzież ochronną, nie powinno być problemu.

Widziałem wcześniej pozostałości po kostnicy na tyłach głównego budynku – porośniętą chwastami kupę cegieł i betonu. Tunel musiał służyć do transportu ciał zmarłych pacjentów ze szpitala z dala od osób postronnych.

– Jessop o tym wiedział?

Ward się uśmiechnęła, ale wzrok miała twardy.

– Twierdzi, że nie, ale wcale mu nie wierzę. Ustaliliśmy, że pół roku temu stracił licencję na usuwanie azbestu. Z powodów formalnych, nie złożył odpowiednich wniosków czy coś w tym stylu, zupełnie mnie to nie dziwi. Oznaczało to, że trzeba by zatrudnić inną firmę rozbiórkową, więc najprawdopodobniej straciłby zlecenie. W najlepszym razie spowodowałoby to kolejne opóźnienia, a na to nie mógł sobie pozwolić. Zredukował cenę do minimum, żeby wygrać przetarg, zaciągnął dodatkowy kredyt pod zastaw domu, żeby kupić nowy sprzęt. To by go zrujnowało.

– I bez tego były opóźnienia – zauważyłem.

– To już jego problem – stwierdziła Ward bez cienia współczucia. – Ja muszę się martwić, jak to wszystko wpływa na śledztwo. I zaczynam się zastanawiać, jaki jeszcze numer mógł nam wykręcić.

– Na przykład?

Pokręciła głową.

– Nieważne. Muszę się brać do roboty.

Dźwignęła się na nogi, krzywiąc twarz w grymasie i pocierając krzyż.

– Jak się pani czuje? – zapytałem, również wstając z krzesła.

– O to pan pyta? – Położyła rękę na brzuchu. – Cudownie. Plecy mnie bolą, pęcherz żyje własnym życiem, a do tego jeszcze wrzód na dupie: niesubordynowany konsultant kryminalistyczny. Poza tym wszystko świetnie.

– Czyli po staremu.

– W sumie tak. – Po chwili jednak uśmiech zniknął z jej ust. Napięcie między nami nieco zelżało, ale jeszcze zupełnie nie odpuściło. – Poważnie, nie możemy już sobie pozwolić na żadne wpadki. Ja nie mogę sobie na to pozwolić. Utrzymujmy pełne skupienie, dobrze?

Nie wydawało mi się, żebym się zdekoncentrował, ale nie zamierzałem się z nią kłócić.

– Mogę się przynajmniej dowiedzieć, co będzie z Lolą i jej synem? – zaryzykowałem, kiedy wychodziliśmy już z przyczepy.

– Przyjrzymy się tej sprawie – powiedziała Ward tonem ucinającym dyskusję, ale potem się zawahała. – Ci Lennoxowie mają może psa?

– Żadnego u nich nie widziałem. – Miałem zapytać dlaczego, ale mnie olśniło. Na płachcie, którą owinięto ciało Christine Gorski, była psia sierść.

– Tak się tylko zastanawiałam – rzuciła Ward.

Odeszła jednak z miną świadczącą o głębokim namyśle.

Wewnątrz szpitala Świętego Judy było dokładnie tak samo, jak kiedy go opuściłem. Odcięty od świata stary budynek zdawał się istnieć w swojej własnej bańce. Od długich lat nie wpadało tu słońce ani świeże powietrze, zdawało się, że stęchła wilgoć wsiąknęła w kamienne mury. Opresyjna atmosfera udzieliła się nawet labradorowi. Psiak coraz częściej skamlał, niepewnie oglądał się na opiekunkę przed zapuszczeniem się w kolejny ciemny kąt. Nie cieszyła go już pogryziona piłka tenisowa, którą dostawał w nagrodę.

Przynajmniej szło nam teraz szybciej. Do późnego popołudnia zdążyliśmy przeszukać resztę najwyższego piętra i spory kawałek środkowego. Tutaj rzadziej zdarzały się fałszywe alarmy, być może do niższego piętra gorszy dostęp miały ptaki i gryzonie ze strychu. Jessopa zastąpił dodatkowy technik

kryminalistyczny, wyposażony w narzędzia i endoskop, na wypadek gdybyśmy znów trafili na jakąś podejrzaną ścianę. Jak dotąd żadnej nie było.

Dotarliśmy już do kaplicy szpitalnej, kiedy do Whelana ktoś zadzwonił.

– Znaleźli coś w piwnicy – powiedział, kiedy skończył rozmowę. – Nie potrzeba psa, skoczę na dół z doktorem Hunterem i rzucę okiem.

– Nie chcą, żeby pies też zbadał sprawę? – zapytałem, schodząc za nim z piętra, a mój głos odbijał się echem od ścian klatki schodowej.

– Tym razem nie. Trudno im się dostać, ale widzą.

– Co widzą?

– Mówią, że chyba rękę.

Szpitalne piwnice to świat sam w sobie. Stanowią bijące serce budynku, pełne niewidocznych na co dzień kotłów i pomp, które utrzymują go przy życiu. Chociaż szpital Świętego Judy od wielu lat był już trupem, podziemny świat przetrwał nietknięty. Niczym skamieniałe narządy dawno zdechłego stworzenia zachowała się aparatura odpowiedzialna za utrzymanie odpowiedniej temperatury i dopływ powietrza.

Znalazłem się tutaj po raz pierwszy i od razu poczułem różnicę. Im niżej schodziliśmy, tym bardziej nasilała się woń wilgoci i pleśni. Myślałem, że na górnych piętrach jest kiepsko, ale tutaj było jeszcze gorzej. Naziemna część gmachu stanowiła publiczną twarz szpitala, przez lata poddawana kosmetycznym zabiegom w celu ukrycia zaawansowanego wieku budowli. Pod ziemią zaś, poza zasięgiem wzroku pacjentów, nikt nie zadawał sobie tego trudu. To właśnie w piwnicy można było się przekonać, ile tak naprawdę lat liczy szpital Świętego Judy.

Żadnych długich, imponujących korytarzy. Schody doprowadziły nas do labiryntu wąziutkich korytarzyków o ścianach z cegły pokrytych płataniną rur i przewodów, przypominającą kanciaste jelita. Chociaż górne piętra były chłodne i wilgotne, to istniał tam choćby minimalny przepływ powietrza. W piwnicy zaś, ze wszystkich stron otoczonej ziemią, przez lata nieogrzewanej i zamkniętej na

głucho, rozwinęło się środowisko wodne. Woda kapiała z sufitu i zbierała się na posadzce, spływała po ścianach kroplami i strugami jak łzy po policzkach.

– Uroczo tu, prawda? – powiedział Whelan.

Ruszyliśmy drogą wyznaczoną przez reflektory rozstawione w równych odstępach wzdłuż jednego z korytarzy, rozchlapując kałuże odbijające ich światło. Raz po raz musieliśmy się schylać pod nisko zamontowaną rurą czy przewodem. Dawno, dawno temu musiało tu aż huczeć od szumu pieców, pomp i wentylatorów, podskórnego pulsu szpitala. Teraz panowała tu absolutna cisza, jeśli nie liczyć odgłosu naszych kroków.

Po kilku minutach dotarliśmy do szybu windy towarowej – przez odsunięte na bok składane metalowe drzwi widać było zaścieloną śmieciami podłogę. Kawalek dalej znajdowało się prostokątne wejście do mokrego, ciemnego korytarza. Odgrodzono go przyklejoną na krzyż żółtą taśmą, do której przymocowano tablicę ostrzegawczą: „Niebezpieczeństwo! Zakaz wstępu!”.

– To tutaj znaleźliście azbest? – zapytałem. Ward wspominała, że chodziło o tunel łączący szpital z kostnicą.

– Bez obaw, to było na drugim końcu korytarza. Kiedy burzono kostnicę, zawalił się kawałek sufitu. Przejście jest zasypane gruzem, więc nie można się już tędy dostać do kostnicy. Przynajmniej nie do tej.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem jego ostatniej uwagi, ale wtedy podszedł do podwójnych drzwi w pobliżu wejścia do korytarza. Umieszczona nad nimi tablica wyglądała na rówieśniczkę samego budynku. Widniało na niej jedno słowo, tak wyblakłe, że ledwie dało się je odczytać.

„Kostnica”.

– Były dwie kostnice? – zapytałem, patrząc na odgrodzone przejście.

Whelan przytaknął.

– To była pierwotna. Tamten korytarz prowadzi do większej, zbudowanej w latach sześćdziesiątych. Nie było sensu demontować starych instalacji, więc po prostu je zostawili. Co z oczu, to z serca.

To mogłoby być motto szpitala Świętego Judy. Whelan otworzył drzwi i ukazał się nam widok jak z podręcznika do historii. Oświetlona policyjnymi lampami staroświecka kostnica przypominała brudną salę wystawową w muzeum medycyny, niezmienioną od przynajmniej pół wieku. Na środku stały obok siebie trzy porcelanowe stoły prosektoryjne pokryte warstwą tłustego kurzu. Nad wszystkimi wisały wielkie metalowe klosze w kształcie stożków, z których wystawały stare, poskręcane kable. Zardzewiałe krany sterczały nad spękanyymi, suchymi zlewami, a pod jedną ścianą ciężkie drzwi do szafy chłodniczej na zwłoki wisały na zawiasach, odsłaniając puste półki jak w gigantycznej lodówce.

Cała kostnica stanowiła relikwiarz przeszłości. Władze szpitala zamknęły drzwi i zupełnie o niej zapomniały, pozostawiając kapsułę czasu, cichy skansen śmierci przez lata zbierający kurz. Odwróciłem wzrok od trucheł martwych pajaków zaświecających spękane ceramiczne blaty i poszedłem sprawdzić, co znalazła ekipa przeszukiwawcza.

Czekali w małym gabinecie za kostnicą, a w białych strojach wyglądali jak duchy. W pomieszczeniu znajdowało się metalowe biurko, za nim leżało połamane krzesło. Wszyscy zebrali się wokół wielkiej zardzewiałej szafy na dokumenty opartej pod kątem o ścianę. W jednym z członków grupy rozpoznałem Jacksona, specjalistę od przeszukiwań.

– Leży na podłodze za szafą – wyjaśnił. – Ta kolubryna waży chyba z tonę i jest przymocowana do ściany. Chcieliśmy, żebyście rzucili okiem, zanim spróbujemy ją przesunąć.

– Zobaczmy. – Whelan przykląkł i poświecił latarką w wąską szczelinę, zaglądając między szafę a ścianę. – Jest ręka, zgadza się. Może pan też spojrzeć, panie doktorze?

Wyprostował się i odsunął, żeby zrobić mi miejsce. Przez cały ten czas rozglądałem się po pomieszczeniu, nasłuchując odgłosu, który powinien tam być. Zakonotowałem jego brak i przykucnąłem przy szafie.

W wąskiej szparze trudno było cokolwiek zobaczyć. Za szafą biegły jakieś rury, z początku nie mogłem zauważyć niczego innego. Potem jednak światło latarki padło na jakiś jasny przedmiot. Pokryta brudem dłoń leżała grzbietem do góry z lekko ugiętymi palcami, szczupły nadgarstek i przedramię ginęły gdzieś pod szafą.

– Ani śladu krwi czy odbarwienia – powiedziałem, przyciskając twarz do ściany, żeby zobaczyć coś więcej. – Proces rozkładu też raczej niezbyt zaawansowany.

– Czyli nie mogło minąć dużo czasu – zauważył jeden z członków ekipy.

– No ale przynajmniej tydzień – stwierdził Whelan. – Nikt nie mógłby się tu dostać, od kiedy się pojawiliśmy. Ale jest tu raczej zimno. To mogło pomóc zakonserwować zwłoki?

– Nie aż do tego stopnia. – Wcisnąłem nos w szczelinę i powąchałem. Maską zasłaniała mi nozdrza, ale tak czy inaczej powinienem coś poczuć.

– Może jest zabalsamowana – zasugerował inny policjant. – Może ktoś zgubił preparat czy coś.

– Jak, u diabła, można zgubić całą rękę? – zapytał z irytacją Whelan. – Poza tym to by oznaczało, że leży tu od lat.

– Myślę, że faktycznie tyle tu leży – powiedziałem. Też pomyślałem o balsamowaniu, ale nie wyczuwałem nawet nutki formaliny ani innych płynów stosowanych w konserwacji ciał.

Wstałem i podszedłem do szafy od drugiej strony, próbując znaleźć lepszy punkt obserwacyjny. Z tamtego miejsca udało mi się dostrzec, że ręka kończyła się pod łokciem. Czyste, proste cięcie, żadnych nierównych krawędzi czy poszarpanej skóry.

– Zauważyliście tu jakieś muchy? – zapytałem.

Nikt nic nie widział. Świeżo ucięta ręka powinna przyciągnąć całe chmary owadów, nawet tak głęboko pod ziemią. W przeciwieństwie do tamtej sali na górze tutaj nie było ślepej ściany, która utrudniałaby im dostęp, a mimo to w starej kostnicy nie było śladu bzyczących insektów.

Wsunąłem dłoń w szparę między szafą a ścianą i ostrożnie dotknąłem ręki.

– Może powinniśmy wezwać doktor Parekh? – zaproponował Whelan.

– Nie ma takiej potrzeby. – Sięgnąłem głębiej, złapałem za nadgarstek i mocno szarpnąłem.

– Ejże! – wrzasnął Whelan.

Ale ręka już wynurzyła się zza szafki w deszczu płatków rdzy. Przyjrzałem się uważnie tępemu kikutowi, po czym postukałem nim w szafę. Rozległ się głośny stuk.

– Gips – powiedziałem i podniosłem wysoko uciętą rękę, żeby wszyscy mogli się przyjrzeć. – Nie wygląda mi to nawet na protezę czy preparat. Raczej kawałek starego manekina sklepowego.

Whelan wziął ode mnie rękę kukły, obracając ją na wszystkie strony, jakby nawet teraz nie był do końca przekonany.

– Poważny przypadek stężenia pośmiertnego, panie komisarzu – zażartował jeden z funkcjonariuszy.

Whelan łypnął na niego groźnie i walnął go sztuczną ręką w tors.

– Bardzo śmieszne. Jak jeszcze raz wezwiecie nas tu na dół bez ważnego powodu, to wepchnę ci ją w tyłek.

Odwrócił się na pięcie i nie czekając na mnie, ruszył z powrotem przez starą kostnicę.

ROZDZIAŁ 20

Następny dzień zaczął się całkiem obiecująco. Wyspałem się porządnie, Mears tym razem nie zakłócał mi snu apelami o pomoc. Położyłem się zresztą w znacznie lepszym nastroju po niespodziewanym telefonie od Rachel. Łódź badawcza musiała nieplanowanie zawinąć do portu z powodu złych warunków atmosferycznych. Zasięg sieci komórkowych tam nie docierał, więc dzwoniła z budki telefonicznej.

Jej głos od razu poprawił mi humor. Dźwięki niosły się po linii nieco przytłumione i z lekkim opóźnieniem.

– Co u ciebie słychać? – zapytałem.

– Wczoraj znakowaliśmy ławicę delfinów butlonosych, więc noc spędziliśmy na kotwicy przy bezludnej wyspie. Z kolei dziś po południu rozpętał się paskudny sztorm, tak że prawie cały wieczór przesiedzieliśmy w tawernie.

– Brzmi okropnie.

– Koszmar. A co u ciebie?

– Nic nowego.

– Nic nowego – powtórzyła. – Nie mamy tu internetu, ale Dmitrij znalazł dziś „Timesa”, wydanie sprzed dwóch dni. Czytałam, że znaleźli nowe ciała w tym szpitalu. To ta sprawa, przy której pracujesz, prawda?

– Powoli zbliżamy się do końca. – Nie chciałem rozmawiać o Świętym Judzie. Co to za Dmitrij? – Wiesz już, jak długo jeszcze tam będziesz?

– Przynajmniej trzy tygodnie do powrotu na ląd. Ale po drodze będziemy się zatrzymywać na większych wyspach, więc nie będę poza zasięgiem przez cały ten czas. Powiem ci, że musimy tu kiedyś przyjechać. Nawet nie potrafię opisać, jak obłądnie błękitne jest to morze...

Mimo to próbowała mi o nim opowiedzieć. Słuchałem z przyjemnością, stęskniłem się za jej głosem. Zbyt szybko jednak usłyszałem, że ktoś ją woła.

– Już idę! – odpowiedziała tajemniczemu głosowi w tle. – Muszę lecieć. Zadzwoń za parę dni. Uważaj na siebie, dobrze?

– To ty jesteś gdzieś na środku Morza Egejskiego. Ja siedzę w Londynie.

– Wiem, ale... Nie ryzykuj niepotrzebnie, proszę.

Wiedziałem, że wspomina wydarzenia sprzed kilku miesięcy, kiedy jej siostrę zamordowano, a Rachel ledwie uszła z życiem, podobnie jak reszta jej rodziny. Tak głęboka trauma nie znika bez śladu, nawet nad najbłękitniejszym morzem.

– Przez cały dzień otaczają mnie policjanci. Ryzykuję jedynie tym, że się w końcu przeziębę od tego łożenia po zimnym szpitalu – powiedziałem.

Nie odpowiedziała od razu. Oczami duszy widziałem zmarszczkę w kształcie litery V, która pojawiała się między jej brwiami w chwilach namysłu.

– Niech ci będzie, ale...

Ten sam głos co wcześniej zawołał coś w tle. Nie dosłyszałem słów, ale głos był męski, głęboki i z silnym akcentem.

– Jeśli to Dmitrij, to powiedz mu, żeby poczekał – powiedziałem.

Rachel parsknęła śmiechem, nastrój powagi przeszedł jej jak ręką odjął.

– Nie, to Alain.

– Masz tam i Alaina, i Dmitrija?

– Co ja ci poradzę? To międzynarodowa ekipa – odparła, wciąż się śmiejąc. –

A niektórzy czekają na telefon, więc naprawdę muszę już kończyć. Do usłyszenia niedługo.

Podniesiony na duchu postanowiłem to oblać szklaneczką burbona, żeby wynagrodzić sobie tę wczorajszą, z której musiałem zrezygnować. Rozgrzany rozmową i alkoholem sam prawie zacząłem wierzyć w to, co powiedziałem Rachel – że śledztwo w sprawie szpitala Świętego Judy zbliża się do końca. W toku skrupulatnego przeszukania nie wyszły na jaw dowody świadczące o dodatkowych ofiarach, w piwnicy nie było już za wiele do sprawdzania. Pies policyjny będzie potrzebował nieco więcej czasu na obwąchanie labiryntu

wąskich korytarzyków i szybów, ale tak czy inaczej za parę dni powinniśmy skończyć. Kładąc się tamtego wieczoru do łóżka, pozwoliłem sobie na myśl, że niczego już nie znajdziemy, a stary szpital ujawnił przed nami wszystkie tajemnice.

Jakby na potwierdzenie mojego optymizmu następnego ranka na niebie znów pojawiło się słońce. Nie dawało już tego żaru co niecały tydzień wcześniej, świeciło skąpo, z jesienną surowością, ale i tak była to przyjemna odmiana po niedawnej szarudze i deszczach. W drodze do szpitala poczułem wręcz radość życia i nadzieję na przyszłość. Podjeżdżając do pilnie strzeżonej bramy, zauważyłem, że na przystanku po drugiej stronie ulicy nikogo nie ma. Uznałem to za kolejny znak, że od tej pory sprawy będą się już toczyły gładko, a kiedy parkowałem przed szpitalem, mojego szampańskiego nastroju nie zmącił nawet widok zniszczonych ścian i okien zabitych deskami.

Nie trwało to jednak długo.

Whelan już na mnie czekał.

– Niech się pan nie przebiera. Nadkomisarz chce z panem porozmawiać.

Co ja znowu zrobiłem?

– Dlaczego? Coś się stało?

– Sama panu powie.

Chyba ciągle się dąsał, że byłem uczestnikiem tamtej sytuacji z ręką manekina. W długim cieniu rzucanym przez szpital na asfaltowy plac poszedłem do przyczepy, w której zaledwie poprzedniego dnia rozmawiałem z Ward. Właśnie skończyła się jakaś odprawa. Mundurowi wychodzili jeden za drugim, przemieszani z ludźmi w cywilnych ubraniach, wyraźnie nie policjantami. Stałem na zewnątrz i czekałem na Ward. Kiedy w końcu wyszła, wyglądała bardzo profesjonalnie w rozwianym płaszczu i z torbą przewieszoną przez ramię. Zauważyła mnie i gestem kazała pójść za nią.

– Dobrze, że pan zdążył. Możemy pojechać razem.

– Pojechać dokąd? – Nic już z tego nie rozumiałem.

Nie zwalniała ani na chwilę, różnym krokiem maszerowała ku zaparkowanym radiowozom.

– Jack panu nie powiedział? Jedziemy aresztować Gary’ego Lennox.

W samochodzie Ward przekazała mi wszystkie szczegóły. Po naszej rozmowie kazała swojej ekipie pogrzebać w przeszłości syna Loli.

– Miał pan rację co do Lennox – powiedziała, kiedy ruszyliśmy. – W wieku osiemnastu lat pracował w Świętym Judzie jako salowy. Zwolnili go na rok przed zamknięciem szpitala, ale znał cały budynek jak własną kieszeń. Wcześniej uczęszczał na kurs zawodowy z budownictwa. Kiepsko mu szło z teorią, więc nie zdał egzaminów końcowych, ale w części praktycznej uzyskał najwyższe wyniki. Na pewno potrafiłby bez trudu postawić ścianę z pustaków i gipsu.

Przypomniało mi się, z jaką dumą Lola mówiła o synu, który „wszystkim potrafił się zająć”. Może nawet nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia.

– Dlaczego go zwolnili?

– Szczegóły tej sprawy są dość niejasne, ale chodziło o jakieś zamieszanie z lekami, znikające ze szpitalnej apteki. Przeciwbólowe, uspokajające, sterydy, wszystkie specyfiki, na które zawsze jest spory popyt. Nie złożono oficjalnej skargi, ale zrobił się smród i chłopak wyleciał. Co pasowałoby do teorii, że zabójstwa mogły mieć jakiś związek z narkotykami. Może prowadził biznes na boku, sprzedawał kradzione leki, a po zamknięciu szpitala przeniósł interes na stare śmieci. Na tym etapie to tylko poszlaki, ale z którejkolwiek strony by spojrzeć, Lennox zaczyna pasować do wszystkich punktów z listy.

Rzeczywiście, pasował, ale i tak czułem się nieswojo.

– Jak zamierzacie go przesłuchać, skoro nie może mówić?

– Lekarz będzie musiał go zbadać i określić jego stan, a potem zobaczymy. Jeśli znajdziemy wystarczająco dużo dowodów, żeby postawić mu zarzuty, będziemy mogli sprawdzić, czy odciski palców pasują do tych na puszkach z farbą i w zaprawie. Jeśli tak, to nie będzie musiał nic mówić. Będziemy mogli

go powiązać z dwoma zabójstwami, a przez jego doświadczenie w budowlance potencjalnie także z plandeką, w którą zawinięto ciało Christine Gorski. Jeśli DNA będzie pasowało do włosa, który tam znaleźliśmy, to dochodzi trzecie zabójstwo. – Spojrzała na mnie pytająco. – O co chodzi? Nie wygląda pan na zachwyconego.

Sam nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Chociaż to ja powiedziałem Ward o Garym Lennoxie, to w gruncie rzeczy nie wierzyłem, że mógłby mieć z tą sprawą coś wspólnego. Owszem, zależało mi na ujęciu osoby lub osób odpowiedzialnych za okrutne zbrodnie popełnione w opuszczonym szpitalu, ale nie podobała mi się wizja przysparzania dodatkowych trosk Loli i jej synowi – i tak mieli już w życiu pod górkę.

– Nie spodziewałem się, że to wszystko tak szybko się potoczy – przyznałem.

– Ja też nie, ale nie zamierzam protestować. Zresztą nie powiedziałam panu jeszcze najważniejszego. – Ward starała się nie okazywać podniecenia, ale słyszałem je w jej głosie. – Udało się zidentyfikować jedną z ofiar, mężczyznę, na podstawie odcisków palców pobranych przez Mearsa. Nazywa się Darren Crossly. Trzydzieści sześć lat, w wieku osiemnastu skazany za posiadanie marihuany, poza tym niekarany. Też był salowym w szpitalu Świętego Judy, aż do zamknięcia. Na pewno znali się z Lennoxem.

Chryste. Nic nie mówiłem, próbowałem sobie to wszystko przyswoić. Kiedy powiedziałem Ward o Lennoxie, martwiłem się, że niepotrzebnie zawracam jej głowę. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

– Niechże pan coś powie – poprosiła Ward. – Nie oczekuję, że zacznie pan skakać z radości, ale miałam nadzieję na odrobinę entuzjazmu.

– A co z tą kobietą, którą zamurowano razem z nim? – zapytałem.

– O niej jeszcze nic nie wiadomo. Nie znaleźliśmy jej odcisków w bazie, więc raczej nie miała do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Czekamy jeszcze na DNA i dokumentację stomatologiczną, ale skoro już zidentyfikowaliśmy Crossly'ego, możemy zacząć sprawdzać jego koleżanki i znajome. Może to ktoś z jego otoczenia.

– Kiedy zaginął Crossly?

Ward zawahała się na chwilę.

– Zaginięcie zgłoszono trzynaście miesięcy temu.

– Lola mówi, że jej syn dostał udaru półtora roku temu. To pięć miesięcy przed zaginięciem Darrena Crossly’ego.

– Jak mówię, wtedy zaginięcie zgłoszono – powiedziała Ward z lekką irytacją. – Crossly nie ma rodziny, a od czasu zamknięcia Świętego Judy nigdzie nie pracował, więc trudno dokładnie określić, kiedy zniknął. Zaginięcie zgłoszono w ogóle tylko dlatego, że pobierał zasiłek, a właściciel mieszkania doniósł, że Crossly zalega z czynszem. Sądzymy, że zaginął raczej piętnaście miesięcy temu, a więc mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ostatnio widziano Christine Gorski. A o tym, kiedy Lennox dostał udaru, wiemy tylko i wyłącznie od jego matki.

– Myśli pani, że ona próbuje go kryć?

Ward wzruszyła ramionami.

– Wystąpiliśmy do sądu o nakaz udostępnienia nam jego dokumentacji medycznej, przekonamy się. Ale w świetle wszystkich pozostałych przesłanek nie chcieliśmy dłużej czekać. Matki często kłamią, a ona sama też nie ma nieskalanej przeszłości. Sprawdziliśmy te informacje od sąsiadki o śmierci pacjenta. Lola Lennox pracowała kiedyś w szpitalu w południowym Londynie, teraz już nieistniejącym. Dwadzieścia dwa lata temu podczas jej dyżuru czternastoletni chłopiec zmarł z powodu przedawkowania insuliny.

– Czyli to była prawda? – Chociaż uznałem, że powinienem przekazać tę informację Ward, sam tak naprawdę nie wierzyłem w rewelacje sąsiadki.

– W ogólnym zarysie tak. Po przeprowadzeniu wewnętrznego dochodzenia szpital uznał to za wypadek, ale Lolę zwolniono i już nigdy nie pracowała jako pielęgniarka. Wylatywanie z pracy w szpitalu jest chyba u nich rodzinne.

Ward zostawiła mnie z tą myślą i umilkła, skręcając w ulicę Loli. Wciąż próbowałem przetrwać nowe informacje, aż ścisnęło mnie w dołku na myśl o tym, co teraz nastąpi.

– Nie powiedziała mi pani, co ja tu właściwie robię – powiedziałem.

– Poza tym, że od pana się to wszystko zaczęło? – Uśmiechnęła się cierpko. – Proszę się nie martwić, to nie jest kara. Matka Lennox pana zna, a pomyślałam, że nie zaszkodzi znajoma twarz.

– Nie sędzę, żeby to zrobiło jakąkolwiek różnicę.

– Może i nie, ale zawsze to lepiej niż dom pełen obcych. Zresztą wydaje mi się, że ona panu ufa.

Po tym już nie będzie mi ufać, pomyślałam.

Zaparkowaliśmy przed domem obok kilku innych samochodów i karetki. Nawet jeśli Gary Lennox był podejrzanym, to był też osobą wymagającą wsparcia i pomocy medycznej. Policjantom towarzyszyli pracownicy opieki społecznej, a sanitariusze mieli sprawdzić ogólny stan Lennox i przewieźć go do szpitala. Wsiadłem z auta, czując na barkach ciężar odpowiedzialności. Chciałem tylko pomóc Loli i jej synowi. Tego nie przewidziałem.

Trzaskały drzwiczki, policjanci wysiadali z samochodów. W oknach, które nie zostały zabite deskami, pojawiały się twarze gapiów zaciekawionych zamieszaniami na ulicy. Część ludzi powychodziła z domów, żeby popatrzeć; nawet nie próbowali ukrywać fascynacji nieoczekiwaną rozrywką.

Jednym z aut przyjechał Whelan. Teraz podszedł do drzwi i zapukał. Nie odrywałem wzroku od okna, wypatrując ruchu, który zdradziłby obecność Loli. Żaluzja tkwiła jednak nieruchomo. Whelan odczekał chwilę i zapukał jeszcze raz, mocniej.

– Nie ma jej.

Ta sama sąsiadka, która rozmawiała ze mną po jednej z moich poprzednich wizyt. Stała w otwartych drzwiach, w szlafroku i znowu z papierosem w ręku. Chyba dopiero co wstała, a jej twarz zdawała się starsza i jakby niedokończona bez grubej warstwy makijażu.

– Wie pani, dokąd poszła? – zapytał Whelan.

Wzruszyła jednym ramieniem.

– A skąd ja mam wiedzieć?

– A kiedy wyszła?

– Bo ja wiem... Z godzinę temu, może półtorej. – Zaciągnęła się papierosem i posłała mi nieco kpiący uśmiezek. – Wrócił pan z posiłkami, co?

Whelan odwrócił się do Ward.

– Jak pani myśli? Powinniśmy...

– Komisarzu.

Jeden z mundurowych patrzył gdzieś na drugi koniec ulicy. Samotna kobieta toczyła się chodnikiem w naszą stronę. W obu rękach dźwigała siaty z zakupami, kuśtykała powoli ze spuszczoną głową. Całą jej uwagę pochłaniał wysiłek, jakiego wymagało od niej przemieszczanie się, więc z początku nas nie zauważyła, ale w końcu coś musiało ją tknąć. Podniosła wzrok i stanęła jak wryta na widok policji przed domem. Przez sekundę czy dwie tkwiła tak bez ruchu. Jej oczy na chwilę spoczęły na mnie. Potem zacisnęła usta w wąską linię, dźwignęła reklamówki i znowu podjęła marsz w tym samym nieśpiesznym tempie.

Ward wyszła jej naprzeciw.

– Pani Lola Lennox? Nadkomisarz Sharon Ward. Chodzi o Gary'ego.

Lola zignorowała ją, minęła Ward i całą resztę, jakby w ogóle nas tu nie było.

– Słyszysz pani? Chcielibyśmy z panią porozmawiać o...

– Słyszałam. Odwalcie się.

– Proszę pani, mamy nakaz aresztowania pani syna.

– W dupę go sobie wsadźcie.

Nie odstawiając toreb z zakupami – zauważyłem jeszcze większy zapas pieluch – Lola zaczęła gmerać kluczami przy zamku, żeby otworzyć drzwi.

Ward jednak się nie poddawała i z całej siły starała się nie tracić panowania nad sobą.

– Nie chcemy sprawiać państwu żadnych nieprzyjemności, a przynajmniej nie więcej niż to konieczne, ale w najlepszym interesie pani i pani syna jest z nami współpracować.

Jakby mówiła do ściany. Lola, wciąż z siatami w rękach, próbowała się dostać do domu, twarz poczerwieniała jej z wysiłku.

Whelan podszedł, żeby jej pomóc.

– Proszę pozwolić, że...

– Trzymaj łapska przy sobie! – warknęła groźnie Lola.

– Spróbujmy się trochę uspokoić – powiedziała Ward, kiedy Whelan wycofywał się z rękami uniesionymi w pokojowym geście. Przywołała mnie skinieniem. – Zna już pani chyba doktora Huntera...

– Niech ten konfident się do mnie nie zbliża.

Nie zaszkodzi znajoma twarz, jasne. Wziąłem głęboki oddech.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Spierdalaj!

Udało jej się wcisnąć klucz do zamka, ale torby ograniczały jej ruchy i nie mogła go przekręcić. Coraz więcej sąsiadów wyległo na ulicę, żeby popatrzeć.

– Wstydźcie się! – zawołała jakaś kobieta z drugiej strony ulicy. – To starsza kobieta, zostawcie ją w spokoju!

Na twarzy Ward malowała się niepewność, widziałem, że próbuje podjąć jakąś decyzję. Jeszcze tylko brakowało jej skarg na brutalność policji, zwłaszcza że chodziło o starszą kobietę, opiekunkę chorego syna. Im dłużej jednak się to przeciągało, tym bardziej ryzykowała utratę autorytetu.

Drzwi otworzyły się nagle z pstryknięciem. Lola próbowała się przecisnąć przez szparę, jednocześnie blokując drzwi wypchanymi reklamówkami.

– Nie możecie wejść! – wrzasnęła, próbując zatrzasnąć drzwi za sobą. – To mój dom, nie macie prawa!

Ale mieli prawo. Porzuciła próby powstrzymania ich przed wejściem i pobiegła w głąb domu, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Przepuściłem policję i pracowników opieki społecznej. Whelan aż się cofnął, kiedy uderzył go odór chorego.

– Jezu – wydusił.

Lola stała przed łóżkiem, jakby próbowała uniemożliwić wszystkim zbliżenie się do jej syna.

– Nie zapraszałam was! Wynocha, ale już!

Do łóżka podeszła sanitariuszka, uśmiechając się uspokajająco.

– W porządku, chcemy tylko rzucić okiem na pani syna.

– Trzymaj się od niego z daleka!

Lola zamachnęła się na sanitariuszkę reklamówką z pampersami, ale Whelan wkroczył do akcji i wyrwał jej torbę. Przez cały ten czas Gary Lennox wodził gorączkowo wzrokiem od jednej osoby do drugiej, co stanowiło jedyną oznakę jego zdenerwowania. Sanitariuszka uśmiechnęła się do niego życzliwie.

– No dobrze, Gary. Jak się miewasz? Ja mam na imię Kalinda, jestem sanitariuszką. Chciałabym przeprowadzić parę badań...

– Nie! – zawyła Lola, próbując się wyrwać Whelanowi i umundurowanej policjantce, którzy z całych sił starali się ją powstrzymać. – Nie, nie wolno, nie pozwalam!

Spróbowałem jeszcze raz.

– Może pójdzie pani ze mną...?

– Odpierdol się! – szczerknęła, a jej małe oczy lśniły furją. – Judaszu pierdolony, to wszystko twoja wina!

– Proszę dać spokój, tylko pogarsza pan sytuację – rzucił znad ramienia Whelan, stając między nimi. Miał rację, więc odsunąłem się na bok i postanowiłem dać szansę opiece społecznej. Nagle na zewnątrz wybuchło jakieś zamieszanie. Z ulicy dobiegały podniesione głosy, jeden z mundurowych próbował zablokować drogę komuś, kto chciał wejść do domu.

Tym kimś był Adam Oduya.

– Przyszedłem do Loli i Gary’ego Lennoxów. – Aktywista nie podnosił głosu, ale wcale nie musiał tego robić. – Proszę pozwolić mi z nimi porozmawiać.

– No świetnie – westchnęła Ward. – Jack, zabierz go stąd.

Whelan zostawił Lolę w rękach mundurowych i podszedł do drzwi.

– To nie pańska sprawa. Proszę stąd odejść.

– Wszystko, co dotyczy tej społeczności, jest moją sprawą – odparł Oduya. – Dlaczego nękanie starszą kobietę w jej własnym domu?

– Nikogo nie nękamy. To operacja policyjna, są z nami pracownicy opieki społecznej i...

– To nie jest nękanie? Wdarliście się siłą do domu starszej kobiety opiekującej się synem. Oni mają swoje prawa.

– Prosiłem już, żeby pan stąd odszedł, drugi raz nie będę prosił...

– Pani Lennox? – zawołał Oduya w głąb domu, próbując zajrzeć ponad ramieniem Whelana. – Pani Lola Lennox! Jestem prawnikiem, mogę pani pomóc!

– Koniec tego dobrego, zabierajcie go stąd – warknął Whelan do jednego z funkcjonariuszy.

Krzyki przyciągnęły jednak uwagę Loli.

– Kto tam? – zapytała stanowczo i odwróciła się w stronę drzwi, gdzie policjant w mundurze próbował wypchnąć Oduyę za próg.

– Nazywam się Adam Oduya – zawołał aktywista. – Jeśli policja jest tutaj wbrew pani woli, mogę pani pomóc. Proszę im powiedzieć, że działam w pani imieniu i chce pani ze mną porozmawiać.

Starsza kobieta błyskawicznie przeanalizowała propozycję i zwróciła się do Whelana:

– Słyszeliście.

– Proszę pani, naprawdę nie ma potrzeby...

– Chcę z nim porozmawiać!

Whelan spojrzał błagalnie na Ward. Ta pokiwała głową z wyraźnym niesmakiem.

– Niech będzie, wpuście go.

Whelan i mundurowy niechętnie się odsunęli. Oduya nieśpiesznie poprawił marynarkę i dopiero potem wszedł do domu. Nie wyglądał na zaskoczonego moją obecnością.

– Dzień dobry, panie... – zaczął, ale urwał na widok mężczyzny leżącego w łóżku w warunkach wołających o pomstę do nieba.

– Nadal pan uważa, że łamiemy tu czyjeś prawa?

Aktywista szybko odzyskał rezon. Podeszedł do Loli, wyciągając rękę na powitanie.

– Dziękuję pani za zaproszenie.

Zignorowała jego wyciągniętą dłoń i obrzuciła go spojrzeniem pełnym niesmaku. Uświadomiłem sobie, że wcześniej tylko go słyszała zza drzwi, ale nie mogła zobaczyć.

– Jesteś pan jednym z nich.

– Tak, jestem prawnikiem – powiedział Oduya, płynnie podnosząc wyprostowaną rękę i sięgając do kieszeni po wizytówkę. – Nazywam się Adam Oduya i jeśli pani pozwoli, chciałbym reprezentować panią i pani syna.

– Nic nie zapłacę.

– Nie musi pani. Prowadzę organizację non profit. Udzielamy pomocy członkom naszej społeczności, którzy potrzebują doradztwa prawnego i obrony.

– Ona nie potrzebuje adwokata – wtrącił z irytacją Whelan.

– Ale jej syn owszem. A może chce mu pan odmówić prawa do obrony ze względu na ubezwłasnowolnienie?

Ward podeszła bliżej.

– Proszę pana, przede wszystkim musimy się teraz upewnić, czy Gary Lennox jest w dobrym stanie zdrowia. Zapewnilibyśmy mu przedstawiciela prawnego, kiedy tylko byłoby to możliwe, ale skoro już pan tu jest, to oczywiście nie będzie to konieczne. A jeśli już o tym mowa, to dlaczego właściwie pan tu jest? Proszę mi nie wmawiać, że po prostu pan przechodził.

Uśmiechnął się do niej ciepło, jednocześnie okazując, że rozumie, o co jej chodzi.

– Jak już wspominałem, mam swoje źródła. Od razu chciałbym uściślić, że nie mam na myśli nikogo z tutaj obecnych.

Powiedział to z myślą o mnie. Nie tylko ja zrozumiałem aluzję – poczułem na karku świdrujący wzrok Whelana.

– No co pan tak stoisz? – zapytała napastliwie Lola. – To mój dom. Jak naprawdę jesteś pan prawnikiem, to każ im się wynosić.

Ciekawe, jak szybko aktywista zacznie żałować, że się na to porwał.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale najpierw muszę...

– Trzeba go zabrać do szpitala – przerwała mu podniesionym głosem sanitariuszka. Kiedy wszyscy się awanturowali, ona spokojnie badała Gary'ego Lennox. On zaś miał obłęd w szeroko otwartych oczach i przenosił rozbiegany wzrok z jednej twarzy na drugą. Teraz, gdy zapadła cisza, wyraźnie dało się słyszeć jego głośny, szybki i nierówny oddech.

– Parametry ma kompletnie zaburzone – ciągnęła sanitariuszka. Z głośnym trzaskiem zerwała z wychudzonego ramienia zapinany na rzep mankiet ciśnieniomierza. – Poziom tlenu we krwi zdecydowanie za niski, a ciśnienie i tętno...

– Nie! – Lola wrzasnęła, jakby ktoś ją uderzył. – Nie trzeba go zabierać do szpitala! Sama mogę się nim zająć!

Sanitariuszka zręcznie zwinęła mankiet aparatu.

– Przykro mi, ale pacjent nie może tu zostać. Widać, że jest niedożywiony i odwodniony, podejrzewam problemy z wątrobą i nerkami. Potrzebuje opieki specjalistów.

– Nie macie prawa! Nie pozwolę wam!

– Proszę pani, sądzę, że powinna pani posłuchać ratowników medycznych – powiedział spokojnym, rzeczowym tonem Oduya. – Pojadę z panią do szpitala i...

– Nie! Błagam! – Lola nie sprawiała już wrażenia agresywnej, wpadła w desperację. I strach. – Nie zabierajcie mi i jego! Tylko on mi już został!

Kiedy sanitariusze założyli jej synowi maskę tlenową na twarz, zaczęła zawodzić, nie docierały do niej słowa Oduyi ani pracowników opieki społecznej. Robiło się coraz tłoczniej, nie chciałem się plątać pod nogami. Dyskretnie

wymknąłem się na zewnątrz i patrzyłem, jak ratownicy medyczni pchają nosze na kółkach do ambulansu.

– Powiedzcie nadkomisarz Ward, że wracam do Świętego Judy – poprosiłem policjantkę stojącą przy drzwiach. Przecisnąłem się przez tłumek gapiów zgromadzonych na ulicy i ruszyłem pieszo w stronę szpitala.

Za plecami wciąż słyszałem krzyki Loli.

ROZDZIAŁ 21

Podczas mojej nieobecności ekipa z psem zrobiła spore postępy w przeszukiwaniu budynku. Nie było już żadnych fałszywych alarmów. Na drugim piętrze znajdowały się głównie sale dla pacjentów, większe i łatwiejsze do przeszukania niż klitki i zakamarki na górze.

Przyłączyłem się do akcji po przerwie obiadowej. Droga powrotna zajęła mi więcej czasu, niż się spodziewałem, choć przyznaję, że wcale się nie śpieszyłem. Gdyby w szpitalu czegoś potrzebowali, zadzwoniliby do mnie, a po sytuacji z Lolą musiałem trochę przewietrzyć głowę. Część tej trasy przejechałem już kiedyś samochodem, ale nigdy jeszcze nie pokonałem jej pieszo, a chociaż wiedziałem o skrócie przez lasek, nie tak łatwo było go znaleźć. Wszystkie ulice wyglądały tak samo – zdewastowane szeregowce i zabite deskami okna pokryte graffiti. Zaczynałem już myśleć, że się zgubiłem, ale za kolejnym rogiem ujrzałem drzewa na końcu ulicy, ciemnozieloną granicę wśród zniszczonych cegieł i betonu.

Od tej strony lasek był ogrodzony rozwalającym się metalowym płotkiem. Za dziurą w ogrodzeniu biegła błotnista ścieżka zasypana opadłymi liśćmi i częściowo zarośnięta gałęziami głogu. Przecisnąłem się przez cierniste krzewy i nagle znalazłem się w otoczeniu sękatych pni i powykręcanych gałęzi, ulica całkiem znikła mi z oczu, choć dzieliło mnie od niej zaledwie kilka metrów. Zatrzymałem się na dłuższą chwilę i delectowałem świeżym powietrzem pachnącym ziemią i ściółką. Nie widziałem, dokąd prowadzi ścieżka wijąca się między drzewami, ale się domyślałem. Bez większego zaskoczenia dotarłem na polankę ze zwalonym dębem w ruinach starego kościoła.

Zatrzymałem się na skraju, bo uderzyła mnie myśl, że musiałem pokonać tę samą drogę, którą Lola tutaj dotarła, kiedy się poznaliśmy. Samotny gawron poderwał się do lotu z porośniętych bluszczem kamieni, ale poza tym nie było nikogo. Przez te dni, które upłynęły od mojej ostatniej wizyty w tym miejscu, deszcz ogołocił drzewa z większości liści. Na tle niemal zupełnie nagich gałęzi rozsypująca się ściana szczytowa wyglądała jeszcze surowiej.

Usiadłem na tej samej zwałonej kolumnie co wtedy. Wspomnienie okropnych wydarzeń w domu Loli bolało jak świeży siniak. Ward miała rację. Dowody poszlakowe przeciwko Gary'emu Lennoxowi były trudne do odparcia. Musiał znać przynajmniej jedną z zamurowanych ofiar, dysponował umiejętnościami niezbędnymi do zbudowania ściany, a posadę salowego stracił w atmosferze skandalu związanego z kradzieżami leków. To wszystko nie miałoby jednak znaczenia, jeśli okazałoby się, że już półtora roku temu dostał udaru, w którego wyniku niemal całkowicie utracił sprawność. To by wykluczało jakikolwiek udział w zabójstwach nie tylko Darrena Crossly'ego i niezidentyfikowanej kobiety, lecz także Christine Gorski. Lennox nie mógł popełnić żadnej z tych zbrodni, jeśli leżał sparaliżowany w łóżku.

Chyba że jego matka kłamała.

Po uzyskaniu nakazu sądowego policja łatwo będzie mogła sprawdzić wszystkie daty w dokumentacji medycznej. Nie zaszkodziłoby poczekać do tego czasu, ale rozumiałem, dlaczego Ward podjęła inną decyzję. Uzyskanie dostępu do poufnych akt szpitalnych bywało skomplikowane, a ona działała pod coraz silniejszą presją uzyskania wyników. Winę Lennox'a można było łatwo udowodnić, jeśli jego odciski palców pasowałyby do tych znalezionych na miejscu zbrodni. Gdyby tak się stało, Ward odniosłaby wielki sukces, i to w pierwszej sprawie, którą przyszło jej samodzielnie prowadzić.

Gdyby zaś odciski nie pasowały, sprawa przeciwko Gary'emu Lennoxowi zostałaby zamknięta, niezależnie od tego, jak długo był przykuty do łóżka. A to by oznaczało, że zupełnie bez powodu ściągnąłem nieszczęście na głowę Loli i jej syna.

Powtarzałem sobie, że nie miałem wyboru, ale wcale mi to nie pomagało. Podobnie jak fakt, że Gary Lennox wyraźnie potrzebował specjalistycznej opieki medycznej. Dałoby się to załatwić bez nalotu policji.

Ale dosyć już tych rozmyślań. Podniosłem się na nogi, otrzepałem ubranie i ruszyłem przez lasek do szpitala. Policjant patrolujący teren za budynkiem z początku nie chciał mnie przepuścić. Świdrując mnie nieprzyjaznym spojrzeniem, skontaktował się z kimś przez krótkofalówkę, żeby się upewnić, czy mogę wejść. Kiedy wkroczyłem między zburzone pawilony i przybudówki na tyłach szpitala, zaczęło się chmurzyć. Zwolniłem przy kupie gruzu na miejscu dawnej kostnicy. Nowej kostnicy, poprawiłem się w myślach, wspominając jej zarośniętą pajęczynami poprzedniczkę w piwnicy. Kopiec strzaskanych cegieł i betonu sięgał mi nad głowę, a kiedy się zatrzymałem, żeby mu się przyjrzeć, z nieba zaczęły kapać ciężkie krople. Chwila wytchnienia od deszczu dobiegła końca.

Zostawiłem za sobą resztki budynku kostnicy i poszedłem się przebrać.

Dopiero późnym popołudniem Whelan wrócił do szpitala Świętego Judy. Do tego czasu pies zdążył już obwąchać drugie piętro i dotrzeć na parter, gdzie przez otwarte drzwi wpadało chociaż trochę świeżego powietrza i światła. Labrador musiał jeszcze przeszukać piwnicę, ale ze względu na wszechobecne rury i przewody raczej nie dało się tam postawić żadnych fałszywych ścian. Miałem poczucie, że zbliżamy się do końca, że szpital nie kryje już w zanadru żadnych niespodzianek.

Powinienem był wiedzieć, że takie wrażenia bywają złudne.

Byliśmy w gabinecie rentgenowskim, z którego usunięto cały sprzęt. Na ścianach wisiały obdarte obwieszczenia nakazujące wyłączenie telefonów komórkowych, a puste kabiny przebieralni stały otworem niczym splądrowane sarkofagi.

– Doktorze?

Obejrzałem się i zobaczyłem Whelana stojącego w progu. Nawet mimo maski zauważyłem niezadowolenie na jego twarzy.

– Potrzebujemy pana w piwnicy – powiedział, odwrócił się na pięcie i odszedł korytarzem, nie czekając na mnie.

Dogoniłem go dopiero przy schodach prowadzących pod ziemię.

– Coś tam znaleźli? – zapytałem.

– Kawalek spalonej kości w kotłowni, ale nie są pewni, czy to ludzka, czy nie.

– Schodziłem tuż za nim, ale nawet się nie obejrzał. – Zastanawialiśmy się, gdzie się pan podział.

– Nikt nie przekazał wiadomości ode mnie?

– Nie o to chodzi. Powinien był się pan odmeldować.

– Byliście zajęci, nie chciałem przeszkadzać – odparłem z lekką irytacją. – Uznałem, że bardziej się przydam, robiąc coś pożytecznego.

– Następnym razem proszę wcześniej zapytać.

Podejrzewałem, że raczej nie będzie następnego razu. Ale domyślałem się, że to nie był jedyny powód kiepskiego humoru komisarza.

– Co się działo później?

Jego westchnienie wystarczyło mi za odpowiedź.

– Oduya robi problemy. Poradził matce Lennox, żeby nie wyraziła zgody na pobranie odcisków palców. Ani jego, ani swoich. Mówi, że jeśli chcemy odciski, musimy najpierw postawić jakieś zarzuty.

To musiał być wielki cios dla Ward. Jeśli podejrzany nie da sobie dobrowolnie zdjąć odcisków palców, policja może je pobrać tylko po postawieniu oficjalnych zarzutów. Gary Lennox nie był w stanie wyrazić zgody, więc pozwolenia musiała udzielić jego matka. Odmowa uniemożliwiła policji porównanie odcisków palców jej syna z tymi znalezionymi w Świętym Judzie. Śledztwo utknie w martwym punkcie.

– Co Oduya chce w ten sposób zyskać? – zapytałem, kiedy dotarliśmy do podnóża schodów.

– Nic, to tylko takie przeszkadzajki. – Whelan skręcił w jeden z korytarzy. Po ścianach i suficie biegły rury i przewody, a na podłodze ustawiono reflektorki oświetlające drogę. – Próbuje nas też powstrzymać przed uzyskaniem wglądu w dokumentację medyczną Lennox. Mówi, że jeśli są jakieś podstawy do wszczęcia sprawy, powinniśmy je przedstawić, a w innym razie mamy przestać nękać chorego człowieka.

– Przecież jeśli Lennox jest niewinny, to w jego interesie leży wykluczenie go z grona podejrzanych.

– Niech pan spróbuje to wytłumaczyć swojemu kumplowi.

Oduya nie był moim kumplem. Rozumiałem jednak złość komisarza. Gdyby na miejscu zbrodni znaleziono odciski Lennox – na puszkach z farbą i zaprawie w ścianie – to automatycznie potwierdziłoby jego winę. Niemożność ustalenia tego z powodu niuansów prawnych musiała budzić w policjantach głęboką frustrację.

Jednak rozumiałem też, dlaczego Oduya to robił. Gary Lennox nie mógł mówić, więc aktywista postanowił wypowiadać się w jego imieniu. Zamierzał dołożyć wszelkich starań, żeby go bronić, nawet jeśli oznaczało to opóźnienia dla zespołu prowadzącego śledztwo. Abstrahując od skłonności Oduyi do autopromocji, zdałem sobie sprawę, że on naprawdę robi to, co uważa za słuszne, a nie tylko przybiera efektowne pozy.

Jego popularności na pewno to nie pomoże.

– Nie macie dość na Lennox, żeby postawić mu zarzuty? – zapytałem.

Whelan pokręcił głową.

– Wystarczająco dużo do zatrzymania, ale nie do postawienia zarzutów. Bez odcisków palców wszystkie dowody są poszlakowe.

– Nie znaleźliście nic w domu? – Po aresztowaniu na pewno przeszukali dom Loli i Gary’ego pod kątem dowodów obciążających.

– Nic sensownego. Stertę starych komiksów i czasopism dla amatorów obserwacji ptaków, ale nic poza tym. Lennox naprawdę był dzikiem. Nie miał nawet komputera ani telefonu.

Robiło mi się go coraz bardziej żal.

– A jak z nim?

– Nie najlepiej. W szpitalu podają mu płyny, antybiotyki i Bóg wie co jeszcze, robią różne badania, ale raczej z nim kiepsko. Niezależnie od tego, czy jest winny, czy nie, dobrze, że go stamtąd wyciągnęliśmy. Skoro jego matka tak dba o własnego syna, to nie chciałbym, żeby mną się opiekowała, nawet jeśli jest pielęgniarką.

– Powiedziała coś?

– Głównie niecenzuralne słowa. Ma naprawdę niewyparzoną gębę. Jak mówiła o panu, to rzucała mięsem jak w rzeźni. – Przynajmniej to go trochę rozbawiło. – Raczej nie powinien się pan spodziewać od niej kartki na święta.

Odbił w inny korytarz. Z niskiego sufitu kapiała woda, wilgoć skraplała się na ścianach. Korytarz prowadził do kotłowni ukrytej za ciężkimi metalowymi drzwiami. W środku znajdowała się skomplikowana aparatura złożona z rur, zbiorników i zaworów, ginąca w mroku. W czasach świetności szpitala musiało tu być jak w piecu, ogień i para syczały jak w maszynowni dawnego statku. Teraz ogromna machina była zimna i martwa. Spod woni rdzy przebijała nutka starego smaru, ledwie wyczuwalna. Im głębiej wchodziliśmy, tym mocniej czuć było inny zapach. Sadza i wystygły popiół. Coś tu spalono. Nie w ostatnim czasie, ale też nie bardzo dawno.

Ekipa czekała przy kotle. Ogromny metalowy walec, pordzewiały i opasany wypukłymi nitami, miał jakieś dwa i pół metra średnicy i przypominał ogromną puszkę leżącą na boku. Na jednym końcu zamontowano okrągłą klapę, teraz otwartą i umieszczoną tuż nad podłogą. Wokół ustawiono reflektory, które podświetlały białe postaci od tyłu, tak że wyglądały jak duchy skupione wokół ogniska.

– Pokażcie – powiedział Whelan.

Jedna z postaci – kobieta, co niełatwo było stwierdzić przez maskę i kombinezon – wystąpiła z grupy.

– Znaleźliśmy to w popiele w tym kotle. Wygląda na kość, ale nie potrafie określić: ludzką czy zwierzęcą.

Podala Whelanowi plastikową torebkę na dowody z jakimś niedużym, ciemnym przedmiotem w środku. Whelan przyjrzał się jej pod światło, po czym przekazał mnie.

– Co pan na to?

Przedmiot przypominał nadpaloną skorupkę fistaszka. Cylindryczny kształt, długi najwyżej na centymetr czy dwa, z lekko rozkloszowanymi końcami. Na poczerńiałej powierzchni zachowało się kilka zwęglonych fragmentów tkanki miękkiej.

– Paliczek środkowy – stwierdziłem. – Kość palca.

– Czyli ludzka?

– O ile po północnym Londynie nie zaczęły grasować szympansy albo niedźwiedzie brunatne, to tak, ludzka.

Whelan spojrział na mnie z kwaśną miną, ale wcale nie żartowałem. Paliczki niedźwiedzi brunatnych i niektórych ssaków naczelnych na pierwszy rzut oka przypominały nasze, zdarzało się, że kości zwierzęce mylono z ludzkimi. Tak naprawdę nie miałem jednak wątpliwości, z czym mamy tu do czynienia.

– W szpitalach spala się szczątki, prawda? – zapytała policjantka z zespołu przeszukującego piwnicę. – Może to po amputacji?

– W tym celu mają specjalne piece do spopielenia – powiedział Whelan i zmierzył wzrokiem metalowy walec. – To stary kocioł węglowy, do ogrzewania i ciepłej wody, a nie do spalania odpadów chirurgicznych.

– Kocioł nie mógł też być uruchomiony – zauważyłem. – Węgiel kamienny spala się w bardzo wysokiej temperaturze. Wewnątrz kotła robi się gorąco jak w krematorium, więc kość zostałaby zredukowana do związków wapnia. Byłaby biała, a nie czarna jak ta. To oznacza, że płomień miał niższą temperaturę.

Wystawiona na działanie ognia kość przechodzi zawsze te same etapy. Najpierw ciemnieje z normalnej, brudnokremowej barwy do brązu i czerni. Potem, jeśli ogień jest wystarczająco gorący, kość robi się szara, a następnie

kredowobiała. W końcu staje się lekka jak pumeks, kiedy po spaleniu naturalnych olejów zostają tylko kryształy wapnia.

Whelan spojrzął na klapę w kotle.

– Jest tam coś jeszcze?

– Na razie nie wiemy – odparła policjantka. – Przerwaliśmy, gdy tylko znaleźliśmy kość. Nie ma widocznych szczątków, ale pełno popiołu i bryłek węgla. Trudno powiedzieć, co jeszcze jest pod spodem.

Whelan badawczo przyjrzał się posadzce przed kotłem: na brudnym betonie wyróżniały się bladoszare smugi.

– Tu jest rozsypany popiół. To wasza robota?

– Nie, już tak było – odparła urażona.

– Kłapa była otwarta czy zamknięta?

– Zamknięta.

Whelan zastanowił się jeszcze chwilę, po czym schylił się i zajrzał pod klapę.

– Niewiele widać. – Jego głos zadudnił wewnątrz metalowego walca. – Dajcie jakieś światło.

Jeden z policjantów podszedł i podał mu latarkę. Whelan zajrzał głębiej, górna połowa ciała zniknęła w kotle.

– Trudno powiedzieć, co tu spalono. Dużo popiołu, ale to może być jeszcze z czasów sprzed wycofania pieca z użytku.

Wycofał się niezgrabnie i stanął prosto. W dłoni trzymał małą poczerniałą grudkę.

– To nie jest kość – powiedziałem.

– Wiem, ale węgiel kamienny to też nie jest. Wygląda raczej na drzewny. Sporo go w środku. Ktoś tu chyba palił drewno.

– Mogę zajrzeć?

Whelan podał mi latarkę i odsunął się na bok. Kiedy kucnąłem i zajrzałem w głąb kotła, poczułem przez maskę woń metalu, sadzy i spalania. Głową i barkami zasłaniałem sobie reflektory, ale w strumieniu światła z latarki zobaczyłem kupę zimnego popiołu i bryłek węgla, czarnych wysepek na morzu

szarości. Whelan miał rację, sporo z tych grudek wyglądało na zwęglone drewno. Niewykluczone, że były tam jeszcze jakieś kości, ale na pierwszy rzut oka nie dało się zauważyć ludzkich szczątków. Zacząłem się już wycofywać, ale zatrzymałem się, kiedy snop światła z latarki prześlizgnął się po czymś bliżej dna kotła.

– Coś tu jeszcze jest.

Ledwie widoczny przedmiot był częściowo zakopany w popiele. Wystawał tylko górny koniuszek, spłaszczony, o kształcie zbliżonym do trójkąta. Na oko niczym się nie różnił od pozostałych kawałków węgla drzewnego.

– To chyba łopatką – powiedziałem.

Wpuściłem techniczkę, żeby porobiła zdjęcia, po czym znowu zajrzałem przez otwartą klapę. Schyliłem się do środka, czując, jak wpija mi się w ciało metalowa krawędź, i sięgnąłem po zasypany przedmiot. Trójkątny kształt wyłonił się z morza popiołów niczym płetwa grzbietowa rekina. Potrząsnąłem delikatnie, żeby obsypać resztki pyłu, wyczołgałem się z kotła i zwróciłem do Whelana:

– Rzeczywiście łopatką. Ludzka – dodałem, uprzedzając pytanie.

Kość była poczerniała i podobnie jak tamten paliczek dość ciężka. Ogień zdołał spalić większość tkanki miękkiej, ale nie był wystarczająco gorący, żeby zredukować kości do wapnia.

Whelan obejrzał znalezisko.

– Odpady chirurgiczne możemy z góry wykluczyć. Mógłbym zrozumieć, że zawieruszył się kawałek palca, ale nie coś tak dużego. Pytanie brzmi: gdzie reszta ciała? Chyba że je rozczłonkowano, a w kotle spalono tylko niektóre kawałki.

Było to możliwe. Mordercom zdarzało się ćwiartować ofiary i pozbywać części ciała w różnych miejscach. Ale nie wydawało mi się, żebyśmy z tym mieli tutaj do czynienia.

Wziąłem poczerniałą łopatkę od Whelana.

– Pocięcie barku to zupełnie inna historia niż oderżnięcie nogi czy ręki, a nawet głowy. Trzeba by pociachać tułów, a to ciężka robota, na kości zostałyby ślady, których tu nie widać. Reszta ciała też nie mogła się spalić. Drewno nie płonie wystarczająco gorącym płomieniem, nawet gdyby dolać benzyny czy rozpałki.

– A może to tak zwany efekt knota? – zasugerowała techniczka, która robiła wcześniej zdjęcia. – Wie pan, kiedy zapala się tłuszcz i ciało płonie jak świeca, aż prawie nic nie zostaje. Słyszałam, że czasem tak się dzieje.

Ja też o tym słyszałem, a raz nawet osobiście zetknąłem się z tym makabrycznym zjawiskiem. W określonych warunkach, kiedy ciało zaczyna płonąć, podskórna warstwa tłuszczu roztapia się i wsiąka w ubranie. Materiał zaczyna wtedy działać dosłownie jak knot świecy i ciało powoli się spala, aż zostaje niewiele oprócz popiołu.

Było to jednak zjawisko praktycznie niespotykane, więc wątpiłem, żeby mogło tłumaczyć zastaną sytuację.

– Potrzeba do tego bardzo dużo tłuszczu, a i wtedy nie wszystko się spala. Część kończyn i większych kości zwykle zostaje.

– Może są schowane w popiele – rzuciła pomysł techniczka.

– Na pewno nie całe ciało – powiedziałem. – Powinniśmy widzieć coś więcej.

Działanie padlinożerców też mogliśmy wykluczyć. Zwierzęta nie dostałyby się do zamkniętego kotła, a zresztą raczej by nie próbowały. Nawet gdyby jakiś większy ssak, na przykład lis, zapuścił się tak daleko do piwnicy, to nie zainteresowałby się tak spalonymi kośćmi.

Whelan przykucnął i przyglądał się resztkom popiołu rozsypanym na podłodze pod klapą kotła.

– Czyli zmierza pan do tego, że ktoś spalił tu ciało, a potem wrócił i zabrał to, co zostało.

– Nie wszystko – uściśliłem, wrzucając łopatkę do torebki na dowody.

ROZDZIAŁ 22

Ekipa z psem kontynuowała przeszukanie na parterze, a ja zostałem w piwnicy, żeby dokładnie zbadać zawartość kotła. W razie potrzeby wezwaliby mnie na górę, ale tymczasem byłem bardziej potrzebny tutaj – wraz z technikami uważnie przesiewaliśmy popiół przez gęste sito. Wydobyliśmy głównie kawałki drewna, które nie spaliły się do końca, ale trafiły się też inne znaleziska. W kotle kryło się sporo paliczków, zarówno z dłoni, jak i stóp, a także kilka większych kości, wszystkie spękane i zniekształcone w wyniku działania wysokiej temperatury. Znaleźliśmy dwa fragmenty żeber, a bryłka wyglądająca z pozoru na kawałek żuźla okazała się głową prawej kości pischelowej zakopanej w popiele. W pobliżu, choć znacznie dalej niż za życia, spoczywała rzepka w kształcie trójkąta o zaokrąglonych krawędziach – ta akurat kość pochodziła z lewej nogi.

W trakcie pracy coraz lepiej rozumieliśmy, co zaszło, nawet jeśli nie znaleźliśmy jeszcze przyczyny. Jak zauważył już wcześniej Whelan, wierzchnia warstwa popiołu pochodziła głównie ze spalania drewna, o czym świadczyły między innymi czarne kawałki węgla drzewnego. Niżej znajdowała się starsza warstwa popiołu pozostała z czasów, kiedy ogrzewano szpital węglem kamiennym. To oznaczało, że ktoś umieścił w kotle zwłoki, obłożył je dookoła drewnem i podpalił. Stos nie paliłby się płomieniem tak gorącym jak ogień z węgla kamiennego, ale kocioł zatrzymywał ciepło i podnosił temperaturę, tak że tkanki miękkie i łączne uległy spaleni, zostawiając tylko przypieczony szkielet.

Kiedy ogień zgasł, a kości wystygły, ktoś zabrał je z kotła.

Technicy odkryli w kotłowni pokryte popiołem grabie i łopaty używane zapewne przez palaczy, kiedy szpital jeszcze działał. Ktoś korzystał z nich także

później. Spalone zwłoki musiały się rozpaść, kiedy próbowano je przemieścić, bo ocalałe więzadła i ścięgna były zbyt kruche, żeby utrzymać szkielet w całości. Jak wskazywały ślady w popiele, za pomocą narzędzi niezręcznie przysuwano szczątki bliżej klapy kotła, mieszając przy tym kości, z których część się zakopała.

Nie tylko kości. Znaleźliśmy też inne elementy nieorganiczne. Osmaloną klamrę paska, zamek błyskawiczny i metalowe oczka na sznurowadła – dowód, że spalono ciało razem z ubraniem i butami.

Parekh zajrzała do piwnicy, kiedy zaczynaliśmy przesiewać popiół, ale nie została do końca. Nie miała wiele do roboty – potwierdziła ludzkie pochodzenie kości, a potem wezwano ją do innego ciała, na drugim końcu miasta, więc zostawiła nas samych. Ward też się zjawiała: w kombinezonie ochronnym wyraźnie było jej niewygodnie, a twarz miała bladą i zmęczoną.

– Mamy tu jedno ciało czy więcej? – zapytała, patrząc na pudła z dowodami.

– Na razie trudno stwierdzić na pewno – powiedziałem. – Nie zauważyłem jeszcze żadnych podwójnych kości, ale...

– Proszę mi tylko powiedzieć: jedno czy dwa?

Ostry ton zdradzał napięcie. Bez śladu zniknęło ożywienie, którym tryskała w samochodzie, kiedy jechaliśmy aresztować Gary’ego Lennox. Nie dość, że Oduya pokrzyżował jej szyki, a jego interwencja pogrzebała nadzieje na potwierdzenie winy Lennox na podstawie odcisków palców, to teraz jeszcze najprawdopodobniej odkryliśmy czwartą ofiarę.

Ten dzień potoczył się zupełnie inaczej, niż spodziewała się rano.

– Jedno. Na razie – dodałem.

Gdybyśmy znaleźli jakieś podwójne kości – na przykład dwa prawe piszczele – moglibyśmy stwierdzić, że mamy do czynienia z pomieszanymi szczątkami dwóch lub więcej osób. Jak na razie jednak nic na to nie wskazywało.

– Co więcej może mi pan powiedzieć?

– Wszystkie kości są dość duże i ciężkie, mimo że oczywiście skurczyły się w ogniu. Powiedziałbym, że mamy do czynienia z mężczyzną, ale to tylko moje

pierwsze wrażenie.

– Wzrost? Wiek?

– Wie pani, że nie mogę...

– Muszę złożyć raport Ainsleyowi, a potem się wypowiadać zgrai reporterów. Proszę powiedzieć mi cokolwiek.

Zamierzałem odpowiedzieć, że za wcześnie spekulować na temat wieku i wzrostu ofiary, kiedy dopiero grzebiemy się w popiele, ale zauważyłem zmarszczki zmęczenia wokół oczu Ward.

– Prawdopodobnie dorosły mężczyzna – powiedziałem. – Na podstawie długości kości piszczelowej można przypuszczać, że był mocno zbudowany, wzrost między metr osiemdziesiąt cztery a metr osiemdziesiąt osiem. Bliższe szacunki będę mógł przedstawić po przeprowadzeniu wszystkich obliczeń, ale prawdopodobnie miał metr osiemdziesiąt z hakiem. Prawdopodobnie.

Mocno zaakcentowałem ostatnie słowo na znak, że niechętnie udzielam jej nawet takich informacji.

– Jak bardzo dorosły?

– Trudno powiedzieć.

– A w przybliżeniu?

– Tak jak powiedziałem. – Rozumiałem, że się niecierpliwi, ale naprawdę niewiele mogłem wyczytać z kilku nadpalonych kości.

– Niech panu będzie. Jeśli pan mi nie pomoże, zapytam Mearsa – rzuciła ze złością.

Obróciła się na pięcie i wyszła. Patrzyłem za nią, czując, że płoną mi policzki. Technicy starali się nie patrzeć mi w oczy. Wziąłem do ręki sito, ale zaraz znów je odłożyłem.

– Idę na przerwę – powiedziałem.

Wyszedłem z kotłowni, w duchu kipiąc z wściekłości. Nie przyjaźniłem się z Ward, ale w pracy zawsze dobrze się dogadywaliśmy. W przeszłości nie było między nami żadnych tarć, a kiedy kilka miesięcy temu pojawiło się potencjalne zagrożenie ze strony Grace Strachan, okazała autentyczną troskę. Oczywiście

rozumiałem, że stresująca sytuacja daje jej mocno w kość, ale to wcale mnie nie pocieszało – właśnie obsztorcowała mnie na oczach współpracowników. Podsycając w sobie poczucie niesprawiedliwości, ruszyłem słabo oświetlonym korytarzem. Odgłosy kroków odbijały się od wilgotnych ścian, echo odpowiadało ostrym staccato. Dopiero kiedy skręciłem za róg i zobaczyłem, że skończyło się oświetlenie, zorientowałem się, że źle poszedłem.

Korytarz przede mną ginał w ciemności. Teraz, gdy się zatrzymałem i zacząłem rozglądać po otoczeniu, ciszę zakłócał już jedynie dźwięk mojego oddechu. Gdzieś w oddali majaczyła czarna paszcza szerszego korytarza – zauważyłem przyklejoną na krzyż taśmę i uświadomiłem sobie, że to odgradzony tunel prowadzący do zburzonej kostnicy. Naprzeciwko w ścianie tkwiło wejście do starego prosektorium, nieoświetlone i ledwie widoczne w ciemności.

W zimnym powietrzu piwnicy mój oddech zamieniał się w parę i nagle z całą mocą dotarło do mnie, że jestem tu całkiem sam. Próbowałem sobie mówić, że to absurd. W kotłowni, z której dopiero co wyszedłem, pracowali technicy, a w całym budynku roiło się od policjantów. Jednak stojąc w tym ciemnym korytarzu, poczułem się tak, jakbym był jedyną osobą w całutkim szpitalu.

Kretyn, pomyślałem. Teraz to próbujesz się sam nastraszyć. Musiałem tędy przechodzić, kiedy pierwszy raz zeszedliśmy tu z Whelanem, a nawet jeśli ktoś zabrał reflektory, to miałem przecież latarkę w telefonie. Gdybym poszedł prosto, pewnie znalazłbym drogę do schodów.

Nie poszedłem jednak dalej. Zawróciłem i ruszyłem z powrotem drogą, którą tu przyszedłem, ignorując palącą chęć oglądania się przez ramię. Przyznaję to niechętnie, ale dźwięk butów chlupiących w kałużach powitałem z dużą ulgą – przyjemna odmiana po grobowej ciszy. Przyśpieszyłem kroku, tłumacząc sobie, że nie chcę tracić już więcej czasu, skręciłem za róg i prawie wpadłem na Whelana.

– Chryste, tak nie można! – powiedział i położył sobie dłoń na klatce piersiowej. – Co pan tu robi?

– Zabłądziło mi się.

Mnie też waliło serce, ale uczucie, które ogarnęło mnie koło starej kostnicy, zaczynało już słabnąć. W dalszą drogę ruszyliśmy razem.

– W kotłowni powiedzieli mi, że poszedł pan na górę, ale nie mijalem pana w drodze na dół, więc uznałem, że wybrał się pan gdzieś dalej – wyjaśnił Whelan.

– Chciałem się trochę przewietrzyć.

Zwolnił kroku.

– Słyszałem, co tam zaszło. Szefowa... jest teraz w dużym stresie. Proszę tego nie brać do siebie.

Kolejne zaskoczenie: Whelan praktycznie przeprosił mnie w imieniu Ward.

– Poważnie mówiła, że ściągnie Mearsa?

– Musiała tylko wyładować złość. Jeszcze dziś rano myśleliśmy, że Lennox to przełom w śledztwie. Tymczasem sprawa utknęła przez te pieprzone odciski palców, między innymi, a teraz jeszcze znaleźliśmy kolejną ofiarę. – Komisarz westchnął i zmienił ton. – Proszę mi wierzyć, nie pozwoli Mearsowi nawet się zbliżyć do tej sprawy.

Dotarliśmy do skrzyżowania, na którym źle skręciłem. Reflektory biegły w jedną stronę korytarzem do kotłowni, a w drugą do schodów. Zwróciłem się w stronę Whelana, ciekawy, co też miało znaczyć to ostatnie zdanie. Komisarz jednak znowu zamknął się w sobie.

– Niech pan skoczy na herbatę, a potem wraca tutaj skończyć w kotłowni. Strasznie długi ten dzień.

Z tymi słowy zostawił mnie i odszedł.

Przesianie reszty popiołów w kotle zajęło nam jeszcze kilka godzin. Po wszystkim na metalowych ściankach zostały tylko blade smugi, niczym warstewka pyłu z kredy. Wydobyte kości przewieziono do prosektorium. Następnego ranka Parekh miała poddać je sekcji, o ile w przypadku tak

niewielkich fragmentów można było mówić o sekcji. Przy odrobinie szczęścia też będę miał okazję się im bliżej przyjrzeć.

Oczywiście zakładając, że Whelan miał rację i Ward nie zleciła tego zadania Mearsowi.

Po tym, co widziałem, nie spodziewałem się, żeby kości mogły nam jeszcze wiele powiedzieć. Znaleźliśmy jednak pewien przedmiot, który mógł się okazać przydatny. Mimo braku czaszki wykopaliśmy z popiołów stopioną protezę dentystyczną – część płyty pokrywającej podniebienie, poskręcaną bryłę poczerńiałego plastiku i metalu, w której nadal tkwiły kikuty połamanych porcelanowych zębów. Po samych zębach nie było jednak śladu, a choć znalezisko było potencjalnie istotne, to bez odpowiadającej mu szczęki nie mogliśmy mieć pewności, że proteza należała do ofiary. Równie dobrze mogła zostać zgubiona czy wyrzucona przez inną osobę i tak trafić do kotła.

Nie wydawało mi się to jednak prawdopodobne. Podobnie jak kości, proteza nie uległa zniszczeniu w takim stopniu, jakiego można by się spodziewać po działaniu kotła opalanego węglem kamiennym. W wyższej temperaturze plastik by wyparował, a porcelana popękała. Tymczasem zęby raczej się połamały, niż pękły, a płytka podniebienna, choć poważnie zniekształcona, nie mogła zostać poddana działaniu tak gorącego płomienia. To sugerowało, że należała do ofiary, co mogło okazać się kluczowe przy identyfikacji zwłok.

Późno skończyliśmy pracę. Whelan miał rację: to był bardzo długi dzień. Wjeżdżając przez bramę do Ballard Court, zastanawiałem się, czy zrobić sobie późną kolację, czy zadowolić się drinkiem i pójść spać. W szpitalu zjadłem wcześniej kupną kanapkę – gnieciucha ze zwiędłą sałatą i pozbawionym smaku serem – więc skłaniałem się raczej ku opcji „burbon i łóżko”. Nagle zauważyłem jednego z sąsiadów stojącego przy swoim samochodzie.

Miejsca w garażu podziemnym przysługiwały tylko mieszkaniom od pierwszego piętra wzwyż. Pozostałe samochody stały na parkingu. Nie wiedziałem, jak się nazywa ten sąsiad, chociaż raz czy dwa się mu kłaniałem.

Teraz pochylał się przy drzwiczkach od strony kierowcy swojej terenówki, znacznie nowszej i bardziej bogato wyposażonej niż moja.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, zwalniając i opuszczając szybę.

– Jakiś gnój porysował mi lakier! – powiedział z wściekłością. – Drzwiczki z przodu i z tyłu, aż do metalu!

– Dzieciaki? – zapytałem, wspominając uwagę strażaczki w związku z podpaleniem kubłów na śmieci.

– Albo ktoś stąd. Budynek schodzi na psy, od kiedy pozwoliliśmy na podnajmowanie mieszkań. Gdybym tylko dorwał tego...

Rzuciłem jakąś ogólnikowo współczującą uwagę i pojechałem dalej. Kiedy wreszcie zaparkowałem i wjechałem windą na swoje piętro, plany na wieczór same się wyklarowały. Nalałem sobie szklaneczkę burbona, uznając, że wystarczy mi atrakcji jak na jeden dzień. Włączyłem muzykę i zapadłem się w skórzany fotel.

Ledwie zdążyłem usiąść, kiedy zadzwonił domofon.

Odrzuciłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy. Jeśli to ten sąsiad przylazł jeszcze ponarzekać... Westchnąłem ciężko, poszedłem do przedpokoju i wcisnąłem guzik domofonu. Z głośnika rozległ się głos nocnego portiera z mocnym akcentem.

– Jest tu do pana nadkomisarz Ward.

Teraz to dopiero sąsiedzi będą gadać, pomyślałem, zerkając na zegarek. Dochodziła północ, nie miałem zielonego pojęcia, dlaczego Ward postanowiła złożyć mi wizytę o tak późnej porze. Kazałem portierowi wpuścić ją na górę, otworzyłem drzwi i czekałem, nerwowo obserwując drzwi windy na końcu korytarza. Dotychczas składałem jej uwagę na temat Mearsa na karb frustracji, ale teraz zacząłem się obawiać.

Winda brzęknęła i rozsunęły się drzwi. Ward wyszła w rozpiętym płaszczu przeciwdeszczowym i z torbą zarzuconą niedbale na ramię. Kiedy zatrzymała się na progu, wyglądała na wykończoną.

– Mogę wejść czy nie chce pan ze mną gadać?

Odsunąłem się, żeby ją wpuścić. W przedpokoju zrzuciła buty.

– Boże, zapomniałam już, jaki gruby jest ten dywan. Jest chyba bardziej miękki niż moje łóżko – powiedziała, wierząc palcami stóp w puszystym włosiu.

Ward była w apartamencie zaraz po mojej przeprowadzce, żeby sprawdzić zabezpieczenia, kiedy jeszcze się wydawało, że Grace Strachan wróciła. Przeszliśmy do otwartej kuchni z jadalnią i nagle się zawstydziłem kosztownego wystroju mieszkania.

– Napije się pani czegoś? – zaproponowałem.

– Marzy mi się gin. – Uśmiechnęła się słabo. – Żartuję. W sumie to nie żartuję, ale niech będzie cokolwiek bez kofeiny. Herbatka owocowa, rumianek. Może być też woda.

– Mam chyba miętę. – Paczka herbaty ziołowej została w szafce po poprzednim właścicielu, ale uznałem, że mu nie ubędzie, jeśli zabiorę jedną torebkę.

– Idealnie. – Usiadła przy stole w jadalni, z westchnieniem opadając na krzesło. – Przepraszam, że tak późno. Akurat wracałam do domu, więc... Nie powinnam była tak na pana naskakiwać. To było nieprofesjonalne i niesprawiedliwe, chciałabym oczyścić atmosferę.

Włączyłem czajnik.

– Nie musiała się pani fatygować. Wystarczyło zadzwonić, mogła też pani poczekać do jutra.

– Chciałam to zrobić osobiście. I wolałam mieć to już z głowy. Jedna sprawa spędzająca sen z powiek mniej. – Głos miała równie zmęczony co twarz.

– Ciężki wieczór? – zapytałem.

– Ciężki dzień. A na sam koniec czekało mnie jeszcze przesłuchanie Luke'a Gorskiego, właśnie stamtąd wracam. Dowiedzieliśmy się, dlaczego się wtedy porzygał pod szpitalem.

Zamarłem z torebką herbaty w ręku.

– Niech mi tylko pani nie mówi, że miał coś wspólnego ze śmiercią swojej siostry.

– Nie, Bogu dzięki, nic w tym rodzaju. A przynajmniej nie bezpośrednio. Przyznał się, że dał Christine pieniądze na jeszcze jedną działkę przed powrotem na odwyk. Obiecała, że to ostatni raz, że potrzebuje odrobiny, żeby przetrwać do zameldowania w szpitalu. A ten kretyn jej uwierzył. No ale dzięki temu przynajmniej wiemy, skąd się wzięła w Świątym Judzie.

Przypuszczaliśmy, że Christine Gorski chciała kupić narkotyki, teraz się to potwierdziło. Nic dziwnego, że jej bratem tak to wstrząsnęło.

– Jak zareagowali na to jego rodzice?

– Mniej więcej tak, jak można by się spodziewać. – Przycisnęła dłonie do oczu. – Nie ma pan może jakichś ciastek czy kawałka czekolady? Nieważne, przepraszam.

– Mogę zrobić pani kanapkę. – Zaraz się jednak zorientowałem, że nawet z tym może być problem. Kiedy robiłem zakupy dla Loli, trzeba było przy okazji kupić też coś do domu.

– Nie trzeba, dziękuję. – Ward odsłoniła oczy i usiadła prosto, mimo zmęczenia próbując zachować profesjonalizm. – No dobrze, może pan jutro przebadać te kości z kotła?

– A co z przeszukaniem? – zapytałem, zalewając miętę wrzątkiem.

– Naszym priorytetem jest teraz uzyskanie wszelkich możliwych informacji na temat tożsamości nowej ofiary. Jeśli będziemy pana potrzebowali w szpitalu, damy znać.

Nie mogłem się powstrzymać przed wbiciem jej szpili.

– Myślałem, że weźmie pani do tego Mearsa.

Ward skrzywiła twarz w grymasie.

– W porządku, zasłużyłam sobie. Trochę się na panu wyżyłam. Pomijając wszystko inne, Mears ma swoje problemy.

Czyżby?

– Jakie na przykład?

Pokręciła głową.

– Zmieńmy temat.

Wracała jej irytacja, ale przynajmniej tym razem nie była skierowana przeciwko mnie. Podałem jej herbatę, przyniosłem sobie burbon z salonu i usiadłem przy stole.

– Naprawdę chce mi pan zrobić na złość – rzuciła Ward, wymownie wodząc wzrokiem od swojego kubka do mojej szklanki.

– Gdybym wiedział, że pani przyjdzie, nie nalewałbym sobie. – Pociągnąłem łyk i odstawiłem szklankę. – Co z Garym Lennoxem?

– Próbują go ustabilizować. Ma arytmie serca, uszkodzone nerki i wątrobę, płyn w obu płucach, jest niedożywiony i odwodniony. Lekarze uważają, że miał przynajmniej jedno poważne zdarzenie neurologiczne, tak się na to mówi w ich żargonie, a może nawet więcej, ale nie mają jeszcze pewności. Jutro będą robić dodatkowe badania, ale jest jakieś zamieszanie z dokumentacją medyczną.

– Jakie zamieszanie? – Whelan wspominał, że Oduya próbował uniemożliwić policji wgląd w akta Lennox, ale lekarze przecież musieli mieć do nich dostęp.

– Podobno są jakieś luki. Wiadomo, że w wieku dziewiętnastu lat u Lennox zdiagnozowano wadę serca, ale lekarze mówią, że nie mogą znaleźć w aktach potwierdzenia udaru albo czegoś w tym stylu. Żadnego pobytu w szpitalu, leczenia, nic. Można by pomyśleć, że przez ostatnie trzy lata nie był nawet u internisty.

– To niemożliwe.

– Rzeczywiście trudno w to uwierzyć. Jeszcze sprawdzają, ale zaczynamy podejrzewać, że w ogóle nie był w szpitalu. Wygląda na to, że cokolwiek mu się stało, matka nikomu nie powiedziała. Postanowiła sama się nim opiekować. – Ward pokręciła głową, być może podświadomie kładąc rękę na brzuchu. – To dopiero matczyna miłość, prawda?

Boże, pomyślałem zszokowany. Jeśli to prawda, to Lennox musiał cierpieć jeszcze bardziej, niż sądziłem. Widziałem, z jaką desperacją jego matka próbowała nie dopuścić do odebrania jej dziecka, ale nie przypuszczałem, że posunęła się aż tak daleko. Oznaczało to także, że nie mieliśmy szans

zweryfikować alibi, które zapewniła synowi: musieliśmy wierzyć jej na słowo, że Gary był przykuty do łóżka w chwili zaginięcia Darrena Crossly'ego.

– Powiedziała coś? – zapytałem.

– Nic, co nadawałoby się do druku. Nadal odmawia współpracy oraz zgody na pobranie odcisków palców. I jego, i jej. Możliwe, że po prostu jest ekscentryczna, ale zaczynam się zastanawiać, czy nie chodzi o coś więcej. Sama ewidentnie nie dałaby rady zbudować ściany, ale może wie więcej, niż myśleliśmy. Skoro uniemożliwiła synowi dostęp do niezbędnej pomocy medycznej, to strach pomyśleć, do czego jeszcze byłaby zdolna.

Też wolałem o tym nie myśleć. Ale trudno mi było uwierzyć, żeby Lola z egoizmu ryzykowała życie syna.

– Ciągłe wydaje się pani przekonana, że Lennox jest winny.

Ward wzruszyła ramionami.

– Im więcej się dowiadujemy, tym bardziej podejrzany się wydaje. Sprawdzaliśmy znajomych Darrena Crossly'ego i chyba mamy tożsamość kobiety, z którą go zamurowano. Spotykał się od czasu do czasu z niejaką Marią de Souza, która prawdopodobnie też zniknęła. Nie zgłoszono zaginięcia, ale nie miała pracy i pomieszkiwała to tu, to tam, więc możliwe, że nikt nie zauważył. Wiemy, że czasem zatrzymywała się u Crossly'ego, ostatni raz widziano ich razem. Niewykluczone, że zaginęli też razem. Nie była karana, co by tłumaczyło, dlaczego nie udało nam się znaleźć odcisków palców ofiary w naszej bazie.

– Skoro to nie był poważny związek, to może Lennox w ogóle jej nie znał?

Ward uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Przepraszam, zapomniałam o tym wspomnieć, prawda? De Souza była sprzątaczką w szpitalu Świętego Judy. Przepracowała tam pięć lat, aż do zamknięcia. Jeśli uda nam się potwierdzić, że to ona jest tą kobietą znaną z Crosslym, wychodzi na to, że Lennox znał obie ofiary. Jeśli dodamy do tego zwolnienie z powodu brakujących leków i wyrok Darrena Crossly'ego za posiadanie marihuany, zaczyna się rysować wyraźny obraz.

Znowu Święty Juda. Wszystko zdawało się kręcić wokół tego miejsca.

– Myśli pani, że cała trójka handlowała narkotykami i się posprzecjali?

– Myślę, że „posprzecjali się” to mało powiedziane, ale tak. A Christine Gorski może akurat przysłała kupić działkę i oberwała rykoszetem. Tylko że...

– Tylko że co? – podchwyciłem.

Smętnie pokręciła głową.

– Sama nie wiem. Lennox nie pasuje do profilu. Jaki diler po trzydziestce mieszkałby z mamusią?

– I nie miałyby w domu nic podejrzanego, tylko komiksy i gazetki ornitologiczne.

– Jack już panu o tym wspominał, co? – Ward znowu się uśmiechnęła, ale zaraz spoważniała. – No dobra, możliwe, że Lennox miał jakąś inną metę albo schowek, o którym nie wiemy. Mogłabym nawet uwierzyć, że przez cały ten czas udawało mu się nie zwracać na siebie uwagi policji. Ale ciągle coś mi nie gra. Oprócz tego zwolnienia z pracy nic nie wskazuje na to, że mógłby być dilerem, a tym bardziej brutalnym sadystą. Opieka społeczna miała go w aktach, jeszcze z czasów dzieciństwa. Chłopak był duży, ale brakowało mu pewności siebie, miał trudności z nauką. W szkole go prześladowali, mało brakowało, a trafiłby do adopcji, bo podejrzewano, że ojciec się nad nim znęca.

– Lola też mi to mówiła. Nie o adopcji, o mężu – powiedziałem. Chociaż Lola ujęła to dosadniej. „Kawał sukinsyna. Nawet na trzeźwo traktował Gary’ego jak gnój, a po pijaku jeszcze gorzej”.

– W takim razie przynajmniej na ten temat nie kłamała – stwierdziła Ward. – Z wszystkich źródeł wynika, że z Patricka Lennox’a było niezłe ziółko. Pracował na kontenerowcach, pływał do Ameryki Południowej, więc rzadko bywał w domu. Ale kiedy już się pojawiał, to lubił sobie popić i miał ciężką rękę. Zwłaszcza na syna. Trwało to aż do czasu, kiedy ich zostawił Gary miał szesnaście lat.

To również zgadzało się z wersją Loli.

– Gdzie on teraz jest?

– Chyba za granicą. Nie udało nam się go namierzyć, ale nie wyobrażam sobie, że mógłby mieć jakiś związek z tą sprawą. Ewentualnie w sensie formacyjnym.

– Chodzi o to, że ofiary przemocy często same zaczynają stosować przemoc?

Ward wzruszyła ramionami.

– Wiadomo przecież, że tak się czasem zdarza. Ludzie się zmieniają, a fakt, że Lennox dwadzieścia lat temu dręczono, nie oznacza, że nie mógłby później robić tego samego. Może miał żal.

– To dopiero mało powiedziane – zauważyłem.

– Wie pan, o co mi chodzi. No nic, na mnie już czas. – Wypiła zawartość kubka do dna i dźwignęła się ciężko na nogi. – Dziękuję za herbatę. Na przyszłość radzę sprawdzić, co właściwie jest w tym pudełku.

– To nie była mięta?

– Cokolwiek to było, smakowało wybornie – odparła z uśmiechem.

– Co teraz będzie z Lolą? – zapytałem już w przedpokoju, kiedy Ward wkładała buty.

– Na razie nie wiadomo. Może się spodziewać zarzutów krytycznego zaniedbania, jeśli się okaże, że uniemożliwiła synowi dostęp do opieki medycznej. Ale wiele zależy od tego, jak się potoczy sprawa odcisków palców.

– Możecie bez tego postawić zarzuty Gary’emu Lennoxowi?

– Nie, ale może uda nam się to jakoś obejść – odparła enigmatycznie. – Miałam nadzieję namówić pańskiego kumpla Oduę, żeby przekonał Lolę, że udzielenie zgody leży w ich najlepszym interesie. Udowodnienie niewinności i tak dalej. No ale teraz już nic z tego.

– On nie jest moim kumplem – westchnąłem i dopiero po chwili dotarły do mnie jej ostatnie słowa. – Czemu nic z tego?

– Bo Loli kumplem też już nie jest – wyjaśniła Ward, kiedy otwierałem jej drzwi wyjściowe. – Zwolniła go dziś po południu.

ROZDZIAŁ 23

Po chwilowym powrocie słońce znowu się poddało. Następnego ranka przez całą drogę do kostnicy reflektory samochodu oświetlały mokre od deszczu, ponure ulice, choć już dawno powinno było się zrobić jasno. Wyjechałem wcześniej, niż było to konieczne. Umówiłem się z Parekh na sekcję kości znalezionych w kotle, ale przedtem musiałem coś jeszcze załatwić.

Malutkie kości płodu Christine Gorski moczyły się już od wielu dni. Każdego ranka zaglądałem do prosektorium, żeby sprawdzić postęp i zmienić wodę. Już na początku było na nich niewiele tkanki miękkiej, a teraz nawet te resztki odmokły. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby je zbadać, ale wiedziałem, że Ward bardziej zależało na raporcie z analizy spalonych szczątków z kotła. Szkielecik dziecka musiał poczekać.

Kiedy ostrożnie wyjmowałem maleńkie kosteczki z wody, nagle uderzyło mnie, jak smutna jest ich kruchość i delikatność. Niektóre były tak drobne, że dało się je ująć jedynie pęsetą. Gołym okiem niemal nie było widać włoskowatych pęknięć kości obu przedramion, ujawnionych na prześwietleniu. Mimo to przyglądałem się uważnie. Być może były one spowodowane przez padlinożerców albo – co bardziej prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę ich subtelny charakter – przeniesienie zmumifikowanego ciała matki w inną część strychu.

Tak czy inaczej, były niemal niewidoczne – niewyraźne linie na białej powierzchni. Włożyłem kości do czystej wody i wyszedłem.

Odprawa przed sekcją przypalonych kości z kotła nie trwała długo. Mieliśmy do analizy tylko lewy piszczel, prawą rzepekę, łopatkę, garstkę żeber i paliczków z dłoni i stóp, a więc niewiele roboty dla patologa sądowego, z czego Parekh

najwyraźniej świetnie zdawała sobie sprawę – wpadła do sali odpraw i rzuciła nonszalancko:

– Dobry, dobry, zaczynajmy, nie ma chyba na co czekać?

Sama odprawa była tylko formalnością i wkrótce wychodziliśmy z sali. Parekh akurat znalazła się koło mnie.

– Widział pan ostatnio swojego kolegę po fachu? – zapytała.

Nie zrozumiałem, o kim mowa.

– Kogo?

– No raczej nie chodzi mi o psa od wywąchiwania zwłok. Mam na myśli naszego szanownego tefonoma, Daniela Mearsa.

Nie widziałem go od czasu, kiedy przyjechałem do kostnicy w odpowiedzi na telefon z prośbą o pomoc. Powinien już kończyć, a skoro Ward groziła, że sprowadzi go do zbadania przypalonych kości, to najwyraźniej musiał jeszcze być pod ręką.

– Nie widziałem go dobrych kilka dni. A dlaczego?

– Tak tylko pytam. – Na chwilę zatrzymała przenikliwy wzrok na moich oczach. – Skoro już pan tu jest, to pomyślałam, że mógłby pan do niego zajrzeć i zorientować się, jak mu idzie.

Wyszła na korytarz, a ja ruszyłem za nią, zastanawiając się, co też mogła mieć na myśli. Poprzedniego wieczoru Ward równie enigmatycznie wspomniała o kłopotach Mearsa. Zakładałem, że chodzi o potwierdzenie tożsamości kobiety znalezionej razem z Crosslym, domniemanej Marii de Souzy, na podstawie dokumentacji medycznej czy stomatologicznej.

Ale przecież nie powinien potrzebować asysty w takiej sprawie. A nawet gdyby, to już raz się sparzyłem na udzielaniu mu pomocy. Parekh o tym nie wiedziała, ale ja nie zamierzałem powtarzać błędu. W jakiegokolwiek tarapaty wpadł Mears, tym razem musiał sobie sam poradzić.

Sekcja przebiegła rutynowo, co było do przewidzenia. Prześwietlenia nie wykazały żadnych zrośniętych złamań, które można by wykorzystać w celu identyfikacji, a reszta badań potwierdziła moje wstępne obserwacje z miejsca

zbrodni. Spory rozmiar próbek, na przykład łopatki, wskazywał na słuszną posturę ofiary, sugerując płć męską, choć bez stuprocentowej pewności. Na podstawie pomiarów kości piszczelowej uściśliłem wstępne szacunki wzrostu – około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów. Niemniej ten wynik również nie był jednoznaczny: chociaż piszczel jest przydatną wskazówką przy określaniu wzrostu, w obliczeniach powinno się brać pod uwagę także długość innych kości.

Nic więcej nie mogłem jednak zrobić. Ani ja, ani Parekh nie mieliśmy też żadnych podstaw, żeby choć spróbować zgadnąć przyczynę zgonu. Mimo że dwa wykopane z popiołu fragmenty żeber musiały się odłamać w wyniku urazu, nie dało się stwierdzić, czy jakoś się przyczyniły do śmierci. Oba żebra złamały się ukośnie – typowy uraz spowodowany upadkiem, kość pękała na dwie części, tworząc ostrą jak nóż krawędź. Tego typu uraz mógł być śmiertelny, gdyby ostra kość przebiła serce, przecięła tętnicę albo nawet przedziurawiła płuco, chociaż to ostatnie miałyby mniej natychmiastowe konsekwencje.

Problem w tym, że nie mogłem stwierdzić, co tak naprawdę zaszło. Do urazów mogło równie dobrze dojść po śmierci. Jedyne, co mogłem stwierdzić z całkowitą pewnością, to fakt, że żebra pękły jeszcze przed spaleniem ciała. Krawędzie złamania były tak samo czarne jak reszta kości – niezawodny znak, że były wystawione na działanie ognia. Gdyby do uszkodzenia doszło później – na przykład podczas wyjmowania kruchych szczątków z kotła – w miejscu pęknięcia widać by było bladą, nietkniętą ogniem kość.

Mimo wszystko odkryłem kilka interesujących faktów. Po ostrożnym oczyszczeniu kości z sadzy zauważyłem oznaki umiarkowanego zużycia na głowie piszczela i wewnętrznej stronie rzepki. Potwierdzał to stan paliczków: miałem przed sobą szczątki osoby dorosłej, u której widać już było wczesne zmiany zwyrodnieniowe w stawach, ale nie tak zaawansowane jak u kogoś w podeszłym wieku.

– Na tej podstawie szacowałbym wiek na okolice trzydziestki, czterdziestki – powiedziałem Whelanowi, bo Ward wyszła zaraz po sekcji, wezwana na kolejną

naradę do Ainsleya. Cienie pod oczami komisarza świadczyły o tym, że i on późno się wczoraj położył.

– Jak bardzo jest pan pewny tego wzrostu?

– Wolałbym opierać się na więcej niż jednej kości, ale długość piszczela jest zwykle dość wiarygodna. A czemu, macie jakieś podejrzenia, kto to może być?

– Może. – Przez chwilę zastanawiał się chyba, ile powinien powiedzieć, ale w końcu wzruszył ramionami. – Ciągłe sprawdzamy znajomych Darrena Crossly’ego, zwłaszcza byłych pracowników ze Świętego Judy. Oprócz Marii de Souzy znaleźliśmy jeszcze kogoś, czyj rysopis mniej więcej pasuje do tego, co powiedział nam pan dotychczas o szczątkach z kotła. Nazywał się Wayne Booth, pracował z Crosslym jako salowy. Czterdzieści pięć lat, samotny, metr osiemdziesiąt wzrostu, mocnej budowy.

Całkiem blisko moich szacunków, ale jednak nieco zbyt daleko.

– Czterdzieści pięć to górna granica, chociaż mógłby się załapać. Ale spodziewałbym się kogoś wyższego o jakieś pięć centymetrów. Kiedy zaginął?

– Jedenaście miesięcy temu.

Siedem miesięcy po tym, jak według Loli jej syn dostał udaru, a także sporo czasu po zniknięciu Darrena Crossly’ego, Marii de Souzy i Christine Gorski. Whelan jednak uprzedził mój sprzeciw.

– Nadal nie wiemy na pewno, od kiedy Lennox jest przykuty do łóżka, mamy na to tylko słowo jego matki, a po tym, czego się o niej dowiedzieliśmy, nie ufam jej za grosz. Sam pan zresztą powiedział, że ten wiek i wzrost to tylko przybliżone szacunki. Bez urazy, ale ile można wyczytać z piszczela i rzepki?

Miał sporo racji. Zwykle szczyliłem się wysoką precyzją moich wyliczeń, ale nie zamierzałem przedkładać dumy nad fakty.

Mimo to nie byłem do końca przekonany.

– Co jeszcze o nim wiadomo?

Whelan wyszczerzył się od ucha do ucha.

– To jest najlepsze. Po zamknięciu szpitala, kiedy stracił posadę salowego, zatrudnił się jako ochroniarz. Niech pan zgadnie gdzie.

– Chyba pan żartuje. W Świętym Judzie?

– Robił za nocnego stróża, uwierzy pan? Nie trwało to długo, bo parę miesięcy później uznali, że nie potrzeba ochroniarzy, wystarczą atrapy kamer monitoringu. Moim zdaniem Booth wysuwa się na prowadzenie w gronie kandydatów na zwłoki z kotła.

– Miał protezę dentystyczną? – zapytałem, bo przypomniała mi się zwęglona bryłka plastiku i drutu z resztkami porcelanowych zębów, którą wygrzebaliśmy z popiołu.

Whelan z frustracją pokręcił głową.

– W rysopisie nie ma o tym mowy. Próbujemy ustalić, czy chodził do jakiegoś dentysty w okolicy, ale na razie nic nie znaleźliśmy.

Typowa sytuacja. Nie istnieje żadna ogólnokrajowa baza danych stomatologicznych, więc za każdym razem trzeba pielgrzymować po gabinetach, z nadzieją, że trafi się na ten właściwy. Zdarza się, że policja musi się uciekać do zamieszczania ogłoszeń w czasopismach dla branży dentystycznej.

Tak czy inaczej, był to potencjalnie ważny trop. Darrena Crossly'ego już zidentyfikowano; wyglądało na to, że jego dziewczyna Maria de Souza mogła być kobietą znaną z nim za ślepą ścianą. Mimo moich zastrzeżeń co do wieku i wzrostu zaginiony Wayne Booth – nie dość, że były salowy w szpitalu Świętego Judy, ale do tego stróż nocny już po jego zamknięciu – pasował na ostatnią ofiarę.

Aż kusilo, żeby połączyć te wszystkie wątki w zgrabny splot – założyć, że Lennox był zamieszany w kradzież leków ze szpitala i ich późniejszą sprzedaż razem z pozostałą trójką, a pewnego dnia zwrócił się przeciwko współnikom, zabił ich i ukrył ciała w starym szpitalu. Nawet Christine Gorski pasowała do takiego scenariusza: dostała od brata pieniądze na ostatnią działkę, poszła do Świętego Judy po narkotyki i przypadkiem wmieszała się w sytuację, w której wyniku sama została zamordowana.

Jednak choć niewątpliwie kuszące, takie wytłumaczenie sprawy opierało się na czystych domysłach. A jeśli nie będzie podstaw do oskarżenia Gary'ego

Lennox, to i cała teoria posypie się jak domek z kart.

Pracowałem aż do pory obiadu. Whelan już dawno wyszedł, podobnie jak Parekh. Teoretycznie ja też mogłem skończyć wcześniej. Już w trakcie sekcji miałem szansę przyjrzeć się kościom. W przeciwieństwie do szczątków pokrytych ciałem te były zbyt delikatne, żeby ryzykować odmaczanie w wodzie, a zresztą i tak nie trzeba było ich czyścić, wystarczyło delikatne przetarcie szczotką. Większość powierzchni stawowych była widoczna od początku, a nieliczne zwęglone kawałki tkanki miękkiej albo odpadły razem z sadzą, albo były zbyt małe, żeby się nimi przejmować.

Nie dawało mi jednak spokoju to, co Whelan powiedział mi o Wayne Boocie. Były salowy i ochroniarz ze szpitala wydawał się świetnym kandydatem na właściciela kości znalezionych w kotle, ale nie podobały mi się rozbieżności między jego wiekiem i wzrostem a moimi obliczeniami. Bynajmniej nie twierdziłem, że takie szacunki są zawsze precyzyjne – istotną rolę odgrywały na przykład geny czy styl życia, u jednych stawy starzały się szybciej niż u innych. Nie każdy miał też kończyny idealnie proporcjonalne do reszty ciała.

Niemniej nie podobało mi się, że aż tak się pomyliłem. Przez kilka godzin ślęczałem więc bezowocnie nad kośćmi, kilkakrotnie sprawdzając obliczenia, żeby stwierdzić, czy na pewno czegoś nie przeoczyłem za pierwszym razem.

Niczego takiego nie znalazłem.

W końcu uznałem, że nic więcej nie zdziałam, i zrobiłem sobie przerwę na obiad. Dość późny, uświadomiłem sobie, kiedy spojrzałem na zegarek. Kości trzeba było jeszcze oczyścić przed zapakowaniem do pudeł, została mi też do analizy proteza zębowa. Prędzej czy później zajmie się nią stomatolog kryminalistyczny, ale chciałem sam rzucić jeszcze okiem.

Mogło to jednak poczekać, przerwa nie zaszkodzi. Nie wziąłem z domu niczego na obiad, a w kostnicy nie było żadnej stołówki czy barku, więc ruszyłem na poszukiwanie czegoś do zjedzenia. W okolicy nie było sklepów, ale

kiedyś jadłem w pobliskim pubie, który znajdował się zaledwie pięć minut drogi spacerem od kostnicy.

Od rana pogoda wcale się nie poprawiła. Nadal było szaro i ponuro, a zawieszona w powietrzu mżawka przenikała chłodną wilgocią do szpiku kości. Stojący dwie przecznice dalej pub był urządzone w kiczowatym stylu, z Londynem jako motywem przewodnim. W zatłoczonym lokalu zapach wilgotnych kurtek i płaszczy mieszał się z aromatami piwa i gorącego jedzenia. Klientela składała się głównie z prawników z pobliskiej siedziby sądu, rozmowy prowadzone pewnym siebie tonem i z akcentem z wyższych sfer tworzyły hałaśliwą ścieżkę dźwiękową. Zamówiłem przy barze kanapkę i kawę, po czym rozejrzałem się za stolikiem. Większość była zajęta, ale w kącie zauważyłem wolne krzesło. Ostrożnie, żeby nie rozlać kawy, ruszyłem w tamtą stronę. Przy stoliku już ktoś siedział, ale dopiero kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem kto.

Mears.

Tafonom był ostatnią osobą, z którą chciałem zjeść posiłek. Nie było jednak innych wolnych miejsc, a kiedy tak stałem, wahając się, on podniósł wzrok i mnie zauważył. Po jego minie poznałem, że podziela mój wątpliwy entuzjazm w kwestii dzielenia stolika, ale na tym etapie nie mieliśmy większego wyboru.

– Ktoś tu siedzi? – zapytałem, wskazując puste krzesło.

Nie odpowiedział od razu, jakby zastanawiał się, czy nie skłamać, ale w końcu wzruszył obojętnie ramionami.

– Nie.

Miał przed sobą niedojedzoną kanapkę i duże piwo. Obok stała druga szklanka, pusta, a kiedy siadłem, pośpiesznie odsunął ją jak najdalej, jakby się od niej odcinając.

– Co słytać? – zapytałem, żeby przerwać niezręczne milczenie.

– W porządku. – Znowu wzruszenie ramion. – Jakoś leci. Wszystko dobrze.

Sprawiał wrażenie skrepowanego, wbijał wzrok w rękę, którymi obracał szklankę z piwem. Wydawało mi się, że najchętniej wypiłby je do dna. Rozejrzałem się po tłumie wypełniającym pub, żeby się upewnić, że nikt nie

może nas podsłuchać. Niepotrzebnie – w tym zgiełku ledwie słyszeliśmy się nawzajem.

– Ward zleciła panu identyfikację? – zapytałem, na wszelki wypadek i tak zniżając głos. Nie wyjaśniłem, czyją identyfikację mam na myśli, wiedział przecież, że chodzi o Marię de Souzê.

– Kto panu tak powiedział?

– Nikt. Sam się domyśliłem. – Boże, facet był naprawdę strasznie drażliwy. Miałem nadzieję, że nie będę musiał długo czekać na kanapkę.

– Aha. No tak. Tak, właśnie, eee, właśnie nad tym pracuję.

Pociągnął łyk piwa, wychylając prawie pół szklanki. Ward wspominała coś o problemach, również Parekh rzuciła zawołowaną aluzję. Teraz sam widziałem, że coś najwyraźniej jest nie tak, ale tarapaty Mearsa to nie moja sprawa. Nie jestem jego niańką. Powtarzając to sobie w myślach, popatrzyłem na tę jego absurdalnie młodą twarz i z trudem powstrzymałem się przed westchnieniem.

– Wszystko dobrze? – zapytałem.

– A dlaczego miałoby nie być?

– Chciałem się tylko upewnić. Kiedy ostatnio się widzieliśmy...

– Wszystko w porządku! Mam po prostu dużo do roboty. Może gdyby Ward nie dokładała mi kolejnych zadań, zanim nie skończę poprzednich, to...

Ugryzł się w język, policzki płonęły mu żywą czerwienią. Znowu to samo, pomyślałem z rezygnacją.

– Potrzebuje pan może drugiej opinii? – zapytałem cicho.

Przygryzł wargę i zaczął gęsto mrugać, gapiąc się na szklankę z piwem.

– Nie mogę...

– Kanapka z serem?

Przy stoliku zatrzymała się młoda kobieta z talerzem w ręku. Przywołałem na twarz życzliwy uśmiech.

– Dziękuję.

Kiedy serwowała mi danie, Mears wbijał wzrok w kolana. Zaczekałem, aż kelnerka odejdzie.

– Słucham?

Chwila jednak przepadła.

– Nieważne – wymamrotał.

Wstał, jednym haustem opróżnił szklanę, po czym przecisnął się obok stolika, potrącając go, tak że kawa wychlupnęła mi z filiżanki na spodek.

– Proszę poczekać – powiedziałem, ale Mears już przepychał się przez stłoczoną klientelę w stronę wyjścia. Szturchnął po drodze jakiegoś korpulentnego mężczyznę w prążkowanym garniturze, prawie wylewając mu picie.

– Drodzy panowie, właśnie z takim zachowaniem mamy do czynienia w dzisiejszych czasach – oznajmił, posyłając za nim wrogie spojrzenie.

Mears chyba niczego nie zauważył.

ROZDZIAŁ 24

Nie siedziałem w pubie długo, zjadłem tylko kanapkę i wyszedłem. Mżawka nie ustawała, przechodnie przemykali mokrymi chodnikami żałośnie zgarbieni, ze spuszczoneymi głowami. Chociaż było dopiero popołudnie, dzień zdawał się już pędzić ku nocy. W takie dni zastanawiałem się, dlaczego mieszkam w tym mieście. Raz już się wyprowadziłem, zamieniłem zakorkowane ulice i londyński beton na malutkie miasteczko w Norfolk, gdzie jesienna aura zdawała się przynajmniej częścią naturalnego cyklu pór roku. Tutaj była po prostu paskudna i tyle.

Wiedziałem jednak, że w jakimś stopniu na moją perspektywę wpłynęło spotkanie z Mearsem. Stałem na chodniku, czekając na zielone światło, i znowu zacząłem się zastanawiać, o co mu chodzi. Śledztwa rzadko przebiegały zupełnie gładko, w tej pracy trzeba było się liczyć z nieprzewidzianymi zdarzeniami. Młody tafonom dysponował niezbędnymi umiejętnościami, więc nie powinien mu zbytnio przeszkadzać brak doświadczenia. Musiał tylko się do niego przyznać, przede wszystkim przed sobą samym.

Obawiałem się jednak, że sprawę komplikuje wybujałe ego Mearsa. W połączeniu z absolutnym brakiem odporności na presję dawało to mieszankę wybuchową. Pytanie tylko, czy powinienem w związku z tym coś zrobić, a jeśli tak, to co.

Kiedy przechodziłem przez ulicę, zadzwonił telefon. Szybko schroniłem się pod sklepową markizą, żeby odebrać, i zauważyłem na wyświetlaczu nieznaną numer. Natychmiast jednak rozpoznałem głos, który odezwał się w słuchawce.

– Doktor Hunter? Mówi Adam Oduya. Może pan teraz rozmawiać?

Nawet nie pytałem, skąd wziął mój numer: jak sam wspominał, miał swoje źródła.

– Czy to ma jakiś związek z dochodzeniem?

– Nie, daję panu słowo. To zupełnie inna sprawa.

Spojrzałem na kapiące z markizy krople mżawki, a raczej już porządnego deszczu.

– Słucham.

– Wspomniałem panu, kiedy ostatnio się widzieliśmy, że chcę z panem o czymś porozmawiać. Nie ma to nic wspólnego ze Świętym Judą, obiecuję. Zastanawiałem się, czy jest pan może wolny dziś po południu, żeby omówić tę sprawę?

Przetarłem oczy. Po spotkaniu w pubie z Mearsem nie miałem nastroju na użeranie się jeszcze z Oduyą. Ale czułem, że nie powinienem odsyłać go z kwitkiem. Nawet jeśli nie zgadzałem się z jego metodami, to już jego motywacjom nie można było niczego zarzucić.

– O co chodzi? – zapytałem ostrożnie.

– Jaki jest pana stosunek do pracy pro bono?

Zdarzało mi się udzielać bezpłatnych konsultacji, ale wszystko zależało od charakteru sprawy. Zwłaszcza że tu miałem do czynienia z Oduyą.

– Musi mi pan powiedzieć coś więcej.

– Próbuję złożyć apelację w imieniu człowieka, którego dziesięć lat temu skazano za zabójstwo, a ja jestem niemal przekonany o jego niewinności. Sądzę, że dowody są wadliwe, zwłaszcza domniemana przyczyna obrażeń ofiar. Chciałbym, żeby przejrzał pan akta i wydał opinię.

Zawahałem się, wciąż sceptyczny.

– Rozumiem pańskie wątpliwości – ciągnął Oduya, niemal słyszałem cierpki uśmiech w jego głosie. – Oczywiście nie chce pan zrobić niczego, co mogłoby negatywnie wpłynąć na pańską współpracę z policją. Daję panu jednak słowo, że nie ma takiego zagrożenia. Zamierzałem zaczekać, aż sprawa Świętego Judy trochę ucichnie, ale mój klient już dwa razy próbował popełnić samobójstwo,

a jego bliscy się martwią, że znów to robi. Nie są zbyt zamożni, ale jeśli o to chodzi, to mogą spróbować załatwić panu niewielkie wynagrodzenie, przynajmniej pokrycie kosztów?

– To nie jest kwestia pieniędzy. Wolałbym po prostu wiedzieć coś więcej, zanim się zadeklaruję.

– Oczywiście. Dlatego właśnie chciałem się z panem spotkać i omówić szczegóły.

Deszcz kapał mi z markizy na kark. Schowałem się głębiej, jednocześnie zastanawiając się, co zostało mi do zrobienia. Niezbyt wiele, ale chciałem jeszcze dokładniej obejrzeć nadpaloną protezę wyłowioną z kotła.

– Po południu nie dam rady – powiedziałem.

– No to wieczorem. Gdzie i kiedy panu pasuje?

Nadal byłem rozdarty, ale ciekawość wzięła górę.

– Mógłbym się z panem spotkać po pracy. Jestem w kostnicy przy Carlisle Street...

– Koło sądów – dokończył. – Znam tę okolicę. Spędzałem tam sporo czasu, kiedy jeszcze prowadziłem praktykę adwokacką. Niedaleko do stacji metra, a w pobliżu jest pub, Plume of Feathers. Umówmy się tam, powiedzmy o siódmej?

W tym samym pubie wpadłem właśnie na Mearsa. Ale był rzeczywiście dogodnie położony, a do wieczora spokojnie się wyrobię z pracą. Sądziłem, że Oduya na tym poprzestanie, ale jeszcze nie skończył.

– Wie pan może, jak się miewa Gary Lennox? – zapytał.

– Myślałem, że nie będziemy rozmawiać o Świętym Judzie.

– Nie rozmawiamy o sprawie, chcę się tylko dowiedzieć, jak jego zdrowie. Pewnie pan słyszał, że już nie reprezentuję Gary'ego i jego matki.

– Co się stało? – Ward wspominała, że Oduyę zwolniono, ale nie mówiła dlaczego.

– Lola zmieniła zdanie i zdecydowała się na obrońcę z urzędu. Uznała, że lepiej się będzie czuła z... Cóż, z kimś bardziej tradycyjnym.

Zdążyłem poznać Lolę na tyle, że niespecjalnie mnie to zaskoczyło. Nie widziałem też nic złego w przekazaniu Oduyi informacji o stanie zdrowia jej syna.

– Z tego, co słyszałem, nie najlepiej z nim.

– Przykro mi to słyszeć. Niezależnie od rezultatu śledztwa to niewesoła sytuacja.

Owszem, miał rację.

– Rodzice Christine Gorski o tym wiedzą?

– Że próbowałem pomóc niepełnosprawnemu mężczyźnie i jego matce staruszce? – W głosie Oduyi pobrzmiwało raczej znużenie niż gniew. – To żadna tajemnica. Nie występowałem w charakterze adwokata Sandry i Tomasa, więc nie ma tu konfliktu interesów.

Odsunąłem się na bok, żeby wpuścić klientów do sklepu.

– Myślałem raczej o pokrzyżowaniu szyków policji, która była już blisko ujęcia zabójcy ich córki.

– Jeśli ma pan na myśli poinformowanie matki Gary’ego Lennox o ich prawach, to znów nie ma tu żadnej sensacji. Cokolwiek zrobił jej syn, albo czego nie zrobił, ma takie same prawa jak pan czy ja. Jeśli policja ma podstawy do postawienia zarzutów, proszę bardzo. Nie zamierzam jednak stać z założonymi rękami, kiedy wykorzystuje się czyjąś słabość albo niewiedzę. Dość już się w życiu naoglądałem nadużyć wymiaru sprawiedliwości.

– A sprawiedliwość dla ofiar i ich rodzin?

– To wszystko się łączy. I proszę się tu nie wywyższać moralnie, obu nas pan obraża. Siedziałem obok matki, która dowiedziała się właśnie, że jej ciężarna córka od ponad roku leżała martwa w opuszczonym szpitalu. Niech mi pan wierzy, mnie również zależy na złapaniu winnego. Mamy po prostu inne metody. – W jego głosie pojawiła się nagle nutka rozbawienia. – Ale tak swoją drogą, jak na kogoś, kto nie chciał rozmawiać o szpitalu Świętego Judy, niezbyt dobrze panu idzie.

Miał rację. Nie zamierzałem dać się wciągnąć w dyskusję. Rozłączyłem się i schowałem telefon, zły na samego siebie. Dopóki policja nie zdoła zebrać wystarczających dowodów, żeby albo postawić Gary’emu Lennoxowi zarzuty, albo wykluczyć go z grona podejrzanych, śledztwo będzie trwało w zawieszeniu. Chociaż czułem się winny otwarcia tej konkretnej puszkii Pandory, teraz nie mogłem już nic zrobić. Sprawie na pewno nie pomogą debaty z Odują.

Dopiero kiedy wyszedłem spod markizy na deszcz, zacząłem się zastanawiać, czy z taką właśnie intencją zapytał mnie o zdrowie Gary’ego Lennox. Wracając szybkim krokiem do kostnicy, nakazałem sobie w myślach ostrożność podczas wieczornego spotkania z Odują.

Fragmient protezy był w opłakanym stanie. Pod działaniem wysokiej temperatury stopiły się akrylowe elementy, a metal odkształcił podczas nieostrożnego wygrzebywania szczątków z kotła. Ogień nie był wystarczająco gorący, żeby porcelanowe zęby popękały, ale coś – prawdopodobnie cios czy innego rodzaju uderzenie – odłupał je tuż przy linii sztucznych dziąseł. Nie znaleźliśmy wśród popiołów połamanych zębów, więc musiało się to stać przed umieszczeniem ciała w kotle. Oznaczało to również, że jeśli nawet policji uda się namierzyć dentystę Wayne’a Booth’a i ustalić, że nosił protezę, to porównanie jej z tą zniekształconą może nie być takie proste. Nie wiedziałem, czy w ogóle byłoby to możliwe.

Stomatolog kryminalistyczny lepiej by sobie poradził. Mimo to udało mi się wyczytać z protezy kilka rzeczy. Stopiona płytką pokrywałaby czyjeś podniebienie, a więc miałem do czynienia z protezą górną. Z kolei po kształcie resztek porcelanowych zębów rozpoznałem cztery siekacze i prawy kieł. Spora luka w uzębieniu. Brak jednego zęba czy dwóch można by złożyć na karb próchnicy czy zapalenia dziąseł, ale brak pięciu przednich wskazywał na inną przyczynę.

Zostały wybite.

To nie musiało oznaczać pobicia. Jeden mój znajomy wybił sobie prawie wszystkie przednie zęby w wypadku rowerowym. Zdecydował się na implanty zamiast protezy, ale to droga i skomplikowana operacja, więc nie każdemu odpowiada.

Temu najwyraźniej nie odpowiadała, pomyślałem. Proteza była bardzo prymitywna, składała się z prostej płytki akrylowej pokrywającej podniebienie i mocowanej metalowymi klipsami. Choć może nie było to widoczne na pierwszy rzut oka, pewnie dało się zauważyć srebrne zaczepy na sąsiednich zębach. Popularny model, stawiający raczej na funkcjonalność niż na wygodę czy kwestie estetyczne. To sugerowało, że właściciel albo nie troszczył się o wygląd, albo nie mógł sobie pozwolić na nic bardziej wyrafinowanego.

Stawiałem raczej na to drugie.

Zamierzałem później zbadać szkielet płodu, który odmakął w świeżo zmienionej wodzie, ale analiza metalowo-plastikowego ustrojstwa zajęła mi więcej czasu, niż się spodziewałem, a na siódmą umówiłem się przecież z Odują. Trudno, kosteczkom nie zaszkodzi kolejna noc w kąpielni, zresztą sprawa nie była pilna. Z zabarwioną poczuciem winy ulgą, że mogę jeszcze trochę odsunąć w czasie niewesołe zadanie, postanowiłem zostawić je do rana.

Przeciągnąłem się, krzywiąc się na odgłos trzeszczenia zeszywniałych stawów, a potem posprzątałem i spakowałem swoje rzeczy. Zgasilem światło w sali prosektoryjnej, przebrałem się w szatni i ruszyłem do wyjścia. Ktoś stał w korytarzu. Kiedy rozpoznałem Mearsa, poczułem znajome już znużenie.

Też już wychodził, w kurtce przeciwdeszczowej i z lśniącem nowością neseserem. Wyglądał na zmęczonego, stał zgarbiony ze zmarszczonym czołem, jakby głęboko zamyślony. Na mój widok uciekł wzrokiem. Potem podniósł głowę, wyprostował plecy i zdawkowo mi się ukłonił.

Rozważałem danie mu jeszcze jednej szansy, ale teraz uznałem, że nie ma to najmniejszego sensu. Odkłoniłem się i bez słowa czekałem, aż podpisze się na liście przed wyjściem z budynku. Zatrzymał się jeszcze przed progiem, żeby

naciągnąć na głowę kaptur. Ja trzymałem się z tyłu, nieśpiesznie wpisywałem się do zeszytu w recepcji, żebyśmy nie musieli razem wychodzić.

Takie małe chwile potrafią zmienić życie nawet kilku osób.

Mears otworzył drzwi i do holu wejściowego wpadł podmuch mokrego wiatru. Na zewnątrz było ciemno, lało jak z cebra. Mears skulił się pod strugami deszczu i zaczął przechodzić przez ulicę, kiedy ja wychodziłem z kostnicy. Stałem na chwilę pod daszkiem, żeby porządnie się zapiąć, i wtedy usłyszałem, że ktoś mnie woła:

– Doktorze Hunter!

Podniosłem głowę i na chodniku naprzeciwko zobaczyłem Oduę. Pod rozłożoną parasolką szedł od stacji metra. Zstąpił na jezdnię, żeby do mnie dołączyć, a w tej samej chwili Mears obejrzał się na niego, żeby zobaczyć, kto woła. Ta jedna chwila zastygła w mojej pamięci: dwie postaci przekraczające zalaną deszczem ulicę w przeciwnych kierunkach, scena oświetlona latarnią niczym fotografia z fleszem.

Najpierw tylko usłyszałem tamten samochód. Z oddali dobiegł pisk opon. Wtedy zobaczyłem: samochód pędził prosto na Oduę, zalewał go światłem reflektorów. Jeszcze nawet zanim aktywista się na niego obejrzał, już uskakiwał z drogi. Nie zdążył jednak. Samochód uderzył w niego z makabrycznym hukiem, ciało walnęło w maskę, a potem przetoczyło się po dachu. Kiedy koła miażdżyły jego parasolkę, on poszybował w powietrzu jak splątany kłębek odnóży, po czym zwałił się z impetem na asfalt za bagażnikiem.

Samochód zatańczył, ale nie zwolnił. Skamieniały na środku ulicy Mears w końcu się ruszył. Upuścił neseser i próbował odskoczyć na bok, ale auto zahaczyło go błotnikiem. Upadł na ziemię i zobaczyłem, jak tylne koło przejeżdża mu po nogach. Kierowca stracił chyba na chwilę panowanie nad pojazdem i otarł się o zaparkowaną furgonetkę w kakofonii tłuczonego szkła i zgrzytu metalu, po czym odjechał z rykiem silnika.

Wszystko to trwało zaledwie sekundy. Na dźwięk wycia alarmu furgonetki otrząsnąłem się z szoku i wybiegłem na ulicę. Oduya był bliżej. Leżał bez ruchu,

kończyny miał powykęcane pod dziwnymi kątami niczym porzucona lalka. Kałuża krwi wokół jego głowy lśniła ciemno w świetle latarni i szybko mieszała się z deszczem. Przez wąską szczelinę między powiekami jedno oko patrzyło niewidzącym wzrokiem na szorstki asfalt, a kiedy przyklęknąłem obok ciała, zauważyłem nienaturalny kształt czaszki. Całkowity bezruch, okrutny kontrast w stosunku do zwykłej energii i charyzmy działacza. To właśnie ten spokój, bardziej nawet niż obrażenia, uświadomił mi, że nic już się nie da zrobić.

Inni ludzie zaczęli się zbiegać z okrzykami szoku i przerażenia. Zostawiłem Oduę i pośpieszyłem do Mearsa. Leżał zboczony krwią, z rozrzuconymi rękami i nogami, obok jeszcze niedawno lśniącego neseseru, teraz poobijanego i obdrapanego. Żył, ale stracił przytomność, łapał powietrze mokrymi, płytkimi wdechami. Na pierwszy rzut oka miał złamaną rękę, ale najbardziej ucierpiała dolna połowa ciała. Przejechana ciężkim kołem prawa noga wyglądała tak, jakby została wciągnięta w tryby jakiejś maszyny, odłamki białych kości przebijały poszarpane mięso i przesiąknięte krwią ubranie.

Próbowałem się otrząsnąć z oziębiającego szoku i skoncentrować. Obrażenia Mearsa były znacznie poważniejsze niż Conrada po upadku ze strychu, patrzyłem na zmiażdżoną nogę z obezwładniającym poczuciem bezradności. Z licznych ran tryskała krew, zbyt obficie, żeby ją po prostu zatamować.

– Proszę mnie puścić. Jestem pielęgniarką.

Młoda kobieta zrzuciła z ramienia torbę sportową i przyklęknęła przy Mearsie. Ze skupieniem na twarzy obejrzała wszystkie obrażenia.

– Proszę się trzymać, karetka już jedzie – powiedziała. Nie dał żadnego znaku świadczącego o tym, że zrozumiał czy nawet usłyszał jej słowa. Dziewczyna spojrzała na mnie, zdejmując z szyi cienki wzorzysty szalik. – Ma pan długopis?

Zaczęła mi wracać sprawność umysłu. Domyśliłem się, do czego zmierza, i wyjąłem długopis z kieszeni, a tymczasem dziewczyna zgrabnie zawiązała Mearsowi szalik na udzie. Jęknął, kiedy mocniej ścisnęła, ale raczej odruchowo niż świadomie. Pielęgniarka wsunęła długopis pod szalik i zaczęła obracać, skręcając tkaninę, żeby wzmocnić ucisk. Nazywa się to hiszpańskim kołowrotem

– prosty i skuteczny sposób zatamowania krwotoku. Widziałem już raz zastosowanie tej metody w praktyce, ale w zupełnie innych okolicznościach.

– Ja się tym zajmę. Jestem lekarzem – dodałem, na co zareagowała niepewnym spojrzeniem. – Niech pani sprawdzi, czy da radę powstrzymać pozostałe krwotoki.

Złapałem mocno długopis, utrzymując nacisk, a tymczasem dziewczyna wygrzebała z torby ręcznik.

– Jest czysty – powiedziała, owijając nim ranę na drugiej nodze Mearsa. – Właśnie skończyłam zmianę i szłam na siłownię. Nie widziałam wypadku, tylko słyszałam. Kierowca uciekł?

Skinąłem głową i odwróciłem głowę ku miejscu, w którym leżał Oduya. Wokół ciała zebrał się tłumek, światło ekranów telefonów rzucało niebieskawobiałą poświatę. Ktoś przykrył mu głowę kurtką, z oddali było już słychać syreny pogotowia.

– Znał go pan? – zapytała kobieta, widząc, że patrzę w tamtą stronę.

– Tak – odparłem.

ROZDZIAŁ 25

Nie wiem – powiedziałem.

Próbowałem nie dać po sobie poznać frustracji. Ward i Whelan siedzieli po drugiej stronie stołu z blatem z porysowanego laminatu, na plastikowych krzesłach – identycznych z tym, które sam zajmowałem – a twarze mieli całkowicie wyprane z emocji. Znajdowaliśmy się na komisariacie, zaledwie kilometr czy dwa od kostnicy, w starym budynku z czerwonej cegły, który działał przygnębiająco na każdego, kto przekraczał jego próg. Już od dwóch godzin tkwiłem w obskurnym pokoiku, najpierw odpowiadając na pytania nieznanego mi sierżanta, a potem czekając na Ward i Whelana.

Miałem nadzieję, że po ich przyjeździe moja sytuacja się poprawi, ale wkrótce się okazało, że się przeliczyłem.

– Niech sobie pan spróbuje przypomnieć – powiedział Whelan. Komisarz wyglądał na zmęczonego, był jakby wymięty, a w świetle jarzeniówek jego cera nabrała chorobliwego odcienia. – Żaden ze świadków nie widział zajścia z tak bliska jak pan. Był pan tuż obok.

Nie musiał mi przypominać. Jednak samo zdarzenie zaczynało mi się wydawać nierealne, jak zestawienie zdjęć „przed” i „po”, ale zbyt świeże, żeby o nim myśleć. Tylko przez chwilę byliśmy z młodą pielęgniarką sami z Mearsem. Policyjne grupy szybkiego reagowania dotarły na miejsce zdarzenia już po kilku minutach, z radiowozów i furgonetek wysypali się ubrani w ciemne barwy funkcjonariusze w kamizelkach kuloodpornych. Na chwilę zapanowało ogólne zamieszanie, migające niebieskie światła wprowadzały atmosferę nocnego koszmaru, ale wkrótce ustalono, że nie ma już żadnego ryzyka. Stopniowo przywrócono coś na kształt ładu i porządku. Sanitariusze rzucili się

do Mearsa, pielęgniarkę i mnie odprowadzono na bok, a kiedy się obejrzałem w stronę Oduyi, zobaczyłem parawany rozstawiane wokół jego ciała.

Wtedy widziałem go ostatni raz.

Wypyтали mnie, co zaszło, a potem dostałem z karetki ręczniki papierowe i żel antyseptyczny, żebym mógł się doprowadzić do porządku, zanim zabierze mnie radiowóz. Jadąc na komisariat, patrzyłem, jak krople deszczu na oknie zmieniają kolorowe światła ulicy w tęczowe smugi. Na miejscu zabrali mnie do pokoju przesłuchań i przynieśli styropianowy kubek herbaty.

Stała teraz przede mną nietknięta, z tłustą warstewką na powierzchni, a Whelan nie przestawał zadawać mi pytań.

– Co to był za samochód?

Znowu spróbowałem go sobie zwizualizować.

– Hatchback. Podobnych rozmiarów i kształtów do golfa, ale nie golf.

– Pamięta pan rejestrację? Może chociaż fragment?

Pokręciłem głową.

– Za szybko się to potoczyło.

– A kolor lakieru?

– Ciemny, ale w świetle latarni trudno powiedzieć.

– Granatowy, czarny, czerwony?

– Nie wiem!

– I nie zauważył pan kierowcy? Albo ile osób było w samochodzie?

– Nie, już mówiłem. Padało, było ciemno, przez te reflektory nic nie widziałem. Na pewno są tam jakieś kamery, nie możecie przejrzeć nagrań z monitoringu?

– Dziękujemy za radę, sami byśmy na to nie wpadli – powiedział beznamiętnie Whelan. – To mógł być wypadek?

– Nie. – Tego jednego przynajmniej byłem pewny. – Kierowca musiał go widzieć. Oduya mnie zawołał, a kiedy tylko wszedł na jezdnię, samochód ruszył i wjechał prosto w niego.

– Czyli czekał na niego?

Znowu usłyszałem pisk opon towarzyszący dodaniu gazu, zobaczyłem, jak Oduya odwraca się w oślepiającym blasku reflektorów. Próbowałem wyrzucić to wspomnienie z głowy.

– Na to wygląda.

– Niektórzy świadkowie twierdzą, że po potrąceniu Oduyi kierowca gwałtownie skręcił, żeby ominąć Mearsa. Dla pana też tak to wyglądało?

– Samochód tak jakby zatańczył, Mears próbował uskoczyć – powiedziałem, próbując sobie przypomnieć, co dokładnie się wydarzyło. – Możliwe, że chciał go wyminąć, nie wiem. I tak nie miał szans, nie przy takiej prędkości.

Ward do tej pory głównie milczała, ale teraz się uaktywniła.

– Skąd Oduya się tam wzięła?

Spodziewałem się tego pytania.

– Umówiliśmy się.

Whelan prychnął z niesmakiem.

– Jezu Chryste.

– Po co? – zapytała Ward z niezmiennym wyrazem twarzy.

– Zadzwoił do mnie po południu i powiedział, że chce mi zaproponować współpracę przy jakiejś sprawie pro bono. Nie miało to żadnego związku ze Świętym Judą, więc zgodziłem się spotkać z nim po pracy, żeby omówić szczegóły.

– W kostnicy?

– Nie, w pubie niedaleko. Plume of Feathers. Myślę, że przyjechał metrem, bo szedł od strony stacji. To był zupełny przypadek, że wychodziłem akurat wtedy, kiedy tamtędy przechodził.

– Przypadek – powtórzył Whelan. – A to, że samochód akurat na niego czekał, to też przypadek?

– Nie mam pojęcia. Nikomu nie mówiłem o naszym spotkaniu, jeśli o to panu chodzi.

– Nam pan nie powiedział, to na pewno.

– Nie było ku temu żadnego powodu, to nie miało związku z dochodzeniem – odparowałem.

– W porządku. – Ward sprawiała wrażenie zbyt zmęczonej, żeby się denerwować. – Kto zaproponował miejsce spotkania, pan czy Oduya?

Zastanowiłem się.

– On. Powiedział, że kojarzy ten pub z czasów praktyki prawniczej.

Whelan parsknął, ale nic nie powiedział. Ward pokiwała głową.

– Oduya nie miał samochodu, więc każdy, kto wiedział, dokąd się wybiera, mógł przewidzieć, że przyjedzie metrem. Wystarczyło zaparkować w pobliżu i czekać.

Wcisnąłem w oczy kciuk i palec wskazujący, znów zobaczyłem, jak schodzi na jezdnię. „Doktorze Hunter!” Pokręciłem głową, jakbym mógł fizycznie wytrząsnąć z niej obrazy wywołane słowami policjantki.

– Domyślcie się, dlaczego ktoś to zrobił?

– Nie możemy jeszcze stuprocentowo wykluczyć zamachu terrorystycznego, ale wygląda to raczej na atak konkretnie na Adama Oduyę – odparła Ward. –

Możliwe, że ktoś miał jakiś żal do Daniela Mearsa, ale na razie wszystko wskazuje na to, że był tylko przypadkową ofiarą. Miał pecha przechodzić przez ulicę w tej samej chwili.

– Pan za to miał szczęście – zauważył Whelan. – Gdyby to pan pierwszy wyszedł z kostnicy, to pan mógłby się znaleźć na jego miejscu.

O tym też nie musiał mi przypominać.

– Macie pomysł, kto mógł siedzieć za kierownicą?

Whelan wzruszył ramionami.

– Wkurzanie wszystkich dookoła to znak firmowy Oduyi. Możemy szukać ludzi, którzy mieli do niego pretensje, ale to długa lista.

Zauważyłem jednak, że zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział. Przyjrzałem się bacznie twarzom obojga policjantów.

– Ale macie podejrzenia, prawda?

Whelan zerknął na Ward, która westchnęła.

– Keith Jessop zniknął. Wczoraj chcieliśmy go przesłuchać w sprawie azbestu i tamtej awantury pod szpitalem. Nikt nie wie, co się z nim stało. Żona widziała go ostatnio trzy dni temu, przyszedł pijany i agresywny po tej napaści na Adama Oduyę. Próbowwała go wyrzucić z domu, zaczął rozwalać sprzęty, a w końcu uciekł, bo ktoś z sąsiadów zadzwonił na policję. Sprawdziliśmy, rzeczywiście przyjęto zgłoszenie.

Jessop? Opadłem na oparcie krzesła i zacząłem się zastanawiać, czy przedsiębiorca budowlany pasuje do całej sprawy. Pijak, agresor, nie ukrywał negatywnego stosunku do Oduyi. Obwinił go o opóźnianie prac rozbiórkowych, a nawet próbował zaatakować na oczach funkcjonariuszy policji.

Jest jednak spora różnica między rzuceniem się na kogoś z pięściami a umyślnym przejechaniem.

– Naprawdę myślicie, że to mógł być on?

– Na pewno chciałabym móc go o to zapytać – odparła sucho Ward. – Wiedzieliśmy, że przez te opóźnienia Jessop ucierpiał finansowo, ale okazuje się, że jest znacznie gorzej, niż przypuszczaliśmy. Zbankrutował. Banki wszczęły postępowanie egzekucyjne, a że zaciągnął kredyt pod zastaw domu, to straci też dach nad głową. Żona się z nim rozwodzi, trudno się jej dziwić. Stracił dosłownie wszystko.

Nie mogłem zebrać myśli. Byłem wykończony, wypadek pod kostnicą wycieńczył mnie fizycznie i emocjonalnie. A jednak coś mi tu nie grało.

– Widziałem auto Jessopa pod Świętym Judą. Jeździ starym mercedesem. Sedanem, nie hatchbackiem.

– Może mieć kilka samochodów – odparł z rozdrażnieniem Whelan. – Może to samochód służbowy albo komuś go ukradł. Tego jeszcze nie wiemy.

– Wiemy za to, że Jessop ma problem alkoholowy, wybuchowy temperament i urazę do Oduyi – dodała Ward. – Już to wystarczyłoby, żeby wezwać go na przesłuchanie, więc fakt, że zniknął, nie wygląda za dobrze. Okazało się też, że kłamał nie tylko w sprawie azbestu.

Potarłem skronie, w których zaczynało mnie ćmić.

– Jak to?

Ward się zawahała, jakby pożałowała swoich słów. Trudy ostatnich dni wyraźnie odcisnęły się na jej twarzy. W końcu podjęła wątek, a Whelan skrzyżował ręce na piersi i gapił się na swoje kolana.

– To nie może wyjść poza ten pokój, dobrze? Dowiedzieliśmy się, że Jessop miał dostęp do szpitala wcześniej, niż twierdził. Miał przeprowadzić inspekcję nieruchomości równo rok przed rozpoczęciem prac rozbiórkowych. Sprawdzamy jeszcze dokładne daty, ale mogły się zająć z zaginięciem Christine Gorski i Darrena Crossly’ego.

– Chwilę – powiedziałem, z trudem przyswajając sobie te rewelacje. – Teraz twierdzicie, że mógł być zamieszany w tamte morderstwa? Nie tylko w potrącenie i ucieczkę z miejsca wypadku?

– Na razie jeszcze nic nie twierdzimy. Ale na podstawie nakazu sądowego przeszukaliśmy dziś zakład Jessopa. Na placu składowym znaleźliśmy plastikowe płachty, takie same, w jaką owinięto ciało Christine Gorski. Uprzedzając pański komentarz, tak, wiem, że prawdopodobnie co drugi budowlaniec w kraju używa podobnych plandek. Ale tego placu pilnował pies, czarno-beżowy rottweiler. Ten sam kolor sierści co na płachcie, którą znaleźliśmy na strychu.

– Zresztą kiepski z tego psa stróż – zauważył Whelan. – Głupi jak but. Skończyła mu się woda i karma, więc tylko się ucieszył, że ktoś w ogóle przyszedł.

Słuchałem go jednym uchem. Wiadomość, że Jessop jest podejrzany o przejechanie Oduyi i ucieczkę z miejsca wypadku, to jedno. Ale sadystyczne zabójstwa popełnione w szpitalu Świętego Judy to zupełnie inna historia.

– Abstrahując od psa – ciągnęła z naciskiem Ward – większość plandek była pokryta cementem i pyłem, co jest normalne w tej branży. Ale niektóre miały ślady zaschniętej farby, niebieskiej, tak jak na strychu. Skierowaliśmy próbki do analizy, ale wygląda identycznie. A żona Jessopa pozwoliła nam zabrać trochę

jego ubrań, więc mamy próbki włosów. Jeśli DNA będzie pasowało do ludzkiego włosa z plandeki, to będzie musiał odpowiedzieć na kilka trudnych pytań.

Oparłem się bezsilnie, oszołomiony natłokiem nowych informacji.

– Co z Garym Lennoxem w tej sytuacji?

Ward rozłożyła ręce.

– Na ten moment ciągle jest głównym podejrzanym w śledztwie dotyczącym szpitala Świętego Judy. Wszystko jednak zależy od tego, czy jego odciski palców będą pasować do tych na ślepej ścianie. Nadal nie udało nam się tego sprawdzić, więc tymczasem musimy poszukać Jessopa i...

Urwała, bo zadzwonił jej telefon. Wyjęła go z torby i zerknęła na ekran, a jej twarz nie zdradziła żadnej emocji.

– Muszę odebrać.

Dźwignęła się na nogi i wyszła z pokoju przesłuchań. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, zapadła niezręczna cisza. Whelan wyjął telefon i zaczął coś przewijać na ekranie.

– To dla niej kiepska sytuacja, co? – zapytałem.

Z początku wydawało się, że nie odpowie. Potem jednak niechętnie odłożył komórkę.

– To prawda.

– To, co się dziś stało, to nie jej wina.

– To bez znaczenia. Całe to śledztwo to od początku PR-owy koszmar. Nie byłoby tak źle, gdybyśmy mogli przynajmniej pochwalić się jakimiś efektami, ale jednego podejrzanego mamy w szpitalu, praktycznie nietykalnego, a drugi nam właśnie uciekł. Nie wygląda to za dobrze, choćby nie wiem jak próbować to sprzedać.

Rzeczywiście.

– Myśli pan, że Ward nadal będzie prowadziła dochodzenie?

Znowu nie odpowiedział od razu.

– To zależy. Jeśli w ciągu najbliższej doby wydarzy się jakiś przełom, czy to w sprawie Lennox, czy Jessopa, to może jeszcze wyjść z tego obronną ręką.

W przeciwnym razie...

Wzruszył ramionami.

W przeciwnym razie wszystkie oskarżycielskie palce skierują się w stronę Ward, pomyślałem. Niedoświadczona głównodowodząca, do tego w ciąży, prowadząca pierwsze w karierze śledztwo w sprawie o zabójstwa – idealny koziół ofiarny, choćby to było absolutnie niesprawiedliwe. Kiedy powierzono jej to dochodzenie, Ward na pewno cieszyła się z takiej szansy.

Teraz okazywało się, że może to oznaczać koniec jej kariery.

Drzwi się otworzyły – Ward wróciła. Obaj z Whelanem przyglądaliśmy się jej bacznie, kiedy szła na swoje miejsce, ale jej twarz była nieprzenikniona.

– Mamy wieści ze szpitala – powiedziała, siadając na krześle. – Skończyła się operacja Daniela Mearsa. Stracił nogę.

Jezu, biedny Mears. Zaledwie kilka godzin wcześniej widziałem go w pubie, naburmuszonego i zamkniętego w sobie. Dręczące go wtedy problemy musiały mu się teraz wydawać kompletnie nieistotne.

– Przynajmniej przeżył – zauważył Whelan.

– Mam to traktować jako sukces? – warknęła. – Tylko jeden trup i jeden okaleczony? Jezu.

Whelan poczerwieniał i wbił wzrok w blat stołu. Ward westchnęła ciężko.

– Przepraszam, Jack.

Pokiwał głową, choć mięśnie szczęki miał nadal mocno napięte.

Ward przeczesła włosy dłonią, jeszcze bardziej je czochrając.

– Dobra, chyba możemy już kończyć. Muszę wracać na komendę. Trzeba przygotować oświadczenie dla mediów, a Ainsley będzie się domagał raportu.

– Będę jeszcze potrzebny? – zapytałem. Spodziewałem się, że puszczą mnie wolno. Tymczasem Ward przyjrzała mi się badawczo.

– Właściwie to tak – powiedziała. – Mamy jeszcze jeden problem.

ROZDZIAŁ 26

Tej nocy nie spałem dobrze. Wspomnienie wypadku nie pozwalało mi zasnąć aż do świtu, a jeśli już odpływałem, to po chwili wybudzałem się gwałtownie na dźwięk pisku opon i huku zderzenia. Wstałem wcześniej, ubrałem się i wziąłem długi prysznic, na koniec odkręcając lodowatą wodę. Pomogło mi to się trochę obudzić i wzmoгло czujność, ale nadal byłem roztrzęsiony, nie tylko od zimnego natrysku. Obrazy Oduyi i Mearsa na tamtej ulicy przeplatały się z szokującymi rewelacjami Ward na temat Jessopa. Już i tak trudno było mi ogarnąć rozumem ogrom tego, co się wydarzyło, ale świadomość, że przyczyna była tak bezsensowna – tak cholernie banalna – dodatkowo pogarszała sytuację. Wcześniej było mi nawet żal budowlańca, bo widziałem, że mimo swoich licznych wad jest po prostu nieszczęśliwym człowiekiem.

Teraz nie czułem już do niego cienia litości.

Okropnie brakowało mi Rachel. Chciałbym z nią porozmawiać, ale dopóki była na morzu, i tak bym się do niej nie dodzwonił. Postanowiłem więc zachowywać się tak jak każdego innego poranka, szukać ukojenia w codziennej rutynie. Radio włączyłem sobie dopiero do śniadania, złożonego z jednej grzanki i dwóch kubków kawy rozpuszczalnej. Tak jak przypuszczałem, wiadomość o wypadku pojawiła się jako jedna z pierwszych. Dziwnie było słyszeć nazwiska Oduyi i Mearsa w takim kontekście, trudno pogodzić się z faktem, że o tym barwnym, rzutkim aktywiście mówiono już w czasie przeszłym. Stan Mearsa opisywano jako poważny, ale stabilny – obrażenia, które miały na zawsze zmienić jego życie, już temu życiu nie zagrażały. Lepiej, niż mogło być, ale i tak niewesoło. Wspomniano o udziale ofiar wypadku w śledztwie w sprawie szpitala

Świętego Judy, okraszając informację spekulacjami i krytyką pod adresem zespołu dochodzeniowego. Potem jednak usłyszałem coś, czego się nie spodziewałem.

„Stołeczna policja poszukuje pięćdziesięcioletniego mężczyzny w celu przesłuchania go w związku z wypadkiem – oznajmiła spikerka. – Miejsce pobytu Keitha Jessopa, specjalisty od rozbiórek zatrudnionego do wyburzenia budynku szpitala, jest obecnie nieznane. Jessop jest uznawany za niebezpiecznego, należy się do niego nie zbliżać”.

Odłożyłem zimną grzanekę, straciłem apetyt. A więc Ward zdetonowała bombę: ujawniła jego nazwisko w mediach. Domyślałem się, że Ainsley wywierał na nią presję, żeby zademonstrowała, że policja podejmuje zdecydowane działania, ale nie przypuszczałem, że nastąpi to tak szybko. Było w tym coś nieodwołalnego i pochopnego, jakby zrobić krok z zawiązanymi oczami, z nadzieją, że grunt będzie dokładnie tam, gdzie się spodziewamy.

Wylałem resztę kawy do zlewu, złapałem płaszcz i wyszedłem z mieszkania. Uzbierał mi się pełen worek śmieci, więc po drodze do windy wrzuciłem go do zsypu. Zniszczone kubły zostały wymienione, a jedynym śladem po niedawnym pożarze była zimna woń starego dymu, którą poczułem po uchyleniu klapy. Cokolwiek myślałem o Ballard Court, nie mogłem odmówić im sprawności.

Pojechałem samochodem do kostnicy, a mimo wczesnej pory ruch na ulicach był już duży. Ward poprosiła, żebym zajrzał tam rano, zanim wrócę do przeszukania budynku z psem policyjnym. Chciała, żebym zbadał szkielety Darrena Crossly’ego i domniemanej Marii de Souzy, której tożsamości jeszcze oficjalnie nie potwierdzono. To był ten „jeszcze jeden problem”, o którym wspominała. Okazało się, że Mears nie raczył poinformować Ward – ani nikogo innego – o wynikach swoich badań.

– Bóg jeden wie, co on tam robił. Od tygodnia obiecywał, że złoży raport, ale za każdym razem wynajdywał jakąś wymówkę – powiedziała. – Wysłaliśmy mu nawet dokumentację medyczną tej całej de Souzy, żeby mógł porównać kartę

z zębami denatki, ale tym też się nie zdążył zająć. A jeśli zdążył, to nikomu o tym nie powiedział.

– BioGen nie ma dostępu do jego plików? – zapytałem.

– Nie do tych najważniejszych. Z jakiegoś powodu nie wgrał ich do systemu firmy, a laptopa i pliki w chmurze zabezpieczył hasłem. Dopóki nie odzyska przytomności, nie mamy do nich dostępu.

Wtedy w pubie Mears narzekał, że Ward nie daje mu skończyć jednego zadania i zaraz zrzuca na głowę następne. Domyślałem się, że sobie nie radzi, ale spodziewałem się jakiegoś wielkiego nawału pracy. Przecież zidentyfikował już ciało Crossly’ego, a porównanie zębów denatki z aktami stomatologicznymi Marii de Souzy powinno być raczej nieskomplikowane.

A jednak coś znów mu przeszkodziło.

Chciałem zbadać te ciała od chwili, kiedy zobaczyłem je przelotnie w tamtej zamurowanej sali szpitalnej. Kiedy przyjechałem pomóc Mearsowi, nie miałem czasu bliżej się im przyjrzeć, więc w innych okolicznościach ucieszyłbym się z okazji, żeby dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Ale nie w takiej sytuacji.

Ulica przed kostnicą była odgradzona taśmą policyjną. Zaparkowałem kilka przecznic dalej i z uciskiem w żołądku wróciłem na miejsce wypadku. Po wczorajszej jatce zostało niewiele śladów. Przez noc deszcz spłukał z asfaltu krew, odholowano nawet furgonetkę zahaczoną przez samochód sprawcy. Gdyby nie odłamki plastiku z urwanego lusterka bocznego i powiewające na wietrze paski taśmy, mógłbym uznać, że sobie to wszystko wymyśliłem. Przechodnie nawet się nie oglądali. Ktoś zginął, ale życie toczyło się dalej.

Jak zawsze.

Jako że ulica przed kostnicą była zamknięta, wszedłem bocznym wejściem. Dopiero wewnątrz uświadomiłem sobie, że być może gdzieś w tym budynku ciało Oduyi spoczywa w ciemnej szufladzie chłodniczej. Poczułem się jeszcze bardziej nieswojo, kiedy poszedłem wpisać się na listę w recepcji i zobaczyłem nazwisko Mearsa nabazgrane poprzedniego wieczoru tuż nad moim. Ten widok znowu uświadomił mi grozę całej sytuacji. Nie tylko samych wydarzeń, ale też

tego, jak łatwo mogły potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby tylko zmienić kolejność tych nazwisk na stronie.

Podpisałem się i poszedłem się przebrać.

Lampy w sali prosektoryjnej zamrugały i rozjarzyły się jasnym światłem. Z jednej z szaf chłodniczych wysunąłem pudło z oczyszczonymi kośćmi denatki. Mears przed wyjściem zapakował szczątki obu ofiar, a zrobił to z taką samą skrupulatnością, z jaką układał je wcześniej na stole.

Wyjąłem rozczłonkowany szkielet z pudła i ostrożnie ułożyłem go z powrotem, umieszczając na stole każdą kość we właściwym położeniu anatomicznym. Musiałem przyznać, że nie wyszło mi tak schludnie jak Mearsowi, ale nie było to konieczne. Chodziło o informacje, nie o estetykę.

Żółtawobrazowe oparzenia na kościach wyglądały jak niewielkie smugi. Mears powycinał już fragmenty do analizy pod mikroskopem i aż mnie świerbiło, żeby się bliżej przyjrzeć. Ale po kolei.

Przede wszystkim musiałem sprawdzić, czy leży przede mną Maria de Souza.

Procedura wyglądała dokładnie tak samo jak w przypadku Christine Gorski. Po ponownym złożeniu szkieletu przeprowadziłem inspekcję uzębienia, zapisując informacje o każdym ubytku i wadzie zgryzu, a także wyszczególniając plomby, koronki i inne ślady po zabiegach dentystycznych. Następnie otworzyłem dokumentację medyczną Marii de Souzy. Ward cieszyła się, że wreszcie im się poszczęściło, znaleźli dentystę zaginionej kobiety już za drugim podejściem. W miarę przeglądania akt czułem coraz głębszą konsternację. Kiedy zapytałem Mearsa o identyfikację wtedy w pubie – nie mogłem uwierzyć, że zdarzyło się to zaledwie poprzedniego dnia – prawie się na mnie wydarł. Teraz jednak za nic nie mogłem zrozumieć tej gwałtownej reakcji. Identyfikacja była jeszcze łatwiejsza niż w przypadku Christine Gorski. Denatka miała zęby w lepszym stanie niż młoda narkomanka, co sugerowało, że nawet jeśli handlowała narkotykami, sama nie wpadła w szpony nałogu. Co ważniejsze, każde wypełnienie i każda koronka idealnie odpowiadały danym z akt dentystycznych Marii de Souzy.

W mojej branży nie można wręcz było liczyć na łatwiejszą identyfikację. Mears też musiał to zauważyć. Na co więc czekał, dlaczego się ociągał?

Jeszcze raz spojrzałem na zęby denatki. Jedynym elementem nieuwzględnionym w karcie były popękane zęby trzonowe. Uszkodzenia występowały po obu stronach, na górze i dole, ale zęby nie były poluzowane ani ukruszone, co sugerowałoby uderzenie w twarz. Pęknięcia wyglądały raczej na powstałe w wyniku nacisku, jakby zagryzała zęby tak mocno, że aż zaczęły pękać.

Torturowano ją, przywiązano do łóżka w opuszczonym szpitalu, zamurowano i zostawiono na śmierć. Każdy w tej sytuacji zgrzytałby zębami.

Coś jednak zaczęło mnie męczyć. Przypomniały mi się rany na rękach i nogach obu ofiar, ciało poszarpane w miejscach przywiązania pasami. Przypuszczalnie próbowali uciec, nie bacząc na rany i ból, które sami sobie zadawali. Musieli być niewyobrażalnie przerażeni, to zapewne naturalna reakcja, chociaż...

Przerwałem tok myśli. Naturalna reakcja...

Wziąłem do ręki jedno z żeber kobiety ze śladami oparzenia. Były brudnożółte, jak plamy na palcach palacza. Do tego małe i nietypowe jak na oparzenie miejscowe. Serce zaczęło mi szybciej bić, bo w mojej głowie pojawił się załączek nowej myśli. Chryste, czy to możliwe? Czy to właśnie to?

Odłożyłem zebro, zdjąłem rękawiczki i włożyłem świeżą parę. Podeszedłem do drugiej szafy i wyjąłem pudło ze szkieletem Darrena Crossly'ego. Mears jak zwykle ostrożnie zapakował kości, więc to, czego szukałem, leżało prawie na samym wierzchu. Wyciągnąłem czaszkę i żuchwę, zaniósłem je do dużej lupy mocowanej do stołu i włączyłem podświetlenie.

Crossly też miał popękane zęby.

Aż podskoczyłem, kiedy ktoś zapukał do sali. Odwróciłem się, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, drzwi już się otwierały.

Na progu stał Ainsley.

– Dzień dobry, panie doktorze. Mogę wejść?

Właściwie już wszedł, więc nie było sensu odpowiadać. Podkomendant wyglądał świeżo i zdrowo, zamiast munduru miał na sobie granatowy garnitur i śnieżnobiałą koszulę z jasnym krawatem. Marynarka była idealnie skrojona, podkreślała zgrabną sylwetkę. Zatrzymał się kilka kroków ode mnie i podniósł rękę.

– Wiem, wiem, nie przebrałem się, ale niczego nie dotknę. Nie zabawię tu długo.

– Wszystko w porządku?

– Żadnych nowych kryzysów, jeśli to ma pan na myśli. Chciałem tylko zajrzeć, żeby sprawdzić, jak panu idzie.

Nawet z tej odległości czułem woń jego wody po goleniu, tak intensywnej, że maskowała inne chemiczne zapachy unoszące się w gabinecie.

– Dopiero zaczynam. – Ostrożnie spakowałem czaszkę i żuchwę z powrotem do pudła. Później przyjrę się bliżej szkieletowi Darrena Crossly’ego, ale na razie zobaczyłem już wszystko, co chciałem. – Jakies wieści o Danielu Mearsie?

Ainsley przyglądał się szkieletowi kobiety.

– Na razie nic nowego. Słyszał pan, że stracił nogę?

– Nadkomisarz Ward wspominała.

– Okropne. Był pan przy tym, jak rozumiem?

Skinąłem głową, ale nie chciałem wracać do tego tematu.

– W wiadomościach mówili, że szukacie Keitha Jessopa.

Nie zamierzałem powtarzać tego, co usłyszałem od Ward, że policja chciała go przesłuchać także w związku z zabójstwami na terenie szpitala. Ainsley zacisnął wargi, być może przypomniał sobie, jak budowlaniec go uderzył.

– Ujawnienie jego tożsamości na tym etapie śledztwa to nie była łatwa decyzja, ale musimy go znaleźć. Ten człowiek jest zagrożeniem dla otoczenia i dla samego siebie. Szkoda, że nikt nie zauważył tego wcześniej.

Domyślałem się, że chodziło mu o Ward. Już się zaczęło szukanie kozła ofiarnego.

– Który to? – zapytał Ainsley, patrząc na szkielet. Równie dobrze mógłby mówić o częściach samochodowych, a nie o ludzkich szczątkach.

– To ta kobieta, którą znaleziono z Darrenem Crosslym.

– No tak. Ta, którą mamy za tę jego portugalską dziewczynę. Pracuje pan nad identyfikacją?

– Zgadza się.

Ściśle rzecz biorąc, nie skłamałem. Badanie dentystyczne potwierdziło tożsamość Marii de Souzy, choć musiałem jeszcze sprawdzić ślady po złamaniach i inne cechy charakterystyczne. Wyjaśniłbym to Ainsleyowi, ale nie podobała mi się jego krytyka Ward, nawet jeśli niewyrażona wprost. Może i był od niej wyższy rangą, ale to ona prowadziła śledztwo.

Przynajmniej na razie.

Pokiwał głową, chociaż nie sprawiał wrażenia zainteresowanego odpowiedzią. Wtedy zrozumiałem, że nie przyszedł tu po raport z badania.

– Swoją drogą zaakceptowałem wniosek nadkomisarz Ward, żeby to pan przejął obowiązki Mearsa – powiedział, odwracając się do mnie. Jego błękitne oczy były nieprzeniknione jak u lalki. – BioGen chciał wysłać kogoś innego, ale uznałem, że ważne jest zachowanie ciągłości. Zna pan już sprawę, więc może pan od razu się wdroić. Poza tym, nie obrażając doktora Mearsa, pomyślałem, że przyda się ktoś doświadczony.

Mówił tak, jakby od początku to był jego własny pomysł.

– Dam z siebie wszystko – odparłem neutralnie.

– Nie wątpię. – Ainsley otrzepał jakiś paproszek z klapy marynarki, dla mnie niedostrzegalny. – Na pewno pan rozumie, że to dochodzenie jest pod bardzo krytyczną obserwacją. Szczerze mówiąc, katastrofa goni katastrofę, tak nie może dalej być. Oczywiście nikt się nie spodziewał, że sprawa tak się rozwinie, ale choć darzę nadkomisarz Ward najwyższym szacunkiem, to z perspektywy czasu widzę, że nieuczciwe było powierzenie jej takiej odpowiedzialności.

Oho, zaczyna się. Whelan przewidział, że wszystko skupi się na Ward, a Ainsley nie marnował czasu.

– Bo jest w ciąży?

Szybko się wycofał.

– Nie, skądże. To jednak jej pierwsze śledztwo w roli głównodowodzącej, więc nic dziwnego, że trochę ją to... przytłoczyło.

– Moim zdaniem naprawdę nieźle sobie radzi.

Broniłem jej nie tylko z lojalności. Owszem, mogło się wydawać, że goni resztką sił, ale musiała reagować na nieprzewidziane wydarzenia następujące jedno po drugim. Ainsley zdawał się też jakimś dziwnym trafem nie pamiętać, że sam zdecydował o zatrudnieniu firmy zewnętrznej, z czego skutkami to ja musiałem sobie teraz jakoś radzić.

Powoli pokiwał głową, jakby nadając wagę moim słowom.

– Niestety, obawiam się, że nie ma to odbicia w faktach. Zwłaszcza w świetle wydarzeń wczorajszego wieczoru.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak Ward mogłaby przewidzieć atak Jessopa, nie mówiąc o jego udaremnieniu. Wiedziałem też jednak, że nie ma sensu się kłócić.

– Dlaczego pan mi to mówi?

Konsultanci cywilni nie figurowali na tyle wysoko w hierarchii, żeby zasłużyć sobie na takie zainteresowanie. Podkomendant policji stołecznej zdecydowanie nie musiał osobiście mnie informować o ewentualnym zastąpieniu Ward przez nowego dowodzącego.

Ainsley przyglądał mi się z namysłem.

– Wiem, że dobrze się panu współpracuje z Sharon Ward, ale nie możemy sobie pozwolić na kolejne błędy. Nie chcę nikogo obwiniać, sądzę po prostu, że reszta z nas powinna ją nieco odciążyć. Dlatego chciałbym prosić, żeby od tej pory składał pan raporty bezpośrednio mnie.

– Prosi mnie pan, żebym pomijał nadkomisarz Ward?

– Ależ skąd. Nadal prowadzi to śledztwo i odpowiada pan przed nią, tak jak dotychczas. Chciałbym jednak również być na bieżąco informowany o wynikach pańskich badań.

Czyli Ward nie wyleciała. Na razie. Utrzymała stanowisko warunkowo, a Ainsley nadzorował śledztwo i zapewne kontrolował każdy najdrobniejszy szczegół.

– Ona o tym wie?

– Nadkomisarz Ward jest realistką.

Zinterpretowałem to jako odpowiedź przeczącą. Ainsley wysunął z portfela wizytówkę i położył ją na blacie, obok którego stał.

– Rozumiemy się, panie doktorze?

– Chyba tak.

– Doskonale. – Podwinął mankiet i zerknął na zegarek. – Muszę lecieć. Niedługo zaczyna się odprawa przed sekcją.

– Adama Oduyi? – Nie domyśliłem się, że to mógł być powód wizyty Ainsleya.

– Tak, ustalono ją na dziesiątą zero zero. Nie tutaj, w prosektorium przy Belmont Road – dodał, widząc, że patrzę na zegar na ścianie. – Uznaliśmy, że tak będzie właściwiej, skoro zginął tuż przed tym budynkiem. Zajechałem tu po drodze.

Ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się jeszcze i odwrócił.

– Aha, jeszcze jedno. Jesteśmy panu wdzięczni za zwrócenie naszej uwagi na Gary’ego Lennox, ale proszę nie zapominać, że jest pan konsultantem cywilnym. Wszelkie kwestie operacyjne, zwłaszcza związane z potencjalnymi podejrzanymi, należy zostawić oficerom śledczym. Mimo wszystko rozumiem jednak, jak do tego doszło, to był obiecujący trop. Szkoda tylko, że do niczego nie doprowadził.

Usiłowałem rozstrzygnąć, czy mi dziękuje, czy udziela reprimendy, więc nie od razu dotarło do mnie znaczenie tego ostatniego zdania.

– Nie rozumiem. – Z tego, co Ward mówiła mi wczoraj, nadal czekali na sprawdzenie odcisków palców Lennox.

– Myślałem, że nadkomisarz Ward panu powiedziała – rzucił Ainsley, odrobinę zbyt nonszalancko, żeby zabrzmiało to przekonująco. – Udało nam się

zdobyć komplet odcisków obojga Lennoxów. Nie pasują do tych pobranych na miejscu zbrodni, więc cały ten czas i wysiłki można uznać za zmarnowane. To znaczy oczywiście nie całkiem zmarnowane. Lennox wreszcie trafił pod odpowiednią opiekę lekarską, zawsze coś. Ale telefon na opiekę społeczną byłby znacznie łatwiejszy.

Wbił we mnie te swoje lalczyne oczy.

– Już panu nie przeszkadzam, doktorze. W razie czego wie pan, gdzie mnie szukać.

ROZDZIAŁ 27

Po wyjściu Ainsleya postanowiłem zrobić sobie przerwę. Na korytarzu był dystrybutor wody, więc poszedłem się napić, żeby na spokojnie przemyśleć to, co właśnie usłyszałem.

Wizyta podkomendanta zbiła mnie z tropu. Dobra wiadomość była taka, że Ward miała nadal prowadzić śledztwo, więc wszystkie moje raporty musiały przechodzić przez nią. Nie miałem najmniejszego zamiaru robić niczego za jej plecami, wbrew oczekiwaniom Ainsleya. Niepokoił mnie jednak fakt, że w ogóle o to poprosił. Ward potrafiła sama zadbać o swoje interesy i niewątpliwie zdawała sobie sprawę, że znajduje się w niepewnej sytuacji. Mimo to nie podobało mi się, że wyższy rangą oficer próbuje podważać jej kompetencje.

Jeszcze bardziej zaniepokoiły mnie pozostałe informacje przekazane mi przez Ainsleya. Miał rację co do Jessopa – przedsiębiorca budowlany stanowił zagrożenie dla siebie i innych, im wcześniej więc zostanie ujęty, tym lepiej. Jeśli jednak policja nie znajdzie twardych dowodów na jego uczestnictwo w zabójstwach w szpitalu Świętego Judy, śledztwo wróci do punktu wyjścia, nie będzie żadnych podejrzanych ani tropów. Sam dopiero co zacząłem wierzyć w winę Gary’ego Lennox’a i możliwość, że matka kłamała, żeby go chronić. Teraz okazywało się, że odciski palców z miejsca zbrodni nie należały do żadnego z nich. Od początku się myliliśmy.

A ja niepotrzebnie przysporzyłem kłopotów Loli i jej synowi.

Czułem się nieswojo, jakbym tracił grunt pod nogami. Częściowo było to na pewno spowodowane wypadkiem z ubiegłego wieczoru. Człowiek, którego znałem, został na moich oczach rozmyślnie przejechany przez samochód, a drugi doznał poważnych obrażeń. Gdyby przydarzyło się to komuś innemu, jako lekarz

zaleciłbym konsultację z psychologiem albo terapię. Ja jednak radziłem sobie z problemami na swój sposób.

Dopiłem wodę, wyrzuciłem kubek do kosza i wróciłem do pracy.

Drzwi do sali prosektoryjnej powoli się za mną zamknęły, a ja poczułem, że odzyskuję zaburzoną wcześniej koncentrację. Popękane zęby Marii de Souzy i Darrena Crossly'ego stanowiły pierwszą wskazówkę. Teraz musiałem tylko potwierdzić swoje domysły.

Mears mówił, że na szkielecie kobiety było trzynaście śladów przypominających oparzenia, rozmieszczonych z pozoru losowo na różnych kościach. Na pierwszy rzut oka zauważyłem zaledwie osiem. Jeden na wyrostku sutkowatym kości tuż pod prawym uchem. Drugi na prawym obojczyku, kolejne dwa na siódmym i ósmym żebrze po lewej stronie. Na kości łonowej znajdowało się duże oparzenie, kilkakrotnie większe od pozostałych, trzy pozostałe widniały zaś na kościach śródstopia, dwa na prawej stopie i jedno na lewej.

Z wyjątkiem tego za uchem – co do którego zaczynałem mieć już pewne podejrzenia – wszystkie pozostałe ślady znajdowały się z przodu. To prawdopodobnie oznaczało, że powstały, kiedy Maria de Souza leżała przywiązana do łóżka. Z początku nie mogłem zrozumieć, dlaczego Mears naliczył trzynaście, a nie osiem, ale przyjrzałem się bliżej. Duża plama na kości łonowej nie stanowiła całości, składało się na nią kilka śladów, choć umieszczonych tak blisko, że nachodziły na siebie. Pokiwałem głową. Duże oparzenie nie pasowałoby do mojej teorii, ale kilka mniejszych świetnie się w nią wpisywało.

Nie miałem też żadnej wątpliwości co do natury tych śladów: to były oparzenia. Mears miał co do tego rację. Choć niewielkie żółtawe plamki wyglądały niegroźnie, wiedziałem, że musiały się wiązać z okropnym bólem. Nie zgadzałem się jednak, że miały być piętnami ani że wykonano je czymś w rodzaju lutownicy. Owszem, wskutek przypalania takim narzędziem mogłyby powstać niewielkie, miejscowe oparzenia kości, podobne do tych. Mielibyśmy

jednak do czynienia ze znacznie poważniejszym uszkodzeniem tkanek miękkich. Skóra i mięso na kości prawie całkiem by się spaliły.

Podniosłem czaszkę i przyjrzałem się bliżej śladowi na wyrostku sutkowatym. Istniało prawdopodobieństwo, że powstał, kiedy Maria de Souza leżała z odwróconą głową, odsłaniając miejsce za uchem. Wątpiłem w to jednak. Uważałem, że doznała tego urazu, kiedy jeszcze stała. I chronologicznie było to pierwsze oparzenie.

Gdzie ty miałeś głowę, Mears? Przecież miałeś to przed nosem.

Szybko przeprowadziłem inspekcję reszty szkieletu, nie znalazłem nic wartego odnotowania i zapakowałem go z powrotem do pudła. Przetarłem powierzchnię stołu, ponownie zmieniłem rękawiczki, po czym zacząłem rozpakowywać i układać kości Darrena Crossly'ego. Mówiły mi to samo co szkielet Marii de Souzy. Dużo małych oparzeń o barwie plam nikotynowych, wszystkie na kościach znajdujących się pod cienką warstwą skóry i tłuszczu. W tym wypadku były to żebra, piszczel, kości śródstopia i śródrezcza. Ani śladu przypalenia na żadnym z wyrostków sutkowych, co wprowadziło mnie w chwilową konsternację. Miał jednak oparzenie w dolnej części mostka. Na ten widok zrozumiałem, co mu się przydarzyło.

Spakowałem z powrotem szkielet byłego salowego i zająłem się preparatami przypalonych kości przygotowanymi przez Mearsa. Niełatwo jest wyciąć kawałek wystarczająco cienki, żeby dało się go przeanalizować pod mikroskopem, zwłaszcza w przypadku kruchej, nadpalonej kości. Mears zatopił wybrane kości w żywicy, a potem za pomocą mikrotomu – specjalistycznego przyrządu do cięcia preparatów biologicznych – wykroił cieniuteńkie plasterki. Trzeba było do tego dobrego oka i pewnej ręki, a choć młodemu tafonomowi wiele można by zarzucić, to na pewno nie brak precyzji i skrupulatności. Preparaty były idealne, zaoszczędził mi roboty z przygotowywaniem własnych.

Umieściłem pod mikroskopem wycinek z żebra Marii de Souzy i schyliłem się nad okularom.

Przed oczami miałem tylko podświetlony obraz utrzymany w bielach, brązach i szarościach. Chciałem się przyjrzeć zwłaszcza rurkowatym jednostkom zwanym osteonami – układom blaszek kostnych, które budują zewnętrzną warstwę kości. Centralnie umieszczonym kanałem przez osteony przepływa krew, choć tu oczywiście nie została jej ani kropla. Działanie wysokiej temperatury spowodowało przebarwienia, widziałem też mikrołamania między osteonami. Uszkodzeniu uległa także okostna – włóknista błona powlekająca kość.

Można się było tego spodziewać w przypadku spalonej kości. Mnie interesowała jednak przede wszystkim skala urazów. Od razu uderzył mnie mały rozmiar oparzeń, silna koncentracja plam. Mears doszedł do wniosku, że oparzenia musiało spowodować coś równie małego, na przykład czubek lutownicy, w którym skupiało się całe gorąco. Była to całkiem rozsądna konkluzja, więc dalej rozumował już w tym kierunku.

Tu jednak popełnił błąd.

Obejrzałem pod mikroskopem resztę fragmentów kości i za każdym razem widziałem to samo. Spakowałem preparaty i zastanowiłem się, czy od razu zadzwonić do Ward, żeby przekazać, co odkryłem. Musiałem jednak sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

Co wcale mi się nie uśmiechało.

Słońce zaczynało z trudem przebijać się zza chmur. Kiedy dotarłem pod bramę szpitala Świętego Judy, chwilowo udało mu się wygrać tę bitwę – kamienne kolumny i pordzewiała metaloplastyka zaśniły w jesiennym blasku, ale już po chwili znów nadpłynęły ciemne chmurzyska.

Na straży i tym razem stała znajoma mi para: młoda policjantka i starszy funkcjonariusz. Kobieta uśmiechnęła się wesoło.

– Znowu pan?

– Mam nadzieję, że już nie będę tu często wracał.

– Całkowicie pana rozumiem.

Wpuściła mnie do środka i w tej samej chwili słońce, jakby czekało na sygnał, schowało się z powrotem za chmurami. Jadąc wśród stert gruzu, jak zwykle poczułem ucisk w żołądku na widok wznoszącej się przede mną bryła szpitala. Próbowałem się dodzwonić do Ward i Whelana, ale żadne z nich nie odbierało. Zostawiłem wiadomość, w której potwierdziłem tożsamość denatki, teraz już na pewno Marii de Souzy, i dodałem, że musimy pilnie porozmawiać, ale nie wyjaśniłem dlaczego. Ta informacja nie nadawała się na pocztę głosową, a zresztą i tak miałem wrócić do Świętego Judy, żeby kontynuować przeszukiwanie z psem. Uznałem, że pewnie ich tu zastanę.

Zaparkowałem obok policyjnych przyczep i radiowozów, wysiadłem z samochodu i zobaczyłem oboje oficerów na schodach prowadzących do głównego wejścia. Rozmawiali z Jacksonem, specjalistą od rewizji, ubranym w brudny kombinezon. Idąc od samochodu, zobaczyłem, że jeszcze kilkoro funkcjonariuszy w białych strojach ochronnych wychodzi przez ciemne wrota. Wyglądało na to, że ekipa przeszukiwawcza albo właśnie skończyła, albo robiła sobie przerwę. Wołałem nie przeszkadzać, na wypadek gdyby Jackson składał Ward raport z postępów akcji, więc nie podchodziłem bliżej, czekając, aż skończą rozmowę.

Wygląd Ward wprowadził mnie w szok. Już poprzedniego wieczoru sprawiała wrażenie wykończonej, ale teraz była potwornie wymizerowana, miała zapadnięte policzki i wory pod oczami. Kiedy kiwała głową, przytakując Jacksonowi, nawet jej niesforne włosy zdawały się pozbawione życia. Odwróciła się od specjalisty, który ruszył w stronę przyczep, i zeszła po schodach z Whelanem.

– Jeśli przyszedł pan na przeszukiwanie, to się pan spóźnił – powiedziała, kiedy do nich podszedłem. – Pies nadepnął na jakiś gwóźdź, więc opiekunka zabrała go do weterynarza. Nie wyglądało to poważnie, jutro powinniśmy móc wznowić akcję.

Nawet jej głos brzmiał płasko i apatycznie.

– Odsłuchala pani wiadomość? – zapytałem.

– O Marii de Souzie? – Skinęła głową. – Dziękuję. Ciągłe próbujemy namierzyć dentystę Wayne’a Booth’a, żeby sprawdzić, czy to jego protezę znaleźliśmy w kotle. Wydawałoby się, że ktoś powinien wiedzieć, czy miał sztuczne zęby, ale jakoś nikt nie jest pewny, do jasnej cholery. – Uspokoila się. – Mówił pan, że ma nam coś jeszcze do powiedzenia?

– Przyjrzałem się tym oparzeniom u Crossly’ego i de Souzy – powiedziałem. – To nie są oparzenia termiczne.

– Słucham? – zareagował Whelan.

– To oparzenia elektryczne. Nie chodziło o piętnowanie ofiar. Ktoś wielokrotnie raził ich prądem, tak silnym, że przypaliły się kości.

– Jest pan pewny? – Ward nagle się ożywiła.

– Praktycznie na sto procent. Wizualnie te dwa rodzaje oparzeń są bardzo podobne, ale termiczne są większe i mniej skoncentrowane. Dlatego ślady były tak małe, a na zewnątrz prawie niewidoczne. Prąd przechodzi przez skórę i mięśnie. Oba rodzaje oparzeń mogą powodować złamania, ale w przypadku elektrycznych pojawiają się także uszkodzenia w mikroskali. Pod mikroskopem zaobserwowałem małe pęknięcia w strukturze kości. To by tłumaczyło także pozostałe obrażenia, na przykład głębsze pęknięcia kości rąk. A rany od pasków nie powstały wskutek bicia czy prób ucieczki, lecz z powodu gwałtownego naprężania się w więzach. Poza tym obie ofiary miały popękane zęby, bo tak mocno je zaciskały w wyniku silnych skurczów mięśni.

– Jezu. – Ward słuchała mnie uważnie, próbując zrozumieć, co to wszystko znaczy. – Co to było, jakiś paralizator?

Pokręciłem głową.

– Nie sądzę. Tego typu urządzenia nie wytwarzają wystarczająco silnych ładunków elektrycznych, żeby spowodować tak poważne urazy. Ale skoro w szpitalu nie było prądu, to musiał być jakiś przenośny sprzęt.

– Znaleźliśmy tam akumulatory samochodowe – powiedział Whelan. – Sądziliśmy, że ktoś je po prostu wyrzucił, ale gdyby podłączyć kable rozruchowe, to może byłyby dość mocne?

– Nie wiem – przyznałem. – Może gdyby było ich wystarczająco dużo.

Wkraczałem na nieznane terytorium. Temat oparzeń elektrycznych kości nie został dotychczas dogłębnie przebadany, ja sam zetknąłem się z nimi zaledwie kilka razy, a i wtedy były wynikiem silnych porażen spowodowanych wadliwym okablowaniem albo wypadkami w miejscu pracy, w jednym przypadku – uderzeniem pioruna. To tutaj to była dla mnie całkowita nowość.

– Czymkolwiek ich rażono, myślę, że nie chodziło tylko o tortury – ciągnąłem. – Sądząc po lokalizacji oparzeń, większość powstała, kiedy ofiary leżały. Ale Maria de Souza ma ślad za uchem, a Darren Crossly na środku mostka. Myślę, że w ten sposób ich obezwładniono. Jego od przodu, a ją od tyłu.

– Może próbowała uciec – zasugerował Whelan. – Najpierw obezwładnić większego, bo groźniejszego, a potem dziewczynę, jak próbuje zwać.

Ward kiwała głową.

– Ma to sens. Ale dlaczego Mears na to nie wpadł, do diabła?

– Myślę, że wpadł. Tylko nie chciał tego przyznać – powiedziałem. – Na początku założył, że to oparzenia termiczne, więc uczepił się tej myśli. Nie potrafił zmienić zdania, skoro już wam o tym powiedział. Sądzę, że dlatego tak długo mu schodziło: nie potrafił przyjąć do wiadomości, że fakty nie pasują do jego teorii.

Nazywa się to błędem poznawczym. Znałem co najmniej kilku naukowców, którzy padli jego ofiarą i uparcie odmawiali przyznania się do pomyłki, mimo coraz liczniejszych dowodów przeczących ich przekonaniom. Mogło się to zdarzyć każdemu, niezależnie od wieku, ale w przypadku Mearsa arogancji towarzyszył jeszcze brak doświadczenia. Tak rozpaczliwie pragnął dowieść swojej wartości i sprawdzić się w pracy nad pierwszą poważną sprawą, że zapomniał, co powinien robić.

Aktualnie jednak miał poważniejsze problemy. Ward chyba pomyślała o tym samym.

– Zostawmy Mearsa w spokoju – powiedziała. – Teraz przynajmniej wiemy, że ofiary nie tylko torturowano, ale też obezwładniono. To krok naprzód. Coś

jeszcze?

Rzuciła to od niechcienia, ale ja rzeczywiście miałem coś więcej do powiedzenia.

– Owszem. Myślę, że to samo przytrafiło się Christine Gorski.

Zastrzygli uszami.

– Myślałam, że ona nie miała oparzeń... – rzekła Ward ze zmarszczonym czołem.

– Żadnych nie zauważyłem, to prawda. Ale mogła mieć ślad w miejscu, którego byśmy nie zauważyli.

Na twarzy Ward odmalowało się nagłe zrozumienie.

– Mówi pan o brzuchu.

– Tak sędzę. Wiemy, że nie mogła mieć tam dużej rany, bo zostałyby plamy krwi na ubraniu. Ale miała na sobie kusą koszulkę odsłaniającą brzuch, a oparzenie elektryczne mogło naruszyć skórę, nie powodując krwawienia. Wystarczyłoby, żeby po śmierci przyciągnąć muchy, zwłaszcza jeśli wdała się infekcja.

Odpowiedziało mi grobowe milczenie.

– Ale nie może pan być tego pewny – odezwał się w końcu Whelan. – Sam pan mówił, że na ciele nie ma żadnych śladów, które by to potwierdzały.

– Na jej ciele nie. – Wzięłem głęboki oddech, bo wcale nie chciałem tego powiedzieć na głos. – Ale na płodzie owszem.

Z początku sądziłem, że małe pęknięcia delikatnych kości musiały nastąpić w trakcie przenoszenia ciała matki. Po obejrzeniu urazów Darrena Crossly'ego i Marii de Souzy zbadałem jednak szkielet płodu i przekonałem się, że obrażenia były bardzo podobne.

– Skurcze mięśni wywołane porażeniem prądem mogą spowodować pęknięcie kości – tłumaczyłem. – Tak było w przypadku Crossly'ego i de Souzy, a także, jak sędzę, w przypadku płodu. Macica i płyn owodniowy mogły go trochę chronić, ale... niezbyt skutecznie.

– Jezu – mruknął Whelan i pokręcił głową.

Ward nie wyglądała jednak na przekonaną.

– Jeśli ktoś poraził Christine Gorski prądem, to dlaczego jej też nie popękały kości?

– Nie zawsze się tak dzieje. Płód był znacznie mniejszy i zlokalizowany bliżej miejsca porażenia. A Christine Gorski miała przecież wybity bark. Skurcze mięśni mogą powodować również takie urazy, więc niewykluczone, że stało się to w tej samej chwili.

– Wody jej odeszły – wychrypiał Whelan. – To były te plamy na schodach na strych i na izolacji. Jakiś gnój poraził ją prądem i odeszły jej wody.

Doszedłem do tego samego wniosku. A potem, kiedy próbowała uciec, ktoś wbiegł za nią na poddasze i zaryglował drzwi.

Zadzwoił telefon Whelana i na twarzy policjanta odmalowała się ulga. Odsunął się na bok, żeby odebrać, a my z Ward kontynuowaliśmy rozmowę.

– Czyli szukamy jednej osoby odpowiedzialnej za śmierć wszystkich trzech ofiar. – Ścisnęła grzbiet nosa i potarła oczy. – Christine Gorski, Crossly’ego i de Souzy, a do tego może jeszcze Wayne’a Booth’a, chociaż tego na razie nie możemy udowodnić.

– Rozmawiałem z Ainsleyem. Powiedział, że odciski palców znalezione w szpitalu nie należały do Gary’ego Lennox’a. Lola zmieniła zdanie i pozwoliła wam je pobrać?

Ward nie wykazywała już ani śladu wcześniejszego ożywienia.

– Nie. Nadal nie chciała wyrazić zgody, więc zabraliśmy z ich domu dwa kubki, jeden jej, a drugi ten z dzióbkiem. Sąd nie dopuściłby takich dowodów, ale mogliśmy przynajmniej porównać odciski palców. Brak dopasowania.

Czyli już po wszystkim. Po całym tym zamieszaniu próby oskarżenia Gary’ego Lennox’a okazały się stratą czasu, tak jak mówił Ainsley. Rzeczywiście teraz przynajmniej znajdował się pod odpowiednią opieką medyczną, ale nie sądziłem, żeby Lola była tym zachwycona. Brawo, Hunter.

– Co to oznacza dla... – zacząłem, ale Ward uciszyła mnie podniesioną dłonią.

– Chwilę.

Patrzyła na Whelana, który nadal wisiał na telefonie, ze zmarszczonym czołem przysłuchując się rozmówcy.

– Coś się dzieje – powiedział i wrócił do rozmowy. – Powtórz, nie zrozumiałem...

Zmarszczka między brwiami jeszcze się pogłębiła, w tej samej chwili usłyszałem silnik nadjeżdżającego samochodu. Czerwona furgonetka bez żadnych napisów czy znaków firmowych jechała powoli podjazdem w stronę szpitala. Przed nią szło dwoje mundurowych, jakby ją eskortowali – rozpoznałem wesołą policjantkę i jej starszego kolegę, którzy pilnowali bramy. Nawet kiedy zauważyłem, że kierowca wystawia rękę przez okno i coś w niej trzyma, nadal nie docierało do mnie, co się dzieje.

Whelan nie odrywał telefonu od ucha, a twarz mu nagle poszarzała w reakcji na to, co usłyszał.

– O kurwa – wymamrotał.

– Co tu się odwała, Jack? – zapytała z naciskiem Ward, podczas gdy pozostali policjanci odwracali głowy za tą dziwną procesją.

Nie zdążył odpowiedzieć. Furgonetka nagle przyśpieszyła, zmuszając idących przed nią funkcjonariuszy do biegu. Dziewczyna, z którą niedawno rozmawiałem, potknęła się i upadła, przez jedną, ale straszliwie długą sekundę bałem się, że samochód ją przejedzie. Kierowca jednak zahamował i z rozmachem otworzył drzwiczki.

Z furgonetki wysiadł Jessop.

Przez ramię miał przewieszoną torbę sportową, wypchaną czymś wyraźnie ciężkim. Rękę wciąż trzymał wysoko w powietrzu i zauważyłem w jego dłoni jakiś nieduży prostokątny przedmiot. Z początku sądziłem, że to telefon komórkowy, ale potem dostrzegłem kable wijące się z otwartej torby.

W rękę ścisnął detonator.

ROZDZIAŁ 28

Pierwszy zareagował Whelan.

– Odsunąć się! – wrzasnął, machając wściekle rękami, i przepchnął się obok mnie. – Cofnąć się wszyscy! Już!

Policjanci i technicy kryminalistyczni rozbiegli się we wszystkie strony, szukając schronienia za samochodami i przyczepami. Trzymając detonator w powietrzu, budowlaniec złapał za ramię młodą policjantkę. Kiedy jej siwowłosy partner próbował interweniować, Jessop wyciągnął w jego stronę detonator z kciukiem na przycisku.

– Dalej, kurwa, proszę! Myślisz, że robi mi to różnicę?

– Nie prowokuj go! – krzyknął Whelan.

Starszy funkcjonariusz wycofał się niechętnie. Obok mnie Ward pośpiesznie mówiła do telefonu, ściszone głosem wzywając posiłki. U podnóża schodów Jessop poprawił chwyt, szarpnął policjantkę, tak że znalazła się przed nim, i przycisnął ją sobie do piersi, zgięciem łokcia mocno trzymając za gardło. Ubranie miał uświnione, obwisłą skórę policzków niczym brudny szron pokrywała siwa szczecina, a białka jego oczu były pożółkłe i przekrwione.

– Proszę się odsunąć, doktorze – powiedział cicho Whelan.

Za mną znajdowało się przypominające wrota mauzoleum wejście do szpitala – najbliższa kryjówka i jedyna, której nie zagradzał Jessop. Obejrzałem się na ciemną paszczę drzwi i zawahałem, bo wcale nie miałem ochoty ich zostawiać.

– Już! – warknął Whelan.

Rozległ się głos Jessopa:

– Ma tam zostać! Nikt nigdzie nie pójdzie!

Wciąż trzymając policjantkę za szyję, wolną ręką otworzył torbę. Zauważyłem, że jest pełna jakby woskowych kostek zaplątanych w kable. Między nimi wałała się jakaś butelka, chyba wódki, chlupocząca cicho przy każdym ruchu.

– Mam tu tyle RDX, że mogę wypierdolić was wszystkich w kosmos! – Podniósł detonator. – Niech ktoś się tylko spróbuje zbliżyć, wcisnę ten guzik!

– W porządku, wierzymy panu. – Ward wyszła zza moich pleców, chowając telefon. – Słuchamy uważnie, może zechciałby pan nam powiedzieć, o co chodzi?

Mówiła od niechcienia, prawie jakby ta rozmowa ją nudziła. Chyba go to zbiło z pantałyku. Jessop próbował zebrać myśli, a tymczasem młoda policjantka, którą trzymał za gardło, odezwała się zduszonym głosem:

– Przepraszam, pani nadkomisarz, powiedział, że jak nie zrobimy, co nam każe, to...

Jessop wzmocnił uścisk.

– Zamknij, kurwa, ryj!

– No dobrze – ciągnęła spokojnie Ward. – Może odłożysz detonator...

– Nie mów mi, co mam robić! – Jessop łypnął na nią spode łba, bez przerwy memląc ustami. – Nikt mi nie będzie rozkazywał. Koniec tego.

Ward uniosła rękę.

– Nikt nie próbuje panu rozkazywać. Pan tu rządzi, więc może powie mi pan, proszę, czego pan chce.

– Czego chcę? – Jessop zaśmiał się gorzko. – Chcę, kurwa, odzyskać swoje życie! Możecie mi to załatwić?

– Mogę spróbować, ale musi pan...

– Czy ja wyglądam na debila? – Palił Ward spojrzeniem żółtawych oczu. – Pokazują moje zdjęcie we wszystkich, kurwa, wiadomościach. Straciłem wszystko, a dlaczego? Przez jakąś głupią pizdę, która w ogóle nie powinna tu przyłązić!

– Nazywała się Christine Gorski. – W głosie Ward zabrzmiał ostrzejszy ton. – Ona też miała życie. Rodzinę. Widział ich pan, pamięta pan?

– I co z tego? Nie moja wina, że ich córka ćpała!

– Nie zasługiwała na śmierć. Tak samo jak Adam Oduya czy...

– Chuj mnie obchodzą! – wrzasnął Jessop. – A ja to co? Kogo ja obchodzę? Nikogo!

– To nieprawda. Przykro mi, jeśli...

– Przykro? Myślicie, że zależy mi na jakichś żalonych przeprosinach?

– W takim razie proszę mi powiedzieć, czego pan chce.

– Chcę zrobić to, co powinienem był zrobić pół roku temu! – Wskazał brodą za plecy Ward, w stronę szpitala. – Wysadzę tę pierdoloną rudę!

– To niczego nie zmieni.

– Może i nie, ale umrę szczęśliwy.

– Na pewno?

Wiatr wzburzył przetłuszczone włosy budowlańca, który zagapił się na nią, nagle zbity z tropu. Potem przechylił głowę na bok, nasłuchując. Po chwili ja też usłyszałem.

Coraz głośniejsze wycie syren.

– To wasi kumple? – parsknął Jessop. – Próbowaliście mnie zagadać, do czasu aż przyjedzie jakiś skurwiel i rozwali mi łeb?

– Nie, zaraz...

Ale Jessop już zaczął wspinać się po schodach, zmuszając młodą policjantkę, żeby szła przed nim. Kiedy Whelan zrobił krok w ich stronę, budowlaniec podniósł detonator.

– Wypierdalaj mi z drogi.

– Nie mogę tego zrobić. Niech się pan zastanowi, co pan robi.

– Wypad, kurwa, mówię! Myślicie, że nie nacisnę?

Jessop wymachiwał detonatorem w zaciśniętej do białości dłoni. Syreny były już znacznie bliżej. Zauważyłem, że starszy policjant z posterunku przy bramie

zaczyna się powoli przysuwać, ale wtedy przedsiębiorca budowlany gwałtownie odwrócił głowę w jego stronę.

– Spierdalaj! Ale już!

– Rób, co mówi – rzuciła Ward. Położyła dłoń na ramieniu Whelana. – Nie róbcie żadnych głupstw.

– Liczę do trzech – warknął Jessop. – Raz!

– Nikt nie będzie pana powstrzymywał przed wejściem do środka. Proszę ją wypuścić – powiedziała Ward. – Niech pan na nią spojrzy. To prawie dziecko. Naprawdę chce jej pan zrobić krzywdę?

– Dwa!

Młoda policjantka zamknęła oczy. Była dwa razy mniejsza od Jessopa. Trzęsa się, ale usta miała zaciśnięte z determinacją. Ward chyba nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Wycie syren coraz bardziej się zbliżało, a Jessop wziął głęboki oddech i uniósł detonator.

– Niech pan weźmie mnie – powiedziałem.

Samo mi się wyrwało. Mój głos zabrzmiał nienaturalnie głośno. Whelan i Ward odpowiedzieli jednocześnie:

– Na litość boską...!

– Niech się pan nie miesza...!

Zwróciłem jednak na siebie uwagę Jessopa. Rozłożyłem szeroko ręce, pokazując, że nic w nich nie mam.

– Jeśli chce pan zakładnika, proszę wziąć mnie.

Spojrzał na mnie, wciąż trzymając policjantkę za gardło. Potem wygiął usta w ponurym grymasie.

– Z drogi.

– Proszę ją puścić. Ja z panem pójdę – wtrąciła się Ward, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

Whelan odwrócił się do niej przerażony.

– Nie ma mowy! To...

– Za pół minuty znajdzie się pan na celowniku kilkunastu snajperów – powiedziała do Jessopa Ward, ignorując komisarza. – Nie mogę pozwolić panu wejść tam z kimkolwiek z moich ludzi, ale pójdę z panem zamiast nich. Albo może pan w tej chwili wysadzić nas wszystkich w powietrze, bo ten dzień jest taki beznadziejny, że już mi w sumie wszystko jedno. Pański wybór.

– Niech pani tego nie robi – apelował Whelan.

Puściła jego słowa mimo uszu, nie odrywając wzroku od Jessopa.

– Piętnaście sekund.

Dźwięki syren dobiegały już z terenu szpitala. Budowlaniec skinął głową.

– Ale spróbuj tylko cokolwiek...

– Jezu, jestem w szóstym miesiącu ciąży, co niby mogłabym zrobić? – W głosie Ward spod hardej pozy przebijał strach.

– Niech pani nie... – zacząłem, ale ona już szła w stronę przedsiębiorcy trzymającego młodą policjantkę.

– Nie mogę na to pozwolić – powiedział Whelan i ruszył w jej kierunku, żeby ją powstrzymać.

– Odsuń się, Jack. To rozkaz.

Głos jej się załamał, Whelan się poddał. Jessop szybkim ruchem odepchnął młodą mundurową i złapał Ward.

– Do środka. Już – rozkazał, prowadząc ją w górę po schodach.

– Chryste, człowieku, ona jest w ciąży! – wrzasnął roztrzęsiony Whelan.

Christine Gorski też była, pomyślałem tępo. Jessop tyłem wszedł w ciemne wrota, ciągnąc za sobą Ward, której minęła brawura, a na jej bladej twarzy malowało się przerażenie.

Potem Jessop zatrzasnął za nimi ciężkie drzwi i zniknęli w paszczy szpitala Świętego Judy.

Następna godzina była jedną z najgorszych w moim życiu. Gdy tylko Jessop i Ward zniknęli w budynku, Whelan zaczął wywrzaskiwać rozkazy. Wszyscy dookoła uwijali się jak w ukropie i nie zwracali na mnie uwagi, a ja zostałem na

schodach, całkowicie oszołomiony. Ciemne furgonetki z migającymi światłami hamowały z piskiem i wypluwały z siebie uzbrojonych funkcjonariuszy w kamizelkach kuloodpornych. Syreny wyły jak oszalałe, coraz głośniejszy, jakby przyciągało je epicentrum Świętego Judy.

Whelan brutalnie ściągnął mnie ze schodów.

– Co pan sobie, kurwa, myślał?

Podniósł rękę, jakby chciał mnie uderzyć. Potem jednak pokręcił tylko głową z obrzydzeniem, odwrócił się i odszedł.

Przegonili mnie spod głównego budynku, zmusili do biegu aż za przyczepy policyjne, gdzie uzbrojony oficer kazał mi się tłumaczyć, kim jestem. Potem rozkazał, żebym tam został. Bez przerwy przyjeżdżały nowe furgonetki i radiowozy, dołączały do nich karetki i wozy strażackie. Dookoła trzeszczały krótkofalówki. Nad przyczepą nadal widziałem dach starego szpitala, surową czarną sylwetkę na tle szarego nieba.

Jessop jeszcze go nie wysadził.

Nie wiedziałem, co robić, usiadłem na schodkach do przyczepy. Kiedy zerknąłem na zegarek, nie mogłem uwierzyć, że od mojego przyjazdu do Świętego Judy minęło zaledwie pół godziny.

– Jak się pan trzyma?

Młoda policjantka spod bramy, którą Jessop początkowo wziął na zakładniczkę, podała mi butelkę wody.

– Pomyślałam, że może to panu dobrze zrobić.

Przydałoby się coś mocniejszego, ale z wdzięcznością przyjąłem wodę. Zawahała się.

– Chciałabym panu podziękować. No wie pan, za to wcześniej.

Pokiwałem głową. Czułem w środku mdlącą pustkę, która zdawała się pochłaniać wszystkie słowa, jakie mógłbym wypowiedzieć. Policjantka popatrzyła nad moim ramieniem w stronę szpitala.

– Ona i tak by to zrobiła. Jeśli kogoś należy winić, to mnie. Powinnam była go powstrzymać.

– Jak? Zrobiła pani wszystko, co mogła – powiedziałem.

– To nie zmienia faktu, że człowiek się czuje do dupy, co?

To prawda. Odeszła, a ja pociągnąłem łyk wody. Zrobiłem to, żeby czymś się zająć, nie z rzeczywistej potrzeby, ale dopiero pijąc, zorientowałem się, że umierałem z pragnienia. Zakręciłem butelkę i usłyszałem odgłos różnych kroków zwiastujący czyjeś nadejście. Ainsleya, jak się okazało. Podkomendant stanął przede mną i zmierzył mnie lodowatym spojrzeniem, czekając, aż wstanę.

– Porozmawiamy w przyczepie.

Wbiegł po schodkach, nie czekając na mnie. W środku wokół pustego stołu stały plastikowe krzesła.

– Jakieś wieści? – zapytałem.

Ainsley chyba się zastanawiał, czy odpowiedzieć.

– Nie. Ciągłe próbujemy nawiązać kontakt.

– W środku jest ktoś jeszcze? – Ekipa z psem skończyła pracę, widziałem ich na zewnątrz, ale w piwnicy mógł być jeszcze jeden zespół.

Wypuścił powietrze przez nos, rozdymając nozdrza.

– Oprócz dowodzącej śledztwem i podejrzanego z workiem materiałów wybuchowych, tak? Nie, na szczęście nikogo. Przeszukanie już się kończy, więc szpital był pusty.

Przysunął sobie krzesło i usiadł. Po chwili wahania poszedłem w jego ślady. Trudno było patrzeć w te intensywnie błękitne oczy, ale nie odwróciłem wzroku.

– No dobrze, panie doktorze, zechciałby mi pan powiedzieć, dlaczego jest tutaj, a nie w kostnicy?

Nie spodziewałem się takiego pytania na początek.

– Skończyłem już, więc przyjechałem pomóc w przeszukaniu.

Bez słowa świdrował mnie spojrzeniem. W powietrzu wisiało wspomnienie naszej ostatniej rozmowy, polecenie, żebym o każdym odkryciu informował nie tylko Ward, ale też jego. Obydwaj wiedzieliśmy, że zlekceważyłem jego wytyczne, ale miałem to gdzieś.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to było z tym Jessopem – powiedział w końcu.

Posłusznie spełniłem prośbę, próbując wyciągnąć z pamięci każdy najdrobniejszy szczegół. Ainsley na pewno rozmawiał już z Whelanem, ale zachowywał się w pełni profesjonalnie, chciał wysłuchać mojej relacji.

– Niech pan opisz, co on miał w tej torbie – przerwał mi.

– Prostokątne kostki czegoś w rodzaju brudnobiałego kitu, z kablami. Jessop mówił, że to RDX.

Ainsley wypuścił powietrze.

– To materiał wybuchowy używany do burzenia budynków. Potrafi pan oszacować, ile było tych kostek?

– Niezbyt, ale torba była średnich rozmiarów i wyglądała na ciężką. Mniej więcej do połowy pełna. Była tam też butelka wódki.

Warto było o tym wspomnieć, na wypadek gdyby nikt inny nie zauważył: alkohol i materiały wybuchowe to kiepskie połączenie. Ainsley pokiwał głową – widocznie potwierdziłem informacje, które uzyskał już od kogoś innego.

– Jak opisałby pan stan umysłu Jessopa?

Wydanie takiej oceny nie leżało w moich kompetencjach, ale Ainsley nie prosił o profesjonalną opinię.

– Gniew, uraza, uzalanie się nad sobą. Nie okazywał skruchy, nie żałował ani Christine Gorski, ani Adama Oduyi.

– Sądzi pan, że te groźby mogły być blefem?

Poczułem suchość w ustach.

– Nie.

Taksujące spojrzenie lalczynych oczu.

– Pamięta pan naszą poranną rozmowę o wtrącaniu się w operacje policyjne?

Zrobiłem wdech i powoli wypuściłem powietrze.

– Tak.

– Mógłby mi więc pan powiedzieć, dlaczego zgłosił się pan na ochotnika jako zakładnik podejrzanego uzbrojonego w torbę materiałów wybuchowych?

Też dręczyło mnie to pytanie, zastanawiałem się, czy Ward by się zgłosiła, gdybym nie wyrwał się pierwszy. Ale wtedy Jessop zabrałby do środka młodą

policjantkę, a ja plułbym sobie w brodę, że nic nie zrobiłem. Nie było dobrego wyjścia z tej sytuacji.

Odwzajemniłem spojrzenie lodowato niebieskich oczu.

– A pan co by zrobił?

Ainsley zacisnął mocno usta i nie odpowiedział. Wstał i otrzepał jakiś niewidoczny pyłek z idealnie wyprasowanych spodni. Zauważyłem to u niego już wcześniej: albo miał sokoli wzrok, albo nieświadomy tik.

– Przyślę kogoś, żeby mógł pan oficjalnie złożyć zeznania, a potem będzie pan wolny. Załatwię panu transport do domu.

Wcześniej w ogóle o tym nie pomyślałem, ale zaparkowałem przecież pod samym głównym gmachem szpitala, po tamtej stronie kordonu policyjnego. Dopóki to się nie skończy, mój samochód tam zostanie.

Jakkolwiek się to skończy.

– Poradzę sobie sam.

– Jak pan woli.

Wyszedł. Powstrzymałem się przed pytaniem, co teraz będzie. I tak by mi nie odpowiedział, a zresztą przynajmniej części mogłem się domyślić. Policyjny negocjator będzie się próbował skontaktować z Jessopem, prawdopodobnie przez telefon Ward. Jeśli to się nie uda, trzeba będzie zdecydować, czy ryzykowniej będzie czekać, czy puścić uzbrojonych funkcjonariuszy. W tak dużym budynku pełnym zakamarków i krętych korytarzy byłaby to ostateczność.

Zwłaszcza że Jessop mógł podłożyć ładunki wybuchowe.

Zdawało mi się, że minęły całe wieki, zanim jakiś detektyw w cywilu przyszedł spisać moje zeznania. Przez cały ten czas w kółko odtwarzałem w głowie wydarzenia sprzed szpitala i zadreślałem się myślami, co też może dziać się w środku, podczas gdy ja tkwię w tej pustej przyczepie. Siedziałem w takim napięciu, że aż bolały mnie ramiona i kark, i czekałem na huk eksplozji.

Ten się jednak nie rozległ. Kazali mi podpisać protokół zeznań i powiedzieli, że ktoś odeskortuje mnie poza teren szpitala, a potem będę wolny. Przez kolejne piętnaście minut nikt się nie pojawił, a mnie zmęczyło gapienie się na obdrapane

ściany przyczepy, więc poszedłem poczekać na zewnątrz. Nikt się nawet nie obejrzał, kiedy otworzyłem drzwi i zszedłem po schodkach, w powietrzu wisiało niemal namacalne napięcie, atmosfera wyczekiwania. Przyjechałem do Świętego Judy późnym popołudniem, a przez ten czas, kiedy siedziałem w przyczepie, zdążyło już zajść słońce. Przed gmachem szpitala ustawiono reflektory, które zalewały surową fasadę snopami światła niczym gigantyczną dekorację teatralną.

Furgonetka Jessopa nadal tkwiła u podnóża schodów, zbyt blisko budynku, żeby policja mogła podejść. Drzwiczki stały otworem, tak jak je zostawił, wyraźne przypomnienie tego, co się stało.

– Panie doktorze.

Odwróciłem się i zobaczyłem Whelana. Przygotowałem się psychicznie na nową porcję wymówek.

Chyba jednak stracił resztki energii. Komisarz wyglądał tak, jakby w ciągu ostatnich kilku godzin postarzał się o pięć lat, uświadomiłem też sobie, że prawdopodobnie czuje się równie bezradny jak ja. Teraz to była operacja taktyczna, musiał odsunąć się w cień i pozwolić działać innym.

– Nie wiedziałem, czy jeszcze pana złapię – powiedział. – Proszę posłuchać, co do naszej wcześniejszej rozmowy, może zachowałem się...

Ziemia nagle zatrzęsała się z głębokim, mocnym łupnięciem, od którego na chwilę stanęło mi serce. Sekundę później nastąpił ogłuszający łoskot, aż zakolebała się stojąca obok przyczepa. Zatoczyłem się na Whelana, cały front gmachu szpitala zdawał się drzeć, a potem wyleciały deski zasłaniające okna. Kawał drewna wystrzelił w furgonetkę Jessopa, niemal ją przewracając, po czym zniknął w kłębach pyłu.

Powietrze wypełniła kakofonia alarmów samochodowych – odłamki roztrzaskanych kamieni i cegieł sypały się na karoserię z odgłosem przypominającym walenie gradu o blaszany dach. Dookoła mnie ludzie podnosili się z ziemi i patrzyli w szoku na budynek.

Whelan oparł się bezsilnie o bok przyczepy.

– O nie...

Ponad połowa gmachu szpitala Świętego Judy przestała istnieć, obracając się w kupę gruzu.

ROZDZIAŁ 29

Pierwsze ciało wynieśli tuż przed północą. Operacja ratunkowa rozpoczęła się błyskawicznie, zanim jeszcze opadły tumany kurzu unoszące się nad gruzami. Posępni ratownicy oczyścili drogę, przytaszczyli sprzęt z wozów strażackich i furgonetek. Rozstawiono nowe reflektory w miejsce tych roztrzaskanych w wybuchu, a blask migających niebieskich świateł pojazdów ratunkowych nadawał całej scenie lodowaty odcień. Stary szpital odniósł śmiertelną ranę. Gruzy zaścielały teren przed budynkiem, szkło i drewniane drzazgi wały się jak opadłe liście. Jedno skrzydło uległo całkowitemu zniszczeniu, strych, na którym znaleźliśmy ciało Christine Gorski, i ukryta sala zostały unicestwione. Drugie skrzydło, łącznie z wejściem głównym, przetrwało i zachowało większą część dachu. Nietknięte zostały jednak wyłącznie mury. Eksplozja zawałiła ściany wewnętrzne i podłogi, zamieniając je w kupę odłamków kamieni i gipsu. Ostatnie zachowane okna wyleciały z ram, pozostawiając po sobie ślepe otwory z poczerniałymi krawędziami najeżonymi ostrymi kawałkami szkła i strzaskanych futryn.

W pierwszych chwilach po wybuchu zapanował ogólny chaos. Kiedy ucichło echo ostatniego huku, Whelan zrobił kilka kroków w stronę szpitala, ale zaplątały mu się nogi i stanął jak wryty, kiedy chmura dymu i pyłu rozwiała się i ukazała pobojowisko.

– Jezu Chryste...

W uszach mi dzwoniło, w powietrzu unosił się ostry, gryzący smród, który czułem aż w gardle.

– Mogę coś zrobić?

Popatrzył na mnie tak, jakby zapomniał, kim jestem.

– Zostać tutaj.

I już biegł w stronę grupki funkcjonariuszy, wykrzykując rozkazy. Zignorowałem polecenie i ruszyłem ku ruinom szpitala, ale po chwili jakiś policjant w kamizelce ratunkowej złapał mnie za rękę.

– Stać! Dokąd to?

– Chcę pomóc – powiedziałem mechanicznie.

– Że niby ktoś stamtąd wyjdzie na własnych nogach? Zostać za przyczepami!

Po czym oddalił się pośpiesznie. Miał rację, uświadomiłem sobie, kiedy przebiegła koło mnie kolejna grupka umundurowanych policjantów. Nic nie mogłem tu zrobić. Oszołomiony wróciłem na stanowisko koło przyczep.

Za to wszyscy wokół mnie uwijali się jak w ukropie. Udało się zaprowadzić coś na kształt porządku, zanim w oddali rozległo się wycie syren strażackich, które stopniowo się do nas zbliżały. Opadłem bezsilnie na schodki jednej z przyczep i zagapiłem się na szpital. Przed zrujnowanym budynkiem stała furgonetka Jessopa na przebitych oponach, lakier karoserii zmatowiał, zakurzony i porysowany ostrymi odłamkami. Drzwiczki auta wisiały na zawiasie, szybę przednią wgniotła połamana płyta ze sklejki, która leżała teraz na pogniecionej masce. Zrobiło mi się niedobrze. Nie sądziłem, że on naprawdę to robi. Mimo wszystko wierzyłem, że budowlaniec da się uspokoić, wypuści Ward.

Nie spodziewałem się czegoś takiego.

Kiedy kłęby kurzu wisiały jeszcze w powietrzu, kątem oka zauważyłem jakiś ruch nad szpitalem. Z nieuszkodzonego fragmentu dachu wlatywały czarne kształty i rozpierzchały się po ciemniejszym niebie. Niech to się tylko nie zapali, pomyślałem, czując ściskanie w dołku. Potem jednak podmuch wiatru przegonił chmurę pyłu i uświadomiłem sobie, że to nie był dym.

Szpital Świętego Judy opuszczały ostatnie ocalałe nietoperze.

Zapadł zmierzch, a operacja ratunkowa toczyła się sprawnie niczym dobrze naoliwiona maszyna. Chętnie bym pomógł, ale każda propozycja wsparcia z mojej strony spotykała się z kategoryczną odmową. Ale nikt mnie nie wyganiał, więc zostałem. Po jakimś czasie zobaczyłem, że policjanci i strażacy

naradzają się nad planami budynku, a wkrótce potem ratownicy zaryzykowali wejście przez główne drzwi. Ainsley pojawił się niedługo później, prowadził do jednej z przyczep wysokiego mężczyznę w swobodnym stroju. Mężczyzna, na oko po czterdziestce, szedł sztywno, otumaniony, jak ktoś, kto nagle obudził się w koszmarze na jawie. Chociaż nigdy nie widziałem męża Ward, w tej chwili nikt nie musiałby mi go przedstawiać.

Wystarczyło spojrzeć na jego minę, żeby nie mieć żadnych wątpliwości.

Jakąś godzinę później zrobiło się zamieszanie w pobliżu głównego wejścia. Skrzydła drzwiowe wyleciały w eksplozji, została tylko ziejąca jama przypominająca bezzębne usta. Z ciemnego wnętrza dobiegły teraz jakieś okrzyki. Zerwałem się na nogi, widząc, jak sanitariusze biegną do wejścia z pustymi jeszcze noszami.

Tuż przed chwilą wyniesienia ciała zapadła dziwna cisza. Stałem zbyt daleko, żeby dopatrzeć się szczegółów, a postać na noszach była zakryta. Żałobne tempo noszowych powiedziało mi jednak wszystko. W jasnym świetle reflektorów, wśród wysokich kamiennych kolumn pochód sprawiał teatralne wręcz wrażenie. Ze wszystkich sił chciałem się dowiedzieć, kogo niosą, rozejrzałem się wokół i zauważyłem Whelana, który stał niedaleko mnie i z poważną miną przyglądał się sanitariuszom. Ostatni raz widziałem go tuż po eksplozji. Wyglądał na wykończonego, zerknął na mnie apatycznie, kiedy ruszyłem pośpiesznie w jego stronę.

– Kto to? – zapytałem.

– Jessop – odparł beznamiętnie Whelan, nie odrywając wzroku od powolnej procesji.

Nosze załadowano do karetki, a ja poczułem, że spięte barki trochę mi się rozluźniają.

– A co z Ward?

– Na razie nie wiadomo. Jego znaleźli zupełnie przypadkiem. Był w piwnicy, tuż przy miejscu, gdzie zawałiła się połowa pięter. Wygląda na to, że podłożył

ładunki, ale w chwili eksplozji był już daleko od nich. Nie było... nie znaleźli nikogo w pobliżu, ale odgruzowanie zajmie wiele dni.

Przygnębienie w jego głosie odbijało się na twarzy. Potwierdziło to, co już wiedziałem, choć nie chciałem tego przed sobą przyznać. To już nie była akcja ratunkowa, a poszukiwanie zwłok.

Kiedy trzasnęły drzwi ambulansu, Whelan się do mnie odwrócił.

– Nie wiedziałem, że ciągle pan tu jest.

– Lepsze to niż czekanie w domu.

Pokiwał głową.

– Ale może pan już iść. Nic pan nie może zrobić, a może minąć wiele godzin, zanim... Zanim będą jakieś wieści.

– Wolałbym zostać.

– Jak pan woli. W takim razie może pan równie dobrze...

Od strony szpitala dobiegł jakiś okrzyk. Wśród ratowników zebranych pod głównym wejściem wybuchło zamieszanie, które zaczęło się rozchodzić falami na zewnątrz, jak zmarszczki na tafli jeziora. Whelan wyraźnie wyostrzył czujność i w tej samej chwili, jak na zawołanie, zadzwonił jego telefon.

Wyszarpnął komórkę z kieszeni i wyprostował plecy, jakby próbował się przygotować na najgorsze. Patrzyłem na niego, czując gulę w gardle.

– Na pewno? – zapytał, pilnując, żeby niczego nie zdradzić miną. – Nie ma żadnych...?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Widziałem, jak szerokie, kwadratowe bary opadają. Odłożył telefon.

– Znaleźli ją.

Rachel zadzwoniła do mnie o siódmej rano, prawie chora ze zmartwienia. Usłyszała o eksplozji w szpitalu Świętego Judy w wiadomościach na BBC World Service. W radiu powiedziano tylko, że wzięto zakładników i były ofiary śmiertelne, a ona nie mogła się dodzwonić z telefonu satelitarnego na pokładzie. Udało jej się ze mną skontaktować dopiero po dopłynięciu do najbliższego portu.

– Na pewno nic ci nie jest? – dopytywała.

– Wszystko w porządku – zapewniłem.

Tym telefonem wyrwała mnie ze snu, a choć byłem wyczerpany, to nie miałem jej tego za złe. Miło było usłyszeć jej głos. Nie wiedziałem, o której wróciłem do domu, ale na pewno późno. Zamówiłem taksówkę, bo mój samochód nadal znajdował się za policyjną barykadą. Chociaż w momencie wybuchu stałem dość daleko od szpitala, i tak byłem cały brudny od pyłu. Nie miałem jednak siły na prysznic. Po tym wszystkim chciałem się tylko położyć do łóżka.

Wydobycie Ward trwało kilka długich godzin. Whelan kazał mi się nie ruszać, a sam pośpieszył do szpitala, zostawiając mnie samego ze swoimi myślami i widokiem jasno oświetlonej skorupy Świętego Judy. Wkrótce z przyczepy wyszedł mąż Ward. Ledwie trzymając się na nogach, ruszył z Ainsleyem w stronę rumowiska.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Potem zaobserwowałem nagłe wzmożenie aktywności przed szpitalem. Przysunąłem się, żeby lepiej widzieć, zaciskając pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w skórę dłoni, żłobiąc malutkie półksiężyce. Ratownicy wynurzali się zza zburzonego budynku, odbłaskowe paski na brudnej odzieży ochronnej lśniły w blasku reflektorów. Za nimi pojawili się sanitariusze z noszami, a choć widziałem tylko leżący na nich kształt przykryty kocem, bez problemu rozpoznałem męża Ward idącego obok.

Nagle spod koca wynurzyła się dłoń – Ward złapała męża za rękę.

Po odjeździe karetki wrócił do mnie Whelan. Nadal wyglądał na zmordowanego, ale teraz zamiast napięcia biła od niego ulga. Podał mi butelkę wody mineralnej.

– Nie chcę już nigdy powtórki z takiej nocy – wychrypiał.

Też nie chciałem. Z tamtej rozmowy telefonicznej Whelan dowiedział się, że ratownicy usłyszeli jakieś dudnienie spod gruzów. Kiedy zastukali w odpowiedzi, łomotanie powtórzyło ten sam rytm. Jakimś cudem Ward przeżyła wybuch i zawalenie się budynku. Po przejrzaniu projektów budynku –

dostarczonych, o ironio, przez samego Jessopa – zorientowali się, że nadkomisarz musiała utknąć w tunelu łączącym piwnicę ze zlikwidowaną kostnicą na tyłach szpitala.

Nie mieli szans dostać się do niej przez szpital. Wejście do tunelu zostało zasypane setkami ton gruzu, a próby drażenia czy przekopania groziły zawaleniem ocalałej konstrukcji. Zdecydowano więc wyciągnąć Ward od drugiej strony, przebić się do tunelu przez łatwiejsze do oczyszczenia ruiny kostnicy.

Akcja ratunkowa zdawała się trwać całą wieczność, a dla Ward i jej męża musiała się ciągnąć jeszcze dłużej. Pod ziemią nie działał jej telefon, więc nikt nie wiedział, w jakim jest stanie, dopóki ratownicy do niej nie dotarli.

– Mogło się to skończyć znacznie gorzej – powiedział Whelan i pociągnął łyk wody. – Jest roztrzęsiona, możliwe, że pękł jej bębenek w uchu, ale oprócz paru zadrapań i siniaków jest cała i zdrowa.

– A co z dzieckiem?

– W szpitalu zrobią badania, ale wygląda na to, że wszystko w porządku. Szefowa to mocna zawodniczka. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jaka jest twarda.

W jego głosie pobrzmiwała duma i sympatia do przełożonej. Spojrzałem na ruiny Świętego Judy, przypomniałem sobie siłę eksplozji, która zaważyła szpital. Trudno było uwierzyć, że ktoś zdołał to przeżyć.

– Jak jej się udało wyrwać Jessopowi?

– Nie musiała się wyrwać. Sam ją puścił. – Whelan zakręcił butelkę z wodą. – Z tego, co mówiła, kiedy rozkładał ładunki, popijał wódkę. Wciągnęła go w rozmowę, a kiedy dotarli do piwnicy, był już mocno wzruszony. Próbowала go namówić, żeby się poddał, ale stracił panowanie nad sobą, nawrzeszczał na nią i kazał jej się wynosić, zanim zmieni zdanie. Gdy zdetonował ładunki, była już przy wejściu do tunelu, więc wbiegła do środka, kiedy budynek zaczął się walić.

Dobrze pamiętałem ciemny wylot tunelu, zagrodzony taśmą policyjną i tablicami ostrzegawczymi informującymi o obecności azbestu, i wcale jej nie

zazdrościłem. Samotne uwięzienie pod ziemią musiało być okropnym przeżyciem.

– On to zrobił świadomie? Co ona o tym sądzi?

– Bóg jeden wie. Z tego, co mówiła, pod koniec był już pijany i gadał bez sensu. Ale zrobił to, co zapowiedział, a jeśli ktokolwiek zasługiwał na to, żeby ta rudera zawałiła mu się na głowę, to właśnie ten pierdolony morderca.

Nie zamierzałem polemizować. Ale mimo zmęczenia i przytłaczającego poczucia ulgi miałem wrażenie, że coś tu nie gra.

– Dlaczego ją wypuścić? – zapytałem.

– Nie mówiła. Może dlatego, że była w ciąży.

– Christine Gorski to nie uratowało. – Przynajmniej raz porażono ją prądem, a potem zostawiono na pewną śmierć na szpitalnym poddaszu. Stopień okrucieństwa, z jakim zamordowano Darrena Crossly'ego i Marię de Souzê, a także brutalne odebranie życia Adamowi Oduyi i obojętność na losy Mearsa trudno było pogodzić z faktem, że Ward pozwolono uciec.

Whelan wzruszył ramionami, coraz bardziej rozdrażniony.

– No to może dopadły go wyrzuty sumienia, nie wiem. Najważniejsze, że puścił ją wolno.

Bez dwóch zdań. To zresztą nie była pora na roztrząsanie przyczyn nieoczekiwanego ułaskawienia. Whelan wkrótce pojechał do szpitala, żeby poddać Ward bardziej formalnemu przesłuchaniu. Pozbawiony dostępu do samochodu wezwałem taksówkę i kazałem na siebie czekać pod bramą, po czym ruszyłem długim, nieoświetlonym podjazdem ku głównej ulicy. W połowie drogi zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Reflektory zalewały zburzony szpital białym blaskiem, ostro odcinającym się od czarnego nieba. Tak jak w przypadku ruin kościoła w lasku, i ten widok miał w sobie coś naturalnego, jakby szpitalowi Świętego Judy od początku był pisany taki los.

Odwróciłem się i po raz ostatni opuściłem teren dawnej lecznicy.

Na ulicy roiło się od wozów reporterskich, kamer telewizyjnych i gapiów. Przemknąłem przez tłumek z nisko pochyloną głową, ignorując wykrzykiwane

pytania, i pośpieszyłem do czekającej już taksówki. Najbardziej uparta dziennikarka pobiegła za mną, ale zatrzasnąłem jej drzwiczki przed nosem i kazałem kierowcy ruszać. Zamknąłem uszy na jej rozwścieczone wrzaski i rozparłem się na siedzeniu, nie mogąc już doczekać się chwili, kiedy padnę na łóżko i usnę.

Spałem aż do chwili, gdy Rachel obudziła mnie telefonem. Kiedy już się upewniła, że nic mi nie jest, zainteresowała się Ward.

– To cud, że wyszła z tego cało. Dziecku też nic nie jest?

– Z tego, co wiem, to nie.

Rachel westchnęła głęboko.

– Boże, kiedy usłyszałam o tym w radiu... Mówiłeś przecież, że to nic niebezpiecznego?

– Tak myślałem. Potem sytuacja się... rozwinęła.

– „Rozwinęła”? Jezu, David, mogliście tam wszyscy zginąć!

– Ja oglądałem to z daleka. To Ward była w szpitalu, nie ja.

– A ten wypadek samochodowy? W wiadomościach mówili, że wtedy też osoba poszkodowana była związana ze śledztwem. To mogłeś być ty.

Nie mówiłem jej wcześniej, jak mało brakowało, i uznałem, że teraz też nie czas na to.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Gdybyś tu była, przekonałabyś się na własne oczy.

– Co to miało znaczyć?

– Nic – wycofałem się pośpiesznie. – Chodziło mi tylko o to, że... nie masz się czym martwić.

– Serio? Najpierw słyszę w radiu, że być może wyleciałeś w powietrze, a potem muszę czekać pół dnia, żeby się dowiedzieć, czy nic ci się nie stało. To nie są powody do zmartwienia?

Rozcierałem zeszywniały kark, nie mogąc wyjść ze zdumienia, jak szybko rozmowa przerodziła się w awanturę.

– Słuchaj, przykro mi, że się martwiłaś. Ale nie miałem na to żadnego wpływu.

Nawet dla mnie ta wymówka zabrzmiała słabo. Słyszałem oddech Rachel na drugim końcu linii. Milczenie robiło się coraz bardziej niezręczne, ale nie przychodziło mi do głowy nic, co nie pogorszyłoby sytuacji.

– Nie chciałam ci robić awantury – powiedziała cicho. – To po prostu... zadzwonię później, dobrze?

W słuchawce zapadła całkowita cisza.

Po czymś takim dalszy sen nie wchodził w rachubę. Niebo powoli jaśniało. Stałem przy oknie i zagapiłem się na korony drzew rosnących wokół apartamentowca. Z tej wysokości było widać, jak dobrze chronione jest to miejsce, odizolowane od sąsiednich budynków wysokim ogrodzeniem i elektryczną bramą. W tej chwili podjąłem ostateczną decyzję: wrócę do swojego starego mieszkania, kiedy tylko będzie to możliwe. Przeprowadzka była błędem, a przedłużanie pobytu tutaj nie miało żadnego sensu.

Miałem już dość ukrywania się przed duchami.

Po gorącym prysznicu i śniadaniu poczułem się trochę bardziej jak człowiek, chociaż ciągle dręczyło mnie wspomnienie rozmowy z Rachel. Nerwowy nastrój dodatkowo wzmagало niewyspanie i poczucie zawieszenia. Spodziewałem się, że przeszukanie szpitala z psem policyjnym potrwa jeszcze z dzień czy dwa, ale teraz oczywiście nie mogło być o tym mowy. Zostałem bez żadnego zajęcia. Nie przepadam za nicnierobieniem, a chociaż zawsze mogłem sobie znaleźć coś do załatwienia na wydziale, to wyjątkowo nawet tam nie miałem ochoty jechać.

Naprawdę potrzebujesz jakiejś zmiany, powiedziałem sobie.

Właśnie robiłem sobie następną kawę, kiedy zadzwoniła komórka. Tym razem telefonował Whelan, a ja w pierwszym odruchu pomyślałem, że coś złego stało się z Ward albo jej dzieckiem.

Niepotrzebnie się martwiłem.

– Nic im nie jest – uspokoił mnie komisarz. – Może nawet dziś ją wypiszą. Mówiłem panu, że to twarda sztuka.

Słyszając jego rzeczowy ton, domyśliłem się, że już doszedł do siebie i znowu starannie ukrył przed światem emocje, które wymsknęły mu się poprzedniego wieczoru.

– Jest pan później wolny? – zapytał.

– Mogę być – odparłem, starając się nie okazywać nadmiernego entuzjazmu.

– A czemu?

– Chcę pana o coś zapytać. To może być głupstwo, ale szefowa powiedziała coś, co dało mi do myślenia.

Zaintrygował mnie.

– O co chodzi?

– Powiem panu później. Wcześniej chcę załatwić jeszcze parę rzeczy. Powiedzmy o drugiej pod Świętym Judą. Nie musi się pan wpisywać na listę, spotkajmy się pod bramą.

– Chce się pan spotkać na terenie szpitala?

Nie udało mi się ukryć nieprzyjemnego zdziwienia. Myślałem, że już nigdy nie zobaczę tego miejsca, i nie rozumiałem, po co mielibyśmy tam wracać, skoro zostało zniszczone.

Ale Whelan nie chciał zdradzić nic więcej.

– Później to panu wyjaśnię. Proszę tylko, żeby na razie zachował to pan dla siebie. Jak mówiłem, możliwe, że to nic takiego.

Odłożyłem telefon już w zupełnie innym nastroju. Spodziewałem się, że w obliczu śmierci Jessopa i faktu, że oba miejsca zbrodni zostały zakopane pod tonami gruzu, śledztwo zacznie się zwijać. Nie przychodziła mi do głowy żadna przyczyna, dla której Whelan mógłby chcieć wrócić do Świętego Judy. Albo dlaczego akurat tam musiał się ze mną spotkać.

Spojrzałem na zegarek, zniecierpliwiony koniecznością czekania. Zostało kilka godzin, ale teraz miałem już pomysł, jak zabić czas.

Ja też musiałem jeszcze coś załatwić.

ROZDZIAŁ 30

Jezdnię blokowała śmieciarka. Poprosiłem taksówkarza, żeby wysadził mnie na rogu, zapłaciłem i resztę drogi pokonałem pieszo. Pogoda znowu zmieniała się jak w kalejdoskopie, po porannym deszczu wyszło piękne słońce. Rozpiąłem kurtkę, grzejąc twarz w jesiennych promieniach. Wspomnienie rozmowy z Rachel ciągle leżało mi na wątrobie, ale powtarzałem sobie, że tak to jest, kiedy ludzie są zmęczeni i zestresowani, a do tego przebywają w różnych strefach czasowych.

Mimo wszystko trudno było nie poczuć optymizmu na myśl o cudownym ocaleniu Ward, zwłaszcza teraz, w jasnym świetle dnia i na świeżym powietrzu. No, nie takim świeżym. Ciągle towarzyszył mi słodki odór śmieciarki, która powoli posuwała się wzdłuż ulicy, sycząc i szczękając metalicznie.

Zbliżając się do domu Loli, czułem, jak uszy papierowej torby z zakupami coraz mocniej wrzynają mi się w dłoń. Nie było żadnego śladu życia. Żaluzje były nadal zaciągnięte, szyby pokryte warstewką tłustego brudu i pajęczynami. Nawet lśniący lakier na drzwiach frontowych zdawał się nieco zmatowiały. Nie wiedziałem, co właściwie dobrego może przyjść z mojej wizyty, oprócz tego, że ewentualnie uspokoję sumienie. Nie miałem żadnych złudzeń co do opinii Loli na mój temat, po tym jak rozpętałem w jej życiu chaos. To przeze mnie przesłuchiwała ją policja, a niepełnosprawny syn został podejrzanym w sprawie o zabójstwo. Mimo że udało się go wykluczyć na podstawie porównania odcisków palców z tymi znalezionymi na miejscu zbrodni, odebrano jej dziecko, a nie zrobiła na mnie wrażenia wyrozumiałej i skłonnej do przebaczenia.

Ale teraz, już po wszystkim, musiałem sprawdzić, jak się trzyma. Zapukałem do drzwi. Bez odpowiedzi. Śmieciarka przystanęła kilka domów dalej, wrzutniki

hydrauliczne z jękiem załadowały kolejną porcję odpadów. Zapukałem jeszcze raz, ale ze świadomością, że prawdopodobnie marnuję czas. Nawet jeśli Lola jest w domu, na pewno nie chce mnie widzieć. Jeden ze śmieciarzy krzyknął coś i załomotał w bok pojazdu, który po chwili ruszył z warkotem w dalszą drogę, a ja w tej chwili uchwyciłem ruch żaluzji w oknie Loli. No dobra, przynajmniej jest w domu. Jak zwykle podniosłem wysoko torbę, żeby jej pokazać.

– Otworzy mi pani?

Nic. Opuściłem torbę i zrobiło mi się głupio, że zdobyłem się tylko na taki tani gest. Wiedziałem, że do odkupienia win nie wystarczy kolejny kurczak z różną, ale miałem nadzieję, że przynajmniej skłoni ją to do rozmowy ze mną. Śmieciarka zahamowała z sykiem za moimi plecami, zasłaniając światło. Słyszałem stukanie opróżnianych kubłów spod zamieszkanymi domów po drugiej stronie ulicy. Postawiłem papierową torbę na progu i zamierzałem odejść.

Drzwi się otworzyły. Lola patrzyła na mnie z twarzą przypominającą zimną, nieruchomą maskę. Zerknęła szybko na piętrzący się za moimi plecami masyw śmieciarki, po czym cofnęła się i odsunęła.

– Pan wejdzie.

Poszło łatwiej, niż się spodziewałem. Podniosłem torbę i wszedłem do środka. Przez żaluzje wpadało jeszcze mniej światła niż zwykle, bo śmieciarka zasłaniała słońce. Mimo półmroku zauważyłem, że zniknęły sprzęty i akcesoria medyczne, które wcześniej wały się po pokoju. Łóżko stało jednak na swoim miejscu, a choć z poplamionego materaca ściągnięto pościel, w powietrzu nadal unosiła się lekka woń kału i moczu.

Hałasy śmieciarki ucichły – Lola zamknęła drzwi i zwróciła się w moją stronę.

– Czego pan chcesz?

– Przyszedłem sprawdzić, co u pani słychać.

– Po co? – zapytała wrogo.

Nie mogłem mieć jej tego za złe. Szafka z ołtarzykiem ze zdjęciami młodego Gary’ego Lennox’a stała przed pustym łóżkiem, choć teraz nikt już w nim nie

leżał i nie mógł na nie patrzeć.

– Chciałem się dowiedzieć, czy może mógłbym coś zrobić...

– Jeszcze nie dość pan zrobiłeś? Zabrali mi wszystko, co mi jeszcze zostało, czego więcej pan chcesz?

Nadal trzymałem torbę z pieczonym kurczakiem. Taki prezent na zgodę wydał mi się teraz żałosny.

– Przepraszam, wiem, że jest pani...

– „Przepraszam”? A nie, to w takim razie wszystko w porządku! Wparowałeś pan tutaj, zadzierając nosa i zgrywając świętoszka, a cały czas planowałeś pan to. – Dramatycznym gestem pokazała na puste łóżko. – Zadowolony?

Lola stała z falującą piersią, wbijając we mnie oskarżycielski wzrok. Ta wizyta to błąd, uświadomiłem sobie, nie pojmując, jak mogłem w ogóle pomyśleć, że może się to dobrze skończyć. Śmieciarka z sykiem odjechała spod okna, wpuszczając do domu nieco światła. Już miałem wyjść, ale dostrzegłem jakąś zmianę w tych głęboko osadzonych oczach. Wyciągnęła rękę.

– Daj mi to pan.

Wyrwała mi torbę z ręki, rzuciła ją na blat przy stole i zaciągnęła się apetycznym aromatem, który się z niej wydobywał.

– Skoro już pan przyłazłeś, to pewnie chcesz się napić herbaty.

Zupełnie się tego nie spodziewałem, ale oto już nalewała wody do czajnika. Brodą wskazała porysowany stół w jadalni.

– W sumie możesz pan usiąść.

Z coraz większym zdumieniem wysunąłem krzesło i zająłem miejsce. Obejrzałem się na szafkę zastawioną starymi fotografiami jej syna.

– Jak się miewa Gary? – zapytałem.

Walnęła czajnikiem w blat.

– Nie waż się pan o nim mówić!

Zaskoczył mnie ten nagły wybuch, nie byłem gotowy na furję, którą zobaczyłem w jej oczach.

– Przepraszam, zastanawiałem się po prostu, jak on się czuje.

Lola opanowała się z wyraźnym wysiłkiem. Znowu odwróciła się do kuchni.

– Zapytaj się pan lekarzy, skoroś taki ciekawski.

W niedużym pomieszczeniu zrobiło się nagle lodowato. Żałowałem, że nie odmówiłem herbaty, bo nie mogłem teraz po prostu wyjść. Lola też sprawiała wrażenie wytrąconej z równowagi. Wzięła do ręki kubek, po czym bezmyślnie go odstawiła, potem otworzyła papierową torbę z kurczakiem i zaraz znów ją zamknęła.

– Ile jestem winna?

– Nic, to...

– Mówiłam już, że nie chcę jałmużny! – Spojrzała na mnie z ledwie ukrywaną pogardą. Oraz czymś jeszcze, czego nie potrafiłem zidentyfikować. – Pójdę po portfel. Pan poczeka.

Zniknęła za drzwiami w kącie kuchni i po chwili usłyszałem jej ciężkie kroki na schodach na piętro. Na blacie pyknął wyłącznik czajnika, najwyraźniej o nim zapomniała. Wpuściłem powietrze. Byłem przygotowany na to, że Lola może odmówić rozmowy albo zrobić mi dziką awanturę, ale nie spodziewałem się tej ledwo tłumionej furii.

Aż podskoczyłem, kiedy ciszę przerwał dzwonek telefonu. Wyjąłem komórkę z kieszeni i zobaczyłem na wyświetlaczu nazwisko Whelana. Zastanawiałem się, czy nie odrzucić połączenia, ale Lola ciągle była przecież na górze, a on mógł mieć jakieś wieści o Ward. Zerknąłem jeszcze raz na drzwi i odebrałem.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, starając się nie podnosić głosu.

– Jeśli pyta pan o szefową, to tak. Już zaczyna marudzić, że chce wracać do pracy – odparł Whelan. – Gdzie pan jest?

Znów zerknąłem nerwowo na drzwi. Nic nie wskazywało na rychły powrót Loli, ale wolałem nie wisieć na telefonie zbyt długo.

– Nie mogę teraz rozmawiać.

– W takim razie nie będę pana długo trzymał. Mała zmiana planów. Możemy przenieść nasze spotkanie na czwartą?

Zamierzałem iść do szpitala prosto od Loli, chociaż dotychczasowy przebieg wizyty wskazywał na to, że i tak dotarłbym na miejsce za wcześnie.

– A co, jest jakiś problem?

– Nie, po prostu coś mi wypadło. – Z tonu jego głosu jasno wynikało, że nie zamierzał mi powiedzieć nic więcej na ten temat. – Aha, jeszcze coś. Znaleźliśmy dentystę Wayne’a Booth’a. Te szczątki z kotła to nie on. Nie nosił protezy, ani częściowej, ani żadnej innej. Nadal miał wszystkie zęby.

Niezbyt mnie to zdziwiło. Jedynym powodem, żeby uznać czwartą ofiarę za zaginionego salowego, był jego związek ze szpitalem Świętego Judy, a zatem z Garym Lennoxem. Ta teoria upadła jednak wraz z podejrzeniami pod adresem syna Loli. A to oznaczało, że nie mamy zielonego pojęcia, do kogo mogły należeć spalone szczątki.

Zgodziłem się na przesunięcie spotkania o dwie godziny i odłożyłem telefon. Słyszałem, że Lola ciągle kręci się na piętrze. Niecierpliwie podniosłem się z krzesła i podszedłem do szafki zavalonej fotografiami.

Pierwszy raz miałem okazję przyjrzeć się im z bliska, mojej uwagi nie odwracała już obecność syna Loli. Ta szafka naprawdę wygląda jak ołtarzyk, pomyślałem. Oprócz oprawionych w ramkę zdjęć leżały na niej także pamiątki z dzieciństwa Gary’ego Lennox’a. Dyplom za pływanie, świadectwo uczestnictwa w kursie zawodowym murarstwa i stolarki, coś w rodzaju drewnianej szkatułki na biżuterię, ręcznie robionej... A nawet wypłowiała kartka na Dzień Matki z życzeniami nabazgranymi dziecięcą rączką.

To dość zrozumiałe, że po tragedii, która spotkała jej syna, Lola opłakiwała jego przeszłość. Ale nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy, okrucieństwem było zmuszanie go do ciągłej konfrontacji z dawnym życiem. Biedaczysko, pomyślałem, patrząc na jedno ze zdjęć z czasów szkolnych, o wyblakłych kolorach, przedstawiające Gary’ego Lennox’a w wieku trzynastu, czternastu lat. Widać było, że okropnie mu niewygodnie w za ciasnym mundurku, nie potrafił tego ukryć nawet wymuszony uśmiech odsłaniający krzywe zęby. Już wtedy chłopak był mocno przy kości, a na późniejszych zdjęciach jeszcze przybrał na

wadze. Szokujący kontrast ze skurczonym, zapadniętym mężczyzną, którego widziałem w tym łóżku.

Wziąłem do ręki zdjęcie Lennox w uniformie salowego – największe ze wszystkich, był na nim chyba tuż przed dwudziestką. Pewnie od niedawna pracował w Świętym Judzie. Z pulchnego chłopaka przeistoczył się w zwalistego młodego mężczyznę, ale został mu ten nieśmiały, wstydlivy uśmiech. Odstawiłem ramkę i już miałem się odwrócić, ale zatrzymałem się w pół gestu. Coś mi nie dawało spokoju. Znowu podniosłem zdjęcie i przyjrzałem się bliżej. Ten uśmiech nie był taki sam. Gary nie miał już krzywych zębów. Dało się to zauważyć także na innych fotografiach z późniejszych czasów. Może i nie pomogło mu to na pewność siebie, ale w ciągu tych kilku lat musiał sobie wyprostować zęby.

Powoli zacząłem coś sobie uświadamiać, ogarnęło mnie jakieś przeczucie, napięcie, które poczułem, zanim w pełni pojąłem jego przyczynę. Spojrzałem jeszcze raz na starsze fotografie, na których młody Gary Lennox miał krzywe zęby. Potem znów przeniósłem wzrok na zdjęcie w moim ręku. Przednie zęby wyglądały zbyt prosto i idealnie jak na efekt korekty ortodontycznej, a na żadnym ze zdjęć chłopak nie miał aparatu. Tylko zestawienie „przed” i „po”. Prawdopodobnie więc raczej koronki albo mostek.

Albo częściowa proteza.

Próbowałem sobie wmawiać, że to nie musi nic znaczyć, ale intuicja nie chciała słuchać. Gary Lennox był po trzydziestce, a więc w przedziale wiekowym odpowiadającym spalonemu szczątkom wydobytym z kotła. Choć ostatnie fotografie pochodziły z czasów nastoletnich, wyraźnie było widać, na jakiego dorosłego miał wyrosnąć. Potężna sylwetka, grube kości.

Zupełnie niepodobny do wychudzonego kaleki, którego Lola przedstawiała jako swojego syna.

Whelan musiał się o tym dowiedzieć. Odstawiłem ramkę ze zdjęciem i wyjąłem telefon, żeby zadzwonić do komisarza. Zanim jednak znalazłem jego numer, znowu usłyszałem ciężkie kroki Loli na schodach, tym razem

w przeciwnym kierunku. Otworzyłem edytor wiadomości, wystukałem szybko: „Spr akta dent GL” i nacisnąłem „wyślij”. Z nadzieją, że Whelan coś z tego zrozumie, szybko schowałem komórkę i odwróciłem się akurat w chwili, kiedy otworzyły się drzwi.

Lola stanęła jak wryta, widząc mnie koło szafki. Jej wzrok błyskawicznie powędrował do oglądanych przeze mnie zdjęć, ale nie potrafiłem ocenić, czy było w nim więcej podejrzliwości niż zwykle.

– Wspaniały był chłopak z mojego Gary’ego.

Odsunąłem się od szafki, starając się zachować maksymalną nonszalancję.

– Kiedy stracił przednie zęby?

Moje pytanie chyba jej nie zaskoczyło. Weszła do pokoju. W dłoni trzymała złożoną gazetę, ale nie zauważyłem żadnego portfela czy torebki.

– Miał szesnaście lat.

– W tym wieku to wyjątkowo ciężkie przeżycie. Jak to się stało?

Małe oczka bez przerwy mnie świdrowały.

– Wybił mu je ten sukinsyn, który śmiał się nazywać jego ojcem. Wypadek, mówił, ale ja wiedziałam, jak było naprawdę.

Znowu poczułem mrowienie napięcia, silniejsze niż wcześniej. Domyślałem się, że właściciel częściowej protezy stracił przednie zęby w nieciekawych okolicznościach. Wybicie ich przez przemocowego ojca, przypadkowe czy nie, zdecydowanie podpadało pod tę kategorię.

– Nosił mostek czy protezę? – zapytałem.

– A co to pana obchodzi?

Teraz już niewątpliwie zaczęła coś podejrzewać. Od konieczności odpowiedzi wybawił mnie jednak dzwonek telefonu, który znowu mnie zaskoczył i nieco wystraszył.

Lola uśmiechnęła się pogardliwie.

– Nie odbierasz pan?

Wyjąłem komórkę z kieszeni. Whelan. Pewnie dostał moją wiadomość, ale teraz nie mogłem z nim rozmawiać. Odrzuciłem połączenie, wyciszyłem telefon

i z powrotem schowałem.

– Nie chcesz sobie pogadać? – zapytała drwiąco.

– Później oddzwonię.

Lola nadal gapiła się na mnie z tym wszystkowiedzącym uśmieszkiem. Poczułem się nagle nieswojo, jakiś instynkt mówił mi: „Uciekaj, szybko”. Ale uznałem to za absurd. Przecież to tylko starsza kobieta. A cała ta sprawa już za długo się ciągnie.

– Kto leżał w tym łóżku?

– Nie wiem, o co chodzi.

– To nie był Gary, prawda?

Łypnęła na mnie i znów poczułem ten sam niepokój.

– Myślisz pan, żeś taki mądrała, co wszystko wie?

Wszystkiego może nie, ale części zaczynałem się domyślać.

– Gary nie żyje, prawda? – zapytałem cicho.

Maska spokoju i opanowania pękła. Usta zaczęły jej drżeć, wzrok powędrował do fotografii syna ustawionych na szafce. Po pomarszczonym policzku spłynęła łza, z drugiej strony dołączyła do niej kolejna.

– Mój chłopczyk – szepnęła schrypniętym, zduszonym głosem. – Mój kochany chłopczyk.

Mimo wszystko zrobiło mi się jej żal.

– Wiem, że chce pani go chronić, ale to niemożliwe. Już nie – powiedziałem łagodnie. – To koniec.

– „Koniec”? – Wypluła to słowo jak coś paskudnego. – Myślisz pan, że to się kiedykolwiek skończy? Mojego Gary’ego już nie ma! A wszystko przez tych troje bydlaków! Nie dorastali mu do pięt!

Grzbietem dłoni otarła łzy z oczu. Usłyszałem już wystarczająco dużo. Czując niesmak i bezsilność, sięgnąłem po telefon.

– Zadzwońię po policję. Musi im pani powiedzieć, co zrobił Gary.

– „Co zrobił Gary”? – Skrzywiła usta w złośliwym grymasie. Podeszła do mnie, ściskając w ręku gazetę. – Mówiłam już, że mój Gary był dobrym

chłopczykiem. Nie skrzywdziłby nawet muchy.

Rzuciła się nagle do przodu, wymachując gazetą. Odskoczyłem w tył, ale za mną stało łóżko. Straciłem równowagę, a spod gazety wynurzyła się długa czarna pałka. Próbowałem ją odepchnąć, ale tępa końcówka dotknęła mojej piersi. Przeszył mnie dotkliwy ból.

A potem przestałem oddychać.

ROZDZIAŁ 31

Nigdy wcześniej nie doświadczyłem tak potwornego bólu. Świat rozplynął się w białym blasku, a każdy nerw w moim ciele zdawał się krzyczeć. Upadłem na łóżko, mięśnie wyprężyły się w skurczach. W ustach poczułem metaliczny posmak. Serce jakby na chwilę się zacięło, płuca boleśnie domagały się tlenu. Potem klatka piersiowa zafalowała i znów mogłem oddychać.

Chryste Panie, pomyślałem, łapczywie chwytając powietrze, Chryste, co to było?

Gdzieś w pobliżu ktoś się poruszał. Ciężkie, powłóczyste kroki. Zgrzyt przysuwanego krzesła i stęknienie Loli, która usiadła i wzięła ze stołu kubek. Kiedy ona zrobiła tę herbatę? Straciłem przytomność? Nie miałem pojęcia. Lola wysiorbała łyk, po czym odstawiła herbatę z głośnym westchnięciem.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się szyderczo.

– Teraz już nie jesteś taki mądry, co?

W głowie miałem mętlik, jakbym myślał przez mgłę. Nadal nie mogłem się ruszyć. Ciągłe odczuwałem ból, ale jakby stłumiony, jak gdyby jednocześnie mnie znieczulono.

Kobieta napiła się jeszcze trochę i mlasnęła ze smakiem. Sięgnęła po jakiś przedmiot leżący na stole. Kiedy zobaczyłem, że to tamta czarna pałka, próbowałem się odsunąć jak najdalej, ale nie mogłem się ruszyć. Z końcówki, którą trzymała, sterczały grube kable, a z drugiego końca – dwa krótkie metalowe bolce.

Podniosła to ustrojstwo, żeby mi pokazać.

– To jedyna użyteczna rzecz, jaka została mi po mężu. Przywiózł to z Ameryki Południowej. Coś jak taki elektryczny kij na bydło, ale mocniejsze. Policja tego używała, ładowali prądem, a potem...

Dźgnęła powietrze, zatrzymując paralizator tuż przede mną i szczerząc się złośliwie. Chciałem krzyknąć, ale nawet tego nie mogłem zrobić. Mogłem tylko leżeć bez ruchu.

– Boli, co? Kiedyś wypróbował to na mnie, jak się upił. Tylko raz.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Położyła sobie broń na kolanach, końcówką z bolcami wycelowaną w moją stronę.

– Popieściłam go tym, jak wybił Gary’emu zęby. „I co ty na to?”, zapytałam. Poszczał się i obsrał jak dziecko. – Zerknęła na mnie, jakby chciała sprawdzić moją reakcję. Usta wygięły jej się w podkówkę z wyraźnym rozczarowaniem. – Nie myślałam, że zdechnie, ale dobrze mu tak.

Powoli odzyskiwałem zmysły. Czułem nierówny materac pod plecami i jego kwaśny, ohydny smród. Bolało mnie całe ciało, ale najbardziej zebra, w miejscu, gdzie przytknęła mi to coś. Ostre, gorące pieczenie. Zostałeś porażony, pomyślałem mętnie. Poraziła cię prądem. I to mocno.

– Gary z początku się gniewał, ale to był dobry chłopczyk – ciągnęła Lola. – Zawsze słuchał się mamy. Teraz będzie lepiej, tłumaczyłam mu, sam zobaczysz. We dwójkę będzie nam lepiej. I było lepiej. Pomógł mi posprzątać, doprowadzić wszystko do porządku, na wypadek gdyby ktoś szukał Patricka. Ale nikt o niego nie pytał.

Urwała i napiła się herbaty. Mięśnie drgały mi niekontrolowanie, przebiegały mnie nieznośne dreszcze. Nadal nie mogłem się ruszać, ale wracało mi czucie w dłoniach i stopach, okropne, bolesne mrowienie. Pocieszałem się, że to dobry znak.

Nade mną Lola snuła swoją monotonną opowieść.

– Wszystko było dobrze, dopóki nie pojawił się ten bydlak Booth. – Wykrzywiła usta i spojrzała na mnie. – To przez niego zwolnili mojego Gary’ego z pracy. Wiedziałaś o tym, panie mądralo? Przez niego i tamtych dwoje,

Crossly'ego i tamtą cudzoziemską szmatę. Uprzykrzali mu życie. Ciągłe się go czepiali, nabijali z niego, bo miał grube kości. Panienska Crossly'ego bzykała się z szefem apteki, pierdolona dziwka. Patrzył przez palce, a oni podkradali leki i je potem sprzedawali. Tyle że wcale nie byli tacy sprytni, za jakich się uważali, więc gdy ochrona się zorientowała, że coś jest na rzeczy, to schowali fanty w szafce mojego Gary'ego. Zrobili z niego złodzieja. Szpital na pewno o tym wiedział, no ale nie chcieli skandalu, co nie? No i mojego Gary'ego zwolnili, a tamci tylko się śmiali! „Ktoś tu był niegrzeczny, co? Przyłapali cię?” Nigdy nie zapomnę jego twarzy, kiedy wrócił tamtego dnia do domu. Wyglądał jak zбитy pies.

Poczułem drżenie w klatce piersiowej. Z początku wziąłem je za kolejny skurcz mięśni, ale potem zorientowałem się, że to mój telefon. Zanim schowałem go do kieszeni na piersi, wyłączyłem dźwięk, a gumowe etui musiało zadziałać jak izolator prądu. Czułem, jak wibruje mi na żebrach i przestaje, wibruje i przestaje. Znowu Whelan? Z frustracji chciało mi się płakać. Ale nawet gdyby Lola nie siedziała tuż obok, sięgnięcie po telefon było dla mnie w tej chwili równie nieosiągalne co latanie.

Niczego nie zauważyła. W jej głosie zaczęła pobrzmiwać pycha.

– Chryste, ale się śmiałam, jak parę miesięcy później zamknęli Świętego Judę! Wszyscy trafili na zieloną trawkę. Sytuacja się odwróciła, co? Mój Gary miał robotę w supermarkecie, a ci stali w kolejce po zasiłek. Teraz już nie było im do śmiechu!

Wibracje telefonu ustały. Nie, nie rozłączaj się! Rozkojarzyłem się i dopiero po kilku sekundach zauważyłem, że Lola przerwała opowieść. Przygwaździła mnie spojrzeniem i zorientowałem się, że musiałem nieznacznie poruszać ręką, w miarę jak porażone mięśnie i nerwy wracały do siebie.

– Schodzi już?

Uśmiechnęła się okrutnie. Podniosła z podółka czarną pałkę. Próbowalem się odsunąć, patrząc, jak się nade mną pochyla, ale mięśnie odmówiły współpracy. Nie! Nie, nie...

Metalowe bolce wbiły mi się w brzuch z głośnym elektrycznym trzaskiem. Świat znowu utonął w bieli, a układ nerwowy zawył z bólu. Tym razem nie zemdlałem. Cały czas byłem przytomny, świadomy, że plecy wyginają mi się w łuk, unosząc mnie nad łóżko, tak że opierałem się tylko na piętach i czubku głowy.

Potem się skończyło. Znow opadłem na łóżko. Każdy niemiary oddech przynosił cudowną ulgę i katusze jednocześnie, wstrząśnięte ciało drżało z bólu. W powietrzu unosił się zapach palonego ciała i tkaniny.

Lola odłożyła rurę na stół, oparła się i pociągnęła kolejny łyk z kubka.

– Chyba jakiś rok później Booth przylazł do sklepu Gary’ego. Gnój załatwił sobie robotę ochroniarza w Świętym Judzie. On! – Pokręciła głową. – Boki zrywał, jak zobaczył, że Gary układa towar na półkach. Jakby posada stróża nocnego to były wielkie mecyje. Parę dni później wrócił, tyle że tym razem przyprowadził Crossly’ego i tamtą jego dupę. Zaczęli ściągać z półek piwo i wino, na oczach mojego Gary’ego. Śmiali mu się w twarz, mówili, że już raz przecież wyleciał za kradzież, więc chyba nie chce, żeby się to powtórzyło.

Zacisnęła usta w wąską linijkę.

– Tak go to zdenerwowało, że nawet mi nie powiedział. Widziałam, że coś na pewno jest nie tak, ale on mówił, że jest zmęczony. Nie najlepiej się czuł, musiał chodzić na jakieś badania i tak dalej. – Zapatrzyła się w zawartość kubka. – Cholerni lekarze, co oni wiedzą?

Bez ostrzeżenia chlusnęła mi herbatą w twarz. Zachłysnąłem się, organizm próbował zmusić sparaliżowaną przeponę do ruchu umożliwiającego oddychanie. Lola odstawiła kubek na stół i rozsiadła się wygodniej.

– Ciągnęło się to tygodniami. A potem któregoś wieczoru Gary nie wrócił do domu po pracy. Czekałam na niego pół nocy, zamartwiałam się na śmierć. Przyszedł dopiero o trzeciej nad ranem, cały uświniony, w podartych ubraniach, cuchnął gorzałą i... i... nią!

Lola skrzywiła się paskudnie, zamlaskała, jakby próbowała się pozbyć jakiegoś wstrętnego smaku.

– Czekali na niego po pracy. Kazali mu wsiąść do samochodu, powiedzieli, że jadą na imprezę. Jakby byli jego przyjaciółmi. Zabrali go do Świętego Judy, urządzili tam sobie jedną salę, mieli krzesła i tak dalej. Crossly i jego dupa znaleźli pracę w jakimś innym szpitalu, więc na nowo rozkręcili interes. Podpieprzali leki i sprzedawali, mieli się za takich bystrych, że robią to właśnie tam. Bydlaki!

Zmarszczyła brwi, pogrążona w nieprzyjemnych wspomnieniach.

– Tyle że interes nie za dobrze się kręcił. Apteka, do której mieli dojścia, zaczęła się bardziej pilnować, więc skończył im się towar. No to się nudzili i zachciało im się rozrywki. Mój Gary nie pił, nie to co jego ojciec, ale oni go zmusili. Podpuszczali go, żeby robił różne rzeczy z tą... z tą dziwką! Wcale nie chciał, dobrze znam własnego syna, ale Crossly już nie załatwiał sprawy po dobroci. Zaczął go szarpać, krzyczeć na niego. Mój Gary mógłby go położyć jednym palcem, ale nie podniósł na niego ręki. A jak już leżał na podłodze, cały zapłakany, to ten skurwiel Booth... – Urwała, głos jej się załamał ze wzburzenia. – Ten skurwiel go obsikał. Jak jakiś kundel! Jak można coś takiego zrobić?

Zamilkła, zaczęła gwałtownie łapać powietrze. Nagle znów na mnie popatrzyła i od razu wiedziałem, co mnie czeka. Kiedy zobaczyłem, że bierze ze stołu czarną pałkę, przeszły mnie ciarki. Próbowałem uciekać, kiedy wyciągnęła ją w stronę mojej twarzy, wciąż mokrej od herbaty, którą mnie przed chwilą oblała. Ale członki odmawiały mi posłuszeństwa.

– Myślisz, że bolało? – syknęła. – Wcisnę ci to w ryj, to zobaczysz. Dopiero się będziesz darł, jak ci zęby popękają.

Bliźniacze elektrody zawisły o centymetry od moich ust. Były zmatowiałe i poplamione, z wyjątkiem końcówek lśniących wypolerowanym mosiądzem. Widziałem w jej oczach, jak bardzo chciała to zrobić, ale potem jej wzrok powędrował do zasłoniętego żaluzją okna. Od świata zewnętrznego oddzielały nas jedynie cienkie drewniane listewki i pojedyncza szyba. Przez twarz przemknęła jej nadszana mina.

Przycisnęła mi pałkę do piersi.

Kiedy spazmy zelzały, usłyszałem, że Lola kręci się przy zlewie. Robiła więcej herbaty. Leżałem roztrzęsiony, policzki miałem mokre od łez bólu. Mimo to wydawało mi się, że ten wstrząs był słabszy od poprzednich. Zaczynałem już czuć drganie mięśni, pierwsze oznaki powrotu do stanu używalności. Nie byłem pewny, jaki ładunek ma ta czarna pałka, ale nie była podłączona do kontaktu. Prędzej czy później musiała się wyczerpać.

Nie miałem jednak pewności, czy dożyję do tego czasu.

Lola z powrotem opadła ciężko na krzesło. Wzięła niewielki łyk z kubka i odstawiła go na stół obok paralizatora. Pociągnęła nosem, otarła go grzbietem dłoni i kontynuowała historię. Jakby opowiadała dziecku bajkę na dobranoc.

– Z Crosslym poszło łatwo – powiedziała, znów spokojniejsza. – Musieliśmy poczekać parę tygodni, aż wróci do marketu, ale wiedziałam, że sukinsyn długo nie wytrzyma. Kazałam Gary’emu powiedzieć, że znalazł gdzieś w moich rzeczach torbę leków przeciwbólowych. Kodeina, opiaty, wszystko, co dało się sprzedać. Wiedzieli, że byłam pielęgniarką. Prześladowali go niestworzonymi opowieściami, które słyszeli na mój temat, a nigdy nie przyszłoby im do głowy, że Gary mógłby kłamać. Nie chciał, ale wiedziałam, że to zrobi. Dobry był chłopak z mojego Gary’ego.

Powiedziała to z wyraźną dumą. Poruszałem palcami u stóp, powoli, dyskretnie i niezauważenie napinając mięśnie, żeby przywrócić im sprawność.

– Crossly kazał mu przynieść je sobie do Świętego Judy – ciągnęła Lola, niczego nieświadoma. – Kazał mu wejść przez kostnicę, żeby nie złapały go kamery zamontowane od frontu. Myślał, że robi Gary’emu niezły numer, kając mu samemu przeciskać się przez ten tunel. Tyle że on nie był sam. Miał przy sobie mnie. A ja miałam to.

Z błyskiem w oku podniosła czarną pałkę. Zesztywniałem, sądząc, że zaraz znowu mnie porazi. Tym razem jednak odłożyła paralizator na stół.

– Myślałam, że zastaniemy tam całą trójkę, ale był tylko Crossly i ta jego dziwka. Prawie się posikali ze śmiechu, jak mnie zobaczyli. „Przyszedłeś z mamusią, co? Boisz się ciemności, ktoś cię musi trzymać za rączkę?” – Usta

Loli powoli rozciągnęły się w uśmiechu. Poklepała czarną pałkę. – Jak mu to wcisnęłam w brzuchol, to mina mu zrzęda. Jej też. Próbowwała zwiewać, ale daleko nie uciekła, już ja tego dopilnowałam. Planowałam ich tylko trochę popieścić prądem, ale jak zobaczyłam tamte stare łóżka, to przyszedł mi do głowy lepszy pomysł.

Pokiwała głową i napiła się jeszcze herbaty.

– Gary nie był zachwycony – powiedziała, odstawiając kubek. – Trząśł się jak osika, kochany. Drugi raz w życiu musiałam na niego podnieść głos, ale sama nie dałabym sobie rady. Ktoś musiał mi pomóc załadować tych grubasów na łóżka, a poza tym sama nie postawiłabym ściany. Dopilnowałam, żeby patrzyli, jak Gary muruje, o tak. „Ciągłe myślicie, że mój syn się do niczego nie nadaje?“, mówiłam. „Ciągłe wam do śmiechu?“

W międzyczasie podniosła czarną pałkę i gestykułowała nią z zapalem, dla emfazy dźgając powietrze. Wzdrygałem się w duchu za każdym razem, kiedy się do mnie zbliżała. Potem jednak humor się jej pogorszył.

– Żałowałam tylko, że Bootha tam z nimi nie było, ale pomyślałam, że potem się nim zajmiemy. Załatwimy mu salę jednoosobową. Nie przypuszczałam...

Głos jej się załamał. Zamrugła, żeby powstrzymać łzy.

– Mój Gary to był chłop jak dąb. Zdrowy jak ryba, nieważne, co wygadywały te doktory. Wcale się nie skarżył, nawet jak musiał dźwigać na górę te wszystkie pustaki i tak dalej. Każdy by się zdyszał, taszcząc takie ciężary. Pięknie mu wyszła ta ściana, z malowaniem włącznie. Wyglądało to bardzo porządnie. Jeszcze godzina z kawałkiem i nikt by się nigdy nie zorientował, że w ogóle tam byliśmy. Ale potem... potem musiała przyleźć ta głupia krowa!

Kończyny miałem ciężkie i drewniane, jakby ktoś naszprycował mnie nowokainą. Zaczynałem jednak odzyskiwać szczątkowy ruch. Kiedy Lola nie patrzyła, próbowałem rozruszać nogi, obserwując ją uważnie dla pewności, że nic nie zauważyła. Była jednak zbyt pochłonięta swoją opowieścią.

– Mówiłam mu, powtarzałam, żeby sprawdził, czy zamknął drzwi na kłódkę! Za każdym razem o tym przypominałam! Nie chciałam, żeby jakieś ćpuny nam

przylazły, dobrze o tym wiedział. Ale przez cały dzień był jakiś dziwny. Cichy, nie miał apetytu. Myślałam, że mu się polepszy, jak już tam skończymy. Gdybym wiedziała, to nigdy bym... Myślałam, że po prostu się przewrócił, straszny był z niego niezdara. Ale on leżał bez ruchu, cały niebieski na buzi! Nie mogłam go tam tak po prostu zostawić, prawda, kochaniutki? W takim miejscu i do tego z nimi!

Nawet nie próbowałam nadążyć za historią, skupiłem się na uruchomieniu ciała. Lola schyliła się do przodu i ukryła twarz w dłoniach. Zatrzęsły jej się plecy, ale potem znów poderwała głowę.

– To wszystko wina tej głupiej pizdy z brzuchem! – warknęła. – Gdyby nie...

Bez ostrzeżenia porwała czarną pałkę i wcisnęła mi ją w bok. I jeszcze raz. Zaląła mnie nowa fala bólu. Tym razem znów straciłem przytomność, a ocknąłem się, kiedy poczułem, że ktoś mnie ściąga z łóżka. Wylądowałem z hukiem na podłodze, obolały, a do tego wyleciało mi całe powietrze z płuc. Nogi i ręce miałem jak kłody, serce waliło mi jak szalone. Zobaczyłem nad sobą Lolę. Schyliła się sztywno i złapała za brzeg dywanu, na którym leżałem.

– Zabierzemy cię gdzieś, żebyś nie przeszkadzał.

Sufit zaczął mi się przesuwać nad głową, a raczej to ja przesuwałem się po podłodze krótkimi, gwałtownymi zrywami. Po chwili Lola zatrzymała się i wyprostowała, dysząc z czerwoną twarzą.

– Jezus Maria, psiakrew...

Krzywiąc się, rozmasowała sobie dolną część pleców, łapiąc gwałtownie powietrze. Potem się schyliła i znów złapała za dywan. Stękając z wysiłku, zrobiła niepewny krok w tył, a potem kolejny.

Dywan przesunął się o kolejne centymetry, a ja razem z nim.

Za jej plecami widziałem otwarte drzwi. Za nimi zaczynał się wąski, nieoświetlony korytarzyk z niskim sufitem prowadzący w dół do ciemnej piwnicy. Przeraził mnie ten widok, uświadomiłem sobie, co zamierza zrobić Lola. Nawet jeśli nie skręcę karku, kiedy będzie mnie ciągnęła w dół po schodach, w piwnicy będzie mogła zrobić ze mną wszystko. Nikt nie wiedział,

gdzie jestem, mój samochód nadal stał pod szpitalem. Lola mogła się nie śpieszyć, do woli torturować mnie paralizatorem, a nikt niczego nie zauważy ani nie usłyszy.

Tak jak było z Darrenem Crosslym i Marią de Souza.

Z całych sił wyteżalem wolę, próbując zmusić mięśnie do pracy. No dalej, ruszać się! Lola sapała i dyszała, ciągnąc mnie po podłodze kawałek po kawałku, a mnie udało się ledwie poruszyć palcami u ręki. Zawsze coś, ale od drzwi piwnicy dzieliło mnie zaledwie parę metrów. Poczulem nowy przypływ paniki. Lola szarpnęła dywanem, po czym znowu się zatrzymała. Otarła czoło, ledwie dysząc.

– Chryste, jak mnie te plecy napieprzają. – Małe oczka, tkwiące w czerwonej i lśniącej od potu twarzy, spoczęły na mnie. – Obudziliśmy się, co?

Zobaczyłem, że patrzy w stronę krzesła, na którym zostawiła paralizator, i niemal czytałem jej w myślach. Leżałem całkowicie nieruchomo, bo wiedziałem, że jeśli jeszcze raz mnie porazi, to będzie koniec. Nie! Nie rób tego!

Ale nikt nie słyszał moich myśli. Stopy opadły mi z łomotem na podłogę, bo Lola wypuściła dywan z rąk. Przechodziła nad moimi nogami, żeby się dostać do krzesła, i wtedy poczułem drżenie na piersi: telefon znowu zaczął wibrować. Prawie niesłyszalnie, ale tym razem Lola była znacznie bliżej. A może zdradziło mnie coś w mojej twarzy? Tak czy inaczej – zatrzymała się i spojrzała na mnie podejrzliwie zmrużonymi oczami.

– Co tam? Ktoś się próbuje dodzwonić?

Schyliła się, szarpnięciem rozsunęła mi kurtkę. Zacmokała z irytacją i wyrwała mi telefon z kieszeni. Łypnęła na niego wrogo, kiedy zaczął znów wibrować, tym razem bardziej słyszalnie.

– Cholerne ustrojstwa.

Przecisnęła się obok mnie, podeszła do zlewu i wrzuciła telefon między brudne naczynia. Zniknął z pluskiem, bzycząc jeszcze ostatni raz niczym tonący owad, po czym umilkł. Lola odwróciła się do mnie z niesympatycznym uśmiechem.

– Nie będzie nam już potrzebny.

Zamknąłem oczy, wzbierała we mnie rozpacz. Telefon jednak rozproszył Lolę i zapomniała o paralizatorze. Nie żeby był jej bardzo potrzebny: leżałem już z nogami w drzwiach do piwnicy. Lola wzięła się pod boki i zmierzyła mnie wzrokiem, jakby oceniała ostatni czekający ją wysiłek.

– No dobra. Już prawie jesteśmy.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła znów przechodzić mi nad nogami, żeby pociągnąć mnie te ostatnie centymetry. Wtedy, resztkami sił zrodzonych z rozpacz i desperacji, uniosłem dłoń, żeby złapać ją za kostkę. Wysiłek spełził na niczym. Ręka zatrzepotała bezwładnie, udało mi się jedynie klepnąć ją w stopę.

– Oho! – prychnęła. – Jeszcze ci mało?

Rozwścieczona odwróciła się, żeby się wyrwać, i zawadziła drugą stopą o moje nogi. Wytrzeszczyła oczy i zatoczyła się, chwiejąc się w otwartym wejściu. Złapała za drzwi, które poleciały w jej stronę. Walnęły we mnie i się zatrzymały, wyslizgując się Loli z rąk. Jej krzyk ucichł, kiedy runęła tyłem na schody do piwnicy, tocząc się po nich z hukiem i łomotem.

Potem nastąpiła cisza.

Leżałem w wejściu, serce waliło mi jak młotem. Spodziewałem się lada moment usłyszeć jakieś ruchy w piwnicy, odgłosy świadczące o tym, że wspina się z powrotem po schodach. Ale nic. Dobra, nie możesz tu leżeć. Trzeba się ruszyć. Próbowałem się podnieść do pozycji siedzącej, ale udało mi się jedynie przekręcić na bok. Leżałem, dysząc ciężko. Czułem dyskomfort, całe ciało miałem zdrętwiałe, a jednocześnie mnie paliło. W uszach mi dzwoniło, serce nadal biło zbyt szybko. Zachowaj spokój. Oddychaj głęboko i zachowaj spokój. Podniosłem wzrok i zobaczyłem na kredensie telefon stacjonarny. Gdyby udało mi się do niego dotrzeć i ściągnąć na podłogę za kabel, mógłbym wezwać pomoc. Podciągając się ręką niewiele ruchliwszą niż kłoda, zacząłem się człapać. Dzwonienie w uszach przybierało na sile, serce tłukło się jeszcze mocniej. Czułem, jak szarpie się niemiarkowo w piersi, rytm zaburza się i zacina,

a powietrze zaczęła nagle wypełniać jakby szara mgła. Jezu, tylko nie mdlej. Nie teraz, wytrzymaj. Nie odrywając wzroku od telefonu, znów podjąłem próbę podpełznięcia bliżej.

Równie dobrze mogłyby mnie jednak dzielić od niego kilometry. Dzwonienie stawało się ogłuszające, wypełniało mi całą głowę. Położyłem się z powrotem, w ogóle nie czułem już ciała. Z początku mnie to zmartwiło, ale przyniosło też ulgę. Ogarnął mnie osobliwy spokój. A więc to koniec, pomyślałem, kiedy zaczął mi się zamazywać obraz. Zrobiło mi się żal Rachel, potem zobaczyłem Karę i Alice. Usłyszałem śmiech córeczki, a zanim szarość przeszła w czerń, uśmiechnąłem się na myśl, że czekają na mnie w domu.

ROZDZIAŁ 32

Zawiadomiliście jego dziewczynę? – zapytał Whelan.

Ward zmieniła pozycję na krześle, próbując usadowić się wygodniej mimo wielkiego brzucha.

– Jeszcze nie. Jest za granicą, na razie nie udało nam się z nią skontaktować.

Siedzieli koło okna. Oboje sprawiali wrażenie zmęczonych, stresujące wydarzenia ostatnich dni odcisnęły wyraźne piętno na ich twarzach. Whelan prezentował się gorzej, w świetle zza okna połączonym z blaskiem jarzeniówki sufitowej wyraźnie było widać każdą nieprzespaną godzinę. Ward wyglądała na ciut bardziej wypoczętą, ale ona z kolei miała na policzku świeże strupy i fioletowego siniaka.

– Lepiej, żeby dowiedziała się od nas, a nie z wiadomości. – Whelan wyduł policzki. – Co on sobie wyobrażał, żeby iść samemu do Lennoxów?

– Przypuszczam, że było mu jej żal. Pewnie też czuł się odpowiedzialny albo nawet winny. Nie zapominaj, że to on powiedział nam o Loli i jej synu. Gdyby nie to, może ciągle byśmy... – Urwała, spoglądając w stronę łóżka. – Oho, wrócił pan do nas?

Próbowałem odpowiedzieć. W ustach mi zaschło, więc za pierwszym razem mi się nie udało.

– Co pani tu robi? – wychrypiałem.

– Pana też miło widzieć – odparła z uśmiechem Ward.

– Znaczy... – Przełknąłem ślinę, starając się zwilżyć usta. – Nie powinna pani leżeć?

– Trochę poleżałam, ale mi się znudziło – rzuciła lekko, ale przez jej twarz przemknął cień. Zaraz jednak zniknął bez śladu i uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Nic mi nie jest. Zresztą mam za dużo do roboty, muszę pilnować, żeby się pan nie pakował w tarapaty.

Zacząłem się podciągać do pozycji siedzącej, ale po chwili dałem sobie spokój.

– Jaki mamy dzień?

– Piątek.

Racja – zapomniałem, że pytałem już o to pielęgniarkę rano, kiedy odzyskałem przytomność. W głowie ciągle miałem mętlik, ale pamiętałem, że Lolę odwiedziłem w środę. Przepadł mi cały dzień.

– Jak się pan czuje? – zapytała Ward.

Pierwszym określeniem, jakie mi się nasuwało, było „dziwnie”. Od światła bolały mnie oczy, kolory zdawały się zbyt żywe i jaskrawe. Każdy ruch wymagał wysiłku i skupienia, jakby poszczególne części organizmu już się dobrze nie składały. Do tego czułem się osłabiony i wszystko mnie bolało. Miałem opatrunki oparzeniowe na bicepsie i torsie, gdzie ból był najintensywniejszy, a do klatki piersiowej przyklejone elektrody EKG, połączone kabelkami z monitorem przy łóżku.

– W porządku – odparłem.

– Co pan pamięta?

Wspomnienia zaczęły powracać. Lola. Czarna pałka.

– Dość dużo.

– Czuje się pan na siłach nam o tym opowiedzieć? – zapytała Ward, nalewając mi szklanek wody.

Nie byłem tego pewny, ale dałem z siebie wszystko. Od czasu do czasu przerywałem, żeby się napić, raz pielęgniarka przyszła sprawdzić parametry, ale udało mi się przekazać im wszystko, co pamiętałem. Czyli aż do momentu utraty przytomności na podłodze w domu Loli.

– Pewnie trudno w to panu uwierzyć, ale miał pan szczęście – powiedziała Ward, dolewając mi wody. – To coś, czym pana potraktowała, nazywa się pikana. Trochę jak elektryczny pręt do poganiania bydła, ale podrasowane

i znacznie paskudniejsze. Tę przerobiono tak, żeby można było ją ładować, a niekoniecznie podłączać do prądu. Już się prawie wyładowywała, kiedy pan dostał.

Na mnie nie sprawiała wrażenia wyładowanej.

– Mówiła, że jej mąż przywiózł to z Ameryki Południowej.

– Wiemy. Okazuje się, że różne reżimy wykorzystywały takie narzędzia do torturowania więźniów w latach siedemdziesiątych, ale u nas jeszcze tego nie widziałam. Trzymała to pod podłogą w sypialni. Przegapiliśmy skrytkę podczas pierwszej rewizji, ale też nie szukaliśmy wtedy niczego w tym rodzaju.

– Jak mnie znaleźliście? – zapytałem i tym razem udało mi się podnieść na łóżku. Miałem na sobie tylko szpitalną koszulę, ale było mi wszystko jedno.

– Podziękowania należą się Jackowi. Kiedy dostał od pana wiadomość, a potem nie mógł się do pana dodzwonić, postanowił zajrzeć do Lennoxów. Ktoś z sąsiadów powiedział, że Lola na pewno jest w domu, więc skoro nie otwierała, wyważył drzwi i znalazł pana na podłodze.

– Myślałem, że pan nie żyje – rzucił beznamiętnie Whelan.

Ja też.

– Jak pan wpadł na to, żeby mnie tam szukać?

Ale Ward już wstawała z krzesła.

– Dość już pana wymęczyliśmy. Proszę odpoczywać. Jutro wrócimy do rozmowy.

Chciałem zadać im jeszcze wiele pytań, na przykład dlaczego Whelan chciał się ze mną spotkać w szpitalu Świętego Judy, co Ward miała na myśli, mówiąc „wiemy”. Ale choćbym nawet próbował protestować, zalała mnie fala zmęczenia. Nagle nie mogłem utrzymać otwartych oczu. Opadłem na łóżko, a oni zebrali się do wyjścia, rozmawiając między sobą półgłosem.

– Nie powiedziała mu pani o niej – usłyszałem słowa Whelana, a potem odpowiedź Ward: „Później”, ale już odpływałem, więc nie miałem siły się tym martwić.

Przez następne dwie doby na zmianę się wybudzałem i zapadałem z powrotem w głęboki sen, tak głęboki, jakbym tracił przytomność. Czasem po odzyskaniu świadomości widziałem kogoś siedzącego przy łóżku, potem ta osoba nagle znikwała, a do mnie docierało, że minęły długie godziny. Rachel przyjechała w piątek wieczorem, po wizycie Ward i Whelana. Próbowwała się do mnie dodzwonić po naszej kłótni, ale mój telefon nie działał, utopiony przez Lolę w zlewozmywaku. Rachel coraz bardziej się niepokoiła, aż w końcu zadzwoniła do Jasona i Anji z nadzieją, że będą wiedzieli, co się ze mną dzieje. Nie wiedzieli.

Jason obdzwonił szpitale, dowiedział się, że przywiozło mnie pogotowie, a potem wykorzystał swoje kontakty i pozycję, żeby się dowiedzieć dlaczego. Praktycznie cały dzień zajęło Rachel dotarcie na lotnisko i kolejne przesiadki w drodze do Londynu. Przytuliła mnie tak mocno, że poodklejały mi się elektrody z klatki piersiowej, ale potem aż zakipiała wściekłością.

– Jezu, David, spójrz na siebie! Nawet na pięć minut nie można cię zostawić samego?

A potem znów mnie przytuliła.

Jason też nie owijał w bawełnę, kiedy przyszli mnie odwiedzić z Anją.

– Jesteś jak magnes na kłopoty, to twój największy problem. To aż niewiarygodne.

Poddano mnie całej serii testów, badań i prześwietleń, żeby ustalić, czy grożą mi długotrwałe powikłania. Najbardziej obawiano się o serce, które od czasu incydentu w domu Loli biło niepokojąco niemiarnie. Lekarze martwili się, czy mięsień sercowy nie uległ uszkodzeniu, a normalny rytm nie został trwale zaburzony po potraktowaniu prądem. Kardiolog stwierdził, że chociaż na razie nic poważnego mi nie grozi, to chciałby mnie jeszcze obejrzeć za kilka tygodni.

– Tak czy inaczej, miał pan wielkie szczęście – powiedział.

Wszyscy mi to powtarzali.

Fragment po fragmencie kompletowałem wyraźniejszy obraz wydarzeń. Pierwszym zaskoczeniem była wieść, że Lola przeżyła. Zakładałem, że dla

osoby w tym wieku upadek do piwnicy musiał się skończyć tragicznie, ale ona wywinęła się trochę poobijana, ze złamanym biodrem i kilkoma drobniejszymi urazami.

– Była w lepszym stanie niż pan – powiedział mi Whelan, kiedy po raz drugi odwiedzili mnie z Ward. – Czemu pan tam polazł, co pan sobie myślał?

Na pewno nie myślałem, że staruszka będzie próbowała mnie zabić. Okazało się jednak, że jeszcze zanim kazałem Whelanowi sprawdzić dokumentację stomatologiczną Gary’ego Lennox, on już zaczynał coś podejrzewać w związku z Lolą i jej synem. Po wyciągnięciu Ward z tunelu przyszło mu do głowy, że kostnica świetnie nadawałaby się na tylne wejście, którym ktoś mógłby niezauważenie dostawać się do Świętego Judy.

– Kamery przy głównym wejściu to były atrapy, ale większość ludzi o tym nie wiedziała – zauważył. – Przy kostnicy nie było monitoringu, więc do czasu rozbiórki każdy, kto wiedział o tunelu, mógł tamtędy wejść do szpitala. Przypomniało mi się, że widział pan matkę Lennox w lasku, i pomyślałem, że to najkrótsza droga od nich do kostnicy.

Wyjaśnił, że to dlatego chciał się ze mną wtedy spotkać – żebym pokazał mu, gdzie dokładnie w lasku widziałem Lolę. Potem dostał moją wiadomość i doszedł do wniosku, że od samego początku podchodziliśmy do sprawy od złej strony. A szczątki znalezione w kotle wcale nie musiały należeć do kolejnej ofiary.

– Musiał być jakiś powód, dla którego kazał mi pan sprawdzić akta Gary’ego Lennox, a skoro dopiero co panu powiedziałem, że proteza nie mogła należeć do Wayne’a Booth, to nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić – ciągnął Whelan. – Kiedy nie odbierał pan telefonu, ogarnęło mnie nieprzyjemne przeczucie, że znów pan poszedł do Loli bawić się w dobrego samarytanina.

– I dobrze, że na to wpadł – wtrąciła z naciskiem Ward. – Gdyby najpierw zaczął szukać tej dokumentacji, to teraz by tu pan nie leżał.

Nie musiała mi tego uświadamiać.

– Cieszę się, że tak zdecydował.

– Po prostu nie chciałem, żeby pan wszystko schrzanił, zanim zdążymy ją przesłuchać – rzucił z udawaną nonszalancją Whelan. – Zaczynałem się już domyślać, że tamten przykuty do łóżka człowiek nie był jej synem, a nawet miałem daleko idące podejrzenia, kto to jest.

– Wayne Booth – powiedziałem.

– Wayne Booth – przytaknęła Ward.

Od Darrena Crossly’ego i Marii de Souzy Lola dowiedziała się, gdzie mieszka Booth. Zamierzała jego również poddać torturom i zamurować w Świętym Judzie, ale po śmierci Gary’ego musiała zrewidować plany.

– Przyszła do niego do domu, obezwładniła i przetransportowała do siebie na starym wózku inwalidzkim – opowiadała Ward takim tonem, jakby ten wyczyn zrobił na niej pewne wrażenie. – Osiem kilometrów, z pikaną ukrytą pod kocem, żeby w razie czego mogła go znów sparaliżować. Sąsiadka widziała nawet, jak wchodziła z nim do domu, ale mieszkała tam od niedawna i założyła, że to syn Loli. Jak my wszyscy.

W jej głosie pobrzmiwała nutka samokrytyki i poczucia winy.

– Czyli to z powodu wstrząsów elektrycznych Booth był w takim stanie? – Miałem wrażenie, że na samą myśl cierpie mi skóra wokół poparzeń.

Ward skinęła głową.

– Bóg jeden wie, ile razy tego biedaka razila przez ten cały czas. Lekarze nie mogą się nadziwić, że tak długo przeżył, więc wygląda na to, że doświadczenie zawodowe Loli jednak się na coś przydało. Chciała mieć go żywego, żeby móc bez końca go karać. Łatwiej tak, niż obwiniać samą siebie.

„Nie zabierajcie mi i jego! Tylko on mi już został!” To nie było błaganie nadopiekuńczej matki, jak sądziliśmy, ale skarga oprawczynie pozbawionej ofiary. Zastawiona zdjęciami szafka zwrócona w stronę łóżka nie tylko wyglądała jak ołtarzyk, ale rzeczywiście nim była.

– Z Boothem da się w ogóle porozumieć? – zapytałem.

– Potrafi odpowiadać „tak” albo „nie” za pomocą ruchów głowy i dłoni. Terapeuci próbują nauczyć go korzystania z klawiatury, chociaż to może trochę

potrwać. Ale najwięcej i tak powiedziała nam Lola.

– Przyznała się?

– Nie nazwałbym tego przyznaniem się do winy, wydaje mi się, że po prostu jej wszystko jedno. Wie, że teraz nie ma już sensu niczego się wypierać, a wydaje mi się, że sprawia jej przyjemność zarówno obrzucanie nas wyzwiskami, jak i popisywanie się przed nami.

Powiedzieli mi, że odciski palców ze ściany i puszek z farbą pasowały do tych pobranych z rzeczy osobistych Gary’ego Lennox. Prawdziwego Gary’ego Lennox, rzecz jasna, a nie Wayne’a Booth. Wyjaśniło się, dlaczego odciski palców inwalidy nie pasowały do tych znalezionych na miejscu zbrodni. Wcześniej uznano to za dowód niewinności syna Loli. Nikomu nie przyszło do głowy, że przykuty do łóżka mężczyzna mógł być kimś innym.

– Wyjaśniła wam, jak umarł jej syn? – zapytałem. Z tego, co Lola powiedziała mnie, wywnioskowałem, że z szoku na widok Christine Gorski dostał ataku serca.

Ward uśmiechnęła się ponuro.

– W tym temacie była nieco mniej rozmowna, ale w końcu to też wyszło. Zabiła go.

– Za... co?

– Nieumyślnie. Straciła panowanie nad sobą, bo próbował bronić Christine Gorski. Raz już ją poraziła, a kiedy Gary chciał ją powstrzymać przed kolejnym użyciem pikany, zwróciła broń przeciwko niemu. Wiemy, że od dziecka miał problemy z sercem, więc może jego ojciec zginął z tego samego powodu.

Jeśli chłopak rzeczywiście miał słabe serce, czy to z powodu wady wrodzonej, czy innej, niedziedzicznej dolegliwości, to raczej nie pomogło mu dźwiganie sprzętu budowlanego na ostatnie piętro Świętego Judy. A zmuszony do współdziałania w zbrodniach matki był już i tak pod ogromną presją psychiczną i emocjonalną.

– Miał pan rację, że Christine odeszły wody – dodała Ward, wyraźnie starając się nie okazywać żadnych emocji. – Ocknęła się i chciała uciec, kiedy Lola

próbowała reanimować Gary'ego, ale zdołała dotrzeć tylko na strych. Lola ruszyła śladem rozbryzgów na podłodze, a kiedy się zorientowała, gdzie chowa się dziewczyna, zaryglowała drzwi i ją tam zostawiła.

Sam nie wiedziałem, co było gorsze: fakt, że Lola zabiła własnego syna, czy że tak bezwzględnie poraziła prądem młodą kobietę w ciąży. A potem zostawiła ją na śmierć na poddaszu opuszczonego budynku.

– Ładna mi pielęgniarka – rzucił z niesmakiem Whelan. – Nie dała rady przenieść jego ciała, więc znalazła gdzieś stary wózek i dotransportowała go do schodów, a potem zaciągnęła w dół do piwnicy.

Ward podjęła wątek.

– Przypuszczamy, że to dlatego żebra w kotle były połamane, proteza prawdopodobnie też. Planowała wynieść go przez kostnicę, ale na drugim końcu nie mogła wtaszczyć wózka po schodach. Wtedy wpadła na pomysł, żeby skremować go w kotle.

Chryste. Widziałem oczami wyobraźni, jak Lola ciągnie bezwładne ciało syna przez ciemny szpital, słyszałem trzaskanie kości i zębów z każdym uderzeniem zwłok o kolejny stopień. „Nie mogłam go tam tak po prostu zostawić, prawda, kochaniutki? W takim miejscu i do tego z nimi!”

– Jedyne, czego nie chce nam powiedzieć, to co zrobiła potem ze szczątkami – ciągnęła Ward. – Wiemy, że kilkakrotnie wracała do kotłowni, chociaż nie jestem pewna, czy chodziło o pozbycie się dowodów, czy raczej o sentyment. Przyznaje, że nie udało jej się wszystkiego wydostać przed zburzeniem kostnicy, ale zamyka się w sobie, kiedy pytamy, co zrobiła z zabranymi stamtąd kośćmi. Twierdzi, że już i tak za dużo jej odebraliśmy. W domu niczego nie znaleźliśmy, więc zlecę przeszukanie z psem.

– Kiedy? – zapytałem, ale pokręciła głową.

– Nie ma mowy. To przeszukanie musi pan sobie odpuścić. Bez obaw, dam panu znać, jeśli coś znajdziemy.

Nie miałem jak protestować. Pozostał jednak jeden temat, którego jak dotąd wszyscy unikali. Rozumiałem opory Ward, ale prędzej czy później trzeba było

go poruszyć.

– A co z Jessopem? – zapytałam.

Whelan zacisnęła usta i wbił wzrok w ziemię. Ward zaplotła ręce na podołku, jakby próbowała się uspokoić.

– Pomyliliśmy się – przyznała. – Jessop rzeczywiście coś ukrywał, ale nie to, co myśleliśmy. Po wysadzeniu Świętego Judy zgłosił się do nas jeden z jego pracowników. Neil Wesley, ledwie dziewiętnaście lat. Chłopak twierdzi, że cztery miesiące temu znalazł ciało Christine Gorski podczas rutynowej inspekcji strychu. Jessop obawiał się kolejnych opóźnień, więc kazał Wesleyowi pomóc przenieść zwłoki. Zawinęli je w plandekę i zanieśli głębiej, żeby trudniej je było znaleźć.

– Kiepsko na tym wyszedł – zauważył ostro Whelan. – Gdyby od razu to zgłosił, to wszystko by się nie wydarzyło. Uznalibyśmy, że to była jedyna ofiara, a szpitala już pewnie od paru miesięcy by nie było. Nie dowiedzielibyśmy się o pozostałych.

Wyczerpany położyłem głowę z powrotem na poduszce. Jessop zapłacił wysoką cenę za ten błąd. Podobnie jak wielu innych ludzi.

– Ale czemu ten Wesley wcześniej nic nie powiedział?

– Bał się – odparła Ward. – Myślał, że Jessop to zgłosi, ale kiedy mu powiedział, szef wpadł w szal. Mówił, że to jakiś włóczęga, którego nikt nie będzie szukał, a jeśli Wesley komuś powie, to go zwolni i zrobi z niego kozła ofiarnego. Chłopaka od tamtej pory ciągle dręczyły wyrzuty sumienia. Sam pan go widział, krążył pod bramą i próbował zebrać się na odwagę, żeby nam to zgłosić.

Dopiero po dłuższej chwili dotarł do mnie sens jej słów. Ten chłopak, który wszedł mi przed maskę, zaabsorbowany wydarzeniami pod Świętym Judą, a potem siedział na przystanku naprzeciwko szpitala...

– To był Neil Wesley?

Ward uśmiechnęła się machinalnie, ale nie włożyła w to serca.

– Hendricks nam o tym powiedziała. Jest pana wielką fanką, po tym jak zaoferował pan, że podmieni ją jako zakładnik.

Wyraźnie próbowała nadać rozmowie lżejszy ton, ale ja nadal nie rozumiałem zbyt wielu aspektów tej sprawy.

– Jessop coś mówił, kiedy była z nim pani w Świątym Judzie? – zapytałem. – Tłumaczył się jakoś?

– To był uzałający się nad sobą pijak, który na własne życzenie zrobił sobie burdel w życiu – wybuchnął nagle Whelan z niespodziewaną pasją. – Gdyby miał choć gram przyzwoitości, skończyłby ze sobą po cichu, zamiast robić z tego wielkie przedstawienie!

– Spokojnie, Jack – powiedziała cicho Ward. Westchnęła. – Nie, nie mówił zbyt wiele. Ale gdyby rzeczywiście był tym sadystycznym mordercą, za którego go mieliśmy, to nie wypuściłby mnie tak po prostu. Nie jestem nawet pewna, czy naprawdę chciał wysadzić szpital w powietrze. Pod koniec był w takim stanie, że chyba sam nie wiedział, co robi. To mógł być wypadek.

– Na pani miejscu nie szafowałbym tak współczuciem. Przecież prawie panią zabił – upierał się Whelan. – Nie dał pani wystarczająco dużo czasu na ucieczkę. Gdyby nie ten tunel... No.

Pohamował się, czerwony na twarzy. Ale przynajmniej raz całkowicie się z nim zgadzałem.

– Nawet jeśli Jessop nie zabił tamtych ludzi ze szpitala, to rozmyślnie przejechał Adama Oduyę – powiedziałem, słysząc, że ze zmęczenia mówię coraz bardziej niewyraźnie. – A dla Daniela Mearsa to marne pocieszenie, że napatoczył się przypadkiem.

Atmosfera w pokoju uległa nagłej zmianie. Spojrzałem na nich, zmęczenie nagle mi przeszło.

– Co się stało?

– Możesz dać nam chwilę, Jack? – zwróciła się do Whelana Ward.

– Jest pani pewna?

Pokiwiała głową.

– Zaczekaj na zewnątrz.

– Czego jest pani pewna? – zapytałem, kiedy Whelan już wyszedł. – O co chodzi?

– Nie chciałam panu jeszcze o tym mówić, ale znaleźliśmy samochód, którym sprawca uciekł z miejsca wypadku. Na dzień nieczynnego kamieniołomu przy autostradzie M20. Wszystko wskazuje na to, że ktoś go ukradł, a potem albo stracił panowanie nad kierownicą, albo celowo wjechał w barierkę i dalej w przepaść. Tak czy inaczej, musiała zginąć na miejscu.

W ustach mi zaschło.

– Musiała?

Ward popatrzyła na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– To była Grace Strachan.

ROZDZIAŁ 33

Dwa dni później wypisano mnie do domu. Rachel przyniosła mi ubrania na zmianę i odwiozła do Ballard Court. Kiedy wyszedłem ze szpitala, świat wydał mi się jakby nierealny. Chociaż niebo było zachmurzone, światło dnia raziło mnie w oczy. Wszystko zdawało się zbyt jasne i zbyt głośne, zmysły miałem przeciążone kolorami i dźwiękami. Kolejny skutek zabiegów Loli, ale lekarze zapewnili, że wkrótce ustąpi.

Chociaż niektóre następstwa miały się utrzymywać dłużej.

W samochodzie prawie nie rozmawialiśmy.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Rachel, kiedy staliśmy na skrzyżowaniu.

– Tak – odparłem.

W milczeniu patrzyliśmy na zmieniające się światła.

Weszliśmy do apartamentu. Rachel od razu włączyła muzykę i zaczęła się krzątać po kuchni. Poszedłem do salonu, ale zaraz zapomniałem, co zamierzałem zrobić. Ciągle mi się to przytrafiało, chociaż na szczęście coraz rzadziej. Łapałem się na tym, że o czymś myślę, a potem nagle nie mogę sobie przypomnieć o czym.

Stałem przy oknie i wyjrzałem na ulicę. Drzewa zgubiły już większość liści, chodniki były ciemne i lśniące od deszczu. Samochody zaparkowane na ulicy wydawały się malutkie, nieprawdziwe, jak zabawki czy modele do składania.

– Może usiądziesz? – zaproponowała Rachel, idąc ku mnie z kuchni z kubkiem w ręku. – Zaparzyłam ci kawę, napij się, a ja tymczasem zrobię obiad. Wiem, że nie cierpisz tego ekspresu, więc kupiłam kawiarkę. Nie będziesz musiał pić rozpuszczalnej.

– Lubię rozpuszczalną – odparłem bez namysłu.

– No to teraz będziesz miał wybór. – Westchnęła. – Przepraszam. Po prostu...
jesteś strasznie cichy. Nie wiem, co mówić.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Jestem zmęczony, to wszystko.

Z jej oczu wyczytałem, że wcale w to nie uwierzyła, tak samo jak ja.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie – odparłem i zwróciłem się z powrotem do okna.

Ciężko przychodziło mi choćby myśleć o tym wszystkim. Wiedziałem, że częściowo jest to reakcja na wydarzenia w domu Lennoxów. Trzeba było czasu, żeby ustąpiły zarówno fizjologiczne, jak i psychiczne efekty wielokrotnego rażenia prądem, wpadałem w panikę na wspomnienie paraliżu i towarzyszącego mu poczucia bezsilności. Na to jednak byłem przygotowany. To była naturalna reakcja, coś, co rozumiałem i z czym potrafiłem sobie poradzić.

Nie mogłem jednak przyjąć do wiadomości tego, co Ward powiedziała mi w szpitalu.

– Sądzymy, że Grace Strachan mogła pana śledzić od wielu miesięcy – odezwała się, kiedy Whelan wyszedł na korytarz. – Jeszcze ustalamy, co dokładnie się z nią działo, ale najprawdopodobniej mieszkała za granicą. W kraju nie dałaby rady się ukrywać przez tyle czasu po tym, jak zaatakowała pana nożem.

– Ale to... – Zabrakło mi słów: nie mogłem tego ogarnąć rozumem. Spróbowałem jeszcze raz. – Ktoś musiał jej pomagać.

Grace była zbyt zaburzona, żeby przez tyle lat pozostawać na wolności bez czyjegóż wsparcia. Kiedy ją poznałem, miała brata, Michaela, który ją chronił i potrafił zapanować nawet nad najsilniejszymi atakami psychozy. Już wtedy musieli jednak ciągle się przemieszczać, aż w końcu zdesperowany Michael próbował znaleźć bezpieczne schronienie dla siebie i siostry na niemal bezludnej wysepce na Hebrydach.

Nie udało mu się.

– Może ktoś jej pomagał – przyznała Ward. – Ale znacznie łatwiej jest zniknąć, kiedy ma się forszę, a Strachanowie byli bogaci. Zajęto cały znany majątek należący do niej i brata, ale mogli mieć jakieś inwestycje zagraniczne, o których nie wiedzieliśmy. A z tego, co rozumiem, Grace przez większość czasu zachowywała się zupełnie normalnie. Agresję wzbudzały w niej tylko określone bodźce.

Na przykład zazdrość o brata. Albo obwinianie mnie o jego śmierć, pomyślałem otepiały.

– Dlaczego teraz wróciła?

– Wydaje nam się, że przez pana – odparła Ward, wyraźnie zmieszana. – Pańskie nazwisko pojawiło się w wiadomościach dotyczących tamtego śledztwa w Essex na początku roku, no i po tamtej aferze w Dartmoor. To były bardzo głośne sprawy, więc mogła gdzieś o nich usłyszeć czy przeczytać. Niewykluczone, że do tamtej pory uważała pana za zmarłego. Odcisk palca na drzwiach do pańskiego mieszkania był prawdopodobnie śladem po próbie włamania, a nie czymś, co przegapiliśmy po pierwszym ataku. Nie było pana w domu, więc od tamtej pory pana szukała.

Kiedy jej słowa do mnie dotarły, sala szpitalna zaczęła wirować mi przed oczami. Przez cały ten czas lekceważyłem zagrożenie ze strony Grace. Byłem pewien, że Ward i Rachel martwią się bez potrzeby, że nic mi nie grozi.

Przez cały ten czas się myliłem.

Przełknąłem gorzką żółć, która podeszła mi do gardła.

– Niemożliwe, żeby tak trudno było mnie znaleźć.

– Pewnie nie zawsze robił to pan celowo. Ale najpierw pracował pan przy śledztwie w sprawie zabójstwa w Essex, potem przeprowadził się pan do nowego mieszkania. A ona nie mogła wypytywać sąsiadów i znajomych, gdzie się pan podziewa, więc musiała czekać, aż się pan gdzieś pojawi. Sprawdziliśmy monitoring, znaleźliśmy kobietę przypominającą Grace na nagraniach sprzed budynku pańskiego wydziału. Wracała tam wielokrotnie i za każdym razem czekała godzinami.

– Przyjeżdżała na uczelnię?

– Nie powiem „a nie mówiłam?”, bo szczerze mówiąc, sama nie do końca wierzyłam w zagrożenie. Ale dobrze, że wchodził pan i wychodził raczej bocznymi drzwiami niż głównym wejściem.

Jezu. Przypomniało mi się, jak kilka dni wcześniej, kiedy zapomniałem o radach Ward i wyszedłem głównymi drzwiami, poczułem w powietrzu cień zapachu perfum Grace. Wmówiłem sobie, że to wyobraźnia spletała mi figla, ale było bardzo późno, a ja opuściłem budynek jako jeden z ostatnich. Na samą myśl przeszedł mnie dreszcz.

Niewykluczone, że się wtedy minęliśmy.

– Kiedy zobaczyliśmy, że bywała na uczelni, sprawdziliśmy też nagrania z monitoringu w pańskim bloku – ciągnęła Ward, dość łagodnie. – Dzięki systemowi ochrony nie mogłaby się dostać do środka, a pan na szczęście zostawiał samochód w garażu podziemnym. Ale sądzimy, że była tam przynajmniej dwa razy, a może więcej. Pierwszy raz wtedy, kiedy strażacy przyjechali do pożaru w kubłach na śmieci. Myśleli, że to sprawka dzieciaków, ale w raporcie pojawia się wzmianka o kobiecie, która kręciła się po terenie osiedla podczas ewakuacji mieszkańców. Strażacy wzięli ją za zwykłą ciekawską, ale... Cóż, powiedzmy tylko, że cieszę się, że nie było pana w domu.

Tamtego wieczoru pojechałem do kostnicy, żeby pomóc Mearsowi. Przypomniała mi się rozmowa ze strażaczką po powrocie do Ballard Court. „Musieliśmy już odeskortować jedną z pańskich sąsiadek, bo strasznie się wtrącała. Pożary zawsze przyciągają czubków”.

– Skąd ona wiedziała, gdzie mieszkam? – O dziwo przepełniał mnie spokój, jakby to wszystko działo się komuś innemu. – Mam zastrzeżony numer telefonu, a tego adresu prawie nikt nie zna.

Nawet uczelnia go nie znała: załatwiłem przekierowanie poczty, a nie zamierzałem zostawać tu długo, więc nie było sensu nikogo zawiadamiać. Ward westchnęła ciężko.

– Wydaje nam się, że pojechała za panem ze Świętego Judy. Wszystkie media trąbiły o tych zabójstwach, więc pewnie się domyśliła, że będzie pan pracował przy tej sprawie. Bez trudu mogła się wtopić w tłum reporterów pod bramą. Albo czatowała pod kostnicą z nadzieją, że prędzej czy później się pan tam zjawi.

No i się zjawiłem. Chryste Panie. Przetarłem twarz dłonią, wróciło wspomnienie tamtego straszego wieczoru.

– Mówił pan, że Adam Oduya zawołał pana po nazwisku, kiedy wychodził pan z budynku – kontynuowała Ward nieustępliwie. – Mears już przechodził przez ulicę, więc w ciemności można było pewnie odnieść wrażenie, że to do niego woła...

Widziałem, jak Oduya zszedł z chodnika, kryjąc się pod parasolką przed ulewnym deszczem. „Doktorze Hunter!” Mears spojrzał w jego stronę, przechodząc na drugą stronę ulicy, podświetlony od tyłu przez latarnie i z twarzą ukrytą pod kapturem. W rękę niósł nawet taki sam neseser jak mój. Oduya wcale nie był celem. Po prostu się napatoczył, a gwałtowny skręt samochodu przed uderzeniem w Mearsa nie wynikał z utraty kontroli nad kierownicą.

To była korekta kursu.

– Jest pani pewna, że to była Grace? – Było mi niedobrze, czułem się tak, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w żołądek.

– Kamera monitoringu złapała dość wyraźnie jej twarz, kiedy odjeżdżała. Mocno się postarzała od czasu fotografii, które mamy w aktach, ale... tak, to była ona. Samochód jest zarejestrowany gdzieś w Kencie. Sądzimy, że go ukradła, ale jak dotychczas nie udało nam się skontaktować z właścicielem.

– O Boże... – powiedziałem i zamknąłem oczy.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy, po prostu nie ma go w kraju – wtrąciła szybko Ward. – Kawaler, dużo pracuje za granicą, więc pewnie nawet jeszcze nie wie, że zginął mu samochód.

Spróbowałem pozbierać myśli.

– Mówiła pani, że... że Grace zginęła w kraksie?

Ward z wyraźną ulgą zmieniła temat.

– Zgadza się. To mógł być wypadek. Albo samobójstwo, na razie nie mamy pewności. Musimy jeszcze potwierdzić tożsamość, ale...

– Zaraz, nie jesteście nawet pewni, czy to ona?

– Mamy prawie sto procent pewności, ale samochód się zapalił, tak że... Co się stało?

Nie mogłem oddychać. Przez chwilę przeniosłem się w inne miejsce i inny czas. Słyszałem huk przypominający dźwięk rozbijających się fal, czułem smród palonego ciała i kości.

– Wszystko w porządku? – zapytała Ward i zaczęła się podnosić z krzesła.

Siłą woli uspokoiłem oddech i pokiwałem głową.

– Proszę mówić dalej.

– To może poczekać...

– Nie. – Rozwarłem mocno ściśnięte pięści. Były mokre od potu. – Nie. Wolę to już zakończyć.

Niewiele zostało do powiedzenia. Ofiara doznała poważnych urazów twarzy, więc policja miała nadzieję uzyskać DNA z mocno nadpalonych kości. W bagażniku znaleziono jednak kosztowną walizkę ze stopu aluminium – metalowa powłoka zapewniała wystarczającą izolację, żeby uchronić zawartość od ognia. Pobrano DNA z cebulek włosów zaplątanych w znalezioną w środku szczotkę, a także odciski palców i liczne przedmioty osobiste niewątpliwie należące do Grace Strachan. Na nadgarstku ofiara miała platynową bransoletkę, przypaloną, ale z wciąż czytelną dedykacją: „Dla mojej pięknej Grace. Kocham Cię. Michael”.

Jej brat. Dopiero wtedy zacząłem dopuszczać do siebie tę myśl.

Grace nie żyła.

Ktoś przesądny mógłby pomyśleć, że w jej śmierci maczał palce los. Ogień od samego początku odgrywał fundamentalną rolę w naszej znajomości. Pojechałem na Runę, odciętą od świata wysepkę na Hebrydach, gdzie mieszkała z bratem, żeby zbadać spalone ludzkie szczątki. Choć Grace nie była

bezpośrednio winna śmierci ofiary, to właśnie jej działania uruchomiły łańcuch wydarzeń, które do tej śmierci doprowadziły. Podobnie jak do śmierci kilku kolejnych osób, w tym jej ukochanego brata Michaela.

Niewiele brakowało, bym i ja stracił życie.

Racjonalnie czy nie, Grace o wszystko obwiniała mnie. Pojechała za mną do Londynu, pojawiła się na moim progu i dźgnęła mnie nożem, choć wszyscy sądzili, że umarła razem z bratem. Ledwie przeżyłem, a od tamtej pory przez lata żyłem w strachu przed napastniczką. W niepewności, gdzie jest i czy spróbuje jeszcze raz.

A teraz spróbowała.

W innej sytuacji może poczułbym ulgę, że wreszcie się to skończyło. Ale przeze mnie stracił życie niewinny człowiek, a drugi został trwale okaleczony – przypadkowe ofiary szaleńczej wendety Grace Strachan. Jako że dowiedziałem się o tym wszystkim tuż po tym, jak otarłem się o śmierć z rąk Loli, przeżyłem głęboki wstrząs. Przez następne kilka dni odzyskiwałem zdrowie fizyczne. Nadal miałem zaburzoną koordynację i dopadały mnie zawroty głowy, ale oparzenia elektryczne zaczynały się goić. Chociaż wciąż łatwo się męczyłem, powoli wracały mi siły.

Nie mogłem jednak znaleźć sobie miejsca. Czułem się jak obcy we własnej skórze. Kiedy Ward zadzwoniła do mnie dzień po moim wyjściu ze szpitala, aż mnie ścisnęło w żołądku ze strachu przed kolejnymi złymi wieściami. Okazało się jednak, że dzwoniła, żeby powiedzieć mi o odkryciu dokonany przez psa policyjnego w domu Loli.

– Koniec piwnicy został odcięty ślepą ścianą. Tym razem całkowicie otynkowaną, więc gdyby nie pies, w ogóle byśmy jej nie znaleźli. Zburzyliśmy ją i znaleźliśmy ludzkie szczątki.

Aż usiadłem.

– Ale nie Gary’ego Lennox’a?

– Nie, prawie na pewno nie. Męskie, ale nie zostały spalone, a poza tym na oko leżały tam wiele lat. Podejrzewamy, że to jego ojciec. Lola nie chciała

powiedzieć, co zrobiła z jego ciałem, ale wygląda na to, że tamta ściana w Świętym Judzie nie była pierwszą, którą kazała zbudować synowi.

Pewnie, że nie była, pomyślałem. Lola praktycznie mi to wyznała. „Pomógł mi posprzątać, doprowadzić wszystko do porządku”.

Gary był dobrym chłopcem.

Atmosfera w mieszkaniu coraz bardziej gęstniała. Mimo wysiłków nie potrafiłem się wyrwać z ogarniającego mnie letargu. Zapadałem w drzemkę, a potem nagle wybudzałem się gwałtownie i widziałem przed sobą Rachel patrzącą na mnie z obawą i troską. Miałem wyrzuty, że musi to wszystko znosić, więc starałem się zebrać w sobie i zagaić coś w rodzaju normalnej rozmowy.

Ale nawet nie zdawałem sobie sprawy, kiedy zaczynałem znowu odpływać.

Rachel trzymała się aż do trzeciego wieczoru po moim powrocie. Siedzieliśmy przy stole w jadalni nad zapiekanką, którą szykowała całe popołudnie. Grzebałem widelcem w talerzu. Po dłuższej chwili dotarło do mnie, że z drogich głośników nie leci już muzyka i siedzimy w całkowitej ciszy. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Rachel mi się przygląda.

– Przepraszam – powiedziałem. – Zamyśliłem się.

Bawiła się nóżką kieliszka z winem, w oczach miała niepokój.

– Jak długo jeszcze taki będziesz?

– Jaki? Wszystko ze mną w porządku.

– Wcale nie. – Prześwidrowała mnie zielonymi oczami. – Wiesz, że to nie twoja wina, prawda?

Nie musiała precyzować, co ma na myśli.

– Możemy o tym porozmawiać kiedy indziej?

– Kiedy? Wiem, że dużo ostatnio przeszedłeś, ale oboje wiemy, że nie chodzi tylko o to, co się wydarzyło w domu tamtej starej wiedźmy. Grace Strachan...

Wstałem.

– Naprawdę nie chcę o niej rozmawiać.

– A ja tak! Nie chcesz rozmawiać ze mną, w porządku, ale z kimś porozmawiać musisz! Potrzebujesz pomocy specjalisty!

– Nie potrzebuję.

– Czyżby? To, co czujesz, ma oficjalną nazwę. Mówi się na to „syndrom ocalałego”.

– No błagam!

– W takim razie jak ty byś to nazwał? Naprawdę będziesz twierdził, że wcale nie obwiniasz się o to, co ona zrobiła? Że nie czujesz się odpowiedzialny?

Chciałem odpowiedzieć, ale nagle zacząłem się trząść. Z powrotem usiadłem, nie mogłem się utrzymać na nogach.

– Przecież jestem odpowiedzialny – odparłem drżącym głosem.

– Wcale nie! To Grace Strachan siedziała za kierownicą, nie ty. Nie miałeś nawet pojęcia, że ona w ogóle żyje! Wiem, że to potworne, ale obwiniając się, niczego nie zmienisz. Jeśli już musisz kogoś obwiniać, to obwiniaj ją!

– Grace była chorą osobą.

– Mam to gdzieś! – Rachel wyrzuciła ręce do góry w geście rozpacz. – Jezu, jak możesz być taki surowy dla siebie, a jednocześnie wybaczać takiej... takiej podłej szmacie? Dobra, miała chujowe życie, i co z tego? Wszyscy tak mają! Zobacz tylko, przez co sam przeszedłeś! A moją siostrę zamordowano, myślisz, że to było miłe i przyjemne? Ludzie umierają, tak, to okropne, ale wiesz co? My jeszcze żyjemy. A ty musisz zdecydować, czy chcesz żyć dalej, czy... czy zachowywać się tak, jakbyś też już był trupem!

Wstała i wyszła z pokoju, ocierając oczy. Zostałem przy stole, bo wiedziałem, że teraz nie ma sensu za nią iść. Z początku słyszałem, jak krząta się po mieszkaniu, ale z czasem hałasy ucichły, a odgłos zamykania drzwi sypialni – bez trzasku, ale też niezbyt cicho – powiedział mi, że poszła do łóżka. W końcu wstałem od stołu i załadowałem zmywarkę. Nalałem sobie burbona i zaniósłem szklankę do salonu. Siedziałem w ciemności, nie chciałem zapalać światła. Kiedy zmywarka już dawno skończyła mycie, a ciszę panującą w apartamencie zakłócał jedynie cichy szum centralnego ogrzewania, poszedłem do szafy w przedpokoju. Większość notatek, dokumentów i akt spraw zostawiłem w starym mieszkaniu, ale zabrałem ze sobą jedno pudło. Wyjąłem je teraz,

postawiłem na stole i otworzyłem. Wyjmując stare albumy fotograficzne, poczułem znajome ukłucie. Zwyczajna kronika rodzinnych wakacji, urodzin i świąt, nielicznych, które było nam dane razem spędzić. Zapis dorastania Alice, od malutkiego noworodka po nieśmiało uśmiechniętą sześciolatkę, wykapaną mamę. Przeglądałem je powoli, jedna po drugiej, dopóki nie obejrzałem wszystkich.

Potem ostrożnie zapakowałem je z powrotem i odstawiłem pudło na miejsce.

Kiedy wszedłem do sypialni, niebo zaczynało już jaśnieć. Przysiadłem na brzegu łóżka obok Rachel. Sen wymazał ślady odcisnięte przez stres ostatnich tygodni, z jej twarzy zniknął wcześniejszy gniew. Kilka ciemnych loków opadło jej na policzki, poruszały się lekko z każdym oddechem. Oparłem się przemożnej chęci, żeby odgarnąć je na bok, i wyjrzałem przez okno. Dzień budził się do życia, z ciemności wynurzały się kształty i kolory. Nowy początek.

Coś kazało mi odwrócić się znowu do Rachel. Nie poruszyła się, ale podniosła powieki i patrzyła na mnie tymi zielonymi, mądrymi oczami. Spojrzałem w nie głęboko i odgarnąłem jej włosy z policzka.

– Wyjdiesz za mnie?

ROZDZIAŁ 34

Czułem, że pokonałem kryzys. Jakby pękła tama, a pesymizm i przygnębienie, które dusiły mnie od czasu wyjścia ze szpitala, zostały splukane. Nie wyzbyłem się poczucia winy w związku z tym, co spotkało Adama Oduyę i Daniela Mearsa, ale teraz potrafiłem spojrzeć na sprawę w szerszym kontekście. Nie ja odpowiadałem za postępowanie Grace. Demony, które napędzaly ją do działania, tkwiły w niej na długo przed tym, jak mnie poznała. Ja byłem tylko ich najnowszym celem, a nie wyzwalczem.

Ward powiedziała mi, że Mears odzyskał przytomność i jego życiu nic już nie zagraża, ale nie jest jeszcze gotowy na odwiedziny. Co prawda nie wydawało mi się, żeby chciał mnie oglądać, ale musieliśmy uregulować pewne sprawy. Nawet jeśli niebezpośrednio z mojej winy, stracił nogę dlatego, że Grace wzięła go za mnie. Czy mi się to podobało, czy nie, nie mogłem zignorować tego faktu.

Jak to zwykle bywa, odzyskiwaniu sił fizycznych towarzyszył powrót do zdrowia emocjonalnego. Oparzenia dobrze się goiły, powróciła zwykła zdolność koncentracji, każdego dnia potrafiłem zrobić coraz więcej bez zmęczenia. Znów zaczęliśmy wychodzić z Rachel z domu, a choć słotna jesienna pogoda wcale się nie poprawiała, nad moją głową przestała wisieć czarna chmura.

Zaprosiliśmy na kolację Jasona i Anję, przekazaliśmy im nowinę. Anja rzuciła się Rachel na szyję, a Jason oficjalnie uścisnął mi dłoń, ale zaraz objął mnie swoim niedźwiedzim łapskiem.

– Dobrze ci radzę, stary, zróbcie to, zanim ona się rozmyśli – powiedział.

Autentycznie się cieszyli, ale wyczuwałem też nutkę zaskoczenia, choć bardzo starali się je ukryć. Nie znaliśmy się z Rachel zbyt długo, a jeśli nie liczyć jednego nieudanego związku, od czasu śmierci Kary i Alice byłem sam.

Zaczęli postrzegać to jako mój naturalny stan, ja chyba też się już przyzwyczaiłem.

Jednak przez lata pracy w zawodzie nauczyłem się, że jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana. Moja przeszłość stanowiła nieodłączny element mnie, ale już dawno, acz z bólem, pogodziłem się ze świadomością, że choć moja żona i córka umarły, ja ciągle żyłem. Słowa Rachel tylko dobitnie mi o tym przypomniały. Poza tym niemal umarłem na brudnej podłodze w domu Lennoxów, a wiedziałem, jak rzadko dostaje się od życia drugą szansę.

I że nic nie trwa wiecznie.

Mimo to czasami nawet mnie wydawało się to nierzeczywiste. Nagle ogarniało mnie surrealistyczne wrażenie, że to wszystko spotyka kogoś innego, że jestem obserwatorem uwięzionym we własnym ciele. Bywało, że budziłem się rano z przyprawiającym o zawrót głowy poczuciem paniki. Potem jednak patrzyłem na śpiącą obok Rachel i uczucie wyparowywało jak rosa w świetle słońca.

Zdecydowaliśmy się na razie zostać w Ballard Court. Powrót do starego mieszkania nie wchodził w grę. Rachel nie darzyła zbyt ciepłymi uczuciami miejsca, w którym mieszkałem dawniej z kimś innym, a potem prawie straciłem życie. Apartament był większy i lepiej wyposażony, a skoro mieliśmy umowę jeszcze na kilka miesięcy, to nie było sensu się przenieść. Stare mieszkanie wystawiłem na sprzedaż.

Zacząłem się przyzwyczajać do nowego miejsca.

Przez kilka następnych dni snuliśmy plany, dyskutowaliśmy, gdzie chcemy ostatecznie zamieszkać, przeglądaliśmy strony agencji i przewodniki po nieruchomościach, chociaż najchętniej zdałbym się w tych sprawach na Rachel. Kiedy rozważaliśmy wady i zalety mieszkania w mieście i poza nim, zdarzyła się pewna niezręczna chwila.

– Londyn jest fajny, ale czy na pewno chcemy tu mieszkać? – zapytała, przerzucając katalog mieszkań i domów na sprzedaż. – Żadnego z nas nie trzyma tu praca, więc może powinniśmy się rozejrzeć poza miastem. Nieruchomości są

tańsze praktycznie wszędzie, więc moglibyśmy znaleźć coś znacznie większego i w okolicy z dobrymi szkołami.

Urwała nagle, jakby ugryzła się w język, i zalała się rumieńcem.

– Przepraszam, chyba trochę się zagalopowałam...?

Nigdy nie rozmawialiśmy o możliwości założenia rodziny i dopiero teraz do mnie dotarło, jakim byłem głupcem – nawet nie pomyślałem, że Rachel mogłaby tego pragnąć. Ale czy ty też tego chcesz? – zapytałem sam siebie. Pomyślałem o Karze i Alice, mojej córeczce, która już na zawsze będzie dla mnie miała sześć lat. Poczułem znajomy ból, kiedy umysł podsunął mi wspomnienie roześmianej dziewczynki, piszczącej głośno, bo Kara ją łaskotała. „Pora spać. Powiedz tatusiowi dobranoc”. Na chwilę znów zakręciło mi się w głowie, nagle poczułem się przytłoczony. Ale po chwili wróciłem do siebie.

– Będziemy musieli się nad tym zastanowić – powiedziałem.

Ustaliliśmy, że weźmiemy ślub jak najszybciej, gdy tylko uda nam się wszystko załatwić. Czas nas nie naglił, ale nie mieliśmy na co czekać. Oboje woleliśmy skromną uroczystość cywilną z kilkoma najbliższymi osobami. Jason zgodził się zostać świadkiem, a Fay, młoda siostrzenica Rachel, miała być jedyną druhną.

– A w podróż poślubną może do Vegas? – zasugerowała Rachel. Na widok mojej miny uśmiechnęła się figlarnie. – Żartuję. Byle tylko była jakaś plaża, żeby móc się opalać i kąpać.

Na to mogłem się zgodzić.

Dokładnie tydzień po moim wyjściu ze szpitala Ward zadzwoniła z najnowszymi wieściami. Nadal nie udało się znaleźć szczątków Gary’ego Lennox, ale wydarzyło się coś innego. Policja w Kencie znalazła jacht dryfujący na moczarach Oare Marshes, w rezerwacie przyrody na południowo-wschodnim wybrzeżu. Na pokładzie nikogo nie było, ale znaleziono całą masę odcisków palców Grace Strachan.

– Porzucono go już jakiś czas temu. Nadal nie udało nam się odtworzyć jej ruchów, ale przypuszczamy, że właśnie tą drogą dostała się do kraju i dlatego tak

długo udawało jej się nie zwracać na siebie uwagi. Najprawdopodobniej spędziła ostatnie kilka lat na Morzu Śródziemnym, mieszkała na jachcie, którym pływała wzdłuż wybrzeża.

Nic dziwnego, Grace była doświadczoną żeglarką. Mieli z bratem piękny jacht, zacumowany w zatoce za ich domem na Runie, to na nim uciekła z wyspy podczas sztormu. Później co prawda znaleziono roztrzaskany wrak, ale widocznie znalazła nową łódź. Na ciągnącym się przez tysiące kilometrów wybrzeżu Morza Śródziemnego nie brakowało niezamieszkanymi zatoczek i bezludnych wysepek, a jeśli unika się większych portów i przystani, nie trzeba się martwić paszportem czy dokumentami. Kto ma wystarczająco dużo pieniędzy, może tak żyć praktycznie w nieskończoność.

– Jacht był zarejestrowany na firmę, której właścicielem jest jakiś księgowy z Genewy. Pracował dla Strachanów jako doradca finansowy, więc miał pan rację, że ktoś musiał pomagać Grace – ciągnęła Ward. – Nadal jeszcze wszystkiego nie pospinaliśmy, ale jacht został zakupiony niedługo po jej zniknięciu, więc sądzimy, że namówiła księgowego, żeby go dla niej kupił. Facet był od niej znacznie starszy i tuż po rozwodzie, więc nietrudno się domyślić, jakich środków perswazji użyła.

Owszem. Działania Grace wypaczyły jej obraz w mojej pamięci, ale nawet ja nie mogłem zapomnieć piorunującego wrażenia, jakie na mnie zrobiła. Jej uroda była olśniewająca, w pierwszej chwili zaślepiła na to, co znajdowało się pod piękną powierzchownością, a potem było już za późno.

– Szwajcarska policja przesłuchiwała tego księgowego? – zapytałem.

– Nie mieli jak. Kilka miesięcy temu zaginął. Wszyscy uważali, że uciekł z pieniędzmi klientów, ale na jachcie znaleźliśmy zaschnięte plamy krwi. Zbyt stare, żeby określić, do kogo należały, ale chyba możemy się domyślić.

Na wieść, że Grace odebrała życie kolejnej osobie, przeszedł mnie dreszcz, ale poczułem też ulgę, mogąc przynajmniej częściowo zrozumieć, co działo się z nią przez ten cały czas. Pozwoliłem sobie uwierzyć, że ta historia wreszcie się kończy.

Miałem jednak za dużo na głowie, żeby o tym rozmyślać. Poza wyborem miejsca do życia musieliśmy też z Rachel zdecydować, co z pracą. W Londynie raczej nie było atrakcyjnych ofert pracy dla oceanografów, ja też nie musiałem koniecznie mieszkać w stolicy. Moja posada na uniwersytecie wydawała się na razie dość bezpieczna – dyrektor Harris aż piał z zachwytu nad moim zaangażowaniem w głośną sprawę zabójstw w szpitalu Świętego Judy – ale nie brakowało przecież innych możliwości. Jeszcze niedawno byłem *persona non grata*, a teraz, ku mojemu zaskoczeniu, każdy dzień zdawał się przynosić nową szansę.

Któregoś ranka dostałem pocztą przesyłkę z logo BioGen. Pełen obaw otworzyłem kopertę. Ward twierdziła, że Mearsowi ciągle się poprawia, ale nadal nie jest gotowy na przyjmowanie gości spoza najbliższej rodziny. Miałem wrażenie, że to dyplomatyczne wymówki, ale wiedziałem też, że nie ma sensu naciskać. Jednak list od jego pracodawców nie mógł oznaczać niczego dobrego.

– Co piszą? – zapytała Rachel. Siedzieliśmy przy granitowym blacie wyspy kuchennej, nieśpiesznie piliśmy kawę po późnym śniadaniu.

– To od samego prezesa – powiedziałem. – Proponują mi pracę.

– Chyba żartujesz.

Podąłem jej list i rozsiadłem się wygodnie, sącząc kawę i czekając, aż przeczyta.

– Starszy specjalista kryminalistyczny, kierownik działu badań i operacji – powiedziała, marszcząc czoło. – Co to niby znaczy... Boże!

Dotarła do miejsca, w którym była mowa o wynagrodzeniu. Przeczytała całość jeszcze raz, z rozdziawionymi ustami, po czym odłożyła kartkę na stół.

– Spotkasz się z nim?

– A miałabyś coś przeciwko, gdybym tego nie zrobił?

– Oczywiście, że nie. To ma jakiś związek z Danielem Mearsem?

– W pewnym stopniu – przyznałem.

W liście nie wspomiano ani słowem o młodym tafonomie, a choć oferowane stanowisko było wyższe od jego, to po tym wszystkim czułbym się nie

w porządku, przyjmując tę propozycję. Swoją drogą i tak nie chciałbym posady w firmie, która powierzyła niedoświadczonemu pracownikowi odpowiedzialność za tak dużą sprawę.

Złożyłem list i schowałem go z powrotem do koperty.

Zasypywały mnie nie tylko oferty pracy. Prasa musiała się dowiedzieć o moim udziale w śledztwie w sprawie Świętego Judy, bo zacząłem otrzymywać coraz liczniejsze prośby o wywiad. W tym kolejną od Francisa Scotta-Hayesa.

– Jezu, facet nie wie, kiedy dać sobie spokój – mruknąłem po przeczytaniu wiadomości od dziennikarza.

– To ten freelancer, który tak cię prześladowa?

– Od tygodni. Nie potrafi zrozumieć odmowy.

– Może powinieneś się zgodzić.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

– Serio?

Wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Wiem, że nie lubisz rozmawiać o pracy, ale nie musisz przecież omawiać konkretnych spraw. Dla kogo on pisze?

Przeczytałem na głos jego ostatniego mejla. Rachel z coraz wyżej uniesionymi brwiami słuchała długiej listy prestiżowych gazet i magazynów publikujących teksty Scotta-Hayesa po obu stronach oceanu.

– Brzmi na poważnego zawodnika – powiedziała, wyraźnie pod wrażeniem. – Chyba nawet czytałam ten artykuł w „Rolling Stone”. Może chociaż wysłuchasz, co ma do powiedzenia?

– Sam nie wiem...

Sięgnęła po kubek z kawą.

– Decyzja należy do ciebie. Ale skoro zamierzasz szukać nowej pracy, to nie zaszkodzi wywiad w porządnej gazecie.

– Zastanowię się – obiecałem.

Zapisaliśmy się do urzędu na za trzy tygodnie – pierwszy wolny termin, a i tak udało nam się tylko dlatego, że ktoś inny odwołał ślub. Nasze szczęście zawdzięczaliśmy więc czyjemuś pechowi. Miałem nadzieję, że to nie będzie zły omen.

Coraz rzadziej dręczyły mnie czarne myśli. W chwili przebudzenia nie czułem już zawrotów głowy, a choć nadal nie mogłem uwierzyć, że to wspaniałe życie należy do mnie, niedowierzanie było zabarwione niecierpliwym wyczekiwaniem. Dni mijały jeden za drugim, ulotne jak efemeryczne jętki. Miałem tyle rzeczy do załatwienia i decyzji do podjęcia, że zupełnie zapomniałem o natrętnym dziennikarzu, dopiero Rachel mi o nim przypomniała. Po wpisaniu w wyszukiwarkę hasła „Francis Scott-Hayes, dziennikarz” przewijałem kolejne strony wyników, pełne linków do artykułów oraz fotografii przedstawiających mężczyznę po trzydziestce o szczupłej, przystojnej twarzy pokrytej lekkim zarostem. Miał nawet krótki wpis w Wikipedii. Pracował jako korespondent wojenny w Afganistanie, opowiadał o życiu mieszkańców meksykańskich społeczności dotkniętych wojną narkotykową, zdobył nawet krajową nagrodę prasową za reportaże śledcze o handlu ludźmi. Najwyraźniej zwykle szukał tematów w strefach wojny albo innych punktach zapalnych na całym świecie.

– Dlaczego on miałby chcieć o mnie pisać? – zapytałem Rachel tamtego wieczoru po kolacji. – Jestem naukowcem od kryminalistyki, nie żadnym baronem narkotykowym.

– Jesteś naukowcem od kryminalistyki, który przez ostatnie dziesięć lat pracował przy największych śledztwach policyjnych w kraju i nie tylko. Ludzi to interesuje.

Nie byłem tego taki pewny. Zachęcony jednak entuzjazmem Rachel oraz lampką wina, z ociąganiem odpisałem na mejla.

Natychmiast dostałem automatyczną odpowiedź, że reporter wyjechał za granicę i nie ma dostępu do skrzynki.

– No, spróbowałem – powiedziałem Rachel, po cichu licząc w duchu, że to będzie już koniec całej sprawy.

Następnego dnia odpisał.

Najchętniej odłożyłbym ten wywiad na po ślubie, ale Rachel uważała, że nie powinienem czekać.

– Przez tyle czasu może stracić zapał do tematu – nalegała. – Odpisz przynajmniej, że chcesz się z nim wstępnie spotkać.

Umówiliśmy się na następne popołudnie, Scott-Hayes miał wpaść do nas na kawę. Nie chciałem zapraszać go do domu, ale oprócz tego miałem do wyboru tylko uczelnię, ewentualnie pub albo kawiarnię – miejsca zbyt publiczne, jeśli wziąć pod uwagę tematy, jakie mieliśmy poruszać. Zresztą, jak zauważyła Rachel, i tak już niedługo mieliśmy nie mieszkać w Ballard Court.

Była sobota, więc pracowałem na laptopie w gabinecie, a Rachel powoli zaczynała szykować kolację na wieczór. Jason i Anja mieli do nas wpaść, a ona się uparła, że sama coś ugotuje. Sądząc po trzaskaniu garnkami i inwektywach dobiegających z kuchni, zaczynała żałować tego pomysłu. Umówiliśmy się z dziennikarzem na piętnastą, a w miarę jak zbliżała się godzina spotkania, zacząłem się łapać na tym, że coraz częściej zerkam na zegarek zamiast na ekran komputera. Plując sobie w brodę, że w ogóle się na to zgodziłem, patrzyłem, jak sekundnik dobiega do pełnej godziny, a potem ją mija. Dziesięć minut później poszedłem do kuchni.

– Spóźnia się. Wiedziałem, że to zły pomysł.

– Nie, zły pomysł to miałam ja, kiedy sobie ubzdurałam, że dam radę zrobić ciasto parzone. – Rachel odepchnęła miskę z masą. – Pewnie utknął w metrze albo w korkach. Może nastaw kawę?

Napełniłem nową kawiarkę ze stali nierdzewnej i postawiłem na kuchence, po czym wróciłem do gabinetu. Nie mogłem jednak przestać myśleć o zbliżającym się spotkaniu, więc wszelkie próby pracy były stratą czasu. W chwili gdy postanowiłem dać Scottowi-Hayesowi ostatni kwadrans, zabrzączał domofon.

No wreszcie. Poszedłem do przedpokoju odebrać.

– Francis Scott-Hayes do pana – oznajmił portier przez głośnik.

– W porządku, dziękuję.

– A nie mówiłam? – rzuciła z kuchni Rachel.

Dzwonek komórki, którą zostawiłem w gabinecie, uratował mnie przed koniecznością przyznania jej racji.

– Pójdę odebrać, możesz go wpuścić?

Spokojny, że Rachel otworzy drzwi, wróciłem przez salon do gabinetu. Nowy telefon – poprzedni Lola utopiła w zlewie – leżał na biurku koło laptopa. Zdziwiłem się na widok nazwiska Ward na wyświetlaczu. Teraz już nie dzwoniła tak często, a rozmawialiśmy nie dalej jak wczoraj. Odebrałem i przez salon ruszyłem z powrotem do kuchni.

– Halo? Nie spodziewałem się...

– Gdzie pan jest?

Zaskoczony jej gorączkowym tonem zatrzymałem się w progu kuchni. Kawiarka bulgotała na kuchence, roztaczając w powietrzu aromat świeżo parzonej kawy.

– W domu. A czemu...?

– Rachel jest z panem?

Drzwi do przedpokoju znajdowały się na drugim końcu kuchni. Słyszałem dobiegający stamtąd szmer głosów.

– Właśnie poszła otworzyć drzwi...

– Nie! Niech ją pan zatrzyma!

Ale Rachel już wracała do kuchni. Na jej twarzy malowała się lekka konsternacja, spojrzała na mnie spod pytająco uniesionej brwi.

– Oto Frances Scott-Hayes – powiedziała z akcentem na ostatnią sylabę imienia, żeby podkreślić żeńską pisownię.

Za nią szła jakaś kobieta, szczupła, o siwiejących włosach przystrzyżonych niezbyt twarzowo na grzybka. W pierwszej chwili pomyślałem, że doszło do jakiejś pomyłki, że sprawdziłem nie tego dziennikarza, co trzeba. W drugiej zauważyłem coś znajomego w kobiecie idącej za Rachel. Potem poczułem

zapach jej perfum, odurzający piżmowo-korzenny aromat, który rozpoznałbym zawsze i wszędzie. Wrył mi się w pamięć, kiedy wykrwawiałem się, leżąc w progu swojego starego mieszkania z nożem wbitym w brzuch po rękojeść.

Z telefonu ciągle dobiegał głos Ward, ale prawie go nie słyszałem. Grace Strachan zmieniła się niemal nie do poznania. Zapierającą dech w piersiach urodę zastąpiła trupia chudość. Skóra ciasno opinała wysokie kości policzkowe, ukazując kształt czaszki. Ciemne oczy, zapadnięte i podkrążone, paliły mnie obłąkańczo intensywnym spojrzeniem.

Z twarzy Rachel zniknął uśmiech.

– David...?

Odebrało mi mowę. Z uczuciem koszmarnego *déjà vu* patrzyłem, jak Grace sięga do torby na ramieniu, i udało mi się poruszyć dopiero wtedy, gdy Rachel zwróciła się w jej stronę.

– Nie! – wrzasnąłem, rzucając się do przodu.

Ze świadomością, że się spóźniłem.

Grace wyciągnęła nóż o długim ostrzu i cięła płynnym ruchem. Rachel krzyknęła i odskoczyła do tyłu, krew pociekła na kuchenne płytki. Grace już ruszyła na mnie, z obnażonymi zębami i podniesionym nożem. Próbowałem złapać ostrze, kiedy opadło ku mnie, nie przejmując się, czy się przy tym nie potnę.

Nagle głowa Grace odskoczyła do tyłu. Napastniczka zatrzymała się jak wryta – Rachel złapała ją jedną ręką za siwe włosy, a drugą zamachnęła się ciężką kawiarką. Gorący metal wyrznął w podniesione czoło Grace, parująca kawa trysnęła na boki, kiedy odpadła rączka czajniczka. Kawiarka spadła z hukiem na ziemię, a Grace poleciała za nią, wypuszczając z ręki nóż. Kopnąłem go w najdalszy kąt, po czym, ignorując leżącą kobietę, rzuciłem się do Rachel. Przyciskała dłoń do długiej rany na ramieniu, z bólu i szoku miała oczy jak spodki. Ułamaną rączkę kawiarki ciągle ścisnęła w pięści.

– Chryste, jesteś cała? – zapytałem, gorączkowo sprawdzając, czy wszystko z nią w porządku.

Pokiwała głową roztrzęsiona. Krew spływała jej po ręce i kapiała na podłogę. Na dłoni przyciśniętej do rany wykwitwały jaskrawoczerwone plamy w miejscu zalanym wrzącą kawą. Zerknąłem szybko, czy Grace nie zaczyna się ruszać, po czym podprowadziłem Rachel do zlewu i odkręciłem zimną wodę. Zmoczyłem ręcznik i ostrożnie odciągnąłem jej poparzoną dłoń od rany.

– Włóż rękę pod kran – powiedziałem, obwiązując ręcznikiem głębokie cięcie na ramieniu.

Posłusznie spełniła polecenie i gwałtownie nabrała powietrza, kiedy lodowata woda zalała oparzenia.

– Cały się trzęsiesz – zauważyła.

Nie mogłem się opanować. Nagle moich uszu dobiegło jakby zwierzęce skomlenie. Opuściłem wzrok i zobaczyłem Grace zwiniętą w pozycji embrionalnej, z twarzą ukrytą w ramionach.

– Boli – zajęczała. – Michael, błagam, zrób coś...

– Boże święty, popatrz na nią... – wyszeptała Rachel.

– Trzymaj rękę pod kranem.

Zostawiłem ją przy zlewie i podszedłem do wychudzonej postaci leżącej na kuchennej posadzce. Krew z głębokiego cięcia na linii włosów mieszała się z kawą, zamieniając twarz Grace w maskę pokrytą marmurkowym wzorem. Na skórze zaczynały już rosnać pęcherze, wzdrygnąłem się na widok tego, co wrzątek zrobił z jej oczami.

Wziąłem następny ręcznik, zmoczyłem w zimnej wodzie i ostrożnie ułożyłem na poparzonej twarzy Grace. Wrzasnęła, kiedy tkanina dotknęła jej skóry, i ścisnęła mnie kościstą dłonią za ramię. Rozejrzałem się za telefonem. Nawet nie zauważyłem, gdzie i kiedy go upuściłem. Okazało się jednak, że się nie rozłączył – słyszałem, że Ward krzyczy coś rozpaczliwie.

– Potrzebujemy karetki – powiedziałem, starając się zachować spokój.

EPILOG

Za oknem ołowiane niebo zapowiadało opady śniegu. Chmury wisiały nisko, zaczynało zmierzchać, mimo że ledwie minęła piętnasta. Tutaj panowała jednak gorąca duchota. Pod sufitem świeciła jarzeniówka, jeszcze mocniej izolując wnętrze od świata za szybą.

– To już nie potrwa długo. Potrzebuje pan czegoś? – zapytał tęgi młody mężczyzna stojący przy drzwiach.

– Nie, dziękuję.

Wyszedł. Zmieniłem pozycję na twardym plastikowym krześle i spojrzałem na zegarek. Siedziałem tu od niemal godziny, a czekała mnie jeszcze długa podróż. Miałem nadzieję wyruszyć, zanim zacznie padać śnieg. Wiedziałem jednak, że nie dlatego tak się niecierpliwie. Byłem podenerwowany.

Powinienem był to zrobić już dawno.

Telefon brzęknięciem obwieścił nadejście nowej wiadomości. Uśmiechnąłem się na widok zdjęcia na wyświetlaczu. Przedstawiało noworodka o czerwonej buzi, z mocno zaciśniętymi powiekami i piąstkami. Podpis głosił: „Emma Louise Ward, urodzona dziś w nocy o 3.25, 2810 g”. Podpisano: Sharon i Doug.

Z uśmiechem odpisałem „gratuluję” i schowałem telefon. Nowina była jak promyk słońca, a ostatnimi czasy nie widywałem ich zbyt często. Zwłaszcza od kiedy Grace Strachan ponownie wkroczyła do mojego życia.

Tamtego popołudnia Ward i Whelan dołączyli do mnie w szpitalu. Gapiłem się w przestrzeń, siedząc w zatłoczonej izbie przyjęć i czekając, aż lekarz zszyje i opatrzy rękę Rachel.

– Co z nią? – zapytała Ward, siadając obok mnie. Whelan stał.

Spojrzałem na nią.

- Powiedziała mi pani, że Grace nie żyje.
- Przepraszam, myśleliśmy, że...
- Mówiła pani, że to jej ciało było w samochodzie.
- Spokojnie – wtrącił się Whelan.
- Spokojnie?! Serio?
- Daliśmy dupy – przyznała bez ogródek Ward. Rozejrzała się po poczekalni.
- Chodźmy na herbatę. Powiem im, żeby nas zawiadomili, gdyby coś się działo.

Znaleźliśmy wolny stolik w kącie szpitalnej stołówki. Ciągle ścisnęło mnie w żołądku z napięcia i złości, przede wszystkim na siebie samego.

- Zadzwońłam do pana natychmiast, jak tylko dostaliśmy wyniki badania DNA – powiedziała markotnie Ward. – Naprawdę sądziliśmy, że kobietą z samochodu była Grace Strachan.

Aż do tamtej chwili nawet nie przemknęła mi przez głowę myśl, co jeszcze oznaczał fakt, że Grace żyje. Poczujęm, jakbym znowu dostał cios prosto w serce.

- Kto to był?

– Niejaka Belinda Levinson, projektantka stron internetowych. Była dziewczyną dziennikarza, który... Co się stało, dobrze się pan czuje?

Pochyliłem się do przodu, nagle ogarnęły mnie mdłości. W uszach mi szumiało, jakbym siedział pod wodospadem.

- Ten dziennikarz nazywa się Francis Scott-Hayes?

Policja znalazła ciało dziennikarza w jego ustronnym domku na wsi gdzieś w Kencie. Zmarł wskutek licznych ran kłutych i ciętych, przynajmniej kilka tygodni temu, sądząc po stanie, w jakim znajdowały się zwłoki. Z tego, co udało się ustalić, Grace mieszkała na łodzi od czasu powrotu do kraju przed kilkoma miesiącami, kiedy to wypuściła się do Londynu i bez powodzenia próbowała się włamać do mojego mieszkania. Moczary Oare Marshes, gdzie znaleziono jacht, znajdowały się zaledwie kilkanaście kilometrów od domu Scotta-Hayesa, który wrócił do Anglii po dwumiesięcznym pobycie w Jemenie w charakterze korespondenta wojennego. Prawdopodobnie złapała go na autostop.

– Nie wiadomo, dlaczego zabrał ją do domu, zamiast odwieźć na jacht – opowiadała Ward. – Mogło chodzić o seks, ale miał dziewczynę na stałe, a wszyscy znajomi twierdzą, że raczej nie był typem podrywacza. No i był znacznie młodszy od Grace. Gdyby wyglądała tak jak dawniej, to co innego, ale... No, sam pan widział, w jakim jest stanie.

Rzeczywiście. Grace Strachan, jaką pamiętałem, emanowała nieodpartym seksapilem, czego nie można było powiedzieć o żalonym strachu na wróble, który miotał się po podłodze w mojej kuchni.

– Myślicie, że zagroziła mu nożem albo jakoś go zmusiła?

Ward wzruszyła ramionami.

– Możliwe, ale tak czy inaczej musiał się najpierw zatrzymać. Myślę, że raczej zrobiło mu się jej żal i zabrał ją do siebie, żeby się odświeżyła. Sprawdziliśmy prognozy pogody z tamtego okresu, tuż po jego powrocie do Anglii lało jak z cebra. Przemoknięta kobieta w średnim wieku stercząca samotnie na poboczu raczej nie wyglądała na groźną.

To prawda, pomyślałem. Reporter dopiero co wrócił z wojny, w znajomych okolicach musiał się czuć bezpiecznie. Plamy krwi wskazywały na to, że Scott-Hayes zginął w przedpokoju własnego domu, pewnie niedługo po przyjeździe z autostopowiczką. Rozłożone ciało znaleziono w kamiennej przybudówce za domkiem, dawnym chlewie przerobionym na składzik.

– Bardzo rozłożone? – zapytałem odruchowo.

– Dość. A odpowiedź brzmi „nie”, niech pan to sobie wybije z głowy.

Nie zamierzałem prosić o możliwość badania zwłok. Przynajmniej nie w tamtej chwili. Nie przerywałem już Ward, która relacjonowała, jak Grace porzuciła jacht i wprowadziła się do domu dziennikarza. Położona na odludziu chatka świetnie nadawała się na kryjówkę, z dala od ludzi, którzy mogliby zauważyć dziwne zachowanie nieobliczalnej kobiety. Nie groziło jej też rychłe zainteresowanie zniknięciem Scotta-Hayesa. Przed wyjazdem ustawił automatyczną wiadomość o nieobecności – tę samą, którą i ja otrzymałem – a ze względu na charakter wykonywanej pracy zdarzało mu się zmieniać plany

niemal z dnia na dzień. Z początku nikogo nie niepokoiła też jego nieobecność w mediach społecznościowych, bo często pracował na niespokojnych, odciętych od świata terenach, z dala od wi-fi czy stałego łącza. Chociaż na pewno tego nie zaplanowała, prędzej czy później Grace musiała się zorientować, że zawód jej zmarłego gospodarza stanowił dla niej bardzo korzystną okazję.

Bez większego trudu mogła uzyskać dostęp do jego skrzynki mejlowej. Telefon i laptop odblokowywały się na odcisk palca, ale to żaden problem, kiedy ma się pod ręką ciało właściciela. Grace przejęła więc jego tożsamość i zaczęła mnie zasypywać wiadomościami, licząc na to, że w końcu mnie zwabi. Ten sposób z początku zawodził, ale wkrótce pojawiła się kolejna możliwość.

– Znaleźliśmy pod domkiem samochód Belindy Levinson – powiedziała Ward. – Znajomi mówią, że zaczęła się martwić, bo Scott-Hayes zapomniał o jej urodzinach. Skontaktowała się z redakcją, ale nikt nie wiedział, czy facet już wrócił do kraju, więc pojechała sprawdzić, czy wszystko gra. Długo nie wracała, ale wszyscy uznali, że chce się nacieszyć chłopakiem po długiej rozłące.

Potarłem skronie.

– Ją też Grace ciachnęła?

– Zwłoki były spalone, więc trudno stwierdzić obecność ran kłutych lub ich brak, ale w domu na wsi znaleźliśmy krew innej grupy. Nie wiemy jeszcze, czy należała do Levinson, ale przyjmujemy takie założenie. Najprawdopodobniej Grace zabiła ją zaraz po tym, jak się tam pojawiła, a potem... Cóż, kiedy media zaczęły mówić o Świętym Judzie, wrzuciła ciało do bagażnika samochodu Scotta-Hayesa i pojechała do Londynu.

Zamknąłem oczy. Jezu. Dawniej Grace nie planowała niczego z takim wyprzedzeniem, ale też dawniej nie musiała tego robić. Zawsze mogła polegać na wsparciu i opiece brata.

– Podejrzewaliście, że ktoś ukradł ten samochód – powiedziałem, starając się nie brzmieć oskarżycielsko. – Nikt tam nie pojechał, żeby sprawdzić, co z właścicielem?

– Oczywiście, że tak. Poprosiliśmy policję hrabstwa Kent o zajęcie się tą sprawą. Ale wtedy naszym głównym podejrzanym był jeszcze Jessop, nie mieliśmy powodu sądzić, że właściciela samochodu mogło spotkać coś złego. Wiedzieliśmy, że Scott-Hayes pracował za granicą, więc fakt, że nikogo nie było w domu...

Ward przepraszająco wzruszyła ramionami. Nie miałem siły się kłócić, sam zresztą nie byłem bez winy. Zgodziłem się na wywiad, nie porozmawiawszy z dziennikarzem choćby przez telefon. Wysłałem Grace Strachan swój adres. Kiedy portier zadzwonił domofonem, usłyszałem to, co spodziewałem się usłyszeć: „Francis”, a nie „Frances”, czyli żeńską wersję imienia, którą się przedstawiła. A Rachel uznała, że po prostu się pomyliłem co do płci dziennikarza. Nigdy wcześniej nie widziała Grace, więc nie mogła wiedzieć, kto stoi za progiem. Zresztą nawet gdybym to ja otworzył drzwi, też nie od razu bym ją rozpoznał.

Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Rachel nie odniosła poważnych obrażeń. Oparzenia dłoni były powierzchowne, a choć nóż przeciął mięśnie ramienia niemal do kości, lekarze zapewniali, że nie grozi jej trwałe uszkodzenie nerwów ani ścięgien. Mimo to straciła sporo krwi, musiano jej zrobić transfuzję, więc została w szpitalu na noc.

Dzięki temu mogłem przynajmniej posprzątać w mieszkaniu. Kiedy nazajutrz przywiozłem Rachel taksówką do domu, nie było już żadnych śladów wydarzeń z poprzedniego popołudnia. Trudniej jednak wymazać te niewidoczne i nienamagalne skutki.

W okresie bezpośrednio po napadzie próbowaliśmy udawać, że wszystko jest w normie, ale obojgu nam przychodziło to z trudem. Rachel miała problemy ze snem, robiła się coraz bardziej milcząca i wiecznie poirytowana. Ja od początku nie przepadałem za tym luksusowym apartamentem, ale teraz i ona nie czuła się tu bezpieczna, mimo alarmów i portiera. Doszło w końcu do dzikiej awantury o to, czy powinniśmy się przeprowadzić do mojego starego mieszkania, a chociaż się potem pogodziliśmy, to coś się zmieniło.

Za obopólną zgodą i bez rozgłosu odwołaliśmy ceremonię w urzędzie. Udawaliśmy przed sobą, że tylko przekładamy termin, ale oboje wiedzieliśmy, że chodzi o coś więcej. Tylko nie chcieliśmy się do tego przyznać.

Któregoś wieczoru, dwa tygodnie po napadzie, Rachel była jeszcze bardziej małomówna niż zwykle. Siedzieliśmy nad kolacją. Apatycznie grzebała w talerzu, po czym nagle odłożyła widelec.

– Wracam do Grecji.

Trochę się tego spodziewałem, ale i tak zaboląło. Przez głowę przemknęły mi różne argumenty przeciw, ale potem spojrzałem na jej twarz – wychudzoną, z podkrążonymi oczami. Rachel była zawsze silna, a teraz zauważyłem w niej jakąś kruchość.

Też odłożyłem sztućce, straciłem resztki apetytu.

– Kiedy?

– W niedzielę. Pozwolili mi wrócić i dokończyć badania. Poza tym... – Urwała, ale po chwili zmusiła się, żeby mówić dalej. – Jest szansa, że będę mogła przedłużyć umowę. Na kolejny rok.

Czułem tępy ból w piersi.

– Chcesz z niej skorzystać?

– Nie chcę – odparowała. – Ale nie możemy tak dłużej żyć. Nie mogę... Nie chcę się rozstawać, ale to wszystko... Potrzebuję trochę czasu.

Wstałem i podszedłem do niej. Tuliłem ją, czując na koszuli jej łyzy, i patrzyłem na drzwi, przez które Grace wkroczyła do naszego życia.

Siedzieliśmy długo w noc, omawiając nasze sprawy. Nie chciałem, żeby jechała, ale podjęła decyzję, zanim w ogóle mi o tym powiedziała. Jakaś część mnie wiedziała, że tak będzie dla niej najlepiej. W czasie naszej krótkiej znajomości już dwa razy mieliśmy do czynienia z tragedią, a za to zawsze trzeba zapłacić wysoką cenę. Rachel ciągle dochodziła do siebie po śmierci siostry, która została zamordowana, więc zamach na nasze życie – i to w miejscu, w którym czuła się bezpieczna – wstrząsnął nią do głębi. Sama też zareagowała przemocą, a choć było to zupełnie uzasadnione działanie w obronie własnej,

świat nie wyglądał już tak samo. Nie mogliśmy udawać, że nic się nie zmieniło, a odgrywanie komedii byłoby dla niej torturą. Zaslugiwała na coś lepszego.

Trzy dni później, w szare październikowe popołudnie, Rachel poleciała do Grecji.

– To naprawdę niedaleko. Mógłbyś przyjechać na wakacje – powiedziała, kiedy staliśmy w przedpokoju z jej walizkami.

Uśmiechnąłem się.

– Wiem.

Zobaczymy.

Wprowadziłem się z powrotem do starego mieszkania. Obawiałem się, że będę się tam czuł dziwnie, jakbym przeniósł się w czasie. Niesłusznie. Ale nie czułem się też szczególnie dobrze.

Po prostu znajomo.

Jeśli chodzi o życie zawodowe, to byłem rozchwytywany. Zgodziłem się na wyczerpujący wyjazd do Irlandii, chociaż nie byłem na to jeszcze fizycznie gotowy, potem przysłała kolej na serię dziwacznych zabójstw na pograniczu walijsko-angielskim. Dostałem też kolejną ofertę pracy, znacznie bardziej intrygującą niż ta od BioGen. Prywatna firma planowała otwarcie nowego ośrodka badawczego zajmującego się antropologią kryminalistyczną, pierwszego tego typu obiektu w Wielkiej Brytanii. Trzeba było jeszcze pokonać rozmaite przeszkody biurokratyczne i prawne, ale uważali mnie za idealnego kandydata ze względu na, jak to ujęli, moje „unikalne doświadczenie i wiedzę”. W liście nie precyzowali charakteru tego ośrodka, ale się domyślałem.

Szkoliłem się w takim w Tennessee.

Musiałem podjąć decyzję, a tymczasem nadal toczyła się sprawa szpitala Świętego Judy. Widziałem w telewizji, jak ogromna kula burząca taranuje ocalałe ściany. Tyle protestów i demonstracji, przelanych niepotrzebnie łez i krwi, a stary szpital zawalił się potulnie, pozostawiając po sobie tylko chmurę pyłu. Jedynym plusem całej sytuacji był fakt, że w związku z negatywnym rozgłosem deweloper postanowił ustąpić. Przedstawiono nowy projekt, zgodnie

z którym cały teren miał zostać przeznaczony pod mieszkania socjalne, zaczęła też już krążyć petycja w sprawie nazwania nowego osiedla Oduya Park.

Tak się złożyło, że akurat następnego dnia dowiedziałem się od Ward, że znaleziono źródło przecieków, z których korzystał aktywista. Był nim szeregowy policjant, którego żona przed laty urodziła bliźniaczki w szpitalu Świętego Judy, a teraz zbliżał się już do emerytury. Jego nazwisko nic mi nie mówiło, ale potem Ward wyjaśniła, że chodzi o starszego partnera młodej policjantki z posterunku przy bramie. Nie należał do zespołu śledczego, ale umiał słuchać, a ludzie mają długie języki.

Wszyscy mieli już dość sensacyjnych nagłówków w gazetach, więc po cichu wysłano funkcjonariusza na wcześniejszą emeryturę. Ucieszyło mnie, że nie ukarano go surowiej, choć oczywiście zastanawiałem się, jak to wszystko by się potoczyło, gdyby nie wyciekła wiadomość o ciąży Christine Gorski. Czy Oduya też zagadnąłby mnie po tamtym spotkaniu, gdyby nie zależało mu na potwierdzeniu doniesień? A jeśli nie, to czy wydarzenia ułożyłyby się tak, że zawołałby mnie z drugiej strony zalanej deszczem ulicy w chwili, gdy zakapturzony Mears wkraczał na jezdnię? A może nasze losy potoczyłyby się zupełnie inaczej i to ja zastygłbym tamtej nocy w świetle reflektorów Grace Strachan?

Nigdy się tego nie dowiem.

Spotkałem się z rodziną Oduyi, łącznie z jego partnerem, statecznym mężczyzną po czterdziestce, z którym widziałem się już wcześniej, żeby odebrać akta sprawy pro bono, do której Oduya chciał mnie wciągnąć. Rodzice aktywisty byli pogrążeni w cichej żałobie, nie oskarżali mnie wprost o śmierć swojego syna. Mimo to spotkanie było dla nas wszystkich bardzo trudne.

Jednak nie tak trudne jak to, które nastąpiło później. Pewnego popołudnia, wbrew radom Ward, odwiedziłem Mearsa. Kiedy wszedłem do sali szpitalnej, siedział na wózku inwalidzkim w szlafroku i krótkich spodenkach odsłaniających jedną chudą nogę i zabandażowany kikut drugiej. Patrzył niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, na jego podołku okładką do góry leżała

otwarta książka. Rude włosy miał oklapłe i nieuczesane. W pierwszej chwili mnie nie zauważył, ale potem przez jego twarz przemknęła cała gama emocji, a policzki zalały się szkarłatem.

Przy łóżku stało krzesło dla gości, ale nie usiadłem.

– Jak się pan miewa? – zapytałem banalnie.

W odpowiedzi rozłożył szeroko ręce, prezentując się w całej okazałości, łącznie z kikutem.

– A jak pan myśli?

Patrzył na mnie z taką intensywnością, że trudno mi było spojrzeć mu w oczy, ale nie pozwoliłem sobie odwrócić wzroku. Od wielu dni zastanawiałem się, co powiedzieć, a teraz wszystkie pomysły wyparowały mi z głowy.

– Przykro mi – powiedziałem.

Wiedziałem, że poinformowano go, kto siedział za kierownicą tamtego samochodu. I dlaczego go potrącił. Mears próbował się roześmiać, ale bezskutecznie. Rumieniec rozpełzł się z policzków po całej twarzy i szyi, puste oczy lśniły jak w gorączce.

– Przykro panu. W takim razie wszystko w porządku. Teraz już wszystko jest tip-kurwa-top, prawda?

– Proszę posłuchać, gdybym mógł...

– Gdyby pan mógł co? Cofnąć czas? Przywrócić mi nogę? – Odwrócił głowę, wargi mu drżały. – Proszę mnie zostawić w spokoju.

Ward miała rację, niepotrzebnie przyszedłem. Bez słowa ruszyłem do wyjścia.

– Hunter!

Zatrzymałem się i odwróciłem. Inni pacjenci gapili się na mnie z łóżek. Mears wyglądał, jakby lada chwila miał wybuchnąć płaczem, z całej siły zaciskał ręce na poręczach wózka. Głos mu się trząsał.

– To ty powinieneś tu siedzieć. Nie zapominaj o tym.

Zamknąłem za sobą drzwi.

Ward wciąż na bieżąco informowała mnie o postępach w śledztwie. Profesor Conrad wyszedł ze szpitala i wkrótce miał wrócić do pracy. Stan Wayne'a Bootha poprawiał się dzięki terapii i lekom, chociaż miał już nigdy nie odzyskać mowy ani pełnej sprawności. Jeśli chodzi o Lolę, to podobno nagle przestała współpracować, odmawiała odpowiedzi, a nawet przyjęcia do wiadomości stawianych jej zarzutów. Zamilkła tuż po tym, jak policja dokonała kolejnego odkrycia.

– Pogrzebaliśmy trochę w tej sprawie śmierci pacjenta, o której wspominała panu sąsiadka. Czternastolatek zmarł z przedawkowania insuliny – relacjonowała Ward. – Loli nie oskarżono, bo nie było powodów sądzić, że zrobiła to celowo. Wszyscy założyli, że doszło do pomyłki czy wypadku. Ale okazuje się, że chłopak chodził do szkoły z Garym Lennoxem. Dwa lata wyżej, więc na pierwszy rzut oka nie było widać związku, ale niech pan zgadnie, komu dokuczał tuż przed tym, jak trafił do szpitala.

– Zabiła dzieciaka, bo dokuczał jej synowi? – Mimo wszystkiego, co o niej wiedziałem, ta wiadomość mnie zszokowała.

– Nie chce się przyznać, ale tak przypuszczamy – powiedziała Ward. – Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie było tragiczne. Ci wszyscy ludzie zginęli, bo nadopiekuńcza matka bała się, że skrzywdzą jej syna. A w końcu sama go zabiła.

Niedługo potem Ward poszła na zwolnienie, co było całkiem zrozumiałe – nic dziwnego, że wolała się zająć weselszymi sprawami związanymi z macierzyństwem. Czas najwyższy. Jedyнным niewyjaśnionym elementem śledztwa pozostawała lokalizacja szczątków Gary'ego Lennox, a nic nie wskazywało na to, żeby jego matka chciała ją ujawnić. Whelan sugerował, że może po prostu wyrzuciła je do kosza, ale nie podzielałem jego opinii. Ołtarzyk na szafce nie powstał wyłącznie w celu dręczenia Wayne'a Booth. Był obiektem kultu. Lola nie wyrzuciłaby spalonych kości syna byle gdzie, żeby tylko pozbyć się dowodów.

Wkrótce po tym jak Ward zaczęła urlop, zadzwonił do mnie Whelan.

– Może chce się pan przejść na spacer z psem? – zapytał.

Ruiny kościoła wyglądały o tej porze roku jeszcze bardziej ponuro. Bluszcz nadal porastał kruszejącą ścianę szczytową, a warstwa mchu na powalonych kamieniach zdawała się jeszcze grubsza. Okoliczne drzewa były jednak nagie, a opadłe liście tworzyły gruby, butwiejący dywan. Gawrony popatrywały na nas z czarnych gałęzi, pióra miały nastroszone od wiatru i deszczu. Dzień był paskudny, ale przynajmniej jednemu z członków naszej grupy to zupełnie nie przeszkadzało. Labrador hasał radośnie po leśnej polance, której zapachy przypadły mu do gustu znacznie bardziej niż szpitalna stęchlizna.

To Whelan wpadł na pomysł przeprowadzenia psa trasą, którą Lola musiała wynosić kości syna z kotłowni. Zaczęliśmy przy zburzonej kostnicy – sterta popękanych cegieł wydawała się teraz malutkim pagórkiem na tle ruin Świętego Judy – i daliśmy psu obwąchać drogę przez pusty teren aż do lasu za szpitalem.

Na polance znaleźliśmy – a raczej Gwiazdek znalazł – szczątki Gary’ego Lennox. Nie były zbyt dobrze ukryte. Obwąchwawszy ruiny kościoła, pies rzucił się prosto do powalonego dębu. Część korzeniowa pnia, pękniętego kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, była wydrążona na skutek gnicia i otoczona sterczącymi na wszystkie strony pędami wyrzuconymi przez umierające drzewo. U podstawy, niemal niewidoczne wewnątrz pnia, spoczywały zwęglone ludzkie kości. Na samym dnie leżała czaszka – poczerniała, spękana, bez przednich zębów w górnej szczęce.

Kiedy wydobyto już wszystkie kości Gary’ego Lennox ze zmurszałego drzewa, przypomniałem sobie moje pierwsze spotkanie z Lolą. Z jaką irytacją zareagowała na widok kogoś siedzącego w ruinach kościoła. Zbieranie śmieci z polanki zawsze wydawało mi się nie w jej stylu, ale teraz wreszcie zrozumiałem, dlaczego to robiła.

Dogłądała grobu syna.

Za oknem zaczął prószyć śnieg. Drobne płatki przyklejały się do zakratowanego okna i topniejąc, powoli ześlizgiwały się po szybie. Wierciłem się na

niewygodnym krześle, kusiło mnie, żeby wykorzystać pogodę jako pretekst i się ulotnić. Dopiero na miejscu zacząłem się zastanawiać, co konkretnie zamierzałem osiągnąć. Nadal nie wiedziałem, po co właściwie tu przyszedłem, po prostu uznałem, że tak trzeba.

Czułem, że muszę to zrobić.

Na dźwięk kroków zbliżających się korytarzem bezwiednie napiąłem mięśnie brzucha, jakby blizna pod żebrami żyła własnym życiem. Drzwi się otworzyły, pojawił się pielęgniarz. Zacząłem wstawać, kiedy za nim, powłócząc nogami, do pokoju weszła kobieta. Była śmiertelnie wychudzona, ubrana w prostą białą koszulę, przez którą wyraźnie przebijały kości jej ramion. Nad jedną skronią wygolono jej cienkie siwe włosy, odsłaniając świeżą bliznę.

Trudno było uwierzyć, że ta krucha postać stanowiła kiedyś tak wielkie zagrożenie. Podtrzymując ją za ramię, pielęgniarz zaprowadził kobietę do krzesła naprzeciwko mnie. Skóra jej twarzy była nadal sinoczerwona, ale oparzenia w znacznym stopniu się już zagoiły. Nie to jednak stanowiło najpoważniejszy uraz. Oczy, którymi wodziła niespokojnie od ściany do ściany, zaszyły mleczną mgiełką, jak u chorego na zaćmę. Wrząca, gęsta kawa poważnie poparzyła delikatne rogowki, powodując nieodwracalne bliznowacenie. Można by częściowo przywrócić jej wzrok, ale nawet gdyby sąd pozwolił na operację, psychiatrzy uznali, że osłabiona psychika nie zniósłaby takiej traumy. Od tej pory jej świat miała zasnuwać szara mgła.

Przechyliła głowę, nasłuchując uważnie.

– Kto tu jest? – zapytała szeptem. – Michael, to ty? Okropnie się boję.

Rozpaczliwie pragnęła komunikacji. Przez ułamek sekundy dojrzałem w niej cień dawnej urody, widmo kobiety, którą kiedyś była. Potem jednak i to przeminęło. Z trudem powstrzymałem się przed odskoczeniem w tył, kiedy jej pokryte sinymi żyłami dłonie zaczęły macać po stole w poszukiwaniu moich. Skórę miała lodowato zimną.

Uchwyciłem lekką nutkę woni mydła. Nic więcej.

– Dzień dobry, Grace – powiedziałem.

PODZIĘKOWANIA

Podczas pisania tej książki korzystałem ze wsparcia osób dysponujących znacznie bogatszymi doświadczeniem i wiedzą niż ja. To ja więc odpowiadam za wszelkie nieścisłości, jakie mogły się znaleźć w tekście. Na podziękowania zasługują, w kolejności absolutnie przypadkowej: Tim Thompson, profesor bioantropologii stosowanej na Uniwersytecie w Teesside, za cierpliwe odpowiedzi na wszystkie moje dziwaczne pytania; Tony Cook z Narodowej Agencji ds. Przestępczości, szef działu operacyjnego CEOP, za doradztwo w zakresie procedur – wspaniały podręcznik *Senior Investigating Officers' Handbook* jego autorstwa to nieocenione źródło wiedzy; doktor Martin Hall, specjalista entomologii sądowej i weterynaryjnej z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, za informacje o plujkowatych i innych insektach; Patricia Wiltshire, profesor ekologii sądowej na Uniwersytecie w Southampton, której zawdzięczam gruntowne podstawy; biuro prasowe policji londyńskiej za szybkie odpowiedzi; oraz doktor Anna Williams, antropolożka sądowa z Uniwersytetu w Huddersfield, za wiadomości dotyczące zapachów rozkładu oraz psów szkolonych do poszukiwania zwłok. Na stronie www.htf4uk.blogspot.com można poczytać o jej kampanii na rzecz utworzenia w Wielkiej Brytanii tak zwanej trupiej farmy.

Dziękuję także mojemu agentowi Gordonowi Wise'owi, agentce Melissie Pimentel i całej ekipie z CurtisBrown; redaktorowi Simonowi Taylorowi, niemieckim redaktorkom Ulrike Beck i Friederike Ney, a także wszystkim pracującym za kulisami w wydawnictwach Transworld i Rowohlt; mamie za wsparcie, a Benowi Steinerowi i SCF za szybką lekturę i komentarze.

Na koniec chciałbym też ogromnie podziękować mojej żonie Hilary, pierwszej i najlepszej czytelniczce, za nieustrudzoną pracę i trwanie przy mnie na dobre i na złe. To naprawdę nasz wspólny wysiłek – ja tylko siedzę za klawiaturą.

Simon Beckett, styczeń 2019 roku

Przypisy końcowe

1. Wspólna nazwa dla trzech z czterech systemów publicznej służby zdrowia w Wielkiej Brytanii, odpowiednik polskiego NFZ (przyp. red.). [\[wróć\]](#)